

Chelsea Cain

Wirtuoz zbrodni

Archie Sheridan 02

Latem Forest Park jest bardzo piękny. Tego letniego dnia niebo, które nad miastem Portland ma najczęściej kolor popielaty, przezierało z trudnością pomiędzy gałęziami choin, cedrów, osik i klonów. Liście, poruszane lekkim wiatrem, barwiły światło rozmigotaną, bladą zielenią. Bluszcz i powój oplatały omszałe pnie drzew, a zarośla jeżyn i paproci niknęły całkowicie pod kobiercem płożących się pędów. Człowiek idący wydeptaną pomiędzy nimi ścieżką miałby pnącza z obu stron aż po pas. Szemrał szybko płynący strumień, ćwierkały ptaki. Było wprost sielankowo, zupełnie jak u Thoreau; idylliczne wrażenie psuły tylko zwłoki.

Kobieta nie żyła już od jakiegoś czasu. Miała skołtunione rude włosy, a spod oderwanego płata skóry wyzierało dobrych kilka centymetrów nagiej kości czaszki. Zwierzęta poszarpały jej twarz, wystawiając oczy i mózg na działanie niszczących sił natury. W miejscu nosa ziała tylko czarna, trójkątna dziura okolona bladą kością; oczodoły przypominały dwa leje pełne tłustego łoju o konsystencji mydła. Skóra na szyi i uszach, pokryta pękającymi pęcherzami, odchodziła w długich pasach, które niczym makabryczne frędzle okalały tę trupa maskę z ustami otwartymi szeroko jak u szkieletu na Halloween.

– Jesteś tam?

Archie przypomniawszy sobie o telefonie przyłożonym do ucha.

– Jestem.

– Mam czekać na ciebie z kolacją?

Obrzucił wzrokiem martwą kobietę. Jego tok myślenia przestawił się już na tryb pracy śledczej. Mogła przedawkować narkotyki. Mogła zostać zamordowana. Mogła wypaść z przelatującego nad parkiem boeinga, z luku, do którego po starcie chowają się koła; Archie widział coś takiego w którymś odcinku serialu „Prawo i porządek”.

– Raczej nie – powiedział do słuchawki.

W głosie Debbie słyszał zatroskanie; znał je dobrze. Szło mu ostatnio całkiem nieźle. Łykał już mniej środków przeciwbólowych, przybrał trochę na wadze. Zdawał sobie jednak sprawę – a Debbie razem z nim – że to wszystko jest tak naprawdę palcem na wodzie pisane. Przede wszystkim dlatego, że było w tym bardzo wiele udawania. Archie udawał, że żyje, oddycha, pracuje; udawał, że idzie ku lepszemu. Robił tak, ponieważ w widoczny sposób pomagało to ludziom, których kochał. A to już było coś. Przynajmniej tyle mógł zrobić. Dla nich.

– Ale zjedz cokolwiek. Nie chodź głodny – usłyszał westchnienie Debbie.

– Coś przegryziemy razem z Henrym.

Archie zatrzasnął klapkę i wsunął komórkę do kieszeni marynarki. Poczul pod palcami chłód blaszanego pudełeczka na lekarstwa, które też tam leżało; przez chwilę nie cofał dłoni. Minęło już ponad dwa i pół roku od czasu, gdy w jego życiu doszło do zdarzenia, które zakończyło się prawdziwą i dosłowną drogą przez mękę, a ze zwolnienia chorobowego wrócił dopiero przed kilkoma miesiącami. I już zdążył złapać drugiego seryjnego mordercę w swoim życiu. Przyszło mu niedawno do głowy, że mógłby zamówić sobie specjalne wizytówki: „specjalista w zakresie tropienia morderców seryjnych”. Tłoczone litery... Czując ukłucie bólu

głowy, odruchowo zaczepił paznokciem o wieczko pudełka, aby je otworzyć, ale po chwili zrezygnował i wyciągnął dłoń z kieszeni, przeczesując palcami włosy. Nie. Nie teraz.

Przykucnął obok Lorenza Robbinsa z laboratorium medycyny sądowej, który siedział na piętach, pochylając się nad ciałem. Biały kaptur kombinezonu laboratoryjnego skrywał jego dredy. Gładkie kamienie z dna strumienia były śliskie od porastającego je mchu.

– Gadałeś z żoną? – zagadnął kryminolog.

Archie wyciągnął z drugiej kieszeni długopis i nieduży notes. Za ich plecami rozbłysła lampa błyskowa – to fotograf z laboratorium kryminalnego zrobił zdjęcie.

– Z była żoną – poprawił.

– Wciąż jesteście blisko?

Archie naszkicował zwłoki kobiety na kartce w swoim notesie. Zaznaczył, gdzie dookoła stoją drzewa, jak biegnie strumień.

– Mieszkamy razem.

– O.

Znowu błysnął flesz.

– Długo by opowiadać. – Archie przetarł oczy dłonią. Robbins wziął w dłoń pęsetę chirurgiczną i uniósł luźny płat naderwanej skóry głowy, chcąc zajrzeć pod spód. Wymaszerowało stamtąd stado czarnych mrówek, rozsypując się po całej czaszce i chowając do ciemnej, lepkiej od zgnilizny dziury ziejącej w miejscu nosa.

– Psy tutaj były – oznajmił.

– Dzikie? – zapytał Archie, wykręcając szyję, aby rozejrzeć się po gęstym lesie, który ich otaczał. Forest Park, bite dwa tysiące hektarów

powierzchni, to największy w Stanach park miejski utrzymany w stanie naturalnym. Są w nim zarówno miejsca ustronne, jak i zawsze pełne ludzi. Zwłoki znaleziono w części położonej dość nisko, przez którą o każdej porze przewalał się tłum biegaczy, wycieczkowiczów i rowerzystów na góralach; na stokach pobliskich wzgórz było nawet widać kilka domów.

– Nie, najprawdopodobniej domowe – odparł Robbins, odwracając się i wskazując zbocze wzgórza kciukiem w lateksowej rękawiczce. – Ciało leży w krzakach, nie widać go ze ścieżki. Biegają tu ludzie z psami, spuszcza ją ze smyczy. Azorek wskoczy pod krzaczek, odgryzie trupowi kawałek policzka. – Spojrzał na zwłoki, wzruszając ramionami. – Jego pan pomyśli, że znalazł jakąś padlinę, ptaka czy coś tam. Pozwoli mu obwąchać okolicę i już, lecą dalej.

– Chcesz powiedzieć, że obgryzły ją zwykle burki?

– Obgryzały. Przez kilka tygodni.

Archie potrząsnął głową z niedowierzaniem.

– Ładnie.

Robbins uniósł brew i jeszcze raz rzucił okiem w stronę ścieżki.

– Dziwne, że nikt nie zwrócił uwagi na zapach.

– Był tu niedawno wyciek nieczystości – powiedział Archie. – W jednym z domów na szczycie tego wzgórza.

Brew kryminologa powędrowała jeszcze o kilka milimetrów wyżej.

– I przez dwa tygodnie tak ciekło?

Archie naniósł na mapkę w swoim notesie szlak wycieczkowy, który biegł stokiem wzgórza, około dwunastu metrów nad miejscem, gdzie znaleziono zwłoki, a dalej skręcał łukiem, niknąc pomiędzy drzewami.

– Ludzie wszystko potrafią sobie wytłumaczyć.

– Uważasz, że to była prostytutka?

– Chodzi o buty? – domyślił się Archie. Na jednej stopie martwej kobiety zachowało się jeszcze czólenko koloru bursztynowego, z akrylowego tworzywa lucite. Drugie do pary znaleziono kilka metrów dalej, pod krzakiem paproci, zagrzebane w mchu. – Niewykluczone. Ale równie dobrze mogła to być modna trzynastolatka. Ciężko powiedzieć. – Powiódł wzrokiem po wyszczerzonych w upiornym uśmiechu zębach, prostych i bardzo białych na tle skrzeplej krwi i nagich chrząstek. – Ładne zęby – zauważył.

– Fakt – przytaknął Robbins cicho. – Ładne zęby.

Archie patrzył, jak Henry Sobol, jego partner, schodzi powoli, niepewnym krokiem, po stromym stoku. Pomimo upału miał na sobie czarne dżinsy, czarny T-shirt i czarną skórzaną kurtkę. Szedł, uważnie patrząc pod nogi, z ustami zaciśniętymi w grymasie absolutnej koncentracji i ramionami wyciągniętymi na boki dla zachowania równowagi. Ten gest rozłożonych szeroko rąk, jak również gładko wygolona głowa, upodabniały go do cyrkowego siłacza. Schodził bokiem, starając się trafić w ślady pozostawione przez Archiego, ale miał większe stopy i za każdym jego krokiem po zboczu osypywała się mała lawina piachu i drobnych kamyków. Na szczycie skarpy stali wszyscy wezwani na miejsce zbrodni, obserwując go z niepokojem. Bezdomny, który znalazł ciało, rozglądając się za miejscem na biwak, zadzwonił na policję ze sklepu odległego od parku o kilka przecznic. Poczekał na pierwszego funkcjonariusza, który odpowiedział na wezwanie i zaprowadził go na miejsce. Policjant długo nie utrzymał równowagi na osuwającym się

zboczu. Zjechał na sam dół, wpadając do strumienia, zanieczyścił miejsce zdarzenia i o mały włos nie złamał sobie nogi. W takiej sytuacji dopiero wyniki autopsji mogły dostarczyć dowodu, że w ogóle doszło do morderstwa.

Henry dotarł na dół, mrugnął okiem do Archiego, a potem odwrócił się i pomachał wesoło do tych, którzy zostali na szczycie. Policjanci odwrócili się jak na komendę, wracając do czynności służbowych: ogradzania miejsca zbrodni i zabezpieczania go przed stale rosnącym tłumkiem turystów i biegaczy w sportowych strojach.

Sobol w zamyśleniu przyglądał swoje szpakowate wąsy kciukiem i palcem wskazującym. Z zaaferowanym wyrazem twarzy pochylił się, oglądając uważnie zwłoki kobiety, po czym bezzwłocznie przeszedł do konkretów.

– Przyczyna śmierci?

Robbins nałożył plastikowy woreczek na spuchniętą, pokrytą plamami dłoń i zaciągnął tasiemkę, mocując go, aby się nie zsunął. Palce, obrzęknięte i pokryte pęcherzami, były przykurczone, a łoża paznokci zdążyły szernieć, ale dłoń wciąż jeszcze wyglądała jak dłoń, chociaż prawdopodobnie nie nadawała się już do pobrania odcisków palców. Po drugiej ręce kobiety, na wpół zakopanej w glebie i mchu, pełzały chrząszcze.

– Nie mam zielonego pojęcia – oznajmił Robbins.

– Umarła tutaj? – indagował dalej Henry.

– Trudno to stwierdzić, dopóki nie będziemy wiedzieć, co ją zabiło – odparł kryminolog, zadzierając głowę, żeby spojrzeć na niego. – Smarujesz sobie glacę politurą czy ona tak sama z siebie?

Archie uśmiechnął się pod nosem. Wiosną, na policyjnym meczu softballowym* [Softball – amerykańska gra o regułach zbliżonych do baseballu, ale rozgrywana większą piłką, lżejszą pałką oraz na mniejszym boisku (przyp. tłum.)], Henry i Robbins ścięli się o coś, i to całkiem porządnie; od tego czasu ich wzajemne stosunki tak się właśnie układały.

– Nie wolno już o nic zapytać? – odgryzł się Henry.

– Wolno, jak skończę sekcję – burknął Robbins, wyciągając następny woreczek. Strzepnął go w powietrzu, po czym ostrożnie uniósł drugą dłoń kobiety i nałożył go na nią. Chrząszcze rozbiegły się na wszystkie strony, a Henry cofnął się o pół kroku.

Archie zapisał coś w notesie. Pamiętał dobrze, jak przed dwunastu laty, w tym samym parku, stali razem nad zwłokami innej kobiety. Ten ślad naprowadził ich na trop mordercy nazwanego przez media Wirtuozem. Nie wiedzieli wtedy jeszcze, że pościg za nim stanie się dla nich czymś w rodzaju życiowej kariery. Ani tego, że sam Archie pewnego dnia dołączy do ofiar kobiety, którą krył ten przydomek.

– Hej! – Ze szczytu skarpy dobiegł ich czyjś głośny okrzyk.

Henry uniósł głowę; na ścieżce wycieczkowej biegnącej stokiem wzgórza stała Claire Masland, dając im znaki, żeby przyszli do niej. Wziął się gniewnym gestem pod boki.

– Jaja sobie robi? – warknął do Archiego.

Claire pomachała na nich znowu, tym razem całą ręką.

– Pójdę przodem – powiedział Archie i dodał, oglądając się na Henry’ego: – Żebyśmy nie zlecieli obaj, jak się potkniesz.

– Ha, ha – usłyszał w odpowiedzi.

– No, co tam macie? – zapytał Archie swoją podkomendną, kiedy

wspięli się już na skarpe.

Claire była niskiego wzrostu, kościstej budowy i strzygła się bardzo krótko. Tego dnia miała na sobie koszulkę w paski i dzinsy. Jej złota odznaka wisiała przy pasku razem z komórką i służbową bronią w kaburze; obok nich dyndała wesoło para okularów przeciwsłonecznych z czerwonego plastiku, zatkniętych za szlufkę. Claire wskazała głową młodego policjanta w mundurze powalonym ziemią.

– To jest posterunkowy Bennett – przedstawiła. – Pierwszy odpowiedział na wezwanie.

Z wyglądu posterunkowy Bennett przypominał jeszcze dzieciaka. Był wysoki, miał twarz jak niemowlak i lekko zarysowany drugi podbródek, opierający się markotnie o wychudłą szyję. Spojrzał na oficerów, garbiąc się żałośnie.

– Przepraszam bardzo – jęknął.

– Daj im to zobaczyć – powiedziała Claire. Bennett westchnął smętnie i odwrócił się tyłem. Bluzę munduru miał całą w piachu, brudzie i cząsteczkach roślin rosnących na zboczu, po którym sturlał się na łeb, na szyję.

Henry i Archie pochylili głowy, żeby lepiej widzieć. Na łopatkę chłopaka, wśród drobinek mchu, ziaren paproci i piasku dostrzegli coś, co ponad wszelką wątpliwość było wskazówką, dotyczącą ich śledztwa.

Henry spojrzał na Archiego.

– To chyba ludzki włos.

– Czy miałeś kontakt ze zwłokami, kiedy, hmm... kiedy upadłeś? – zwrócił się Archie do młodego policjanta.

Bennett zeszywniał na całym ciele.

– O Jezuu, nigdy w życiu – wysapał. – Przysięgam, że nie.

– Pewnie przyczepiło mu się to, jak leciał na dół – zawyrokował Henry.

Archie wyciągnął z kieszeni cienką, czarną latarkę i oświetlił nią rudy włos, odsuwając się tak, żeby Henry też mógł spojrzeć. Na końcu włosa widać było jakby mikroskopijną łatkę.

– Zachował się fragment skóry głowy – powiedział. Chłopak wykręcił szyję, aż strzeliło mu w karku. Oczy miał wielkie jak spodki.

– Zdejmijcie to ze mnie – wyjęczał błagalnym tonem. – Zdejmijcie to, dobrze?

– Spokojnie, synu – powiedział Henry.

Claire, o dobre trzydzieści centymetrów niższa od Bennetta, ściągnęła mu z pleców rudy włos, wrzucając go do torebki na dowody.

Archie przywołał do siebie technika kryminalnego.

– Zabezpieczyć jego ciuchy. Wszystko, nawet skarpetki.

– Ale ja nie mam się w co przebrać – zaprotestował chłopak, idąc za technikiem.

Claire odwróciła się do Archiego i Henry'ego. Ścieżka, na której stali, biegła w poprzek zbocza i miała tylko niecały metr szerokości. Odgrodzono na niej kilkudziesięciocentymetrowy pas, jak najdalej od skraju. Zrobiono to z myślą o niczego nieświadomych pięćdziesięcioletnich paniach, które wyszły pospacerować sobie po parku; gdyby nie to, musiałyby wracać i nadkładać półtora kilometra drogi przez las, a wtedy przepadłyby im umówione popołudniowe wizyty w salonach odnowy biologicznej. Z zarośli porastających zbocze wypadł nagle labrador o czekoladowej maści, a za nim wychynał jego pan, w worowatych szortach, turystycznych butach i odblaskowych okularach

przeciwsłonecznych. Minał ich, nie zwracając najmniejszej uwagi na to, co się dzieje na dnie parowu.

– No i co? – Claire przerwała ciszę.

– Uraz głowy – powiedział Archie.

– Właśnie – przytaknął Henry.

– Może spadła stąd na dół – zamyśliła się na głos Claire. – I uderzyła głową o kamień. Jak w serialu „TJ. Hooker”, pamiętacie?

– Albo kamień spadł za nią i uderzył ją w głowę. – Henry zaproponował inną teorię.

– Albo – wtrącił się Archie – jakiś Azorek zbiegł sobie na dół i obwachał nasze zwłoki. Do pyska przylepił mu się jeden włos denatki, który spadł, kiedy piesek biegł z powrotem na górę.

Jego podwładni obrzucili go długimi spojrzeniami.

– Azorek? – powtórzył Henry.

– Wstrętne – skrzywiła się Claire.

Susan Ward nie czuła się najlepiej, miała nudności. Może z nerwów. Może z upału. A może dlatego, że w barze było aż sino od trującego papierosowego dymu.

– Jeszcze jednego drinka? – zapytał Jefferson Parker, dziennikarz, który od niepamiętnych czasów prowadził w „Heraldzie” kronikę kryminalną. Susan nie miała pojęcia, czy zawsze był alkoholikiem, czy też może ta praca tak działa na człowieka. – Może tym razem coś z parasolką?

Parker pił burbona Wild Turkey. Bez lodu. Kelnerka przyniosła mu szklanekę, zanim jeszcze zdążyli usiąść przy stoliku.

Susan puściła kpiącą uwagę o parasolce mimo uszu i wyciągnęła papierosa ze swojej paczki, leżącej na stole.

– Dzięki, zapalę sobie tylko – odparła, rozglądając się po barze. To Parker zaproponował, żeby umówić się właśnie tutaj. Lokal znajdował się w śródmieściu, zupełnie niedaleko siedziby „Heralda”. Dziennikarka nigdy o nim nie słyszała, ale jej starszy kolega najwidoczniej znał tutaj wszystkich. Parker miał wielu znajomych w wielu różnych barach.

Pomieszczenie było niewielkie, więc Susan mogła bez trudności obserwować wejście, wypatrując człowieka, który miał się z nimi tutaj spotkać. To Parker wszystko ustawił. Susan zazwyczaj pracowała z naczelnym działu reportaży, ale to była sprawa kryminalna, a zatem podlegała Parkerowi. Przez dwa miesiące Susan bezskutecznie usiłowała załatwić sobie to spotkanie. Jemu wystarczył jeden telefon. Ale z drugiej strony cała ta historia właśnie tak wyglądała: swoim artykułem Susan Ward zamierzała w pojedynkę zrujnować karierę szanowanego polityka.

Głosowała na niego większość pracowników „Heralda”, w tym ona sama; gdyby tylko mogła, odebrałaby mu teraz swój głos.

– Mogłam tu przyjść bez ciebie – burknęła.

– On cię nie zna – zwrócił jej uwagę Parker. – A ja chciałbym na coś się przydać.

To, rzecz jasna, był żart. Jefferson Parker nie był znany ze wspaniałomyślności. Wiecznie agresywny? A, to i owszem. Seksista? Ma się rozumieć. Doskonały dziennikarz? Jak najbardziej. Pijaczyna? Całą gębą.

Nie było niemalże nikogo, kto nie uważałby go za skończonego palanta.

A jednak z jakiegoś bliżej nieokreślonego powodu Parker wziął Susan pod skrzydła, od jej pierwszego dnia pracy w gazecie, czyli od dwóch lat. Młoda dziennikarka nie wiedziała, dlaczego tak się stało. Może spodobał mu się jej cięty, niewyparzony język. Albo jej ciuchy, zawsze nie na miejscu. Albo włosy – nie mogła sobie przypomnieć, jaki kolor wtedy miały. Zresztą to wszystko było nieistotne. Teraz Susan dałaby się posiekać za Parkera i była w sumie całkiem pewna, że on dla niej też – o ile tylko nie szedłby akurat na drinka albo nie był na tropie najnowszej, gorącej afery.

Jeszcze raz rozejrzała się po barze. Wybór miejsca był idealny. Szanse na to, że ktoś zauważy ich umówionego rozmówcę w towarzystwie dwójki dziennikarzy, były nikłe. W wystroju knajpy pojawiały się tu i ówdzie elementy żeglarskie: na jednej ze ścian wisiało koło sterowe z jakiejś starej łódki, nad barem przybito kotwicę. Barman miał na oko ze sto dziesięć lat, jedyna kelnerka niewiele mniej. Do jedzenia serwowano tylko i wyłącznie

popcorn. Cały lokal cuchnął popcornem. Było tu jednak ciemno i chłodno, czego nie dało się powiedzieć o aurze na zewnątrz. Susan szarpnęła za dekolt swojej czarnej koszulki bez rękawów. W poprzek piersi biegł pochyły napis: „Nie ze mną te numery”. Kiedy była spocona, litery przylepiały się jej do skóry.

Drzwi baru, nagle otwarte, zapłonęły prostokątem oślepiającego światła, ostro odciętym od otaczającej go ciemności. Zadymiony półmrok panujący w pomieszczeniu w jednej chwili odmienił się całkowicie. Wypełniły go piękne sploty skłębionej, rakotwórczej mgiełki. Susan poczuła, że jej żołądek ścisnął się w twardą kulę. W progu stanął mężczyzna w średnim wieku, ubrany w garnitur i obracający w palcach kieszonkowy komputer Black-Berry. Był ciężkiej budowy ciała, choć nie dorównywał Parkerowi. Na nosie miał okulary w prostokątnych oprawkach, które u takiego człowieka wydawały się zbyt modne. Susan obejrzała się na Parkera.

– Schowaj klejnoty – szepnął, biorąc garść popcornu ze stojącej przed nimi miski.

– Jesteś pewny, że to on? – zapytała, poprawiając koszulkę. Parker zarechotał krótko; zabrzmiało to jak rzeźnienie. Wsypał sobie całą garść popcornu do paszczy i zaczął żuć.

– Trzydzieści lat kronik kryminalnych – zabełkotał z pełnymi ustami. – Widziało się już całą kupę adwokatów. Tutaj! – Kiwnął na prawnika tłustą od popcornu dłonią.

Z bliska nowo przybyły wyglądał dziesięć lat starzej niż na pierwszy rzut oka.

– Witam, Parker. – Skinął mu głową. Potem spojrzał na Susan. Na obu

zausznikach jego okularów widniał wielki napis „Prada”. – To ona? – zapytał.

– Nasza Brenda Starr* [Brenda Starr – tytułowa bohaterka słynnej komiksowej serii ukazującej się w gazecie „The Chicago Tribune” nieprzerwanie od roku 1940. Brenda jest typem modnej dziennikarki wiodącej życie burzliwe i pełne przygód.. Na podstawie komiksów z jej przygodami nakręcono również serial, film telewizyjny oraz film fabularny (przyp. tłum.)] – potwierdził Parker, wciąż żując popcorn. Uśmiechnął się szeroko, a jego krótkie, żółte zęby zaśniły w przyćmionym świetle barowych lamp. – Uradowało się moje stare serce, kiedy zobaczyłem, jak dobrała się do tego twojego chłopaczka.

– Mój, jak go nazywasz, chłopaczek – zwrócił mu uwagę adwokat – to urzędujący członek Senatu Stanów Zjednoczonych.

Parker wziął sobie następną garść popcornu.

– Długo już sobie nie pourzęduje – odparował, wciąż z tym samym szerokim uśmiechem.

Susan zaciągnęła się papierosem i wsunęła dłoń pod stół, sprawdzając, czy dyktafon leżący na kolanach na pewno jest włączony. Czując pod opuszkami palców wibracje urządzenia, natychmiast poczuła się spokojniejsza. Za plecami prawnika dostrzegła młodego mężczyznę w czerwonej baseballówce, który wszedł do baru i usiadł sam.

Adwokat otarł czoło z połyskliwych kropelek potu.

– Czyli mam rozumieć, że „Herald” chce o tym napisać?

– A czy senator Scheer zechce może udzielić komentarza? – odpowiedział Parker pytaniem, unosząc zaciśniętą pięść i wsypując sobie do ust kilka ziarenek popcornu.

– Senator Scheer wszystkiemu zaprzecza – oznajmił adwokat. Susan parsknęła śmiechem.

Prawnik poprawił swoje okulary od Prądy, które zsunęły mu się z nosa.

– I cieszcie się, że w ogóle dostaliście jakikolwiek komentarz – dodał, czerwieniejąc na twarzy.

W tym momencie Susan Ward poprzysięgła sobie, że zniszczy Johna Scheera i wszystkich łajdaków, którzy kryli go przez tyle lat. Senator był powszechnie ubóstwiany za swoje zasługi dla stanu, ale w najbliższy czwartek ludzie mieli poznać go takim, jaki był naprawdę: zobaczyć gwałciciela, manipulatora, szantażystę i oszusta. Rozgniotła niedopałek w czarnej plastikowej popielniczce stojącej przed nią na stole.

– Senator zaprzecza? – powtórzyła. – Senator, który rznął opiekunkę własnych dzieci, a potem stawał na głowie, żeby to zatuszować? I płacił jej nawet za milczenie? – Wyciągnęła z paczki kolejnego papierosa; paliła tylko wtedy, gdy była zdenerwowana, ale ten adwokat przecież o tym nie wiedział. – Dwa miesiące zbierałam materiały – poinformowała go. – Mam nagrane zeznanie Molly Palmer. Mam zapisy rozmów z jej znajomymi z tamtego okresu, którzy potwierdzają to, co mi opowiedziała. Mam potwierdzenia przelewu pieniędzy z pańskiej kancelarii na jej osobiste konto.

– Panna Palmer była stażystką – odparł, rozkładając ręce w geście niepokalanej niewinności.

– Przez dwa letnie miesiące – przypomniała mu Susan. Zaciągnęła się mocno, po czym odchyliła głowę w tył, wydmuchując dym. Robiła to umyślnie powoli, bo wiedziała, że trzyma faceta w garści. – A pańska kancelaria płaciła jej przez pięć lat.

Adwokat skrzywił usta w nieznacznym uśmiešku.

– Można to wyjaśnić jako błąd w księgowości.

Susan najchętniej zgasiłaby ten uśmiešek łokciem. Nie mogła zrozumieć, po co w ogóle tutaj przyszedł. Ogłosić, że się zaprzecza, można równie dobrze przez telefon.

– Takie głodne kawałki niech pan wstawia komu innemu – zasyczała.

Adwokat wstał z krzesła i zlustrował ją od stóp do głów. Kiedy dziewczyna wygląda tak jak Susan, jest przyzwyczajona do takich spojrzeń, ale w wykonaniu tego faceta zaczęło ją to drażnić.

– Ile masz lat? – zapytał. – Dwadzieścia pięć? – Pstryknął palcami, machając dłonią w kierunku jej głowy. – Naprawdę uważasz, że mieszkańcy tego stanu pozwolą jakiejś rozpolitykowanej podfruwajce z niebieskimi włosami zniszczyć swojego ukochanego senatora, który urzęduje już piątą kadencję? – Pochylił się, przysuwając twarz do jej twarzy, tak blisko, że owiał ją zapach jego wody kolońskiej. – Nawet jeśli wydrukujesz ten artykuł, to szumek szybko ucichnie. Ale ty go nie wydrukujesz. Bo jeśli „Herald” choćby ruszy palcem, pozwę cię do sądu. I ciebie – wycelował palec w Parkera. – Ciebie też.

Po raz ostatni poprawił okulary na nosie, odstąpił od stołu.

– Senator zaprzecza wszystkim zarzutom – oznajmił. – Poza tym nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia.

Odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę.

– Mam dwadzieścia osiem lat! – zawołała za nim Susan. – A kolor moich włosów nazywa się atomowy turkus.

Parker uniósł do ust szklaneczkę whiskey.

– Moim zdaniem poszło całkiem nieźle – zawyrokował.

– Jasne – parsknęła. – Normalnie trzęsą portkami ze strachu.

– Zaufaj mi – odparł, biorąc z talerzyka na stole wykałaczkę i dziabiąc nią łupinę z ziarna popcornu, która utkwiała mu między zębami. Jego obwisłe policzki zakołysały się dostojnie.

Susan jeszcze nigdy w życiu nie czuła większej miłości do tego człowieka.

Parker puścił do niej oko.

– Mówię ci, srają po nogach.

A Susan wydało się w tej chwili, że dostrzega na jego twarzy rumieniec dumy.

Ale mogła też wywołać go whiskey, którą wypił.

Archie stał przed drzwiami do swojego domu, trzymając w palcach pęk kluczy. Od półtora roku żył w separacji z żoną, a mimo to Debbie nigdy nie chciała, żeby zwrócił klucz, a on nigdy go nie oddał. Zostawił go po staremu na kółku, na wieczną pamiątkę wszystkiego, co utracił. Kiedy żona poprosiła, żeby się wyprowadził, był w kompletnej rozsypce. Wyszedł ze szpitala dopiero kilka miesięcy wcześniej i wciąż nie mógł dojść do siebie, jego życie było wielką czarną zmorą. Nie miał pretensji do Debbie. Wręcz zmusił ją, żeby wystąpiła o separację. Samotność była łatwiejsza.

Wyjął z kieszeni swoje pudełeczko na lekarstwa, otworzył je i wysypał na dłoń trzy białe, owalne tabletki. Trzymał je przez chwilę, a potem wrzucił do ust. Zanim przełknął, obracał je przez jakiś czas językiem, delektując się znajomym gorzkim smakiem. Następnie wbił klucz w zamek i mocno pchnął szerokie drzwi. Mieszkał z żoną w parterowym domu z płaskim dachem, wybudowanym w połowie ubiegłego wieku. Poprzedni właściciel wyremontował go gruntownie. Kupili ten dom, kiedy Debbie była w ciąży z Sarą. Archie ze swoją pensją w żaden sposób nie mógłby pozwolić sobie na coś takiego, ale jego żona właśnie dostała pracę jako projektantka u Nike'a, więc uznali, że mogą zaszaleć.

Pod ścianą ciemnego korytarza rozlewała się półkolista kałuża ciepłego światła; Debbie zostawiła włączoną lampkę. Archie zsunął zabłocone buty zaraz za drzwiami. Podeszedł do stolika, na którym stała lampka, i położył pod nią swoje klucze. Obok była fotografia w srebrnych ramkach: on, Debbie i dzieci. Wyglądał na szczęśliwego, ale nie mógł sobie

przypomnieć, kiedy i gdzie zrobiono to zdjęcie.

Poczuł, że żona stoi za nim, a chwilę później otoczyły go jej ramiona.

– Cześć – powiedział.

Przytuliła go, opierając policzek o jego plecy.

– Jak było? Bardzo źle?

– Bywało gorzej.

To krótkie zdanie zawisło pomiędzy nimi w ciężkiej ciszy. Wreszcie Archie obrócił się w ramionach Debbie i też ją objął. Jej krótkie brązowe włosy były w nieładzie; miała na sobie tylko czarną koszulkę bez rękawów i czerwone bawełniane figi. Jej ciało, silne i jędrne, elastycznie odpowiadało jego uściskowi. Znał je równie dobrze jak swoje własne.

– Jak dzieci? – zapytał.

Debbie pocałowała go delikatnie w szyję, tuż pod krawędzią szczęki.

– Już dawno śpią.

Archie położył dłoń na jej policzku, przyglądając się tej otwartej, pełnej dobroci twarzy, ozdobionej rzucikiem piegów, o mocno zarysowanych kościach policzkowych i długim, kształtnym nosie. Ale w tej samej chwili błysnęły mu przed oczami inne włosy – jasnoblond, w nozdrzach zakreślił zapach bzu i już była przy nim: Gretchen Lowell. Jak zawsze czaiła się na obrzeżach jego świadomości. Skrzywił się.

I natychmiast poczuł, jak Debbie tężeje na całym ciele.

– To ona? – usłyszał pytanie.

Odchrząknął, potrząsając głową, wyrzucając portret Gretchen z myśli. Cofnął dłoń z policzka Debbie; opadła bezwładnie do boku. Naszła go przemożna ochota, żeby sięgnąć do kieszeni po swoje pudełeczko i wziąć jeszcze jedną tabletkę, jeszcze tylko jedną, ale nie chciał tego robić na

oczach żony. Za bardzo to przeżywała.

– Trudno ci, kiedy się z nią nie widzisz? – zapytała Debbie. Czasami Archie zastanawiał się, ile dokładnie ona wie o jego relacji z Gretchen. Zdawała sobie sprawę, że tamta kobieta wciąż go prześladowa. Mogła mu nawet kiedyś powiedzieć, że ma obsesję na jej punkcie. Nie sądził jednak, żeby mogła się domyślić, jak daleko sprawy zaszły.

– Uzgodniliśmy, że nie będziemy o tym rozmawiać – powiedział Archie łagodnie.

Debbie odwróciła go do lustra wiszącego nad stolikiem z lampką.

– Patrz – powiedziała, wsuwając mu dłonie pod koszulę i unosząc ją wysoko, powyżej piersi. Archie z ociąganiem spojrział w lustro. Zobaczył siebie i swoją byłą żonę, przytuloną do jego boku, opartą skronią o jego ramię i przyglądającą mu się z błyskiem w ciemnych oczach. Jego własna twarz wyglądała jak zmięta kartka papieru. Do połowy krył ją cień, od połowy oświetlała lampka: długi nos i krzywe usta, gęste włosy i smutne oczy. Każdy z tych elementów był spuścizną krwi przodków: ciemnowłosych Irlandczyków, Chorwatów, Żydów. Chryste, jęknął w myślach Archie. Nawet mój genotyp to jedno wielkie pobojuwisko.

Debbie zsunęła dłoń niżej, na jego brzuch, przesuując palcami po długiej bliznie na wysokości przepony. Tędy usunięto mu śledzionę. To była największa i najgrubsza szrama w jego kolekcji, paskudna piętnastocentymetrowa krecha poprzecinana szczebelkami wypukłych, białych śladów po szwach, które pomimo upływu czasu wciąż nie chciały zejść. Ze wszystkich jego blizn ta miała najbardziej frankensteinowski sznyt. Zabliźniona tkanka była twarda, Archie ledwie czuł palce Debbie przemykające po skórze. Jej dłoń powędrowała wyżej, odnajdując

mniejsze szramy, rozrzucone po całej klatce piersiowej. Te były już cieńsze; zrobiono je mocno dociśniętym do skóry skalpelem, nie po to, żeby zadać ból, ale raczej dla rozrywki. Z wyglądu przypominały srebrne źdźbła trawy ułożone równiutko jedno obok drugiego albo kreski do zliczania punktów na jakiejś groteskowej tablicy wyników. Debbie powiodła palcami po lekko ściągniętym wybrzuszeniu pod ostatnim zębem z lewej strony klatki piersiowej. To była pamiątka po dźgnięciu skalpelem.

– Zawarliśmy z nią umowę – przypomniał Archie. – Ona dostaje dożywocie zamiast kary śmierci, a w zamian za to wskazuje nam, gdzie są ukryte zwłoki jej ofiar. I dotrzymała słowa. To ja sobie nie poradziłem. A ona nie będzie rozmawiać z nikim innym, Debbie. Pomyśl: zabiła równo dwieście osób. Pomyśl o ich rodzinach.

Tym spiczem Archie raczył się często przez ostatnie dwa lata, kiedy to tydzień w tydzień jeździł na spotkania z Gretchen Lowell. Próbował w ten sposób wmówić sobie, że wykonuje tylko i wyłącznie swoje obowiązki. Ale teraz te argumenty przestały go przekonywać. Ciekawe, pomyślał, czy Debbie w to wierzy.

– Sto dziewięćdziesiąt dziewięć – poprawiła go. – Jej dwusetną ofiarą byłeś ty. A ty żyjesz.

Położyła dłoń na kolejnej bliźnie, zaczynającej się poniżej lewej brodawki i kreślącej dwa łuki skryte wśród ciemnych włosów na piersi Archiego, aby na koniec powrócić do punktu wyjścia. Kształt serca. Wszystkim swoim ofiarom Gretchen Lowell wycinała serce na piersi. To był jej podpis. Żadna z tych osób już nie żyła; krwawe serca wycięte na skórze zatarł proces rozkładu oraz długie litanie tortur, którym poddano

ich ciała przed śmiercią. Kiedy Archie stał na czele zespołu śledczego tropiącego mordercę nazywanego Wirtuozem, napatrzył się na ich zwłoki, naoglądał fotografii z policyjnej kostnicy – i przez dziesięć lat musiał znosić nieustającą świadomość, że sprawca wciąż wyprzedza go o krok. Aż w końcu wpadł w pułapkę, którą Gretchen Lowell zastawiła na niego.

Gretchen przeniknęła do jego grupy śledczej i współpracowała z nią przez sześć tygodni. W końcu zdemaskowała się przed Archiem i uprowadziła go, podając narkotyk w kawie. On i jego podwładni myśleli o niej, że jest lekarzem psychiatrą i chce pomóc im w śledztwie, oferując swoją wiedzę zawodową. Teraz Archie często się zastanawiał, czy zaufałby jej równie szybko, gdyby nie była taka piękna.

Blizna w kształcie serca była bardzo czuła. Delikatną, bladą kreską rysowała się na skórze. Jego najpiękniejsza blizna. Przez długie miesiące nie mógł się przemóc, żeby chociaż na nią spojrzeć, ale w tej chwili była już pełnoprawną częścią jego ciała; nie różniła się dla niego zupełnie niczym od serca, które biło pod spodem. Kiedy musnęły ją palce Debbie, Archie poczuł elektryczny impuls rozchodzący się po całej sieci nerwowej.

– Nie rób tego. – Ujął żonę za nadgarstek. Przytuliła policzek do jego ramienia.

– Ona cię zabija – powiedziała. Materiał ubrania tłumił jej słowa. – Ciebie i nas. Nie możesz w końcu wybrać się do lekarza?

Archie odpowiedział niemalże szeptem:

– Kocham cię. – I to była szczerą prawdą. Kochał ją i dzieci ponad wszystko na świecie. Kochał ich bez reszty, a to jeszcze było za mało. – Ale nie mogę o niej zapomnieć.

Debbie spojrzała w jego oczy odbite w lustrze.

– Nie pozwolę jej wygrać – oświadczyła twardo.

Archie poczuł, że pęka mu serce. Nie, nie obawiał się o nią; nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo. Problem tkwił w czym innym: jej się wydawało, że zdoła mu pomóc. A tymczasem ta gra, ta chora, obłąkana gra miała tylko dwoje uczestników: jego i Gretchen. Wszystko musiało pozostać między nimi. Gretchen lekceważyła Debbie całkowicie, ponieważ wiedziała, że nie stanowi ona dla niej żadnego zagrożenia.

– To nie są żadne zawody – powiedział Archie, chociaż powinien ująć to inaczej: Gretchen wygrała już dawno.

Przez chwilę Debbie przyglądała mu się bez słowa, a potem, nie spiesząc się, z cudownym wdziękiem pocałowała go w policzek.

– Nie kładźmy się jeszcze – zaproponowała. – Pooglądajmy sobie telewizję albo coś w tym rodzaju.

Archie był jej wdzięczny, że zmieniła temat.

– Jak normalne małżeństwo – skinął głową. Uśmiechnęła się ciepło.

– Właśnie.

Pozory normalności. Archie umiał je stwarzać. Miał to opanowane do perfekcji.

– To ja będę mężem – powiedział, idąc za nią do dużego pokoju, a właśnie w tym momencie zadziałały połknięte tabletki i kodeina rozeszła się po jego ciele. To uczucie było zupełnie jak pocałunek: łagodne, ciepłe i niezwykle obiecujące.

Susan siedziała nago na podłodze, mając przed sobą wentylator obracający się to w lewo, to w prawo. Za każdym razem, kiedy owiewał ją ciepły strumień powietrza mielonego przez wirnik, dostawała gęziej skórki. Przed chwilą wzięła zimną kąpiel; jej równo obcięte turkusowe włosy leżały płasko na głowie, mokre i przylizane. Zmieniła kolor (przedtem był różowy) zaledwie dwa dni wcześniej i skóra wciąż ją szczypała, podrażniona utleniaczem. Ta dolegliwość, w połączeniu z trzydziestopięciostopniowym upałem panującym na piętrze ciasnego domu jej matki, czyniła sen nieosiągalnym luksusem. Kąpiel pomogła. Udało jej się pozbyć papierosowego smrodu z włosów, w przeciwieństwie do zapachu popcornu z masłem, który garściami jadł Parker.

Siedziała zapatrzona na leżący obok niej zamknięty biały laptop. Termin złożenia gotowego tekstu o Molly Palmer upływał następnego dnia. Skurwiel senator miał w końcu dostać za swoje.

Drzwi otworzyły się gwałtownie.

– Mamo! – krzyknęła Susan.

Bliss, jej matka, zatrzymała się w progu. Jej mina wyrażała kompletne zaskoczenie. Na czubku głowy sterczał węzeł długich, tlenionych dredów, a żylaste, wyćwiczone przez lata praktykowania jogi ciało okrywał roztrzepotany kaftan z bawełny. W dłoniach trzymała wiklinową tackę, na której stał dzbanek w stylu japońskim.

– Przyniosłam ci miętowej herbatki – wyjaśniła.

Susan przeczesowała mokre włosy palcami i podciągnęła kolana pod brodę, kryjąc się z nagością. Jej matka miała pięćdziesiąt lat i ciało

trzydziestolatki; ona, przy swoich dwudziestu ośmiu, wyglądała na piętnaście.

– Naucz się pukać, dobrze? Nie chcę herbaty. Jest ze czterdzieści stopni w cieniu.

– Zostawię ją tutaj – odparła Bliss, pochylając się i kładąc tacę na podłodze. Zerknęła z ukosa na Susan. – Jadłaś popcorn?

Susan wprowadziła się z powrotem do matki. Wszystkim zainteresowanym mówiła jednak inaczej; ten, kto chciał jej słuchać, słyszał, że Susan tylko „pomieszkuje” u matki. To było właściwe słowo – podkreślało tymczasowość takiego stanu rzeczy.

„Pomieszkiwała” w swoim starym pokoju.

Należał do niej dziesięć lat temu, ale gdy poszła na studia i wyprowadziła się z domu, Bliss przekształciła go w gabinet do medytacji, kiedy tylko za Susan zamknęły się drzwi. Przemalowała ściany na kolor mandarynkowy, powiesiła w oknach indyjskie zasłony ze srebrnymi paciorkami, a na podłodze rozłożyła japońskie maty *tatami*. W pokoju nie było ani jednego mebla, nie mówiąc już o łóżku, niemniej jednak Bliss popisała się zapobiegliwością i zawiesiła tam hamak – na wypadek gdyby zaistniała potrzeba przenocowania jakichś gości. Kiedy Susan napomknęła, że można by kupić, dajmy na to, dmuchany materac albo futon, Bliss udzieliła jej wykładu, jak to ćwierć świata śpi w hamakach, a ten konkretny egzemplarz to jest oryginalny hamak z Jukatenu, o potrójnym splocie, a nie jakiś pojedynczo pleciony szajs, co ludzie wieszają za domem. Susan wiedziała dobrze, że nie ma sensu spierać się z Bliss, ale już pierwszej nocy nabawiła się w tym cholerstwie takiego bólu

w łopacie, że nie mogła się przewrócić z boku na bok, żeby zaraz nie dał znać o sobie; nie pomógł nawet zachwalany potrójny splot.

W pokoju wisiał zastały, słodkawy zapach wypalonych chińskich kadzidełek. Upał jeszcze pogarszał sprawę; nawet przy otwartych oknach powietrze na piętrze tego ciasnego wiktoriańskiego domu przytłaczało, było jak za ciasne ubranie. Hamak miał przynajmniej tę zaletę, że był przewiewny.

Susan powtarzała sobie, że wynajmie jakieś mieszkanie, kiedy tylko skończy artykuł o senatorze i Molly Palmer. Chwilowo praca miała z konieczności pierwszeństwo. Nie można było tracić czasu na przeglądanie ogłoszeń o mieszkaniach do wynajęcia ani na objeżdżanie tychże. Artykuł był najważniejszy.

Podeszła do leżącego na podłodze laptopa, usiadła przy nim i otworzyła go. Na bladoniebieskim monitorze zajaśniał bielą dokument z artykułem. Zamigotał kursor. Susan zaczęła pisać.

Wolałaby umrzeć, niż przyznać się przed kimkolwiek do prawdy. A prawda wyglądała tak: Susan bała się być sama. Wciąż miewała chwile, kiedy na nowo czuła pasek zaciśnięty na szyi. Wciąż miewała sny o Dusicielu po Lekcjach.

Dodała do drugiego akapitu artykułu informację o tym, że senator Scheer odmówił komentarza. Uśmiechnęła się pod nosem, przypominając sobie, że jeszcze tak niedawno jej praca polegała na pisaniu życiorysów nikomu nieznanym ludzi i reportaży z rybackich festynów albo turniejów drwali.

Wiele się zmieniło w ciągu ostatnich dziewięciu tygodni, odkąd Susan zaczęła tworzyć serię artykułów portretujących sylwetkę detektywa

Archiego Sheridana, który prowadził właśnie śledztwo w sprawie nieuchwytnego Dusiciela. Ona sama również nie była już taka jak dawniej.

Od blisko dwóch miesięcy z dziesięć razy nachodziła ją ochota, żeby zadzwonić do Archiego. Ale nigdy tego nie zrobiła. Nie było żadnego powodu. Seria o nim poszła w „Heraldzie”. Kiedy ukazał się ostatni artykuł, Susan dostała od swojego bohatera krótki, miły list z gratulacjami i najlepszymi życzeniami. Nie doczekała się natomiast zaproszenia na kawę ani żadnej propozycji w stylu: „pozostańmy w kontakcie”. Detektyw Sheridan, uznała, miał ważniejsze sprawy na głowie.

Tak zresztą było najlepiej. Nowa życiowa zasada Susan Ward brzmiała: nie zakochiwać się w starszych, zajętych facetach. Bo Archie był i starszy od niej o dwanaście lat, i wciąż kochał swoją byłą żonę. Idealnie w typie Susan – a więc absolutnie nie dla niej. Poza tym miała przecież co robić.

Skupiła się z powrotem na monitorze swojego komputera.

W chwili obecnej pierwszoplanową sprawą było zdemaskowanie senatora Scheera. Należało pokazać wszystkim, jaki z niego drań i dureń. Cała redakcja rzucała Susan kłody pod nogi, zbywając ją i jej temat, który miał być niczym więcej jak tylko dawną, nieaktualną plotką. Tak było, dopóki Susan nie dotarła do Molly Palmer. O tak zwanym romansie Scheera mówiło się od lat, a kilku dziennikarzy próbowało nawet odszukać senatorską faworytę. Molly nigdy nie zgodziła się na żaden wywiad. Z Susan Ward coś ją jednak łączyło. Obie jako nastolatki przeżyły paskudne przygody i od tego czasu były bardzo nierozsądne, jeśli chodzi o facetów.

U Susan ten brak rozsądku doprowadził do tego, że miała za sobą parę kiepskich związków, doświadczenia z narkotykami (o ile uzna się

marihuanę za narkotyk; w Portland nikt tak nie myślał) oraz uprawiała dziennikarstwo z wątkami autobiograficznymi, co stanowi najpodlejszy rodzaj ekshibicjonizmu. Molly wylądowała gorzej, i to pod każdym względem.

Niewykluczone, pomyślała Susan, że wyciągniemy się nawzajem z tego bagna.

A przynajmniej zaczniemy być odrobinę bardziej oryginalne w naszym braku rozsądku.

Wzięła z tacki kubek herbaty, który przyniosła jej matka, i podniosła go do ust. Nic z tego. Wciąż za gorące.

Wczesnym rankiem obudził ją dzwonek telefonu wiszącego na ścianie w kuchni. Jej matka miała wciąż ten sam telefon, który Susan pamiętała z dzieciństwa: czerwony, z obrotową tarczą i tak poplątanym kablem, że słuchawka dawała się podnieść najwyżej na kilkanaście centymetrów. Bliss lubiła go za głośny dzwonek, który mogła słyszeć nawet za domem, kiedy przerzucała kompost albo doiła kozę. Susan nigdy nie potrafiła zrozumieć, dlaczego jej matce zależy na tym, żeby słyszeć telefon, skoro praktycznie nigdy go nie odbiera; tego dnia zdziwiła się więc, kiedy aparat umilkł już po kilku dzwonekach.

Przekręciła się na drugi bok. Był to skomplikowany manewr, który rozbijał niebezpiecznie cały hamak. Po kilku minutach usnęła z powrotem, utulona kołysaniem.

Nie wiedziała dokładnie, ile czasu minęło, ale nagle poczuła, że stoi nad nią Bliss. Zwinęła się w kłębek, usiłując nakryć głowę kocem. Zza okna dobiegał warkot silnika śmieciarki, więc musiała być mniej więcej

siódma rano. Butelki i słoiki posypały się na grube, metalowe dno platformy; hałas był okropny, wręcz brutalny: jakby ktoś roztrzaskał w drobny mak samochodową szybę. Susan nigdy w życiu nie nauczyła się tolerować tego dźwięku.

– Pukamy do drzwi – upomniała matkę. – Pamiętasz?

Bliss delikatnie położyła jej dłoń na ramieniu. Hamak zakołysał się powoli. Ten dotyk był zupełnie niecodzienny, zbyt konkretny i precyzyjny. Susan nagle zrozumiała, że stało się coś złego. Uniosła się na łokciach, wbijając palce w oka hamaka, żeby mieć się czego przytrzymać. Zobaczyła nad sobą ściągniętą twarz Bliss i już wiedziała: ktoś umarł.

Serce załomotało jej w piersi. Kto? Na myśl przyszedł jej kolega z działu wiadomości lokalnych, z którym przed dwoma miesiącami umówiła się kilka razy na randkę.

– Derek? – zapytała.

Bliss wygładziła pasemko włosów na jej skroni.

– Parker, kochanie – powiedziała. – I senator Scheer. Jechali razem samochodem. Spadli rano z mostu Fremont.

Susan wygramoliła się z hamaka i skuliła na japońskiej macie rozłożonej pod nim.

– Co takiego?

Matka przysiadła przed nią na piętach. Twarz miała smutną.

– Zginęli obaj, kotku.

– Co? – powtórzyła Susan, niemalże szeptem.

– Ian dzwonił z redakcji – powiedziała Bliss łagodnie. – Parker i senator Scheer nie żyją.

Parker. Susan skuliła się w sobie. W jednej chwili miała znów

czternaście lat, siedziała w szpitalnym pokoju obok łóżka, na którym leżał jej ojciec, i była bezradna, samotna i wściekła. Odepchnęła od siebie bezradność i samotność, rzucając się na pastwę czystej furii.

– Ten skurwysyn zginął? – zawarczała. – Pieprzony senator odwalił kite, zanim poszedł mój artykuł? Dwa miesiące nad tym siedziałam. – Jej policzki zapłonęły rumieńcem, a w piersiach zaczęło kłuć. Tylko nie Parker, powtarzała w duchu. Błagam, tylko nie Parker. – Dwa bite miesiące – powtórzyła.

Bliss czekała w milczeniu, siedząc bez ruchu na macie.

Susan prychnęła i usmarkała się potężnie.

– Parker nie żyje? – zapytała cichutkim głosem. Jej matka skinęła głową.

To nie ma sensu, pomyślała Susan. Parker w samochodzie razem z senatorem? Co on tam robił? To jakaś pomyłka. Uniosła wzrok, patrząc na Bliss.

To nie była pomyłka.

Jej twarz ściągnęła się boleśnie.

– Cholera – zaklęła, zaciskając z całej siły powieki. Nie otwierała oczu przez minutę, próbując zapanować nad gorącymi łzami, które wezbrały wielką falą. Wreszcie wstała i zaczęła grzebać w kartonowym pudle z ciuchami, postawionym na podłodze w kącie.

– Co robisz? – zainteresowała się Bliss.

Susan znalazła długą sukienkę z czarnej bawełny i wcisnęła się w nią, kręcąc ramionami i biodrami.

– Jadę tam.

– Do gazety?

– Nie, na most. Dowiem się, jak to wszystko było. – Wygrzebała z torebki komórkę i zaczęła wystukiwać numer.

Bliss wstała. Strumień powietrza z wentylatora wydał poły jej długiego kaftana.

– Do kogo dzwonisz?

Susan przycisnęła telefon do ucha, ocierając wierzchem dłoni łzę z policzka.

– Do Archiego Sheridana – odparła.

Wzięła w palce turkusowy kosmyk swoich włosów, zbliżyła go do nosa. Zapach popcornu zniknął, ulotnił się.

Archie stał na moście Fremont, najmłodszym z dziesięciu mostów w Portland. Wybudowany w latach siedemdziesiątych, miał dwa poziomy, po których, wysoko ponad nurtem rzeki Willamette, biegły czteropasmowe jezdnie, łącząc wschodnią i zachodnią część miasta. Choć większość mieszkańców miała swój ulubiony most – na przykład Hawthorne, Steel Bridge albo St. Johns – to jednak mało kto wybrałby Fremont. Jego konstrukcja była mało elegancka, ściśle użytkowa, a szary beton pokrywały płyty bladoniebieskiej farby, obłazącej jak skóra oparzona słońcem. Mimo to Archie zawsze lubił ten most. Jadąc na zachodni brzeg rzeki, miało się stąd najlepszy widok: wzrok biegł swobodnie, niczym nieograniczony, we wszystkich kierunkach, a za szybą samochodu, przyprószona różowym blaskiem zachodzącego słońca, roztaczała się roziskrzona panorama śródmieścia, falowały zielone wzgórza zachodniego Portland, szumiał Forest Park, Willamette toczyła leniwe wody na północ. Miasto Portland umiało być tak przepiękne, że aż zapierało dech w piersiach; Archie nieraz miał okazję się o tym przekonać.

– Paskudne, co? – usłyszał za sobą czyjś głos.

Obejrzał się. Za nim stał Raul Sanchez, krępy facet o starannie przystrzyżonej, siwiejącej brodzie, mocnych rękach i twarzy jakby wystruganej z drewna wyrzuconego przez morze na brzeg. Sanchez był ubrany w granatową czapkę z dużym białym napisem FBI, oraz wiatrówkę z mniejszym nadrukiem tej samej treści na piersi i jeszcze jednym, największym ze wszystkich trzech, na plecach.

– Przepraszam – zagaił Archie – pan z FBI? Sanchez uśmiechnął się

szeroko.

– Mamy się wyróżniać – powiedział, delikatnie barwiąc spółgłoski meksykańskim akcentem – żeby obywatele nas nie mylili z tymi palantami z CIA.

Przystanął obok Archiego. Za ich plecami, na zamkniętym moście, tłoczyły się, jak na olbrzymim parkingu, dziesiątki pojazdów służb ratowniczych i porządkowych, migając światłami w kolorach czerwonym, białym, niebieskim i pomarańczowym.

– Popatrz. – Sanchez wskazał uniesioną brodą czerwone światła sygnalizacyjne, mrugające na wieżach nadawczych telefonii komórkowej, które niczym świece na urodzinowym torcie sterczały na szczytach zachodnich wzgórz. Potem przesunął wzrokiem po wysokich dźwigach, znaku rozpoznawczym panującej obecnie dobrej koniunktury w budownictwie mieszkaniowym i usługowym. – Za dziesięć lat będzie tutaj jak w Los Angeles. – Posłał Archiemu szelmowski uśmiezek. – Kalifornijczycy masowo szturmują nasze granice. A wiesz, jakie to lenie. Nawet trawników nie chce im się kosić.

– Słyszałem – przytaknął Archie.

Sanchez wbił ręce w kieszenie i zakołysał się na piętach, spoglądając na czubki swoich kowbojskich butów.

– Dawno już żaden samochód nie spadł nam z mostu – zauważył. Barwne światła alarmowych kogutów rozlewały się tęczowo na cementowej nawierzchni. Można było pomyśleć, że agent FBI stoi na dyskotekowym parkiecie.

– Dwa wypadki w ciągu ostatnich dziesięciu lat – uściślił Archie. – Na mostach Marquam i Morrisom. Samobójstwo i pechowy poślizg na mokrej

jezdni.

Sanchez uniósł głowę, wodząc wzrokiem po czystym porannym niebie.

– Tym razem poślizg możemy raczej wykluczyć – mruknął.

Archie za jego przykładem spojrział w górę. Nad mostem, podobna do stada kruków krążących nad zwierzęciem zdychającym w lesie, wisiała gromada dziennikarskich helikopterów.

– Możemy – zgodził się. Wiedział dobrze, o czym myśli Sanchez. Zjechać samochodem z mostu nie jest wcale tak łatwo. To trudniejsza sztuka, niż się wydaje. Trzeba obejść zabezpieczenia, specjalnie obmyślane i przygotowane przez budowniczych: metrowej wysokości betonowy murek oraz ogrodzenie ze stalowej siatki. Trzeba mieć wielkiego pecha. Albo bardzo się starać.

Podeszła do nich Claire Masland, tego dnia ubrana w dżinsy, koszulkę z nadrukiem przedstawiającym buldoga i wędkarski kapelusz kryjący jej krótkie włosy.

– Przyjechała Susan Ward – poinformowała Archiego. – Mówi, że dzwoniła do ciebie.

Archie odwrócił się i spojrział, mrużąc oczy, w stronę wschodniego zjazdu z mostu, gdzie kłębił się wciąż rosnący tłum dziennikarzy, trzymany w ryzach za pomocą żółtej taśmy oraz pilnowany przez kordon policjantów na motorach.

– Wyciągnęli ten wóz z rzeki? – zapytał podwładną.

– Już niedługo – odparła. – Na dnie leży kupa śmieci. Nurkowie muszą go najpierw z niej wygrzebać.

– Ach, nasza Willamette. Czysta jak łza – uśmiechnął się Sanchez.

Zoo. Tak myślała Susan o tym, co czekało na nią po wyjściu z samochodu. Jeszcze nigdy dotąd nie widziała niczego podobnego, z wyjątkiem może wielkiego wiejskiego jarmarku w okolicy miasta Eugene, na który zjeżdżali się ludzie z całego Oregonu. Jarmark ten zajmował dobrze ponad sto hektarów powierzchni, a wszędzie stały budki z falafelami, szwendali się hipisi, a tancerze ognia pokazywali swoje sztuki. Twardo zbity tłum przy wjeździe na most Fremont składał się, co prawda, z policjantów, dziennikarzy i gapiów, ale na wszystkich twarzach znać było to samo podniecenie. Jakby każdy uważał, że znalazł się nagle w jakimś niezwykłym miejscu.

Susan zaparkowała wóz w odległości siedmiu przecznic od Kerby Street, na którą prowadził zjazd z mostu. Wysiadła i dalej szła pieszo, zawiesiwszy sobie na szyi identyfikator prasowy z „Heralda”. Po drodze udało jej się przegadać policjantów na trzech posterunkach kontrolnych i wyjaśnić, że powinni ją przepuścić. Kiedy wreszcie dotarła na miejsce, poczuła się nieswojo i nieprzyjemnie; tak to bywa, kiedy idzie się na piechotę przez most. W odróżnieniu od innych mostów w Portland, Fremont był zamknięty dla pieszych; wpuszczano ich tam tylko raz do roku, z okazji imprezy rowerowej zwanej Bridge Pedal. Brało w niej udział kilka tysięcy mieszkańców miasta, a główną atrakcją był właśnie przejazd przez most Fremont. Susan, która regularnie zapominała o tym dniu, dając się złapać w monstrualne korki, teraz zrozumiała, czym to miejsce działa na ludzi. Znaleźć się w takim punkcie, tak wysoko ponad miastem – to miało w sobie coś nierzeczywistego. Ale w tej samej chwili uświadomiła sobie, jak długo samochód senatora Scheera musiał spadać stąd do rzeki, i jej dłonie zacisnęły się w pięści. Parker zginął, więc teraz

to ona musiała zrobić to, co należało. Coś, co było wbrew wszystkim dziennikarskim instynktom, jakie tylko miała: narazić wyłączność swojego artykułu.

Musiała powiedzieć Arehiemu Sheridanowi wszystko, co wiedziała.

Przepchnęła się łokciami przez stłoczone ekipy kamerowe, polujące na odpowiednio spektakularne ujęcie malowniczej floty pojazdów służb bezpieczeństwa – było to wymarzone tło dla sprawozdawcy przy wejściu na antenę. Kiedy już zostawiła ich za sobą, zauważyła ją Claire Masland, która obiecała, że znajdzie dla niej Archiego. Tłum mundurowych był jednak tak gęsty, że Claire momentalnie zginęła Susan z oczu. Czekając na jej powrót, dziennikarka obserwowała policjantów i podsłuchiwała, co mówią inni reporterzy, zbierając informacje, jak najwięcej informacji. Niewiele dało się wychwycić. Wszędzie panował harmider, sto rzeczy działo się naraz. Lecz nagle uderzył ją pewien szczegół: na jezdni nie było śladów hamowania. Gdyby były, to na pewno by je zabezpieczono przed tą masą ludzi i samochodów. Pracowałyby nad nimi cała ekipa techników kryminalnych. A więc śladów nie było. Wóz senatora nie hamował.

W tym momencie Susan dostrzegła Archiego. Wyprostowała się odruchowo. Detektyw wyszedł zza policyjnej furgonetki. Ręce trzymał w kieszeniach sportowej marynarki i garbił się, bo poranek był nieco chłodny. Włosy miał gęste, brązowe, ale kiedy się zbliżył, Susan zauważyła kilka pasemek siwizny, których nie było dwa miesiące wcześniej, kiedy widziała go po raz ostatni.

– Bardzo mi przykro – powiedział Archie, podchodząc do niej. – Wiem, że Parker był ci bliski.

Susan przełknęła falę łez.

– Co się tutaj stało? – zapytała.

W odpowiedzi Archie uniósł taśmę policyjną, a dziennikarka prześlizgnęła się pod spodem.

– Do wypadku doszło około piątej nad ranem – zaczął. – Samochód jechał szybko, skręcił gwałtownie i spadł do rzeki. – Wskazał wielką dziurę wybitą w murku zabezpieczającym; pręty zbrojeniowe sterczały z pokruszonego betonu jak kości przy otwartym złamaniu. Ogrodzenie ze stalowej siatki było rozerwane na długości trzech metrów, zwisając niebezpiecznie poza krawędzią mostu. – Dwóch kierowców zatrzymało się i wezwało ekipę ratownictwa rzecznego, która zjawiała się na miejscu w siedem minut.

Przystanęli na skraju mostu, spoglądając w dół. Na fałach rzeki kołysały się łódź policyjna i motorówki ratowników. W miejscu, gdzie samochód poszedł na dno, woda mieniła się tęczowo plamą rozlanej benzyny.

– Ale obaj już nie żyli – podjął Archie. – Senator Scheer i Parker. Godzinę temu wydobyto ich zwłoki. – Odwrócił się i spojrzał na dziennikarkę, unosząc jedną brew. – To był samochód Parkera, Susan. Wiesz może, w jakim celu dziennikarz kryminalny z „Heralda” bladym świtem woził po mieście tak zasłużonego stażem członka senatu stanu Oregon?

Susan poczuła bolesny skurcz żołądka. Dlaczego Parker nie powiedział jej, że zamierza spotkać się z Scheerem? A potem przypomniała sobie, że nie było śladów hamowania. Chryste.

– Susan? – W głosie Archiego zabrzmiała lekka nuta ostrzeżenia. – Jeśli coś wiesz, musisz mi teraz powiedzieć.

Powiodła wzrokiem dookoła; policjanci i dziennikarze w dalszym ciągu tłoczyli się i krzatali, ale nikt nie sprawiał wrażenia, jakby naprawdę pracował.

– Na osobności – poprosiła Archiego.

Detektyw zrobił zdziwioną minę, ale ruszył z miejsca, pokazując jej gestem, żeby poszła za nim. Minęli dwa radiowozy i dwie policyjne furgonetki, a Archie zatrzymał się obok ciemnogrnatowego forda crown victoria. Za kierownicą siedział jego partner, Henry Sobol, gryzmołąc coś w notatniku. Archie pochylił się nad otwartym oknem.

– Potrzebny mi samochód – powiedział.

Henry uniósł głowę i uśmiechnął się na widok Susan.

– Witam, pani Ward – powiedział. – Zauważam nowy kolor fryzury.

– Atomowy turkus – poinformowała go. – Zastanawiałam się nad farbą o nazwie „Zaklęty las”, ale nie chciałam wyglądać jak jakaś punkowa.

– Słusznie – zgodził się Henry, wysiadając z samochodu. Zatknął kciuk za olbrzymią klamrę swojego paska, srebrną i wysadzaną turkusami. – Turkus to kolor zawodowców.

Nie zapytał, po co im samochód.

Archie otworzył tylne drzwi. Susan wślizgnęła się na nagrzane siedzenie, pokryte granatowym tworzywem sztucznym, a on wsiadł za nią i zamknął drzwi.

– Jak umarł? Utonął? – zapytała.

– Wszystko na to wskazuje – przyznał Archie cichym, łagodnym głosem. – Samochód miał elektryczne zamki i poszedł na dno bardzo szybko. Nie dali rady się wydostać.

Susan mocno skrzyła w palcach kosmyk swoich zielononiebieskich

włosów.

– Chcę, żeby to, co ci teraz powiem, pozostało między nami. Archie przez chwilę mierzył ją wzrokiem.

– Nie mogę ci tego obiecać – powiedział wreszcie. – Nie prowadzę tej sprawy. Śledztwem kieruje FBI, i to nie lokalni agenci. Jeśli uznam, że to, co mi powiesz, jest istotne dla sprawy, to będę musiał przekazać to dalej.

Kiedy skończył, Susan wyrecytowała jednym tchem:

– Senator Scheer miał romans z opiekunką swoich dzieci. To było dziesięć lat temu. Dziewczyna miała wtedy czternaście lat, a on potem mataczył, jak mógł, żeby wszystko zatuszować.

– Czternaście? – powtórzył Archie. – Myślałem, że była starsza. Susan osłupiała.

– Wiesz o Molly Palmer? Wzruszył ramionami.

– Nie znałem nazwiska, ale krążyły plotki.

Susan też je знаła. Krążyły od lat, ale nikt im nie wierzył albo nie chciał uwierzyć, bo nie ukazały się w żadnej gazecie. Zaskoczyło ją jednak to, że dotarły aż na policję.

– I nigdy nie było żadnego śledztwa w tej sprawie? – zapytała.

– Zawsze mnie zapewniano, że nie ma w tym za grosz prawdy – wyjaśnił Archie.

Susan zsunęła sandały ze stóp i podwinęła nogi pod siebie, starannie okrywając je sukienką.

– A tymczasem było, i to całkiem sporo. Zebrałam całą górę dowodów. Dotarłam nawet do Molly Palmer. Opłacali jej milczenie. Płacili nastolatce, żeby siedziała cicho. – Pociągnęła za pasek, na którym wisiał jej prasowy identyfikator. – Na dniach miał się ukazać artykuł o tym.

Parker i ja spotkaliśmy się wczoraj z adwokatem Scheera, na wypadek gdyby chciał udzielić komentarza. Nie chciał.

– Uważasz, że Parker umówił się potem na kolejne spotkanie, z samym senatorem? – zapytał Archie.

– Nie wiem – przyznała szczerze. – Możliwe, że tak. Może senator postanowił jednak wygłosić jakiś komentarz. Ale tak czy inaczej: to, że jechali razem, musi mieć jakiś związek ze sprawą Molly Palmer.

Archie przez chwilę milczał, kiwając w zamyśleniu głową. Wreszcie przypomniał sobie o Susan.

– Dziękuję ci – powiedział. – To cenne informacje. Susan poczuła, że jej twarz oblewa się rumieńcem.

– Proszę bardzo.

Nagle w szybę zastukał Henry, a ona o mało nie wyskoczyła ze skóry. Sobol pomachał jej zdawkowo dłonią i przeniósłszy wzrok na swojego partnera, wskazał palcem zegarek. Archie nieznacznie, prawie niezauważalnie, skinął głową. Susan zerknęła na swój własny czasomierz. Dochodziła ósma trzydzieści.

– Jedziesz do Salem? – zapytała, przypominając sobie, jak raz wybrała się z Sheridanem na jego cotygodniowe spotkanie z Gretchen Lowell. Wciąż nie mogła o tym zapomnieć.

Archie potarł dłonią kark i skrzywił się, jakby chwycił go nagły ból.

– Już tam nie jeżdżę – odparł.

– Serio? – zdziwiła się.

Jego twarz nie zdradzała żadnych emocji.

– Postanowiliśmy od siebie odpocząć – wyjaśnił, mając całkowitą świadomość, że tak się mówi, kiedy dwoje ludzi decyduje się na próbną

separację, ale raczej nie w wypadku długotrwałego śledztwa w sprawie wielokrotnych morderstw. Odpoczywamy od siebie. Poznajemy nowych ludzi. Rozważamy swoje możliwości.

Gretchen Lowell. Wirtuoz. Królowa Zła. Susan spotkała ją tylko raz. Blond włosy. Alabastrowa cera. Twarzą w twarz była jeszcze piękniejsza niż na wszystkich drukowanych zdjęciach.

Kiedy policja odnalazła pierwszą ofiarę Wirtuoza, Susan miała szesnaście lat. Na myśl o Gretchen Lowell czuła się znów jak nastolatka.

W gazetach prawie codziennie ukazywały się wtedy artykuły na temat postępów w śledztwie. Większość z nich była pióra Jeffersona Parkera. W ten sposób Susan poznała Archiego Sheridana – na początku był dla niej postacią z gazetowej fotografii. Stał na podium z mikrofonami, odpowiadając dziennikarzom na konferencji prasowej, albo pochylał się nad kolejnymi zwłokami.

– Nie widziałem się z nią – podjął detektyw – od czasu sprawy Dusiciela po Lekcjach.

Susan zadrżała mimowolnie; jej ramiona obsypały się gęsią skórką. Szybko zmieniła temat:

– Podobno wróciłeś do rodziny.

Archie uśmiechnął się, strzepując niewidoczny pyłek z nogawki spodni.

– Pracujemy nad tym. – Jego głos momentalnie złagodniał.

– To dobrze. – Uśmiechnęła się do niego. – Bardzo dobrze. Zapadła niezręczna, krępująca cisza. Ściśle rzecz biorąc, to Susan czuła się nią skrupowana; Archiemu najwyraźniej to nie przeszkadzało. Ona nie lubiła milczeć, bo zawsze się bała, że znienacka palnie coś, czego będzie później żałować. Albo że się rozplacze. I tym razem obawy okazały się słuszne.

– Boże... – jęknęła, ocierając łzę z policzka i przyglądając się jej z przerażeniem, jakby to była krew.

Archie położył dłoń na jej dłoni. Nie powiedział ani słowa; czekał cierpliwie, a ona szlochała.

– Boję się, czasami, kiedy jestem sama – chlipnęła przez łzy, grzebiąc w torebce. Znalazła jakąś starą chusteczkę i wydmuchała nos. – Żałosne, co?

Archie uścisnął jej dłoń. Emanował niezmaconym spokojem.

– Ani trochę – odpowiedział cicho.

Susan zamknęła oczy. Czasami żałowała, że nie może cofnąć się w czasie, o trzy miesiące, zanim zetknęła ich seria morderstw i śledztwo. A potem przypomniawszy sobie piekło, przez które przeszedł Archie Sheridan, i zrobiło jej się strasznie głupio.

– Przepraszam – westchnęła. – Myślałam o Parkerze, a rozczuliłam się nad sobą.

– Nie wstydz się strachu, Susan – powiedział Archie. – To minie. A ty wcale nie jesteś żalosna.

Uśmiechnęła się do niego, kiwając potakująco głową. Zawsze mówił do niej „Susan”. Nie „Sue”, nie „Suzy” i nie „Suze”, nigdy. Lubiła go za to.

– Naprawdę uważasz, że atomowy turkus może być? – zapytała.

Nie mogła nie zauważyć, jak przygląda się jej fryzurze i jak starannie szuka właściwych słów.

– Podoba mi się, że masz odwagę nosić taki kolor – odparł. Susan otarła wierzchem dłoni policzki i nos, sięgnęła do klamki. Archie zatrzymał ją, kładąc dłoń na jej ramieniu.

– Niewykluczone, że będę jeszcze potrzebował twojej pomocy –

powiedział. – Mam zwłoki, które muszę zidentyfikować. Możliwe, że poproszę cię o przysługę. O nagłośnienie sprawy. Boję się, żeby nie przepadła.

– Dziewczyna z parku? – domyśliła się Susan.

– Owszem. – Archie uniósł brew, zaskoczony.

– Daj znać, co ci będzie potrzebne – skinęła głową. – Zrobię, co będę mogła.

Po wyjściu z samochodu zastanawiała się przez chwilę nad tą prośbą o nagłośnienie najnowszego morderstwa. Przyszło jej do głowy, że Sheridan może próbować się nią posłużyć, zmanipulować. Szybko jednak odepchnęła od siebie tę myśl. Archie nie był aż tak wyrachowany.

Archie patrzył, jak Henry wciska swoją potężną sylwetkę za kierownicę i przekręca kluczyk w stacyjce.

– Załatwiłeś, żeby napisała o tej dziewczynie z parku? – zapytał jego partner, zerkając w lusterko, gdzie odbijała się Susan idąca w kierunku tłumu dziennikarzy stłoczonego za policyjną taśmą.

– Załatwiłem – przytaknął Archie. Łatwo poszło, dodał w myślach. Sumienie trochę go gryzło z tego powodu, ale współczucie dla nieznanej i nierozpoznanej ofiary wzięło górę. Taki już miał charakter: Debbie zawsze mu zarzucała, że czuł się mocniej związany z umarłymi niż z żywymi.

Przeciągnął pas bezpieczeństwa przez pierś, zapiał klamrę.

– O nic nie pytała? – zdziwił się Henry. – Zgodziła się i już? – Obrócił się na siedzeniu, znów odprowadzając wzrokiem Susan, którą trudno było przeoczyć: turkusowe włosy bezbłędnie wyróżniały ją z tłumu. Wyglądała jak chodząca zapalka. – Co ty jej zrobiłeś? Zahipnotyzowałeś?

W samochodzie było gorąco. Archie sięgnął do włącznika klimatyzacji.

– Słyszałeś może kiedyś, że senator Scheer obracał opiekunkę swoich dzieci?

– Coś tam mi się obilo o uszy – przyznał Henry – ale nie wiedziałem, że to była opiekunka.

Archie skrzywił się boleśnie. Klimatyzator zacharczał i zaczął pracować, do wtóru grzechotania jakiejś grudki stwardniałego brudu, która utkwiała za kratką wentylacyjną.

– Chciałeś kiedyś powęszyć w tej sprawie? – zapytał Sheridan, uderzając nasadą dłoni w deskę rozdzielczą w pobliżu dyszy

klimatyzatora. Grzechotanie ustało.

– Wydawało mi się, że miała szesnaście lat. – Henry włączył koguta umocowanego na masce, po czym wykręcił się całym ciałem, zakładając rękę za zagłówek siedzenia Archiego, i zaczął cofać samochód.

Ten wiek stanowił górną granicę przy oskarżeniu o uwiedzenie osoby nieletniej. Powyżej szesnastego roku życia można było wyrazić świadomą zgodę na seks. Poniżej – nie. Był to jeden z tych przepisów, których interpretacja w bardzo dużej mierze zależy od okoliczności.

– Czternaście – poprawił Archie. W tej sytuacji okoliczności trudno było uznać za łagodzące. – A Scheer miał wtedy pięćdziesiąt dwa. Susan powiedziała mi, że „Herald” wie wszystko na ten temat – dodał. – Przeprowadzili wywiad z tą kobietą.

– To już nie jest przestępstwo – oznajmił Henry, wciąż odwrócony do tyłu. Cofał samochód z bezbłędną wprawą, jak przystało na faceta, który zrobił prawo jazdy w siedemnastu stanach. Zanim został policjantem, Henry Sobol przenosił się co roku w inne miejsce. Żeby zobaczyć trochę świata, jak wyznał kiedyś Archiemu po pijaku. Sheridan nigdy w życiu nie mieszkał poza Oregonem, ale, z drugiej strony, miał też tylko jedną ekszönę. Jego przyjaciel rozwodził się pięć razy.

– Wtedy okres przedawnienia wynosił trzy lata – ciągnął dalej Henry. – W zależności od urody ofiary można go było przedłużyć do sześciu. – Znudzony policjant z drogówki uniósł taśmę policyjną, żeby mogli wyjechać. – Teraz wszystkie takie sprawy przedawniają się po sześciu latach, licząc od dnia, kiedy nieletni poskarży się komuś, albo od daty jego osiemnastych urodzin. Co pierwsze, to lepsze.

Na desce rozdzielczej stał stalowy kubek samochodowy, który zaczął

się zsuwać, kiedy Henry dodał gazu. Archie zdjął go i pociągnął łyk letniej kawy, przypominając sobie, że Scheer był z zawodu prawnikiem. Dzień, w którym upłynęły trzy lata od zajścia, oblewał zapewne szampanem.

– Wychodzi na to, że senator nie bał się prawa – zauważył. W klimatyzatorze znów coś zaczęło grzechotać, więc jeszcze raz walnął nasadą dłoni w deskę rozdzielczą. Grzechotanie ustało.

– Raczej nie – zaśmiał się kpiąco Henry. – Kiedy pracowałem w Waszyngtonie, w Dystrykcie Kolumbii, mówiło się, że w życiu publicznym najgorsze są trzy rzeczy: kompromitacja, rozwód i zakaz wykonywania zawodu. Bo to oznacza złą prasę, której te skurwysyny boją się najbardziej.

– „Skurwysyny”, czyli politycy? – zapytał Archie, sącząc kolejny łyk letniej kawy.

– Aha.

– A co ty właściwie robiłeś w Waszyngtonie? – zainteresował się Sheridan.

– Pracowałem dla skurwysyna – padła odpowiedź. – Nawet goliłem sobie baki. Aż któregoś dnia wpadły mi w ręce faktury z remontów mieszkań kwaterunkowych. Dziesięć tysięcy dolców za jeden pisuar. – Potrząsnął powoli głową na to wspomnienie. – To było po tym, jak przestałem uczyć w szkole średniej w podupadłej części śródmieścia. Kiedy rzuciłem tę robotę, zostałem pilotem na Alasce.

– A kiedy była ta podróż motocyklem przez Amerykę Południową? – zapytał Archie.

– Po wyprowadzce z Alaski – wyjaśnił Henry. – I po rozstaniu z Char. Raz w górach zepsuł mi się motor i mieszkałem przez miesiąc u

tubylczego plemienia. Mieli tam takie liście... Kiedy się je żuło, można było zobaczyć własną przyszłość.

– I co zobaczyłeś?

– Białego konia, dziecko z ptakiem na ramieniu i cycatą babkę z mieczem.

Archiego zatkało na chwilę; milczał, wlepiając oczy w swojego partnera.

– Więc, naturalnie – odezwał się wreszcie – pomyślałeś sobie: „Zostanę policjantem”.

Henry uśmiechnął się szeroko. Koniuszki jego wąsów śmignęły w górę.

– Owszem. Znak był jasny i zrozumiały.

Arenie ograniczył się do potrząśnięcia głową, a tymczasem okazało się, że z powodu zamknięcia mostu Fremont w śródmieściu są gigantyczne korki. Trasy międzystanowe numer pięć i czterysta pięć, a nawet zwyczajne ulice, niebiegnące po estakadach, były kompletnie nieprzejezdne. Po minięciu blokady drogowej przy wjeździe na most Henry włączył syrenę, żeby mogli jechać poboczem autostrady. Co prawda przepisy, ściśle rzecz biorąc, pozwalały na użycie syreny wyłącznie w sytuacjach wyjątkowych, ale Henry zaliczał do nich także korki.

– Czyli co, uważasz, że Scheer sięgnął po ostateczne rozwiązanie? – zagadnął Archiego. – Złapał za kierownicę i zepchnął wóz z mostu? Morderstwo i samobójstwo w jednym?

– Nie mówię nie.

– Przekażesz to federalnym? Sheridan zastanowił się przez chwilę.

– Poczekamy i zobaczymy, co ustalą kryminolodzy – zdecydował. –

Jeśli to nie było działanie z rozmysłem, to nie ma potrzeby mieszać Susan szyków, jeśli chodzi o ten artykuł.

Henry wyszczerzył zęby, wsuwając na nos okulary przeciwsłoneczne, z rodzaju takich, jakie noszą piloci.

– No co? – nie wytrzymał Archie.

– Jesteś dla niej taki miły, bo wiesz, że się jej podobasz – usłyszał.

– Jestem miły z natury, dla wszystkich, nie tylko dla niej – odparował.

– A podobam się jej tylko dlatego, że jestem stary...

– Czterdziestoletni grzyb – poprawił go Henry, który sam miał dziesięć lat więcej.

– Stary – powtórzył Archie. – I mam władzę – dodał po chwili.

– Raczej: jestem apodyktyczny – zripostował Henry.

– Mam nieodparty autorytet? – podsunął Archie.

Henry skinął głową, uznając, że osiągnięto kompromis. Zostawili już za sobą śródmieście, wjeżdżając na most Marquam. Wracali do wschodniego Portland. Na niebo wtoczyło się słońce, a na horyzoncie zamajaczyły szczyty Mount Hood i Mount St. Helens. Archiemu zawsze wydawało się, że latem te dwie góry wyglądają jakoś obco; ich potężne skaliste cielska sprawiały wrażenie dziwnie nagich.

– Nie wspominam już – dodał – że mam popieprzone w głowie i jestem dla niej nieosiągalny.

Otworzył okno i wylał resztkę kawy na ulicę.

– Właśnie – zgodził się Henry. – Pokusa nie do odparcia.

Archie zatrzymał się na progu domu. Cały niedzielny poranek przesiedział w pracy, pisząc sprawozdania. Choć nie prowadził osobiście sprawy dotyczącej śmierci senatora Scheera, to był na miejscu wypadku i nie mógł się wykręcić od papierkowej roboty. Ostatecznie to Henry wyciągnął go z biurka i odwiózł do domu.

Dom dudnił od muzyki; gdzieś w środku grało radio albo odtwarzacz, a w nim – Buddy Holly. W powietrzu wisiał ciężki zapach świeżo upieczonego ciasta, a z kuchni dobiegało chichotanie syna Archiego. Kiedyś, w poprzednim życiu, detektyw ucieszyłby się, słysząc ten śmiech; teraz tylko zamarł w bezruchu, zaciskając palce na schowanym w kieszeni pudełeczku.

Przypomniawszy sobie, jak dwa i pół roku wcześniej stał przed domem Gretchen Lowell. Często wspominał tamten wieczór, siłą wyobraźni odmieniając bieg wydarzeń, wydając sobie komendy: odwróć się, odejdź stąd, wsiądź do samochodu i wracaj prosto do rodziny. Gdyby nie wszedł do tego domu, wszystko potoczyłoby się inaczej.

Ale wszedł. A Gretchen czekała już na niego.

Zdecydował się w końcu, żeby i teraz przestąpić próg. Stał jeszcze przez chwilę w korytarzu, po czym zawołał:

– Wróciłem!

– Jesteśmy w kuchni! – odpowiedział mu głos Debbie.

Archie, wciąż grając na czas, zaniósł walizkę do swojego gabinetu. Wolał jej nie zostawiać w miejscu, gdzie mogły się dostać do niej dzieciaki. Nikt nie powinien, nawet przypadkiem, oglądać fotografii, które

on musiał studiować z racji swojego zawodu. Jego gabinet był urządzony w jednym z pokoi gościnnych, na końcu korytarza. Było to kwadratowe pomieszczenie z dywanem, biurkiem, podróbką fotela w słynnym designerskim stylu małżeństwa Eamesów i rozkładaną kanapą dla gości, których jednakowoż nigdy nie bywało aż tylu, żeby nie można było ich położyć gdzie indziej. Na pierwszy rzut oka gabinet wyglądał zupełnie niewinnie: półki z podręcznikami medycyny sądowej i kryminologii, na ścianie kilka oficjalnych pochwał oprawionych w ramki, komputer, trzy szafy na dokumenty, pękające w szwach od notatek i raportów z różnych śledztw. Była tam także duża ścienna szafa zaopatrzona w składane harmonijkowe drzwi z brzozonego drewna. W środku, przyklejone na tylnej ścianie, wisiały fotografie wszystkich ofiar Wirtuoza, których los Archie zdołał ustalić. Czasami detektyw otwierał szafę i włączał zamontowaną wewnątrz lampkę, po czym zasiadał przed drzwiami i patrzył. Czterdzieści dwie twarze. Mężczyźni. Kobiety. Dzieci. Znał każdy szczegół każdego portretu. Były częścią jego świadomości, odbite w pamięci raz na zawsze.

Usiadł za biurkiem i zdjął kaburę z paska. Wyciągnął z niej broń służbową, wysypując pociski na dłoń. Za każdym razem, kiedy to robił, spodziewał się, że będą cięższe. Otworzył szufladę jednym z kluczy, które miał na kółku, i schował naboje do specjalnej skrytki. Następnie wysunął inną szufladę, włożył do niej broń w kaburze i z powrotem zamknął na klucz. Tak się umówili z Debbie, kiedy Ben przyszedł na świat: w domu nie ma nabitej broni palnej. Nawet Henry, kiedy przychodził na obiad, oddawał spluwę na przechowanie.

Kątem oka złowił nagle małą twarzyczkę wychyloną zza framugi

drzwi. Kiedy się obejrzał, już jej nie było.

– Sara? – rzucił w powietrze.

Córeczka ponownie wsunęła główkę do pokoju.

– Mama i Ben robią dla mnie tort na urodziny. Nie mogę patrzeć. – Rozpromieniła się w szerokim uśmiechu i klasnęła w rączki. – Bo to dopiero na jutro.

Zakręciła się w piruecie, zadrobiła w miejscu tanecznym kroczeniem. Potem podbiegła do Archiego, a za nią pofrunęły ciemne warkocze. Sara nie uznawała chodzenia, wszędzie biegała.

– Jaki miałeś dzień? Fajny? – zapytała, kładąc pulchną dłoń na dłoni ojca.

Archie zawahał się, usiłując nie zdradzić choćby mrugnięciem, w jakim psychicznym dołku się znajduje.

– Byłem w pracy. Praca nie zawsze jest fajna.

Sara uniosła na niego pojaśniałe nagle oczy. Jej policzki błyszcząły rumieńcem.

– Będę mogła ją poznać, jak skończę siedem lat?

– Kogo?

– Gretchen Lowell.

Archie poczuł, że brak mu tchu. Jakby dostał pięścią prosto w pierś. Odruchowo uniół rękę na wysokość blizny na brzuchu, tak jak człowiek broni zastarzałej rany przed urazem. Niemalże odebrało mu mowę.

– Skąd znasz to nazwisko, kochanie? – udało mu się w końcu wykrztusić.

Sara cofnęła się o mały kroczek, wyczuwając ojcowskie niezadowolenie.

– Jacob Firebaugh dał Benowi książkę o tobie. Jego serce szarpnęło się jak oszalałe.

– Jaką książkę? – zapytał, choć przecież znał odpowiedź. Brzmiała ona „Ostatnia ofiara”. Taki tytuł nosiła szmatława historyjka o wyczynach Gretchen, zakończona opisem tortur, które ta kobieta zadała detektywowi Sheridanowi. Archie spodziewał się, że wcześniej czy później książka trafi w ręce jego dzieci. Łudził się jednak, że ma jeszcze czas.

– Nie wiem – odpowiedziała Sara.

– Czy na okładce była kobieta? – pytał dalej.

Córka uśmiechnęła się do niego, pokazując dwa rzędy maleńkich ząbków.

– Chcę ją poznać. Lubię ją.

Jeszcze nigdy w życiu niczyje słowa nie sprawiły Archiemu tyle przykrości.

– Nie mów tak – szepnął cicho, niemalże niedosłyszalnie.

– Ty też ją lubisz, prawda, tatusiu? – zapytała Sara. – Kiedyś często do niej jeździłeś. Ben słyszał, jak mama i Henry o tym rozmawiali.

Archie przesunął dłonią po twarzy. Zmusił się do oddechu, potem do kolejnego.

– Wiesz może, gdzie Ben trzyma tę książkę? Dziewczynka obejrzała się na drzwi i korytarz za nimi, a potem szepnęła:

– Schował ją.

Archie przez chwilę siedział bez ruchu, zbierając siły. Wreszcie ujął główkę Sary w dłonie i pocałował córkę w czoło.

– W porządku – powiedział, wyciągając rękę. Mała chwyciła go całą dłonią za palec wskazujący. – Chodźmy.

Wyprowadził ją z gabinetu i poszli razem w stronę kuchni. Nagle Sara stanęła w miejscu, oglądając się na Archiego z niepokojem.

– Nie mogę tam iść, tatusiu. Oni szykują dla mnie niespodziankę.

Zerknął na drzwi do kuchni, rejestrując muzykę i przypominając sobie o torcie.

– Jasne – zgodził się. – Idź do swojego pokoju, dobrze? Dziewczynka skinęła głową i pobiegła. Na ostatek strzeliła jeszcze okiem zza drzwi do swojej sypialni.

Archie wszedł do kuchni, gdzie odbywało się właśnie lukrowanie tortu. Ben klęczał na stołku przy blacie roboczym, Debbie stała. Dżinsy i czarna koszulka kryły się pod białym kuchennym fartuchem, ale mimo to udało jej się zachłapać płynnym lukrem od stóp do głów. Miała go nawet we włosach. Kiedy Archie stanął w drzwiach, uniosła głowę i posłała mu szeroki uśmiech.

– Zdażyłeś na dekorację kwiatkami z marcepanu.

Archie podszedł do odtwarzacza stojącego pod szafką obok lodówki i wyłączył muzykę.

– On ma tę książkę – oświadczył beznamiętnym głosem. Tort leżał na obrotowej tacy. Debbie kręciła nią powoli, prowadząc po wierzchu ciasta nóż do lukru.

– Jaką książkę? – zapytała.

Archie zbliżył się o krok. Ręce trzymał w kieszeniach.

– Tę książkę – powtórzył z naciskiem. – Dostał ją od Jacoba Firebaugha.

Nie wiedział nawet, kto to jest, ten Jacob Firebaugh. Ben wsadził palec do szklanej misy z lukrem, przesunął nim wzdłuż krawędzi.

– On mówi, że jesteś sławny – poinformował ojca.

– Nie chcę, żebyś czytał to gównu – warknął Archie. Debbie uniosła nóż, którym rozprawiała lukier po wierzchu tortu.

– Archie... – ostrzegła cichym głosem. Wyciągnął ręce z kieszeni, przeczesał palcami włosy.

– W tej książce jest pełno przemocy. Reprodukcje policyjnych zdjęć z miejsc zbrodni. – Na samą myśl o tym, że jego ośmioletni syn czyta opis tego, co wyprawiała z nim ta kobieta, jego trzewia zapłonęły piekącym bólem. – Szczegółowe opisy tortur.

– Obrazki z twojego świata – zauważyła Debbie. Podeszedł do niej. Pachniała kremem maślanym.

– To było zupełnie nie na miejscu – wysyczał, dygocząc na całym ciele, które dotkliwym bólem domagało się pigulek. – On pokazał tę książkę Sarze.

Ben przewrócił oczami.

– Ale z niej papla.

– Przynieś ją – rozkazał mu Archie, wskazując palcem w kierunku pokoju syna. – Natychmiast.

Ben spojrzał na Debbie. Tak było, odkąd Archie wrócił do domu: zanim mały wykonał jakiegokolwiek polecenie, zawsze najpierw musiał obejrzeć się na mamę. Debbie skinęła głową. Nie przestając oblizywać palców, chłopak zeskoczył ze stołka i zniknął za drzwiami.

Jego matka z powrotem przyłożyła nóż do tortu, obróciła lekko tacę.

– Jeśli nie będziesz z nimi o tym rozmawiał – powiedziała, starannie dobierając słowa – to zaczną szukać odpowiedzi gdzie indziej.

– Ale nie w tej książce – zachnął się. Debbie zacisnęła usta.

– One wiedzą, że byłeś zagubiony. Że ktoś się nad tobą znęcał. Były wtedy jeszcze bardzo małe – Archie słyszał wyraźnie, jak zaciska się jej gardło, stawiając opór łzom – ale w końcu muszą poznać całą prawdę.

Na pewno nie całą, pomyślał, ale na głos powiedział tylko:

– Dlaczego?

– A twoje blizny? – Położyła nóż do lukru w poprzek szklanej misy, odwróciła się do niego. – Jak im wyjaśnimy, skąd się wzięły? A te wszystkie wycieczki do więzienia? One o tym pamiętają. Wiedzą, po co tam jeździłeś. Żeby widywać się z nią.

– Taką mam pracę – przypomniał z naciskiem.

Debbie uniosła rękę, dotknęła jego twarzy lepkimi palcami.

– Daruj sobie, Archie. Za długo cię znam. – Spojrzała mu prosto w oczy. – Jeździłeś tam, bo nie miałeś innego wyjścia. Po prostu lubiłeś tam jeździć.

Cofnął się o krok, odwrócił do niej plecami.

– Jestem wykończony. Wolałbym nie rozmawiać o tym teraz – powiedział, otwierając szafkę i sięgając do środka po szklanę.

– Chcę tylko, żebyś był z nami szczerzy. Ze mną. Odkręcił kran, napełniając szklanę wodą.

– Przestań, proszę cię – szepnął.

– Żebyś był szczerzy z samym sobą.

Archie wypił jeden łyk wody, a resztę wylał. Odstawił szklanę do zlewu. Był człowiekiem w pełni zdolnym do samokrytycyzmu, zdawał sobie sprawę, że ma popieprzone w głowie, i to porządnie. Dałby wszystko, żeby móc powiedzieć, że jest inaczej.

– Jestem ze sobą szczerzy – oświadczył. Nagle z całą mocą uświadomił

sobie, jak bardzo wyczerpało go to zajście. A całą winę w jego oczach ponosiła właśnie ona, Debbie. To przez nią zawsze, ze wszystkim było pod górkę. To przez nią dręczyło go sumienie.

A teraz chciała usłyszeć prawdę. Niech będzie. Do diabła z tym.

– Jeździłem tam... – wycedził, każde słowo wymawiając dobitnie, jak w szkole przy tablicy – ... bo... lubiłem... tam jeździć. – W zlewie, obok jego szklanki, stała zalana wodą miska, w której Debbie robiła ciasto na tort, pełna mydlin i glutów rozplływającej się masy. – Dopiero wtedy, ten jeden raz w tygodniu, czułem, że jeszcze żyję. – Spojrzał na żonę. – I dalej bym tam jeździł, gdybym tylko mógł to robić bezkarnie.

Debbie objęła się ramionami. Piegi odbijały się na jej skórze niczym ciemne gwiazdy.

– Nie możesz się z nią widywać. Jeśli chcesz być z nami, to nie możesz tego robić.

Uśmiechnął się lekko.

– No i doczekałem się.

– Czego?

– Ultimatum – wyjaśnił. – Przepadam za nimi, przecież wiesz. W ciszy, która zapadła, rozległ się głos Bena:

– Proszę.

Odwrócili się jak na komendę. Ich syn stał na progu kuchni, trzymając w rękach grubą książkę ze zdjęciem zniewalająco pięknej i cudownie uśmiechniętej Gretchen na okładce.

Podszedłszy, Archie wyjął ją z rąk Bena, a następnie pochylił się i pocałował chłopca w policzek.

– Dziękuję – szepnął mu do ucha. – Przepraszam, że tak na ciebie

nakrzycałem.

Pogłodził małego po głowie i wyszedł na korytarz.

– Dokąd idziesz? – dobiegło go pytanie Debbie. Obejrzał się przez ramię.

– Jest niedziela – przypomniał. – Przejadę się do parku. W oczach jego żony zaśniły łzy.

– Nie powinieneś prowadzić samochodu.

– Wielu rzeczy nie powinienem robić – odparł, nie zwalniając kroku.

Na biurku Parkera ktoś zostawił kwiaty. Stała tam doniczka afrykańskich fiołków i leżały dwa bukiety: żółte tulipany i jakieś różowe paskudztwo o mięsistych płatkach, które z całą pewnością nie przypadłoby mu do gustu. To ostatnie przyniosła jedna z kadrowych z drugiego piętra.

Żaden z tych bukietów nie stał w wodzie. Miały leżeć tam, gdzie je położono, dopóki nie zwiędną i nie zgniją. Susan nie potrafiła zrozumieć, komu i w czym ma to pomóc. Czy koniecznie trzeba zabić coś pięknego, kiedy ktoś umiera?

Redakcja dziennika „Oregon Herald” mieściła się w śródmieściu Portland, w stuletnim budynku, który w latach siedemdziesiątych XX wieku padł ofiarą kompletnie nieprzemyślanego remontu. Ogołoco go ze wszystkich sprzętów, urządzono identyczne biura pełne jednakowych kwadratowych boksów, a pod panelami sufitowymi zawisły jarzeniówki. Susan miała swoje biurko na czwartym piętrze. Widok z okna robił spore wrażenie, ale poza nim w redakcji nie było praktycznie niczego, co mogłoby się podobać. Jak na gust młodej dziennikarki było tam za cicho. Przytłaczała ją atmosfera, przypominająca biuro wielkiej, korporacyjnej firmy, a do tego niezależnie od pogody było jej tam zawsze zimno.

Niedziele w redakcji „Heralda” były jak zima na Syberii. Szefostwo jak jeden mąż siedzi w domu. Niedzielny numer już wydrukowany. Poniedziałek zawsze jest lekki. Nad wszystkim ma pieczę jeden starszy redaktor, wyłaniany drogą losowania, który przez cały dzień nie rusza się z biurka i gra na komputerze w pasjansa albo siedzi w Internecie, przeglądając plotkarskie serwisy i blogi. Obijanie się jest w tym dniu

głównym zajęciem. Nikt nie zna więcej internetowych plotek niż dziennikarze; nie wiercie, kiedy będą się wypierać.

Ale ta niedziela była inna: wszyscy przyszli do pracy. Zginął przecież urzędujący senator, a razem z nim Jefferson Parker, swój człowiek, dziennikarz z ich własnej gazety. Trzeba było przygotować popołudniowy numer, a na stronę internetową „Heralda” co kilka minut rzucać wiadomości z ostatniej chwili, żeby mogła skutecznie konkurować z serwisami telewizyjnymi. W pracy stawiała się niemalże cała obsada aktualności, a oprócz tego adiustatorzy i dziennikarze z działów tematycznych. Nie koniec jednak na tym: zjawili się też naczelni, ich zastępcy, stażyści, kadrowi, recepcjoniści, a także krytyk telewizyjny, który postanowił opisać, jak telewizja relacjonuje tę sprawę. Każdy chciał mieć jakiś udział w tym, co się działo. Tragedia, im jest większa, tym bardziej pociąga takich ludzi. Tym właśnie dziennikarze różnią się od innych.

Susan naciągnęła na swoją czarną sukienkę bluzę z kapturem, którą trzymała w szufladzie biurka, i podparła głowę rękami. Molly Palmer najwidoczniej rozsypała się psychicznie, bo przestała odbierać telefon. Dziennikarka po raz kolejny wystukała jej numer. Nic. A następnego dnia „Herald” miał wspominać zmarłego senatora. Sprzedaż gazety musiała pójść w górę, i to mocno. Na pierwszej stronie – zdjęcie Scheera i nagłówek informujący o jego śmierci wielkimi wytłuszczonymi literami. Takie gazety ludzie wciąż chcieli kupować, a Susan bardzo zależało, żeby w tym wydaniu znalazł się też jej artykuł.

Odchyliła się razem z fotelem, wyciągając szyję, żeby zobaczyć, czy Ian wyszedł już z kolegium redakcyjnego. Drzwi do sali konferencyjnej

były jednak nadal zamknięte. Od półtorej godziny Ian siedział tam razem z wydawcą „Heralda” Howardem Jenkinsem oraz całym pionem decyzyjnym gazety; planowali, co i jak będzie się pisać o zmarłym senatorze, decydując tym samym o losie artykułu Susan Ward. Młodej dziennikarce wydawało się, że zbiła sobie pewien kapitał niedawną serią artykułów o Archiem Sheridanem i Dusicielu po Lekcjach, w ostatecznym rozrachunku o wszystkim decydowała jednak polityka prasowa. A bez Molly Palmer, jedynej osoby, która mogła potwierdzić prawdziwość faktów opisanych w jej artykule, redakcja zaczęła się wahać.

Susan jeszcze raz wystukała na telefonie numer Molly. Nic.

Zakłęła paskudnie w myślach. Molly nigdy nie wykazywała się wielką chęcią współpracy. Na spotkanie twarzą w twarz zgodziła się tylko dwa razy, a skontaktowanie się z nią zawsze było nie lada wyczynem, bo potrafiła wyłączyć telefon i całymi dniami go nie włączać.

Po zrobieniu metrowej długości łańcuszka z biurowych spinaczy i zapleceniu sześciu krótkich warkoczyków na swoich niebieskich włosach, Susan rozpięła wszystkie spinacze, chowając je z powrotem do kartonowego pudełka, a warkoczyki rozplotła.

i zaplotła z powrotem.

Czuła zapach płynący w powietrzu od strony biurka Parkera: słodką, miodową woń kwiatowego pyłku.

Telewizory, wiszące rzędem nad stanowiskami adiustatorów, co do jednego pokazywały na żywo relacje na temat wypadku na moście Fremont. Susan nie mogła na to patrzeć. Chciała wyrwać się z redakcji. Odszukać Molly. Zrobić coś konkretnego.

– Dobrze się czujesz? – dobiegł ją czyjś głos. Uniosła głowę; nad nią

stał Derek Rogers, z twarzą ściągniętą w wyrazie zatroskania, marszcząc swoje rudawo-złote brwi. Susan starała się go unikać od czasu, kiedy sama zdecydowała, że muszą przestać się widywać. Tłumaczyła mu, że nie jest w jej typie: on rzetelny i odpowiedzialny, ona – wcielenie chaosu. On pił kawę z mlekiem i cukrem – ona zawsze czarną.

Prawda natomiast przedstawiała się inaczej: Derekowi marzył się stały związek. A Susan nie miała aktualnie ochoty wiązać się z nikim.

– Nie mogę uwierzyć, że go nie ma – powiedział. Dołeczek w jego brodzie pogłębił się, pociemniał. – Ale głupi tekst – westchnął, potrząsając głową. – Wszyscy tak mówią, prawda?

Susan i Derek walczyli między sobą o uwagę Parkera. Była to jedna z niewielu rzeczy, jakie ich łączyły.

– Wiem, że ty też go lubiłeś – wydusiła z siebie.

– Gdybyś chciała pogadać – odparł – to masz mój numer. Dlaczego on musiał być taki miły?

Słyszając otwierające się drzwi do sali konferencyjnej, Susan odepchnęła się z fotelem od biurka. Włożyła w to odrobinę zbyt dużo siły i o mały włos nie wylądowała na podłodze.

Jan odszukał ją wzrokiem i wskazał kciukiem przez ramię na swój gabinet, co miało oznaczać „Chodź tutaj”.

– Obowiązki wzywają – rzuciła w stronę Dereka, wstając zza biurka i maszerując pomiędzy boksami, po tłumiącej kroki wykładzinie, do gabinetu przełożonego.

W gabinecie było okno, ale wychodziło ono na redakcję aktualności. Na ścianie wisiały tablice pokryte przypiętymi fragmentami artykułów; kiedy naczelnego nachodziła ochota, wzywał reportażystów do siebie i

rozkładał ich teksty na czynniki pierwsze. Trwało to tak długo, że maglowany nieszczęśnik był bliski łez albo zaczynał przemyśliwać o pchnięciu szefa nożem.

Susan postanowiła sobie, że jeśli nie puszczą jej artykułu, to złoży wymówienie. Albo pchnie łana nożem. To zależało, który impuls weźmie górę. Najprawdopodobniej ten drugi.

Rzuciła się na krzesło, które wskazał jej Harper.

– Wydrukujemy twój tekst – oznajmił naczelny – ale z pewnymi zmianami.

– Zmianami? – Susan skubnęła rękawy swojej bluzy, łan pociągnął się za krótki kucyk.

– Pan senator był w tym stanie instytucją. Ludzie go kochali. Musimy to uwzględnić, pisząc o jego romansie z nastolatką. To była wielka pomyłka.

Susan zrozumiała, że traci kontrolę nad swoim artykułem. Pomyłka? Jeszcze wczoraj to była sensacja stulecia.

– Pomyłka? – powtórzyła. – Dziewczyna miała czternaście lat.

– Wszystko jedno – bąknął łan, dotykając przycisku myszy. Na monitor wyskoczył dokument Worda. – Spróbuję przeredagować twój tekst. Modyfikacje skonsultuję z tobą. Zamierzamy go wydrukować, ale na pewno nie w poniedziałkowym numerze wspominkowym. To byłoby nie na miejscu.

Nie na miejscu?

– Redaktorem moich artykułów był Parker – oznajmiła Susan, patrząc, jak łan zaznacza i kasuje całe zdanie w jej tekście.

– Wiem, że to dla ciebie trudne przeżycie – odparł.

– Parker redagował moje artykuły – powtórzyła. Na tablicy za plecami naczelnego wisiały zdjęcia senatora Scheera ze wszystkich lat jego kariery; każde z nich ukazywało nadętego zarozumialca. Obok ktoś przypiął kartkę z ręcznie wypisanymi pomysłami na nagłówki: OREGON OPLAKUJE UKOCHANEGO SYNA, KATASTROFA NA MOŚCIE FREMONT – ŚMIERĆ SENATORA, OBROŃCA BIEDNYCH GINIE W NURTACH WILLAMETTE.

Nazwisko Parker nie pojawiała się w żadnym z tych tytułów. Będzie miał szczęście, jeśli w ogóle wspomną o nim w temacie dnia.

Ilan podniósł słuchawkę telefonu i wcisnął klawisz z numerem dziewięć, który oznaczał wyjście na miasto. Susan w lot zrozumiała znaczenie tego gestu. Harper wcale nie chciał nigdzie dzwonić: to był sygnał – niezręczny, trzeba przyznać – że spotkanie z naczelnym dobiegło końca.

– Potrzebne nam namiary twojej informatorki – rzucił jeszcze w powietrze, nie patrząc na Susan. – Tej Molly Palmer.

– Nie ma sprawy – powiedziała.

Wyszła ciężkim krokiem z gabinetu szefa, wróciła do swojego biurka i usiadła z powrotem na fotelu, obracając go powoli nogą. Na biurku Parkera przybył kolejny bukiet: goździki przybrane wiechetkiem łyszczca, zawinięte w zieloną bibułę i przewiązane czarną wstążką. Na wstążce biegł napis NIECH SPOCZYWA W POKOJU.

Susan sięgnęła do kieszeni bluzy po komórkę i wybrała numer.

– Muszę się stąd wyrwać – powiedziała do słuchawki. – Dalej ci zależy, żeby ktoś napisał o twojej NN?

– Właśnie jestem w parku – odpowiedział Archie Sheridan. – Możesz do mnie przyjechać?

Archie siedział wprost na mokrej ziemi, dosłownie kilka metrów od miejsca, gdzie kiedyś zamordowano pewną dziewczynę.

Pogoda zmieniła się – słoneczny dzień ustąpił miejsca przykrej mżawce. Park był przesycony zapachem śmierci. Wszędzie leżały butwiejące kłody, obłamane gałęzie drzew, gnijące jeżyny. Archie otrzepał zabrudzone ziemią spodnie i zamknął oczy.

To tutaj wszystko się zaczęło. Archie Sheridan i Henry Sobol przyjechali zbadać zwłoki kobiety znalezionej w północnej części parku. A właściwie nie kobiety, tylko dziewczyny, jeszcze niemalże dziecka. Ktoś ją oskalpował. Przypalał skórę. Bestialsko okaleczył. To było trzynaście lat temu. Pierwsza ofiara Wirtuoza. I pierwsze morderstwo dla detektywa Sheridana.

Archie zerknął na książkę leżącą na ziemi tuż obok niego, a Gretchen odwzajemniła spojrzenie. Nie wiedział, po co przyniósł ją tutaj ze sobą, zamiast zostawić w samochodzie albo wyrzucić do kosza na pierwszej lepszej stacji benzynowej. Był za to pewien jednego: ten cały Jacob Firebaugh usłyszy kilka słów prawdy.

Nagle od strony stoku dobiegły go jakieś odgłosy: szelest paproci rozgarnianych stopami, szmer osuwającej się ziemi, trzaski pękających pnączy. Archie oprzytomniał w jednej chwili: otworzył oczy, a jego dłoń błyskawicznie powędrowała na biodro, opierając się lekko na rękojeści broni tkwiącej w skórzanej kaburze. Obejrzał się. Około metra powyżej miejsca, gdzie siedział, na zboczu wzgórza, stał chłopiec.

Mógł mieć może ze dwanaście lat. Dyszał jeszcze od wysiłku, którego wymagało zejście po stoku. Za jego plecami poruszone paprocie chwiały się nerwowo. Był delikatnej budowy ciała, miał bladą cerę i ciemne włosy,

a na zębach lśniący aparat korekcyjny. Jego strój składał się z koszulki z emblematem drużyny futbolowej Oregon Ducks oraz krótkich spodni, obszytych wieloma kieszeniami i zatrzaskami; z sięgających kolan nogawek wystawały proste i cienkie jak u ptaka łydki. W dłoni trzymał stare, sfatygowane pudełko na kanapki; na metalowym wieczku widniały postacie z komiksu „Fistaszki”.

– Jest pan detektywem? – zapytał.

– Mhm – przytaknął Archie, odsuwając rękę od broni. Chłopiec przysiadł na ziemi obok niego, krzyżując nogi po indiańsku. Pudełko położył na kolanach.

Archie schował „Ostatnią ofiarę” za siebie, żeby nie wpadła mu w oczy ani w ręce.

– W czym mogę ci pomóc? – zapytał.

– Mnie w niczym – padła odpowiedź.

Sheridan wskazał ruchem głowy otaczającą ich taśmę policyjną.

– Wiesz, to jest miejsce przestępstwa.

– Wiem – odparł chłopiec.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, przyglądając się strumieniowi szemrzącemu u stóp wzgórza.

– Ma pan dzieci? – zapytał wreszcie chłopiec.

– Dwójkę – odpowiedział Archie. – Sześć lat i osiem. Mały nieznajomy skinął głową, zadowolony z odpowiedzi.

– Chcę panu coś pokazać – oznajmił.

Archie zmierzył go wzrokiem. Zobaczył samotne dziecko, szukające czyjejś uwagi. Nie miał czasu na zaspokajanie jego potrzeb – w oczach chłopca dostrzegł jednak taką powagę, że bez namysłu zgodził się pójść z

nim. Do diabła, niech mu będzie, pomyślał. Obejrzę ten stary fort, czy co tam on znalazł, a potem odeślę do domu, do rodziny.

Wstał z ziemi.

– Niech pan nie zapomni swojej książki. – Mały wskazał palcem „Ostatnią ofiarę”.

Archie spojrzał w dół, na twarz Gretchen, różowe tło, wypukłe złote litery.

– Racja – zgodził się, podnosząc książkę.

Chłopiec ruszył w górę po zboczu. Archie poczekał, aż wyprzedzi go o jakiś metr w pionie, i sam zaczął się wspinać, ostrożnie, pamiętając o policjancie, który spadł w tym miejscu. Ale jego przewodnik szybko się zniecierpliwiał, przystanął i wyciągnął do niego rękę. Sheridan wsunął książkę za pasek i podał mu dłoń, pozwalając się zaprowadzić wyżej, na główną ścieżkę. Wyszędłszy na nią, ruszyli na zachód, zagłębiając się w las. Deszcz przybrał na sile, bębniąc natarczywie po liściastym baldachimie. Archie zauważył, że krańce nogawek ma zachlapane czarnym błotem, a dłonie uwalane ziemią od podpierania się na stromym stoku. Zmrok zapadał szybko. Chłopak piął się po stoku, stąpając szybkim, zdecydowanym krokiem. Archie musiał nieźle się namęczyć, żeby za nim nadążyć. Nagle mały zatrzymał się, spojrzał na niego, a potem wskazał wzrokiem kolejne wzgórze.

– Poważnie? – sapnął detektyw.

Chłopiec wspiął się kilka kroków po zboczu i znów wyciągnął do niego rękę, a Archie, tak jak przedtem, pozwolił pociągnąć się w górę. Mniej więcej w połowie stoku poczuł tępy ból pulsujący w prawym boku, tuż pod żebrami. Skrzywił się – i w tym momencie jego stopa zjechała

gwałtownie po śliskiej, rozmięklej ziemi. Opadł na kolana, szorując nogawkami po błocie. Przez chwilę trwał tak bez ruchu, łapiąc oddech. Potem chłopiec pomógł mu wstać i ruszyli dalej, do góry. Archie usiłował robić wdechy pomimo bólu. To nie był skurcz. Skurcze są o wiele ostrzejsze. Ten ból był mniej wyrazisty, mocno rozproszony. Z początku wydawało mu się, że to książka zatknięta za pasek wbija mu się w bebechy, ale kiedy przesunął ją na lewą stronę, ból pozostał po prawej. Mimo to wyjął ją i wsunął pod pachę. Skupił wzrok na zabłoconych zielonych trampkach swojego przewodnika, przez cały czas migających o metr z kawałkiem ponad jego głową – i po kilku chwilach dziwny ból ustał. W końcu dotarli na szczyt wzgórza. Był płaski i gęsto zarośnięty drzewami. Chłopiec spojrzał na Archiego.

– Zbieram ptasie gniazda – poinformował go.

Detektyw pochylił się, otrzepując spodnie z drobinek leśnego poszycia.

– Gratuluję – odparł.

– Kilka tygodni temu znalazłem jedno tutaj. – Mały stuknął w ziemię czubkiem trampka. – Dokładnie w tym miejscu.

– Świetnie – skomentował Archie. – I coś z nim jest nie tak.

– Z tym gniazdem?

Chłopiec posłał mu poważne spojrzenie i usiadł na ziemi, po turecku, tak jak poprzednio. Położył na kolanach swoje pudełko na kanapki i otworzył wieczko. W środku znajdowało się ptasie gniazdo. Wyjął je i wręczył Archiemu.

Sheridan wziął gniazdo do rąk. Słońce opadło jeszcze niżej, a w parku zrobiło się nagle bardzo zimno.

– Znalazłeś to tutaj – upewnił się cichym głosem. – Dokładnie w tym

miejscu.

Chłopiec z całkowitą powagą skinął głową.

– Coś z nim jest nie tak, prawda?

– Prawda – przytaknął Archie, wyjmując komórkę. Nie wypuszczając wciśniętej pod pachę książki, wybrał numer Henry’ego.

– To ja – powiedział do słuchawki. – Jestem w Forest Parku. Przyślij mi tutaj ekipę poszukiwawczo-ratowniczą. I psatropiciela zwłok. Chyba mamy kolejną ofiarę.

Pomiędzy gałązkami i pnączami, które ptak wyskubał z poszycia lasu, aby zbudować z nich swoje gniazdo, widniały, przeplecione, długie jasne włosy. Było ich na oko kilkaset.

Kiedy Archie uniósł głowę, chłopca już nie było.

Susan zastanawiała się, czy warto wrócić do domu i przebrać się w coś bardziej odpowiedniego na spacer po parku, na przykład turystyczne buty, płaszcz przeciwdeszczowy albo może parę skórzanych krótkich spodni na szelkach a la Bawarczyk. Nie chciała jednak wyglądać tak, jakby bardzo się starała, więc ostatecznie postanowiła pozostać przy swojej redakcyjnej bluzie z kapturem zarzuconej na czarną sukienkę. Na nogach miała japonki, ale wozila ze sobą trampki, specjalnie na taką okazję. Wystarczyło, że zniszczyła jedną parę drogich butów na miejscu zbrodni. Nauka nie poszła w las. Teraz jej bagażnik był pełen przeróżnego dziennikarskiego ekwipunku: oprócz butów na zmianę miała tam i kurtkę przeciwdeszczową, i notatniki, i wodę, i kapelusz od słońca, i zapasowe baterie do dyktafonu, i zapasowe tampony. Nigdy nie wiadomo, gdzie się wylądzuje i na jak długo.

Przez miasto jechało się ciężko. Właśnie zaczęło mocno padać; kanały burzowe były przepelnione i na rogu każdej ulicy stały kałuże wody. Deszcz w lecie zawsze powodował utrudnienia w ruchu, bo chociaż w Portland przez dziewięć miesięcy w roku regularnie leje, to pozasezonowe opady nieodmiennie wyprowadzają miejscowych z równowagi.

Bliss była zdania, że to urocze, ale Bliss nie jeździła samochodem. A Susan w takich sytuacjach miała ochotę kogoś zamordować.

Przedostanie się przez rzekę i dojechanie do części parku zwanej Northwest zajęło jej czterdzieści minut. Przez jakiś czas słuchała, jak ludzie dzwonią do radia, żeby podzielić się czułymi wspomnieniami o zmarłym senatorze, ale szybko dostała białej gorączki i zmieniła stację.

Znalazła jakąś rozgłośnię z alternatywnym rockiem, ale i tę wkrótce wyłączyła. Dojechawszy na miejsce, zatrzymała swojego starego saaba na parkingu, tuż obok nieoznakowanego samochodu policyjnego i trzech radiowozów. Schowała turkusowe włosy pod kapturem i wysiadła.

W jednym z radiowozów siedział policjant w płaszczu przeciwdeszczowym włożonym na mundur. W dłoniach miał podkładkę do pisania i notował coś na kartce przy słabym świetle samochodowej lampki. Susan zastukała w szybę.

Policjant uniósł głowę. Jego płaszcz lśnił od wody, a mina dobitnie świadczyła o tym, że gorąco pragnie być gdzie indziej. Uchylił okno najwyżej na centymetr.

– Szukam Archiego Sheridana – powiedziała dziennikarka. Funkcjonariusz wskazał jej miejsce, gdzie zaczynał się szlak turystyczny, a potem machnął ręką dalej, w kierunku ciemnej ściany lasu. I zamknął okno.

– Dzięki. – Susan zastanawiała się, czy nie poprosić go o pożyczenie latarki, ale zrezygnowała z tego pomysłu: chyba nie był w najlepszym humorze.

Zmieniła japonki na trampki i ruszyła przed siebie, wbijając dłonie w kieszenie bluzy. Do szlaku prowadził betonowy chodnik; ziemia po obu jego stronach zdążyła już nasiąknąć wodą i zamienić się w błoto, lśniące w świetle parkowych latarni. Stanąwszy na skraju ciemnego lasu, Susan zapragnęła wrócić do samochodu, jechać do domu i zaszyć się w swoim hamaku. Po chwili pomyślała jednak, że Parker na pewno nie cofnąłby się przed byle czym, żeby zdobyć materiał na artykuł; ta myśl kazała jej zgarbić plecy i zagłębić się w mroczną gęstwinię.

Zasnute chmurami niebo dawało akurat tyle światła, żeby pnie drzew majaczyły, ledwie widoczne, wśród smolistych cieni, a każda gałąź wyglądała jak uniesiona, wygrazająca ręka. Idąc żwirową ścieżką, gdzie błoto mlaskało pod podeszwami jej butów, Susan mimo woli myślała o Gretchen Lowell, która porzuciła w tym lesie zwłoki co najmniej dwóch swoich ofiar. Czy i tym razem chodziło o jedno z serii morderstw Wirtuoza? Dziennikarka wbiła dłonie głębiej w kieszenie bluzy, przyspieszając kroku.

Znalazła ich po mniej więcej czterystu metrach. Już z daleka dostrzegła długie, białe promienie latarek, zaplątane pomiędzy wyniosłymi pniami cedrów. Gliniarze to pocziwe stworzenia: zawsze rzucają się w oczy.

Szybko okazało się także, że pocziwi gliniarze są również zawsze czujni i trudno ich podejść. Kiedy Susan była jeszcze dobre trzydzieści metrów od nich, jedna z latarek nagle znieruchomiała, a potem jej promień przesunął się błyskawicznie, lądując prosto na twarzy dziennikarki.

– Szukam detektywa Archiego Sheridana! – oznajmiła głośno, mrużąc oczy przed światłem.

Za białym, oślepiającym kręgiem zamajaczył cień zwalistej sylwetki.

– Ja pierdołę, to znowu ty – zabrzmiał głos Henry’ego Sobola.

– Cześć. – Susan pomachała do niego zalotnie.

– Tam – powiedział, oświetlając Archiego, który siedział na zwałonym pniu leżącym tuż obok szlaku. – Czekamy na specja od ptaków – poinformował ją, krzywiąc się cierpko.

– Ornitologa! – zawołał Archie.

– Jak zwał, tak zwał – odburknął Henry, a Susan, choć tego nie widziała, była pewna, że w tym momencie przewrócił oczami.

Podeszła do pnia, na którym siedział Sheridan. U jego stóp leżała rzucona byle jak latarka. Jej promień gubił się gdzieś pomiędzy drzewami, ale oświetlał go na tyle, żeby można było dostrzec przemoknięte, uwalane błotem ubranie.

– Wywaliłeś się gdzieś? – zapytała Susan.

– Znasz się na ptakach? – odpowiedział pytaniem. Wzięła się pod boki.

– To dlatego mnie tutaj ściagnąłeś?

Archie podniósł latarkę z ziemi i oświetlił ptasie gniazdo, które trzymał na kolanach.

– Ludzkie włosy – oznajmił. – Koloru blond. Są tu gdzieś kolejne zwłoki.

Susan pochyliła się, żeby obejrzeć je z bliska. Miała mętlik w głowie.

– Znalazłeś ptasie gniazdo?

– Dostałem je od jakiegoś chłopca. To on je znalazł. Na szczycie tego wzgórza.

– Jakiego chłopca? – zapytała, rozglądając się po ciemnym lesie.

– Nie ma go tutaj – wyjaśnił Henry, stając za jej plecami.

– Zniknął – dodał Archie.

– Kto? Ten chłopiec? – Nie zrozumiała. Archie spojrzał na Henry'ego.

– Wezwałeś już ekipę poszukiwawczo-ratowniczą?

– Na podstawie garści włosów w ptasim gnieździe? – Henry omiół promieniem latarki swojego partnera, wyławiając z mroku jego brudne, powalane błotem ubranie. – Dobrze się czujesz? – zapytał, ścisząc głos.

– Debbie do mnie dzwoniła. Podobno pokłóciłeś się z nią, rozczuliłeś nad sobą i wyniosło cię z domu.

– To był raczej przyływ nagłej złości – sprzeciwił się Archie.

– Ona martwi się o ciebie – powiedział Henry.

– To jest was dwoje. Załóżcie sobie klub – odciął się Sheridan, wstając z pnia. – Nie chcę już dłużej czekać – powiedział, przywołując trzech mundurowych, stojących nieopodal z latarkami w dłoniach. – Przechesujemy las ścisłym szeregiem. Nie spieszyć się. Szukamy zwłok kobiety.

– Archie... – zaczął Henry.

– Dość mam czekania – powtórzył.

– Nie – uciął Henry. – Zaczekaj.

Skierował latarkę w cień za ich plecami. Promień oświetlił twarz mężczyzny.

Susan wydała stłumiony okrzyk. Wszyscy policjanci obejrżeli się na nią.

– Przepraszam – mruknęła.

Nieznajomy, brodacz w okularach, uśmiechnął się lekko spod kaptura płaszcza przeciwdeszczowego.

– Ktoś tutaj wzywał ornitologa? – zapytał.

– Ja. – Archie machnął ręką.

– Jestem Ken Monroe. – Mężczyzna podszedł do niego, wyciągając rękę. – Rozmawialiśmy przez telefon.

Archie uściśnął podaną mu dłoń.

– Dziękuję, że pan przyjechał.

– Nie ma sprawy. – Ornitolog uśmiechnął się, wyraźnie podekscytowany. – Rzadko wzywa się nas w tak wyjątkowych sytuacjach.

No chyba, pomyślała Susan.

– Co mi pan powie o tym gnieździe? – zapytał Sheridan, ponownie

oświetlając swoje znalezisko.

Susan przepchnęła się łokciami przez tłumek, szybko gęstniejący wokół detektywa i ornitologa. Monroe pochylił się nisko nad gniazdem, przyglądając mu się uważnie. Po chwili spytał:

– Gdzie pan je znalazł?

Archie skinął głową, wskazując wzgórze.

– Tam, na szczycie.

– To jest gniazdo pasówki śpiewnej – zawyrokował ornitolog. Susan wyjęła notatnik, zapisując tę nazwę.

– Potrafi pan po samym gnieździe rozpoznać gatunek ptaka? – zdziwiła się głośno. Dla niej wszystkie gniazda wyglądały tak samo.

– Jasne – przytaknął Monroe. – Widzi pani, jaki ono ma kształt? Jak czara. Warstwa zewnętrzna – zademonstrował dłonią – jest niewygładzona i składa się z suchych źdźbeł trawy i łodyżek różnych chwastów. Do tego trochę małych korzeni i kawałeczków kory. A tu, proszę, wyściółka z miękkiej trawy i włosów.

– Właśnie te włosy mnie interesują – wtrącił Archie.

– Niektóre ptaki moszczą gniazda włosami. Rzadko, bo rzadko, ale takie przypadki są znane.

– A skąd je biorą? – zainteresował się Henry. – Wygrzebują ze śmietników przy zakładach fryzjerskich?

Monroe zmarszczył brwi.

– Ze śmietników? Raczej nie. Mówią panowie, że gniazdo znaleziono tutaj?

– Na szczycie tego wzgórza – powiedział Archie.

– Cóż, mogę tylko powiedzieć, że te włosy pochodzą z najbliższej

okolicy. Ptaki nie latają daleko po budulec na gniazda. Praca nad nim trwa najczęściej kilka dni. Dalekie wyprawy mijają się z celem. – Monroe prześlizgnął się wzrokiem po zboczu wzgórza. – Nie, ptak na pewno znalazł te włosy gdzieś tutaj. Moim zdaniem było to w promieniu trzystu metrów od tego miejsca. Susan poczuła, jak jej ramiona obsypują się gęsią skórką.

– Może pan określić wiek tego gniazda? – zapytał Archie.

– Rok, najwyżej dwa.

– Skąd pan to wie? – zaciekawiał się Henry.

– Stąd, że gniazda się rozpadają – wyjaśnił Monroe. – Gdyby nie to, dawno by nas zasypały.

– Więc musimy tylko przeszukać teren w promieniu trzystu metrów – skonkludował Archie.

Henry jęknął.

– To całe boisko fubolowe.

– Więc może wezwijmy ekipę poszukiwawczo-ratowniczą. Henry patrzył na niego przez chwilę. Wreszcie wyciągnął komórkę z etui przy pasku i zaczął wybierać numer.

– Pies-poszukiwacz zwłok też może się przydać – mruknął. Susan zobaczyła, jak na twarzy Archiego pojawia się uśmiech.

– Dobry pomysł – pochwalił Sheridan partnera.

Pulsujący ból pod żebrami znów zaczął dokuczać Archiemu. Deszcz nie ustawał. Przez niego każdy fragment odsłoniętej skóry wyglądał tak, jakby był oślizgły, a każdy krok odzywał się echem mlaskającego błota. Wilgoć przesiąkała przez wszystkie warstwy ubrania. Archie czuł wyraźnie, jak za każdym razem, kiedy stawia nogę, w butach chlupocze mu zimny szlam. Uwalane błotnistą ziemią nogawki chlastały go po łydkach, a mokre włosy lepiły się do czoła. Cieszył się, że przynajmniej starczyło mu przytomności umysłu, żeby schować książkę za tym pnem, na którym siedział. Tego tylko brakowało, żeby Henry zobaczył, jak jego partner szwenda się po lesie z utyłanym w błocie egzemplarzem „Ostatniej ofiary”.

Skoncentrował uwagę na niewielkim kręgu światła latarki omiatającym poszycie lasu i powrócił myślami do aktualnego zadania.

Posuwali się powoli. Pędy bluszczy i powojów pięły się na metr wysoko, przesłaniając wszystko w zasięgu wzroku. Archie odwrócił się w lewo, powoli, centymetr za centymetrem przesuwał promień latarki po gęsto zbitych roślinach. Potem w podobny sposób zbadał teren na wprost, a następnie ze swojej prawej strony. Po lewej ręce miał Henry’ego, po prawej jednego z policjantów. Kolejny policjant, a razem z nim czterej ochotnicy z ekipy poszukiwawczo-ratowniczej przeczesywali las w przeciwnym kierunku. Nawet ornitolog Monroe dostał latarkę. Jak dotąd znaleźli tylko martwego ptaka, na wpół zjedzonego przez mrówki, pustą butelkę po mountain dew i trochę psich odchodów.

Susan też pożyczyła dla siebie latarkę, ale niosła ją w zębach,

gryzmołąc jak wściekła w swoim notesie. Archie chciał, żeby napisała dla niego artykuł; nie ustalił jeszcze tożsamości ofiary z parku, a lokalne media zupełnie nie poświęciły tej sprawie uwagi, jeśli nie liczyć jednoakapitowej wzmianki w lokalnej części „Heralda”. Tymczasem Archiemu potrzebny był rozgłos. I to niemały.

Na lewo. Na wprost. Na prawo. Sheridan zatrzymał się, uklęknął w błocie i rozgarnął kłęb splecionych pędów bluszczu i powoju, chcąc zajrzeć pod spód. Mokre łądygi były ciężkie i stawiały zacięty opór jego dłoniom, poobcieranym i brudnym, wyglądającym tak, jakby ich właściciel został zakopany żywcem i sam wygrzebał się na wolność.

– To czysta głupota. – Usłyszał głos Henry’ego.

I musiał się z tym zgodzić. Przecież mogli wrócić rano. Jeśli gdzieś tutaj naprawdę leżały jakieś zwłoki, to dwanaście godzin nie robiło absolutnie żadnej różnicy. Ale Archie koniecznie chciał to sprawdzić. Jeśli gdzieś tutaj naprawdę była jakaś martwa kobieta, chciał ją znaleźć. Był gotowy szukać jej całą noc. Wolał to niż powrót do domu: tak było łatwiej.

Spojrzał w świetle latarki na zegarek. Poszukiwanie trwało już prawie godzinę.

Gdzieś w pobliżu zaszczekał pies. Archie uniósł głowę, dostrzegając na ścieżce ciemną sylwetkę człowieka i zarys ciała zwierzęcia. Opuścił latarkę, kierując promień światła na czworonoga. W ciemności zaślniły jego oczy, dwie srebrne kule.

– Wabi się Cody – usłyszał kobiecy głos jego opiekunki. – A ja jestem Ellen. Który z panów to Sheridan?

– Ja – powiedział Archie.

Kobieta imieniem Ellen podeszła do niego, wspinając się po stoku. Pies

trzymał się grzecznie mniej więcej metr za nią. Policjanci oświetlili nowo przybyłą drogę latarkami, a Archie miał chwilę, żeby się jej przyjrzeć. Była to roślakobieta, wysoka i nieco tęgawa, o wydłużonym, dominującym sylwetkę tułowiu. Szła zamaszystym, męskim krokiem. Włosy miała związane w koński ogon, a strój dostosowany do pogody: wysokie kalosze, żółte nieprzemakalne spodnie i pikowana puchowa kurtka. Tak wygląda portlandzki czerwiec.

Wyciągnęła rękę do Archiego, a on uścisnął jej dłoń.

– W porządku – zaczęła. – Powiem panu, jak to będzie wyglądać. Spuszczę Cody’ego ze smyczy, a on obiegnie okolicę, poszuka tropów. Jeśli coś znajdzie, położy się na ziemi, o, tak: Cody, wystaw. – Spojrzała na psa, a on padł na brzuch, wydając z siebie krótkie wycie. Ellen uniosła z powrotem głowę. – Wtedy ja go pochwalę, a wy możecie podejść i sprawdzić, co znalazł.

Archie wiedział, jak wygląda praca z psem-tropicielem zwłok. Kiedyś Gretchen zamordowała pewnego mężczyznę, okaleczając go mocno: serce i śledzionę zostawiła na łóżku w motelu w północnej części Portland, zamknięte w pudełku po butach przewiązanym czerwoną wstążką, na której wisiała okolicznościowa karteczka zaadresowana do detektywa Archiego Sheridana. Obsługa motelu natychmiast zadzwoniła na policję. Gretchen zawięła wycięte organy w folię plastikową, ale krew wyciekła i kartonowe pudełko nią nasiąkło. Po otwarciu go Archie wezwał fachowca z psem, aby odnaleźć inne szczątki, które przypuszczalnie mogły znajdować się w pobliżu. Okazało się to strzałem w dziesiątkę. Pies wywęszył język ofiary, który był w maszynie do robienia lodu, i penis, podłożony w skrzynce do zwracania kluczy. Odnalazł też resztę jego ciała

– w śmietniku należącym do sąsiadującej z motelem restauracji.

– Zakładając, że tutaj w ogóle są jakieś zwłoki – powiedział Henry – to ile to może potrwać?

– Może kilka minut – odparła Ellen. – Może kilka dni.

– Dni – powtórzył Henry.

– Albo i dłużej. – Pochyliła się, odczepiając smycz od obroży. – Cody, szukaj.

Pies zwiesił nos nad samą ziemią i zaczął szperać w leśnym poszyciu.

Susan wystąpiła o krok, wyjmując z ust latarkę.

– Jak długo pracuje pani w ekipie poszukiwawczo-ratowniczej? – zapytała.

– Nie pracuję w policji – odparła Ellen.

– Pani jest ochotniczką – wyjaśnił Archie. – Nie mamy pieniędzy na ekipę z psem-tropicielem, więc ludzie tacy jak pani kończą razem ze swoimi podopiecznymi specjalne kursy i pomagają nam ochotniczo.

– Pracuję w Home Depot* [Home Depot – amerykańska sieć hipermarketów budowlanych (przyp. tłum.)] – poinformowała ją Ellen.

– Kilka dni temu znaleźliśmy w tej okolicy zwłoki, około czterystu metrów stąd w dół strumienia – powiedział Archie. – Czy to mu będzie przeszkadzać w pracy?

– Usunęliście te zwłoki? – zapytała Ellen.

– Tak – potwierdził.

– W takim razie nie powinno być problemu. Uwaga – ostrzegła nagle, zwracając latarkę na Cody'ego, leżącego na ziemi niecałe dwa metry od miejsca, które Archie i Henry niedawno przeszukali. – Dobry pies – powiedziała, podchodząc do zwierzęcia, biorąc go z powrotem na smycz i

energicznie głaszcząc po łbie.

Miejsce wskazywane przez Cody'ego było zarośnięte dzikimi pędami. Archie zbliżył się, opadł na czworaki.

– Poświęćcie tutaj – zakomenderował, a wszyscy zaczęli kolejno podchodzić, gromadząc się wokół niego: Susan, ornitolog, Henry, Ellen, policjanci, członkowie ekipy poszukiwawczo-ratowniczej. Każdy kierował latarkę na miejsce, gdzie położył się pies; po chwili dziesięć żółtych kręgów zlało się w jeden. Powoli, metodycznie, uważając, żeby nie poruszyć niczego, czego nie należało poruszyć, Archie rozgarnął gołymi rękami pędy powoju i bluszczu, a potem zaczął wyrywać je z korzeniami, odrzucając na bok. Kiedy oczyścił już całą powierzchnię, wyprostował się, nie wstając z klęczek.

Susan pochyliła się.

– Tutaj nic nie ma – powiedziała.

– Mamy szukać pod ziemią, piesku? – zapytał Archie, zwracając się do Cody'ego i drapiąc go ubłoconą ręką między uszami. – Zakopali je, tak?

Cody przekrzywił łeb i spojrzał na detektywa, a potem odwrócił wzrok, wskazując nagi, oczyszczony z roślin płat ziemi.

– Przyniosę łopaty – zaoferował się któryś ochotnik z ekipy poszukiwawczo-ratowniczej i ruszył w stronę ścieżki, robiąc przy tym wielki hałas.

Archie przyjrzał się błotnistej ziemi, żwirowatej, pełnej drobnych kamieni i korzeni roślin. Podniósł jeden z tych kamyków, obrócił go w palcach. Był lekki i porowaty. Dotknął nim języka.

– Dlaczego jesz ten kamień? – zapytała Susan.

– To nie kamień – odparł Archie. Kamień byłby cięższy, a nie

porowaty, poza tym nie przykleiłby się na ślinę. – To kość.

Cody zaskomlił, szarpiąc się na smyczy.

Archie spojrział na psa, myśląc, że zwierzę, które potrafi pokruszyć kości w taki sposób, z całą pewnością nie mogło mieć sierści o włosach koloru blond, takich, jakie znaleźli w ptasim gnieździe. Co oznaczało, że trzeba szukać jeszcze jednych zwłok.

– Spuść go – powiedział do Ellen, a ona odpięła Cody'emu smycz. Pies zerwał się z miejsca i pomknął przed siebie z nosem przy ziemi. Przebiegł około dziesięciu metrów w górę zbocza i położył się tak jak poprzednio.

Archie chwycił swoją latarkę i wspiał się za nim, ledwie zdając sobie sprawę z tego, że reszta idzie w jego ślady; prawie nie widział promieni światła podrygujących w ciemności lasu. Stok wzgórza porastały gęsto paprocie tak gigantyczne, jakby pieniały się w tym miejscu od czasów prehistorycznych. Archie piał się do góry, chwytając ich pierzaste liście i przytrzymując się ich. Na dłoniach zostawały mu mikroskopijne ziarenka. Dotarłszy w końcu do miejsca, które wskazał Cody, ukląkł na ziemi, a pies polizał go po twarzy, po czym znów zaczął skomleć, trącając nosem liście olbrzymiej paproci przylegającej do krzywego pnia cedru wyrastającego ze zbocza pod kątem. Archie wyciągnął rękę, żeby odsunąć liście na bok, kierując promień latarki pod spód.

– Widzisz coś? – zawołał Henry za jego plecami.

– Widzę – potwierdził.

Szkielet nie był kompletny, ale z całą pewnością należał do człowieka. Archie dostrzegł jedną stopę, obciążoną ciemną, schropowaciałą skórą. Prawdopodobnie właśnie przez tę skórę żadne zwierzę jej nie tknęło, bo łydki były objedzone do czysta, przez co sama stopa przypominała

groteskowy but. Archie przesunął promień latarki trochę głębiej i zobaczył to, co zostało z twarzy: ściągniętą, pomarszczoną skórę, gęstą sieć pęknięć na policzku, szerniałe wargi, oczodół, na wpół zmiażdżoną czaszkę. A na tej czaszce wiły się kołtuny blond włosów, wciąż głęboko zakorzenionych w odwodnionej skórze.

– Jesteś – powiedział cicho.

Po jego bokach wyrosli Susan i Henry. Susan przyklękła tuż obok, dotykając nogą jego nogi. Zauważył, że zaczyna się przyzwyczajać do jej obecności w pobliżu.

– Trzy ciała w odległości stu metrów od siebie – podsumowała dziennikarka, trzymając długopis przyciśnięty do kartki notatnika. – Czy te zgony coś łączyło?

– Być może tak – odparł Archie – a być może nie.

Omiótł wzrokiem mroczną gęstwinię. Przestało już padać, a chmury rozstały się, ukazując jasny sierp księżyca. Daleko, pomiędzy drzewami, lśniły światła domu stojącego na skraju lasu.

– Dowiedźcie się, kto tam mieszka – polecił Henry’emu – a potem zapytajcie, czy mają rozdrabniarkę do drewna.

Susan szła krok w krok za Henrym, z trudem nadażając. Na miejsce zbrodni przyjechał już lekarz sądowy; kilka chwil przed nim zjawili się technicy kryminalni i kolejny oddział policjantów, w sile ponad dziesięciu ludzi. Cały obszar oświetlono i ogrodzono. Technicy zabrali się do poszukiwania fragmentów pokruszonych kości, przesiewając ziemię sitami. Susan nie pozwolono wejść za żółtą taśmę, a Archie był zbyt zajęty, żeby dało się z nim porozmawiać, postanowiła więc przyczepić się do Henry'ego. Nie pytając o zgodę.

– Posłuchaj mnie – oznajmiła łanowi przez komórkę, którą przyciskała do ucha. – Zdążę z tym tekstem. Przyjadę za godzinę.

Zerknęła na zegarek, ale było za ciemno, więc zbliżyła telefon do nadgarstka, odczytując godzinę w blasku wyświetlacza. Dwudziesta druga. O jedenastej drukarnię opuszczały wydania peryferyjne, ale numer lokalny, kolportowany o świcie, szedł do druku dopiero o drugiej nad ranem, Susan miała więc mnóstwo czasu. Poza tym chciała, żeby łan czuł się dopieszczony – przynajmniej dopóki nie ukaże się jej artykuł o Molly i senatorze.

Henry wspinał się szybkim krokiem po betonowych schodach prowadzących z parku na ulicę. Czyżby próbował się wymknąć?

Przyłożyła telefon z powrotem do ucha.

– Robimy serię o tragicznej śmierci senatora – usłyszała głos łana. – Osiem artykułów. Twój tekst mogę dać w części lokalnej, na jedyńce. Na dole.

– Na dole pierwszej strony?

– W pobliżu Sisters wybuchł pożar – wyjaśnił Ian. – To jest temat dnia w wiadomościach lokalnych.

Susan sadziła po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz.

– Znaleziono trzy ciała – zgrzytnęła z irytacją do słuchawki. – Jak to możliwe, że to nie jest temat dnia? Kogo obchodzi, że gdzieś w centralnym Oregonie wybuchł pożar?

– Od razu widać, że nie masz tam domu – parsknął naczelny. – Poza tym nie wiadomo, czy ofiary cokolwiek łączyło – dodał. – A tak w ogóle, to kto to był? Nikt.

Dookoła rozżarzonych żółtym światłem latarni kłębiły się owady, szturmując szklane klosze i odbijając się od nich bezsilnie. One tak pewnie przez całe życie, pomyślała Susan. Raz po raz wałą głową w szybę osłaniającą jasną żarówkę.

– Nikt? – powtórzyła.

– Podobno tamta pierwsza to była prostytutka – odparł Ian znudzonym tonem. – Dwie następne pewnie tak samo. prostytutki albo bezdomni. Tacy nikogo nie obchodzą, Susan. Sprzedaż gazet nakręcają zgony polityków, a nie morderstwa dziwek.

– Scheer był maniakiem seksualnym i gwałcicielem – przypomniała mu, usiłując nadać swojemu głosowi brzmienie stanowcze, nieugięte jak stal.

– Nie napiszemy o tym w momencie, kiedy cały stan go oplakuje – uciał.

Czasami Susan nie potrafiła sobie przypomnieć, jak to się stało, że kiedyś z nim sypiała. (A chodziło o to, że raz pozwolił jej potrzymać swojego Pulitzera).

– Jesteś hipokrytą, łan – oznajmiła.

– Skoro mam cię już na linii – puścił ten komentarz mimo uszu – to jest pewna sprawa. Nasi researcherzy nie mogą skontaktować się z Molly Palmer. Wciąż włącza się tylko poczta głosowa. Masz do niej jakiś inny numer?

Susan poczuła, jak żołądek ściska jej się w twardą kulę, ale mimo to zmusiła się do odpowiedzenia jeszcze zuchwalszym tonem:

– Ona jest striptizerką, łan. Nie nosi telefonu przy sobie, kiedy paraduje nago.

Zanotowała sobie w pamięci, że musi dotrzeć do Molly, zanim ta panikara pograży jej artykuł.

– Kończę – poinformował ją szef.

Słuchawka umilkła. Susan wsadziła telefon z powrotem do kieszeni bluzy i jęknęła, sfrustrowana. I to by było na tyle, jeśli idzie o dopieszczanie lana, pomyślała.

– To się nazywa „życie o wysokim współczynniku ryzyka” – powiedział Henry, który zatrzymał się u szczytu schodów, najwyraźniej czekając na nią.

– Co? – zapytała, pokonując biegiem ostatnich kilka stopni. Stała obok niego, zgięta wpół, dysząc ciężko i łapiąc oddech. Chwilę to trwało. Jej trampki przypominały dwie grudy błota. Kolejne buty do wyrzucenia i znów przez tę robotę...

– prostytutki – wyjaśnił Henry. – Narkomani. Bezdomni. Wszyscy prowadzą tak zwane życie o wysokim współczynniku ryzyka. A my, kiedy któryś z nich oberwie, dajmy na to, widelcem w szyję, szukamy takiego delikwenta intensywnie przez kilka dni, a potem bierzemy się do

pilniejszej roboty, na przykład zajścia z udziałem prymusów jakiejś uczelni. – Znów ruszył przed siebie. – Wiesz, ilu nastoletnich czarnych gangsterów i prostytutek ginie tragiczną śmiercią, a twój „Herald” poświęca im najwięcej jedną linijkę?

– A Heather Gerber? – zapytała, doganiając go i wygrzebując gorączkowo swój notatnik.

Heather była pierwszą ofiarą Gretchen Lowell. Uciekła z domu. Żyła na ulicy. Była prostytutką. Jej ciało także znaleziono w parku. „Herald” z całą pewnością o tym pisał.

Henry wetknął dłonie do kieszeni, przyspieszając kroku. Chodnik był mokry, ale on nie omijał kałuż, tylko przechodził przez nie, chlapiąc wodą dookoła.

– Twoja gazeta miała Heather w bardzo głębokim poważaniu, dopóki Archie nie skojarzył jej z innymi ofiarami. Wtedy wszyscy nagle uświadomili sobie, że w mieście grasuje seryjny morderca. Heather była zwyczajną NN: nazwisko nieznane. Potem napisał o niej Parker, a ten artykuł przeczytała jej rodzina zastępcza. Okazało się, że zaginęła rok wcześniej, a oni nawet tego nie zgłosili. Siedzieli cicho i tylko inkasowali za nią forszę. Wiesz, kto zapłacił za jej pogrzeb?

– Nie. – Chodnik prowadził pod górę, wzdłuż ulicy biegnącej skrajem parku. Stojące przy niej domy dotykały ściany drzew. Aktualne przepisy nie pozwalały budować tak blisko terenów zielonych, ale te zabudowania były stare i najwidoczniej podpadły pod klauzulę dopuszczającą wyjątki od obowiązujących rozporządzeń. Ich jasno oświetlone drewniane werandy były przestronne; stały na nich huśtawki i donice z pelargoniami. W powietrzu unosił się zapach jeżyn.

– Archie pokrył wszystkie koszty – powiedział Henry, dodając szybko, jakby chciał wytłumaczyć kolegę: – To było jego pierwsze morderstwo.

– Ale sprawa formalnie wciąż nie jest zamknięta, prawda? – dopytywała się Susan.

– Gretchen ją zabiła – oznajmił z przekonaniem Henry. – Tylko jeszcze się do tego nie przyznała.

Niedaleko przed nimi zatrzymał się subaru kombi. Wysiadł z niego mężczyzna w sportowym stroju, który wypuścił z samochodu dwa spore psy i zniknął z nimi pomiędzy drzewami, aby zażyć nocnego joggingu.

– Czy to dlatego Archie przez tyle czasu odwiedzał ją w więzieniu? Bo chciał zamknąć tamtą pierwszą sprawę?

Henry milczał przez chwilę.

– Nie – odpowiedział wreszcie.

Ciekawe, pomyślała Susan, czy Archie rozmawia z nim o Gretchen. Przypomniała sobie, jak pisząc swoją serię artykułów o Sheridanie, była świadkiem jednej sesji z osadzoną morderczynią i tego, co zrobił Henry, kiedy Gretchen dotknęła ramienia Archiego: momentalnie wpadł do pokoju przesłuchań i odciągnął ją siłą od swojego partnera, zupełnie jakby się obawiał, że ta kobieta może go czymś zarazić. Susan bała się jej panicznie, a mimo to była urzeczona tym, jak swobodnie i z jaką zażyłością ona i Archie odnoszą się do siebie. Wyczuwało się pomiędzy nimi pewną intymność, którą w najlepszym razie można było nazwać niepokojącą.

Chodnik był stary i powybrzuszany przez korzenie drzew. Susan i Henry szli ostrożnie, patrząc pod nogi.

– Nie trzeba się było godzić na umowę z obroną – powiedział detektyw

cicho, jakby mówił do siebie. – Powinniśmy pozwolić prokuraturze stanowej z Waszyngtonu doprowadzić sprawę do końca. Do tej pory już by dali jej czapę.

– Archie zamknął za to trzydzieści jeden śledztw – przypomniała mu Susan.

Henry zatrzymał się gwałtownie przed jednym z domów, zwalistym kolosem oszalowanym brązowymi deskami, który wyglądał tak, jakby zbudowano go najpóźniej w latach czterdziestych XX wieku. Światło ulicznych latarni wydobyło z mroku zarys jego twarzy. Sprawiał wrażenie zmęczonego. Skórzana kurtka lśniła od deszczu.

– Nie znałaś go przedtem – powiedział krótko.

Co racja, to racja – trudno jej było sobie wyobrazić, żeby Archie Sheridan kiedykolwiek mógł czuć się naprawdę szczęśliwy.

– Parker dużo pisał o sprawie Wirtuoza, prawda? – zapytała dziennikarka.

– Przez te wszystkie lata wypuścił setki artykułów. – Henry wzruszył ramionami. – Albo i tysiące, Bóg jeden to wie.

Parker to był reporter starej szkoły. Gdyby tylko mu pozwolili, pewnie dalej pisałby na maszynie. I prawdopodobnie miał notatki. Całe pudła notatek, bezcennych dla kogoś, kto, powiedzmy, chciałby kiedyś napisać książkę o pościgu za Wirtuozem. Susan liczyła na to, że artykuł o Molly Palmer wyrobi jej silniejszą pozycję w redakcji i, co niewykluczone, będzie mogła wziąć płatny urlop.

– Czy Parker wspominał może kiedyś, gdzie trzyma swoje notatki? – zagadnęła.

Henry przyglądał jej się przez chwilę, a potem westchnął, unosząc

brwi.

– Już prawie zapomniałem – powiedział, wyciągając z kieszeni odznakę. A potem, bez ostrzeżenia, zaświecił Susan latarką prosto w twarz.

Wzdrygnęła się, zasłaniając oczy przed oślepiającym światłem.

– O czym zapomniałeś? – zapytała.

– Że zależy ci bardziej na twoich artykułach niż na ludziach – odparł krótko, wyłączając latarkę. – Ja będę mówił – zapowiedział i zapukał do drzwi domu, przed którym przystanęli.

Czekali w milczeniu. Susan aż gotowała się ze złości. Nie zapytała o to dlatego, że była niewrażliwą egoistką. Przeciwnie, obchodził ją Archie Sheridan. I wcale nie chciała napisać jakiejś chały. To już było. Marzyła jej się książka z prawdziwego zdarzenia. Inteligentna, frapująca, pouczająca. Czy to aż tak wstrętne?

– Nie chciałam... – zaczęła.

– Cicho – przerwał jej Henry, unosząc dłoń.

Na ciemnej werandzie zapaliło się światło, plamiąc ciemność na żółto. Drzwi otworzyły się i stanęła w nich kobieta w starszym wieku. Siwe włosy miała rozpuszczone i była ubrana w wełnianą koszulę zdobioną indiańskimi symbolami.

– Słucham? – zapytała.

Henry zbliżył się do niej, okazując odznakę.

– Dobry wieczór pani. Jestem detektywem, nazywam się Sobol. Chciałbym zadać pani kilka pytań. – Uśmiechnął się uprzejmie. – Czy mieszka pani w tym domu?

– Owszem, synku. – W jej bladoniebieskich oczach lśniły bystrość i

wesołość. – Od pięćdziesięciu czterech lat.

– Czy ostatnio zauważyła pani może w okolicy coś dziwnego? – Henry przetarł łysą czaszkę dłonią. – Może coś się działo w parku?

Zmarszczki na twarzy kobiety pogłębiły się nagle.

– Czy to ma jakiś związek ze śmiercią senatora?

– Nie, proszę pani – uspokoił detektyw. – Znaleźliśmy w lesie pewne szczątki.

– Jakie szczątki? – Nie dała za wygraną. Henry odchrząknął.

– Ludzkie.

Starsza kobieta odwróciła się, wyciągając szyję w stronę parku. Potem jej spojrzenie padło na Susan, która zrobiła, co mogła, żeby uśmiechnąć się równie uprzejmie jak Henry.

– To pana żona? – zapytała właścicielka domu.

Dziewczyna parsknęła śmiechem.

– Nie, proszę pani – odparł detektyw. – To dziennikarka. Susan zademonstrowała swój notatnik, drugą ręką machając na powitanie.

– A więc czy działo się tutaj ostatnio coś niezwykłego? – Henry wrócił do zadawania pytań, przestępując w zakłopotaniu z nogi na nogę. – Jakies hałasy? Może specyficzne zapachy?

Może ktoś z rodziny zaginął, pomyślała Susan, ale nie powiedziała tego na głos.

Kobieta zastanawiała się przez chwilę nad pytaniami Henry'ego.

– Bill od jakiegoś czasu dziwnie się zachowuje – powiedziała wreszcie.

– To pani mąż?

– Mój pies. Pudel – uściśliła.

Susan zauważyła drgnięcie kącików ust detektywa.

– Dziwnie, czyli jak? – chciał wiedzieć Henry. Kobieta zmarszczyła czoło.

– Stoi przed budą. Czasem szczeknie. I nie pozwala mi podejść.

– Wypuszcza go pani do parku?

– Sam czasem przeskakuje przez płot – odpowiedziała. – Ale zawsze wraca.

– A gdzie jest teraz?

Kobieta pokazała gestem, żeby poszli za nią, i poprowadziła ich za dom, drepcząc po starej, wąskiej ścieżce wyłożonej cegłami. Na nogach miała futrzane kapcie i Henry zbliżył się, idąc krok za jej plecami, na wypadek gdyby się poślizgnęła na mokrej, nierównej powierzchni. Wzdłuż ścieżki stały małe lampki na baterie słoneczne, które praktycznie nie dawały światła poza słabym bladoniebieskim ómieniem. Starsza pani szła jednak pewnie i nie potknęła się ani razu.

Za domem było podwórze otoczone płotem z cedrowych desek. Znajdowała się w nim furtka, która przy otwieraniu wydała rdzawe westchnienie. Panowały tam egipskie ciemności, w których nagle zniknęła gospodyni. Henry włączył z powrotem swoją latarkę.

– Proszę pani! – zawołał.

W tym momencie zapłonęła mocna lampa, wydobywając z mroku zarośnięte bluszczem podwórze i właścicielkę domu, stojącą na tylnej werandzie.

– Bill – rzuciła starsza pani w powietrze – ktoś chce cię poznać.

Susan rozejrzała się za psem. Połowa podwórka była zalana pędami bluszczu, które przepelzały zza płotu, od strony parku, niczym nieustępliwa zielona fala. Oczywiście, można było je podciąć, ale to by nic

nie dało – płożyłyby się dalej, zabierając kilka centymetrów dziennie, aby znów wszystko pokryć. Dopiero słysząc szczekanie, dziennikarka uświadomiła sobie, że psia buda też jest do połowy schowana pod płataniną zielonych pnączy. W otworze wejściowym stał duży czarny pudel. Był świeżo wyszczotkowany, a sierść miał przyciętą i ułożoną w mnóstwo małych pęczków i kuleczek; efekt przywodził na myśl jakiś dziwny żywopłot.

Susan zauważyła, że Henry skrzywił się nieznacznie.

– Czy ten pan Bill jest łagodny?

– Jak baranek – zapewniła jego pani.

Henry potrząsnął głową, przygarbił się i pomaszerował w kierunku budy. Bill zawarczał. Henry stanął w miejscu.

– Jak baranek? – powtórzył.

– Nie daj mu się zastraszyć, synku – poradziła starsza pani. – Nie masz przypadkiem w domu kota, co?

– Trzy – odparł Henry.

Właścicielka czarnego pudła cmoknęła językiem.

– Bill nie lubi kotów – oznajmiła złowróźbnym tonem.

– Susan – zawołał policjant – mogę prosić o wsparcie? Dziennikarka zawahała się; nigdy w życiu nie miała żadnego zwierzaka.

– Nie bardzo radzę sobie z psami – wyznała.

– Chodź tutaj, cholera jasna – rozkazał Sobol. Powoli zbliżyła się do pudła.

– Cześć, Bill – przywitała się. – Dobry piesek. – Wyciągnęła rękę, żeby mógł ją sobie obwąchać. – Dobry, miły piesek.

– Nie radzę go dotykać! – zawołała starsza pani, która nie ruszyła się na

krok z werandy.

Susan zamarła. Pies spojrzał na jej zawieszoną w powietrzu dłoń i wyszczerzył zęby. Nie warczał. Nie wydał z siebie najmniejszego dźwięku.

– Pewnie wystraszył się twoich włosów – uznał Henry, przeciskając się obok niego, usiłując jednocześnie trzymać się z dala i podejść na tyle blisko, żeby móc zaświecić latarką do środka budy. Opadł na kolana i w jakiś sposób udało mu się wcisnąć potężne bary w otwór wejściowy. Po chwili wycofał się, usiadł wprost na ziemi, tuż obok Billa i wystukał numer na klawiaturze komórki.

– Archie – powiedział do słuchawki – to ja. Ta blondynka... – Urwał, przetarł twarz. – Powiedz mi, czy ona nie ma jednej dłoni?

– Tak. – Susan usłyszała głos Sheridanana.

Henry obejrzał się przez ramię na ciemny otwór wejściowy psiej budy. Potem spojrzał na Susan. Pies zawarczał, łypiąc na nich podejrzliwie.

– Znalazłem ją – poinformował Henry swojego dowódcę.

Starsza pani nazywała się Trudy Schuyler. Susan zapełniła kilka stron swojego notatnika informacjami na jej temat. Jej mąż zmarł przed pięcioma laty. Nie miała rozdrabniarki do drewna. Nie знаła w okolicy żadnego chłopca odpowiadającego opisowi, który podał Archie. Pracowała kiedyś w drogówce, wystawiając mandaty za nieprawidłowe parkowanie, ale już od dwudziestu lat była na emeryturze. Miała trójkę dorosłych dzieci. Jeśli chodzi o Billa, to policja wzięła go na obserwację, na wypadek gdyby kudłaty żywopłot połknął jakiś istotny dla śledztwa trop, obgryzając, dajmy na to, kość promieniową denatki. To właśnie mając na względzie, technicy kryminalni wyczyścili podwórze z psich odchodów, które następnie zapakowali w torebki. Na tym etapie Susan odłączyła się od ekipy.

O pierwszej w nocy w budynku „Heralda” nie dzieje się zbyt wiele. Tak zwani łowcy karetek, czyli adwokaci szukający klientów na pogotowiu (których, jako że byli pod ręką, poproszono o pomoc przy numerze specjalnym o wypadku senatora Scheera i Jeffersona Parkera), leżeli już grzecznie w łóžeczkach. Nawet sprzątacze zdążyli skończyć pracę. Ochroniarz wpuścił Susan bramą dostawczą. Dziennikarka wjechała windą na czwarte piętro. Zastała lana w jego gabinecie. Siedział tam w towarzystwie adiustatora, redaktora od nagłówek, projektanta i fotoedytora; wszyscy zostali wezwani służbowo, żeby pomóc w zapieciu numeru. Wyglądali na zmęczonych i podirytowanych. Susan starała się tak nie wyglądać, przeciwnie, robiła, co mogła, żeby sprawiać radosne wrażenie. Nie mogła już dłużej wkurzać lana. Nie było szans, żeby

wkurzony Ian dopuścił do druku artykuł o Molly Palmer. Żeby coś zyskać, należało być dla niego miłą. Zupełnie postrzelony pomysł, ale mógł się opłacić.

Włączanie tekstu do numeru w ostatniej chwili nosiło nazwę wyścigu z czasem, ponieważ sytuacja wyglądała następująco: kiedy tylko Susan skończy pisać, drukarnia zatrzyma prasy, włoży się na walec świeżą płytę drukową i puści maszyny od nowa. Wszystko wskazywało na to, że Susan Ward będzie miała tekst w numerze o tragicznie zmarłym senatorze. Tylko że nie będzie to ten, który chciała w nim zobaczyć.

Ruszyła w stronę gabinetu Iana, ale szef dostrzegł ją przez szklaną ścianę, zatrzymał jednym gestem, a następnym odesłał na stanowisko pracy, wskazując palcem zegarek.

Posłusznie poczłapała do swojego biurka. Rzuciła torebkę na podłogę, położyła notatnik obok klawiatury i zadzwoniła do Molly Palmer. Nic. Wiedziała, że Ian nie puści jej tekstu, jeśli nie będzie on zapięty na ostatni guzik, a każda informacja trzy razy sprawdzona. Tymczasem włączyła się poczta głosowa; Susan postanowiła się nagrać.

– Molly, musisz do mnie oddzwonić – powiedziała z naciskiem. – Poważnie.

Owinęła sobie palec kablem od słuchawki, zaciskając go tak mocno, że aż krew wezbrała sino pod skórą.

– Wszystko będzie dobrze – zapewniła. – On nie żyje. Ujawnijmy tę historię.

Pomyślała o całym medialnym piekle, przez które Molly będzie musiała przejść. „Zależy ci bardziej na twoich artykułach niż na ludziach”, powiedział Henry Sobol.

Susan przygryzła wargę.

– Jeśli chcesz się gdzieś zaszyć na jakiś czas, to nie ma sprawy – rzuciła do słuchawki – ale najpierw musisz porozmawiać z kilkoma osobami, dobrze?

Wyplątała palec z kabla i rozłączyła się. Nie wszystkie światła w redakcji były włączone. Wszędzie panował spokój, a żeby sięgnąć okiem przeciwległej strony pomieszczenia, trzeba było mocno wyteńczyć wzrok. Oprócz zgromadzenia w gabinecie lana jedynym człowiekiem na tym piętrze był facet z redakcji sportowej, który siedział przed komputerem ze słuchawkami na uszach, wklepując jakieś dane, które chyba nawet jego nic nie obchodziły.

Susan zaczęła wściekle łomotać w klawisze. Pierwsze odnalezione zwłoki: kobieta, NN. Dwie nowe ofiary. Hipotetyczny „morderca z Forest Park”. Parker byłby zachwycony.

Na myśl o zmarłym koledze Susan zamarła z dłońmi wyciągniętymi nad klawiaturą. Oderwała wzrok od monitora i zapatrzyła się w wysokie okno, za którym migotały światła na odległych West Hills.

Odwróciła głowę; na biurku Parkera leżały dwa nowe bukiety. Zaczynało to już przypominać grób. Wstała i poszła do kuchni, gdzie szperała po różnych szafkach tak długo, aż znalazła szklany wazon, puszkę po kawie i trzy wysokie szklanki. Napełniła to wszystko wodą i przeniosła na biurko Parkera; musiała kilka razy wracać. Zrobiła, co było można, żeby jakoś poustawiać zwiędłe kwiaty, ale były już tak miękkie, że załamywały się na krawędziach naczyń, zwisając smętnie.

Kwiaty przypomniały jej Archiego Sheridana. Kiedy nagle zaginął, porwany przez Gretchen Lowell, obcy ludzie przynosili bukiety i wiązanki

przed jego dom; całe podwórko tonęło w kwiatach. Susan przeprowadziła kiedyś wywiad z Debbie Sheridan, a była żona Archiego powiedziała jej, że od tej pory nie znosi zapachu kwiatów, bo kojarzy jej się on ze śmiercią.

Dziennikarka usiadła na fotelu Parkera. Zaczęła obracać się powoli, próbując myśleć tak jak on, odgadnąć, jak on napisałby o morderstwach w Forest Parku. Jej tok myślenia przerwał nagły ból: uderzyła kolaniem w szufladę na dokumenty. Taka szuflada była w każdym biurku, zawsze zamykana na klucz. Susan chowała swój klucz pod kubkiem z długopisami. Tak nauczył ją Parker.

Zajrzała pod stojący na blacie kubek pełen ołówków, ozdobiony emblematem sieci restauracyjnej Hooters – wielkooką sową. Pod spodem leżał mały srebrny kluczyk. Wsunęła go do zamka i przekreśliła. Szuflada wysunęła się cicho. W środku Susan zobaczyła ciasno upchnięte teczki opisane różnymi nazwiskami. Rozpoznawała je po kolei; należały do ludzi związanych ze sprawami, o których pisał Parker. Przebiegła palcami po grzbietach teczek, aż natrafiła na gruby, czarny segregator wetknięty głęboko, przy samej tylnej ścianie szuflady. Na jego grzbiecie widniało jedno słowo, rzucone pochyłym pismem Parkera: „Wirtuoz”.

Bingo.

Susan wyciągnęła segregator z szuflady, przekreśliła klucz w zamku i odłożywszy go na miejsce, wróciła z ciężką zdobyczą do swojego biurka. W tym samym momencie Ian wystawił głowę ze swojego gabinetu i wrzasnął:

- Chciałbym się dziś jeszcze trochę przespać!
- Już kończę! – odkrzyknęła, kładąc czarny segregator na podłogę

obok swojej torebki i przyciskając go opiekuńczo nogą. Z ekscytacji aż się zaczerwieniła, ale było ciemno i nie wydawało jej się, żeby Ian mógł to zauważyć.

Archie wciąż nie miał pewności, dlaczego właściwie pozwolił Sarze Rosenberg się leczyć: dlatego, że potrzebował pomocy, czy dlatego, że chciał mieć wymówkę, aby móc odwiedzać pokój, w którym Gretchen Lowell wzięła go do niewoli, podawszy narkotyk w filiżance kawy.

Spotkania z Sarą stanowiły już cotygodniowy rytuał. Skończyły się niedziele w stanowym więzieniu, oko w oko z Wirtuozem; zamiast tego w każdy poniedziałek Archie zasiadał na godzinę w pasiastym fotelu przed masywnym drewnianym biurkiem Gretchen. Patrzył na jej szafkowy zegar wciąż wskazujący dokładnie tę samą godzinę co wtedy: trzecią trzydzieści. W szczelinie pomiędzy ciężkimi zasłonami z zielonego aksamitu widział jej śliwy, gęsto obsypane liśćmi.

I wiedział, że żadna z tych rzeczy wcale do niej nie należy. Gretchen, posługując się fałszywą tożsamością, wynajęła ten dom od pewnej psycholożki, która wyjechała na wakacje do Włoch. Nie istniał żaden trop, który mógłby doprowadzić tam ekipę szukającą Archiego, ale i tak, jeszcze zanim poszukiwania ruszyły, Gretchen przewiozła go w inne miejsce. Właścicielka domu, doktor Sarah Rosenberg, lekarz psycholog, w swoim czasie wróciła z rodziną z wakacji; dywan, na który Archie wylał swoją doprawioną narkotykiem kawę, zdjęto i wymieniono.

– Chcę dzisiaj porozmawiać o Gretchen Lowell – zaczęła doktor Rosenberg.

To było ich czwarte spotkanie. I pierwszy raz, kiedy pojawiło się nazwisko Gretchen. Archie podziwiał psycholożkę za tę powściągliwość. Uniósł do ust papierowy kubek z kawą, który postawił sobie na poręczu

fotela.

– W porządku – zgodził się, wypiwszy powoli łyk napoju. Było mu ciepło i przyjemnie, a do tego był zamroczony lekami akurat w odpowiednim stopniu, żeby móc się odprężyć, ale nie na tyle, by lekarka zauważyła, że jej pacjent jest na haju.

Sarah Rosenberg uśmiechnęła się lekko. Była to szczupła kobieta o ciemnych kręconych włosach, które nosiła upięte w koński ogon. Mogła mieć o kilka lat więcej od Archiego, chociaż każdy, kto zobaczyłby ich razem, uznałby, że to on musi być starszy. Sheridan lubił ją; była lepsza od policyjnego psychologa, do którego kiedyś chodził przez całe sześć miesięcy. Z drugiej strony fakt był faktem: nie wiadomo czemu, zawsze czuł się swobodniej w rozmowie z kobietami.

– Chcę porozmawiać o tym, jak wyglądało te sześć tygodni, które upłynęły od momentu, kiedy ją poznałeś, do chwili, kiedy zdradziła, kim naprawdę jest – powiedziała doktor Rosenberg.

O tym nie mówiło się głośno; fakt, że Gretchen Lowell przeniknęła do ekipy śledczej i że trwało to tak długo, był solą w oku całego wydziału. Jego pracownicy, łagodnie rzecz ujmując, wyszli na mało rozgarniętych. Archie westchnął, spoglądając w okno za plecami doktor Rosenberg.

– Pewnego dnia po prostu zjawiała się u nas – zaczął. – Przedstawiła się jako lekarz psychiatra. Przeprowadziła w wydziale serię grupowych spotkań, dla tych, którzy potrzebowali porady. A ja zasięgałem jej opinii w kwestii profilu poszukiwanego mordercy. – Potarł dłonią kark, uśmiechnął się lekko. Z kubka unosiła się woń kawy; przyniósł ją ze sobą, ponieważ jeśli tego nie zrobił, to czasami wydawało mu się, że wciąż czuje w tym pokoju zapach bzu. – Jej obserwacje były bardzo wnikliwe.

Sarah Rosenberg nie siedziała za biurkiem, ale obok Archiego, na drugim fotelu, tam, gdzie kiedyś Gretchen. Pochyliła się lekko w przód, zakładając nogę na nogę.

– Na przykład? – zapytała.

Po gałęzi jednej z rosnących za oknem śliw przemknęła wiewiórka, trzęsąc gęstym listowiem. Archie wypił jeszcze jeden łyk kawy i odstawił kubek na poręcz fotela.

– To ona jako pierwsza dała do zrozumienia, że morderca może być kobietą – odparł.

Psycholożka zapisała coś na żółtej kartce notesu, który trzymała na kolanach. Tego dnia miała na sobie luźne czarne spodnie i zielony golf, a jej skarpetki były w tym samym kolorze co kartki w notesie.

– Jak na to zareagowałaś? – spytała.

Archie zauważył, że jego lewa noga zaczęła niespokojnie dygotać. Wbił z całej siły piętę w podłogę.

– To była jedyna ewentualność, której nie wzięliśmy pod rozwagę – przyznał. – Wszystko inne mieliśmy przepracowane.

– Czy udzielała porad także indywidualnie? – chciała wiedzieć doktor Rosenberg.

– Tak.

– A czy ty chodziłeś do niej na takie spotkania?

Archie pomału wyjął z kieszeni swoje pudełeczko na leki, ścisnął je w pięści, a pięść położył na kolanie. – Tak. – I nikt inny oprócz ciebie, prawda?

– Prawda.

Jeśli nawet psycholożka zauważyła, że wyjął pudełeczko, to nie

skomentowała tego ani słowem.

– O czym rozmawialiście? – zapytała.

– O tym samym, co teraz z tobą – odparł Archie. – O mojej pracy. Prawdę mówiąc, przed Gretchen otwierał się bardziej. Dzielił się z nią wszystkim. Tym, że przypląca prowadzenie śledztwa ciężkim stresem. I tym, że z winy tej pracy jego relacje z Debbie stają się coraz bardziej napięte.

– I o moim małżeństwie – dodał. Sarah Rosenberg uniosła brew.

– To musiało być przygnębiające, kiedy się okazało, że wyznałeś takie osobiste rzeczy seryjnej morderczynie.

Przygnębiające. Owszem. Można było tak to określić. Z drugiej strony, zabawna rzecz, dobrze było mieć kogoś, z kim można było pogadać. Szkoda tylko, że ulubioną rozrywką Gretchen było patroszenie ludzi.

– Ona świetnie potrafiła słuchać – powiedział Archie.

– I dlatego spędzałeś z nią więcej czasu niż inni. – Psycholożka spojrzała na niego, unosząc pióro nad kartką.

– Tak – przyznał. – Chyba tak.

– Gdzie odbywały się wasze spotkania? – zapytała. Machnął dłonią dookoła siebie.

– W tym pokoju.

Sarah Rosenberg usiadła prosto, rozglądając się po swoim gabinecie.

– Rozumiem, że zapraszała cię tutaj, żeby omawiać śledztwo, ale dziwi mnie, że spotkania terapeutyczne też odbywały się w jej domu. To raczej rzadkość.

– Dlaczego? Ty robisz tak samo – zauważył.

– Ja jestem psychologiem – przypomniała mu. – Ona mówiła, że jest

psychiatrą. – Zapisała coś w notesie, potrząsając głową.

– Nie była prawdziwym psychiatrą – powiedział Archie. Uniosła wzrok znad kartki.

– Podejrzewałeś ją kiedyś? – zapytała.

I znów to dygotanie nogi. Archie nie walczył już z nim. To było dobre – i całkiem przyjemne – ujście dla wytworzonej nerwami energii. Wziął do ręki swój kubek, ale nie wypił ani kropli.

– Raz. Kiedy zaczął działać narkotyk, który podała mi w kawie – odpowiedział, odstawiając kubek z powrotem i otwierając leżące na kolanie pudełeczko. Wyjął z niego tabletkę i połknął.

– Co to było? – zapytała psycholożka.

– Miętówka – odparł. Uśmiechnęła się do niego.

– Tego się chyba nie łyka w całości.

– Byłem głodny. – Odwzajemnił uśmiech.

Sarah Rosenberg znów pochyliła się lekko. Zdjęła nogę z nogi, ale po chwili znów je skrzyżowała.

– Nie mogę ci pomóc, jeśli nie będziesz ze mną szczery – oznajmiła.

Archie opuścił wzrok, przyglądając się swoim dłoniom. Wydawało mu się czasem, że wciąż jeszcze ma na palcu ślad po obrączce.

– Czasami o niej myślę – powiedział cicho.

– O Gretchen Lowell? – dopytała. Uniósł głowę.

– Fantazjuję o tym, że mam ją w łóżku i pieprzę – wyrzucił z siebie.

Psycholożka odłożyła pióro.

– Przez dziesięć dni byłeś jej więźniem – przypomniała mu. – Byłeś w jej mocy. Być może te fantazje to twój sposób na zdobycie władzy nad nią.

– Mam rozumieć, że to zdrowy objaw?

– Zrozumiały – poprawiła. – To nie znaczy, że zdrowy. – Położyła dłoń na rękę Archiego. Każdy z jej palców ozdabiał jakiś pierścionek. – Chcesz z tym skończyć? Odstawić leki? Poradzić sobie z tym, co przeszedłeś? Być szczęśliwy ze swoją rodziną?

– Tak – odpowiedział.

– Więc pierwszy krok masz już za sobą. Archie potarł dłonią kark.

– A dużo ich jeszcze jest? Psycholożka uśmiechnęła się do niego.

– Już o jeden mniej.

Na biurku w gabinecie Archiego leżało pięć tabletek vicodinu, biały rząd, jak fortepianowa klawiatura. Detektyw zgarnął je wszystkie na dłoń i wrzucił do ust, popijając łykiem zimnej, fusowatej kawy, który zostawił sobie z sesji u Sary Rosenberg.

Był późny ranek, a laboratorium kryminologiczne wciąż jeszcze nie przysłało wyników sekcji znalezionych poprzedniego dnia zwłok. Archie przebiegł oczami nagłówek artykułu Susan Ward w porannym numerze „Heralda”: **TAJEMNICZY CHŁOPIEC DOPROWADZIŁ POLICJANTÓW DO NOWYCH OFIAR**. Nie udało jej się załapać z tym nawet na pierwszą stronę. Tekst poszedł w części lokalnej, a nieustający zalew informacji na temat śmierci senatora Scheera przesłonił go zupełnie. Archie liczył na to, że rodzice „tajemniczego chłopca” przeczytają to, co napisała Susan, i zorientują się, o co chodzi; mógłby wtedy przynajmniej udowodnić Henry’emu, że nie zwariował. Tymczasem mieli w areszcie czarnego psa pudła – na wypadek gdyby wydał jakieś dowody.

Archie przyłożył dłoń do prawego boku; znów odezwał się ten uporczywy ból. Vicodin nie pomógł.

Otworzył szufladę i spojrzał w oczy Gretchen. Specjalnie wrócił w nocy po książkę schowaną za pniem. Tłumaczył to sobie na różne sposoby: nie wolno śmiecić, nie można pozwolić, żeby znaleźli ją technicy kryminalni, trzeba ją spalić, bo to będzie najlepszy koniec tej sprawy, i tak dalej, i tak dalej. Ale jeśli to była prawda, w takim razie po co przyniósł ją do pracy, oczyścił z błota i schował do szuflady?

Raul Sanchez wetknął głowę przez drzwi. Archie szybko zatrzasnął szufladę. Agent zdążył już zamienić czapkę i kurtkę z napisem FBI na krawat i brązowy garnitur. Prawie nie było widać, że krawat nie jest wiązany, tylko przypinany.

– To na spotkanie z burmistrzem – wyjaśnił. – Planują już wielki publiczny pogrzeb Scheera w parku Waterfront. Będą przemowy, baldachimy i wszystkie szczy, cała choinka. – Uśmiechnął się, zadowolony, że tak mu się udał ten żart z choinką. – Korci w całym śródmieściu.

– Zanotuję sobie, żeby wyjechać z miasta – powiedział Archie. Nie zniósłby w obecnej chwili widoku ludzi lejących łzy za Scheerem; czuł, że to byłoby nieco ponad jego siły.

– A wybierasz się na pogrzeb Parkera? – zapytał Sanchez.

– Tak – odparł. Parker miał być pochowany jeszcze dziś, po południu. Bez baldachimów. Bez policyjnych kordonów. Jego rodzina musiała poruszyć niebo i ziemię, żeby załatwić wszystko w takim tempie. Archie domyślał się, dlaczego tak im zależało na pośpiechu.

Sanchez spojrzał na niego z wahaniem w oczach, a potem uniósł rękę i potarł dłonią kark.

– Parker miał dwa i cztery dziesiąte promila alkoholu we krwi. – Posłał

Archiemu znaczące spojrzenie, z chrzęstem przeczesując brodę palcami. – Pomyślałem sobie, że chciałbyś to wiedzieć.

– Kurwa... – westchnął Archie, zamykając oczy i myśląc, że w takim razie pogrzeb Parkera nie odbędzie się ani o dzień za wcześnie.

– Poczekamy, aż chłopą pochowają – pocieszył go Sanchez. – Podamy to do wiadomości publicznej dopiero jutro.

– Dzięki – powiedział Archie, a widząc, że agent odwraca się i zbiera do odejścia, dodał szybko: – Dostałeś moją wiadomość? Pisałem ci, w jakiej sprawie Parker spotkał się z Scheerem. Susan Ward ma o tym cały artykuł.

– Popieprzona sprawa – przyznał Sanchez, odwracając się z powrotem w prog. – Ale wyników badania krwi to nie zmienia. – Wzruszył ramionami.

Archie westchnął, odchylając się na oparcie fotela i krzyżując ręce na piersi. W kieszeni spodni czuł swoje pudełeczko na lekarstwa, przyciśnięte do uda. W szufladzie biurka czekała uśmiechnięta Gretchen Lowell.

– Faktycznie – mruknął pod nosem.

Susan wzięła w palce fragment białej lamówki swojej brązowej sukienki. Chciała ubrać się na czarno, ale zmieniła zdanie. Czerń jest zbyt pogrzebowa. Jej brązowa sukienka była absolutnie klasyczna, rozkloszowana, z krótkimi kimonowymi rękawami, białą lamówką i dwoma dużymi białymi guzikami na piersi. Turkusowe włosy dziennikarka spięła z tyłu głowy spinkami. Wydały jej się zbyt kolorowe, niestosowne na taką okazję.

W kościele zgromadziło się sporo osób, możliwe, że nawet kilkaset.

Susan rozpoznawała wiele twarzy z gazety. Wszystkie ławki były pełne po brzegi, a stanąć można było już tylko z tyłu. Przestało padać; słońce przezierало przez witrażowe szyby, rzucając na drewnianą podłogę kolorowe świetlne wielokąty.

Parker zajął miejsce przed ołtarzem. Przybył w glazurowanej ceramicznej urnie.

Susan siedziała w trzeciej ławce. Przyszła dosyć wcześnie, co nie zdarzało jej się prawie nigdy. Tym razem jednak przyjechała całą godzinę przed rozpoczęciem ceremonii i po dwudziestu minutach przepłakanych w samochodzie wysiadła, żeby zająć sobie miejsce w pierwszych ławkach.

Mignął jej Derek, siedzący gdzieś z tyłu w towarzystwie kolegów z działu lokalnego. Próbował zwrócić jej uwagę, ale unikała jego wzroku.

A potem zauważyła przybycie Archiego Sheridana, który przyjechał z całą rodziną. Usiedli po przeciwnej stronie kościoła, kilka ławek dalej niż ona. Archie ubrał się w czarny garnitur i lśniące czarne półbuty. Obejmował ramieniem ekszönę, która miała na sobie czarną sukienkę bez rękawów, ukazującą jej szczupłe, opalone ramiona. Syn detektywa też był w garniturze, koloru szarego, a córeczka – w szarej sukience z haftem richelieu. Wyglądali razem jak rozkładówka z magazynu mody żałobnej.

Susan przyjrzała się własnemu strojowi; ją z kolei można było wziąć za pracowniczkę restauracji ze stekami.

Mowę pogrzebową wygłosił Howard Jenkins, wydawca „Heralda”. Zabrało też głos kilku starszych stażem dziennikarzy. Nie zostało ich już zbyt wielu. Większości pracowników powyżej pięćdziesiątki „Herald” zaproponował wykup akcji, żeby w ten sposób zaoszczędzić na emeryturach.

Parker to był człowiek-instytucja, dziennikarz nad dziennikarzy. Parker był łowcą skandali, bohaterem swojego środowiska, obrońcą pokrzywdzonych, mistrzem, perłą, pracownikiem roku. Pracownikiem, kurwa, roku.

Boże, co za bzdety, pomyślała Susan, wstając, aby precyzyjnie się wzdłuż szeregu złożonego z dwudziestu par kolan i stóp, a do tego kilkunastu torebek. Wyszła z kościoła najszybciej, jak mogła. Za drzwiami znajdował się korytarz, skąd na zewnątrz prowadziły wysłane dywanem schody.

Stary kamienny kościół miał dziedziniec wychodzący na park. Ustawiono tam kilka stołów na stypę; trzepotały na nich jednorazowe obrusy z różowego papieru, stał wielki, srebrny termos bufetowy z kawą i szklana misa pełna owocowego ponczu. Kilka półmisek z jajkami na ostro, które psuły się powoli w ciepłych promieniach słońca. I butelki burbona Wild Turkey, poustawiane po pięć. Susan uśmiechnęła się do siebie.

Po drugiej stronie ulicy, gdzie zaczynał się już park, ciągnęły szeregi spacerowiczów. Samochody stały w korku; była pora lunchu. Susan nie mogła opanować drżenia dłoni.

W drzwiach, przez które przed chwilą uciekła, pojawił się Archie Sheridan.

– Dobrze się czujesz? – zapytał cicho.

Odwróciła głowę, zawstydzona. Wsunęła dłoń do torebki.

– Musiałam zapalić – rzuciła tytułem wyjaśnienia, wyjmując żółtą paczkę papierosów.

Archie zszedł po schodach i stanął obok niej, opierając się o mur

kościół. Dziennikarka tymczasem znalazła zapalniczkę.

– Parker prowadził po pijanemu i w takim właśnie stanie zjechał z mostu – powiedział. – Jutro podadzą to do wiadomości.

Susan dotknęła papierosem płomienia. Ogień błysnął i natychmiast przygasł, kiedy się zaciągnęła. Spodziewała się informacji w tym typie, ale mimo wszystko było jej przykro, że musiała to usłyszeć.

– Parker wszystko robił po pijanemu – odparła. – Chyba o tym wiesz. – Wrzuciła zapalniczkę z powrotem do torebki. – Był alkoholikiem.

Archie włożył ręce do kieszeni, wbił oczy w bruk dziedzińca.

– Miał we krwi dwa i cztery dziesiąte promila, Susan.

W kościele organy zagrały „Gdy kiedyś Pan powróci znów”. Susan nie wiedziała nawet, że Parker był wierzący.

Potrząsnęła głową. To jakiś obłąd, pomyślała. Przecież nie mogą zwalić odpowiedzialności na Parkera. Winny był Scheer, ten seksualny maniak, ta menda, ten zboczeniec. Parker był ofiarą.

– A senator? – zapytała. – Przecież mógł złapać za kierownicę.

– U niego badanie krwi niczego nie wykazało – odparł Archie. – A impulsów samobójczych nie da rady zmierzyć w laboratorium kryminalistycznym.

Drzwi kościoła otworzyły się i buchnęła z nich organowa muzyka. Po schodach zeszła niespiesznym krokiem grupka ludzi. Potem kolejnych kilkoro. Susan odprowadzała ich wzrokiem, przyglądając się, jak stają przy półmiskach z jajkami na ostro i zaczynają je jeść, najwidoczniej nie przejmując się wcale salmonellą. Starsza kobieta, na oko po sześćdziesiątce, podeszła do Archiego, a on pocałował ją w policzek.

– Witaj, Margery – powiedział. – Bardzo ci współczuję.

To była żona Parkera. Susan nigdy nie poznała jej osobiście, ale zauważywszy w kościele siwą panią w towarzystwie dwóch około trzydziestoletnich córek, domyśliła się, kto to musi być. Parker mawiał, że jego córki wdały się w matkę, i to była prawda. Wszystkie trzy miały grube, gęste włosy, długie szyje i trzymały się idealnie prosto, a ich olbrzymie oczy, skryte za ciężkimi zasłonami rzęs, były rozbiegane, niespokojne. Córki siwej Margery miały brązowe włosy.

Żona Parkera otarła z kącika ust drobinę jajka.

– Miło, że przyszedłeś – podziękowała Archiemu i odrzuciwszy swój gruby warkocz za plecy, uściskała go serdecznie. Potem uśmiechnęła się do Susan. Oczy miała bladoniebieskie, tak jak Parker; w połączeniu z białymi włosami nadawało jej to niemalże wygląd albinoski.

– Ty jesteś Susan – powiedziała.

– Skąd pani wie? – zapytała dziennikarka. A potem uniosła dłoń do swoich turkusowych włosów. – Aha.

– Jefferson był o tobie bardzo dobrego zdania. Susan poczuła nagle pieczenie pod powiekami.

– Ja też go lubiłam – odpowiedziała, zerkając z ukosa na Archiego, czekając na jakiś znak, na zapewnienie, że będzie bronił Parkera, pamięci o nim, że nie pozwoli, aby jego rodzina musiała odpowiadać na zarzuty tych, którzy będą chcieli obciążyć go winą.

Ale Archie nie zwracał uwagi ani na nią, ani na Margery; patrzył w stronę furtki prowadzącej na ulicę, gdzie stała Debbie z dziećmi.

– Muszę już iść – powiedział.

– Jakieś śledztwo? – domyśliła się żona Parkera.

– Nie – pokręcił głową. – Moja córka ma dziś urodziny.

Kartonowe pirackie kapelusze były złożone, więc przed rozdaniem ich koleżankom swojej córki Archie musiał je odpowiednio przygotować, a potem, żeby nie spadły, zaciągnąć każdej pierwszoklasistce gumkę pod brodę. Dom był udekorowany sznurami karnawałowych koralików we wszystkich kolorach tęczy i flagami z Wesołym Rogerem, a wszędzie leżały czekoladowe monety w złotych opakowaniach. Były też czarne plastikowe przepaski na oko, nie cieszyły się one jednak wielką popularnością wśród dziewczynek. Co strzeliło Sarze do głowy, żeby wymyślić sobie pirackie urodziny – to była dla Archiego tajemnica.

W salonie trwała właśnie w najlepsze bardzo złożona inscenizacja batalistyczna: jubilatka i jej koleżanki walczyły na wyimaginowane szable, a kanapa była statkiem. W kuchni Debbie rozmawiała z innymi rodzicami przy lampce wina. Ben zamknął się w swoim pokoju, natomiast Archie pilnował dzieciaków. Stał oparty o framugę, z rękoma skrzyżowanymi na piersi, i patrzył, jak banda młodocianych korsarek okłada się poduszkami.

Jego córeczka, naradziwszy się szeptem na ucho z inną piratką, podbiegła do niego, zatrzymując się na ojcowskich kolanach.

– Tatusiu – zakomunikowała zdyszczanym głosem. – Musisz być złym piratem.

Archie przyklęknął na podłodze, równając się z nią wzrostem.

– Rozumiem, że wy wszystkie jesteście dobrymi piratami? – Tak.

– A ja mam z wami walczyć?

Sara spojrzała na niego z niepokojem w oczach i zapytała szeptem:

– Umiesz być piratem?

Archie wstał, wziął ze stołu z zakąskami wielki piracki nóż z gumy, chwycił go w zęby i ruszył na sofę, warcząc groźnie. Dziewczynki rozbiegły się z piskiem, ale zaraz wróciły, tłocząc się wokół niego i chichocząc wesoło.

Wtem rozległ się głos Debbie:

– Henry przyszedł.

Nie przestając się śmiać, Archie podniósł głowę. Oboje, Debbie i Henry, stali w drzwiach.

– Spóźniłeś się – powiedział z uśmiechem. A potem zauważył, że jego przyjaciel nie zdjął szelek z kaburą. Henry znał zasady dotyczące broni w tym domu, takie zachowanie mogło więc oznaczać tylko jedno. – I widzę, że długo nie zabawisz – dodał.

Kiedy Sara zobaczyła Henry'ego, zeskoczyła z sofy i podbiegła do niego, obejmując rękami w pasie.

– Henry! – zawołała radośnie, a on też ją uściskał, po czym wyjął z kieszeni nieduży, nieudolnie zapakowany prezent.

– Wpadłem, żeby ci to dać – powiedział. – Wszystkiego najlepszego.

Sara rozpromieniła się, zarzuciła mu rączki na szyję i ucałowała, a potem wróciła biegiem na statek, czyli na kanapę. Henry zerknął na Archiego.

– Pogadamy? – Uniósł brwi.

Jego ciężkie spojrzenie powiedziało Archiemu, że stało się coś złego. Pozwoliłem sobie na chwilę szczęścia, pomyślał. To był błąd.

Oddał gumowy nóż Sarze i wyswobodził się z grupki oblegających go dziewczynek, które momentalnie odbiegły od niego i zaczęły szukać czegoś, co mogłoby odegrać deskę wystawioną za burzę, żeby

organizować morską egzekucję.

W drzwiach obok Henry'ego stała Debbie z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Archie podszedł do swojego partnera, czując, że w prawym boku, pod żebrami, znów zaczyna pulsować ból.

– Co się dzieje? – zapytał. Henry nie odpowiedział od razu.

– Był wypadek w więzieniu.

Ból ustał jak ręką odjął. Archie mógł się już lekko wyprostować.

– Co z nią? Wszystko w porządku?

Henry nachylił się do niego i zniżył głos, tak że Archie musiał mocno się wysilić, żeby go usłyszeć wśród pisków i chichotów rozbawionych dziewczynek.

– Musieli ją przenieść na izbę chorych. Została napadnięta i pobita. Nie jest dobrze, Archie. Mamy poważny problem.

A Archie nagle uświadomił sobie, że tuż obok nich stoi Debbie. Przez długą chwilę tkwiła w bezruchu, jak kamienny posąg, a w końcu powoli dotknęła dłonią ramienia Henry'ego.

– Nie rób tego – poprosiła. – Tylko nie to. Nie dzisiaj. Henry westchnął i potrząsnął głową.

– Napadł ją strażnik – wyjaśnił. – Musimy się dowiedzieć który. A ona chce rozmawiać z Archiem, z nikim innym.

– Nie – szepnęła Debbie, odwracając się do Archiego. – Dziś są urodziny twojej córki. Henry poradzi sobie sam.

Archie ujął jej dłonie, spojrzał głęboko w oczy kobiety, która była matką jego dzieci. I podjął próbę wyjaśnienia:

– To mój obowiązek.

Debbie zamknęła oczy. A potem jej ręce opadły, wyslizgnęły się z jego

uścisku. Odwróciła się w stronę pokoju pełnego dziewczynek, klasnęła w dłonie.

– Kto ma ochotę na tort? – zapytała.

Oregońskie więzienie stanowe to kompleks budynków w mdłym kolorze tłuszczu, zgromadzonych za murem z tynkowanej cegły, zabezpieczonym na szczycie drutem kolczastym. Znajduje się godzinę jazdy samochodem na południe od Portland, w miejscowości Salem, niedaleko autostrady. Otaczało go dziewięć hektarów zielonych pól. Przebywają tam skazani obu płci. To jedyny w całym Oregonie zakład karny o najwyższym stopniu zabezpieczenia. Od czasu pojmania Gretchen Lowell Archie i Henry bywali tam tak często, że zdążyli poznać każdy korytarz i każdego strażnika.

Obok drzwi znajdowała się wysoka lada recepcyjna. Siedziała za nią więzienna pielęgniarzka w fartuchu, która uniosła tylko głowę, rzuciła okiem na identyfikatory i wróciła do przeglądania jakiejś karty chorobowej. Archie od razu skierował się w głąb pomieszczenia, tam, gdzie stał strażnik. Gretchen zawsze podróżowała pod strażą.

Na to, co zobaczył, zajrzawszy za parawan, był kompletnie nieprzygotowany. Leżała na brzuchu, przywiązana do łóżka. Skórzane pasy opinały jej kostki i nadgarstki. Głowa spoczywała na policzku, a oczy były zamknięte. Miała na sobie szpitalną koszulę nocną. Archie widział dokładnie ciemne sińce na jej szczupłych ramionach. Krwiaki. Opuchlizny, szerniałe od wybroczyn z popękanych naczyń krwionośnych. W takim stanie ją znaleźli. Leżała na podłodze swojej celi. Test na obecność nasienia wyszedł pozytywny. Archie poczuł, jak żołądek

skręca mu się na samą myśl o tym.

– Zostaw nas samych na chwilę – powiedział Henry do strażnika, który powoli pokręcił przecząco głową.

– Mam jej pilnować.

Henry wskazał ruchem głowy nieruchome, skrepowane ciało.

– Jest przywiązana do łóżka, Andy. Zostaw nas na chwilę. Strażnik obrzucił wzrokiem posiniaczoną Gretchen.

– Gdybyście czegoś chcieli, będę za drzwiami.

Archie usiadł na aluminiowym krześle, które stało po drugiej stronie łóżka. Gretchen ani drgnęła. Wziął ją za rękę. Jej dłoń była chłodna i delikatna.

Momentalnie otworzyła oczy, trzepocząc rzęsami. Uśmiechnęła się na jego widok.

– Aż do tego musiało dojść, żebyś poświęcił mi trochę uwagi? – odezwała się słabym głosem. Wymawiała słowa powoli i jakby ostrożnie, bo miała założoną kroplówkę z morfiną.

– Kto ci to zrobił? – zapytał cicho Archie.

Spojrzenie jej błękitnych oczu spoczęło na Henrym. Archie wiedział, że Gretchen chce, aby jego partner wyszedł, ale nie zamierzał go o to prosić. Był pewien, że odmówi.

– Powiedz mi, kto to zrobił – powtórzył pytanie. Gretchen uniosła brew.

– To byłoby wbrew więziennej etykietce.

– No żeż kurwa mać! – warknął Henry, momentalnie tracąc cierpliwość.

Archie spojrzał na niego krótko.

– To już moje zmartwienie – odpowiedział Gretchen.

– Martwisz się o mnie? – zapytała, taksując go wzrokiem. – To słodkie, kochany, ale przypominam ci, że ty nie masz dbać o moje bezpieczeństwo – zniżyła głos do konspiracyjnego szeptu – tylko chronić ludzi przede mną.

– Źle zrozumiałaś moją troskę – odparł. – Jesteś pod opieką władz stanowych, które zatrudniają także mnie. Dopóki nie odnajdziemy wszystkich twoich ofiar, twoje dobro leży w interesie władz.

– Jakież to romantyczne – westchnęła, odwracając głowę w kierunku Henry'ego. Już dawno nauczyła się po mistrzowsku go ignorować. Wszystko, co mówił, puszczała mimo uszu, a z Archiem potrafiła prowadzić długie rozmowy w taki sposób, jakby jego partnera w ogóle nie było w pobliżu.

– Powiedz mi coś, kochany – poprosiła, wciąż patrząc przy tym na Henry'ego. – Czujesz, że masz wyciętą śledzionę? Boli cię to?

– Już nie – odparł.

– Często o tym myślę – rozmarzyła się. – Przypominam sobie, jak trzymałam dłonie wewnątrz ciebie. Byłeś taki ciepły i lepki. Wciąż pamiętam twój zapach, zapach twojej krwi. A ty? Pamiętasz?

Archie przetarł twarz dłonią.

– Straciłem przytomność – przypomniał jej. Gretchen uśmiechnęła się ciepło.

– Żałuję. Chciałam, żebyś był przytomny. Żebyś wszystko zapamiętał. Nikt inny oprócz mnie nie był tak głęboko wewnątrz ciebie.

– Zapominasz o chirurgach z Emanuela.

– Fakt. – Parsknęła, krzywiąc się z bólu.

– Podobno złamał ci cztery żebra – powiedział Archie. Jego zrośnięte żebra, połamane gwoździem przez Gretchen, potrafiły jeszcze czasem poboлеваć.

– Każdy oddech przypomina mi o tobie – odparta.

– Powiedz mi, kto to był.

– Wprowadziłeś się z *powrotem* do niej, prawda?

Zaskoczyła go tym pytaniem. Debbie często mówiła o Gretchen w taki sposób, jak żona mówi o kochance swojego męża. Ale Archiemu wydawało się czasem, że jest dokładnie odwrotnie. Jakby wracając do domu byłej żony, zdradził ją, Gretchen.

Najprawdopodobniej należało o tym wspomnieć doktor Rosenberg.

Gretchen czekała cierpliwie na odpowiedź. Jej cudowne oczy błyszczały migotliwie. Sprawiała wrażenie skrzywdzonej. Rzecz jasna, to wszystko była gra. Wszystko, co robiła Gretchen, to zawsze była gra.

– Prawda – przyznał Archie.

Posłała mu przeciągłe, paskudne spojrzenie i szepnęła:

– Ale jeszcze jej nie zerznąłeś. Archie wstrzymał oddech.

– Dość tego – wtrącił się Henry.

Drzwi izby chorych otworzyły się nagle. Przez zasłonę w parawanie dobiegły ich męskie głosy i odgłos kroków na linoleum.

– Archie... – syknął Henry ostrzegawczo.

Archie widział to samo co on – jego dłoń splecioną z dłonią Gretchen – ale nie mógł się ruszyć. Zobaczył, jak Gretchen uśmiecha się słodko do Henry’ego. Znał ten uśmiech. Znaczył on „Pierdol się, Henry”. Mimo to wciąż ani drgnął.

– Archie, cholera jasna... – wyszeptał Henry ochryłym nagle głosem.

I nagle, jak za dotknięciem przełącznika, Archie oswobodził rękę i odepchnął krzesło od łóżka, splatając dłonie na karku. A czas był najwyższy, bo za parawan wszedł właśnie naczelnik więzienia w towarzystwie dwóch strażników.

– Panowie – oznajmił – muszę wam coś pokazać.

Henry odczekał, aż Archie, naczelnik i strażnicy wyszli zza parawanu i ruszyli w stronę wyjścia z izby chorych. Wtedy odepchnął się od ściany, o którą się oparł, i podszedł do łóżka Gretchen.

– Zabawne – powiedział. – Stłukł cię na kwaśne jabłko, a twarzy jakoś nawet nie dotknął.

Spojrzała na niego, a jej oczy, kompletnie pozbawione wyrazu, jakby w ogóle nie rejestrowały jego obecności. Nie tylko na Henry'ego tak patrzyła. Ona po prostu nie miała czasu dla nikogo poza Archiem.

– Wydaje ci się może, że w ten sposób ściągniesz go tutaj z powrotem? – zapytał. – Że znów będziesz go miała na zawołanie? Nic z tego. On się połapie, co tu jest grane.

Jedyną odpowiedzią było obojętne mrugnięcie.

Partner Archiego odwrócił się, ruszając w ślad za innymi.

– Henry – powiedziała Gretchen.

Zamarł, zaskoczony dźwiękiem swojego imienia w jej ustach. Obejrzał się powoli. Gretchen przekrzywiła głowę, unosząc jedną brew.

– Ciekawe, które z nas lepiej go zna – powiedziała. – Zobaczymy.

Była totalnie zadowolona z siebie. Henry poczuł, że znów zaczynają go dręczyć te same wyrzuty sumienia, którymi gryzł się od lat. Obwinił się za to, że od razu nie przejrzał Gretchen Lowell i nigdy jej nie podejrzewał. Że nie udało mu się odszukać Archiego. Że zaaprobował tę absurdalną

umowę z oskarżeniem, na mocy której jego przyjaciel co tydzień musiał oddawać się z powrotem w ręce swojej oprawczyni. Henry znał Sheridana przedtem i widział, jak się zmienił. Jego zdaniem nie warto było iść na taką umowę, bez względu na to, ile swoich ofiar mogła wskazać im ta bandytka. Gretchen Lowell zasługiwała na jedną i tylko jedną karę: śmierć.

– Ten, kto ci to zrobił – wycedził beznamiętnym tonem, pochylając się nad jej łóżkiem – kimkolwiek jest, zasłużył na złoty medal.

Za parawan zajrzał Archie.

– Idziesz?

Henry wyprostował się, zmieszany.

– Idę – przytaknął, wychodząc razem z nim zza parawanu. Wydawało mu się, że dostrzegł kątem oka, jak Gretchen mruga do Archiego, ale uznał, że mogło mu się to przywidzieć.

Strażnik umarł niedawno, ale istotne było tylko to, że nie żył. Powiesił się w służbowej szatni – jednym z niewielu miejsc w całym więzieniu, gdzie nie zainstalowano kamer. Było to podłużne, wąskie pomieszczenie, wypełnione w obecnej chwili ludźmi. Wszyscy tłoczyli się dookoła zwłok, usiłując jednocześnie nie podchodzić zbyt blisko. Martwy strażnik zwisał bezwładnie z rury ściekowej.

– Nazywał się B. D. Cavanaugh – poinformował Archiego naczelnik. – Pracował tu dziewięć lat. Kartotekę miał czystą.

Powieszenie zajmowało wśród amerykańskich samobójców drugą pozycję na liście popularności, ustępując miejsca tylko broni palnej. Archie nie potrafił zrozumieć, dlaczego aż tak im to odpowiada. Jasne, jeśli szczęście dopisało, kręgosłup pękał od razu i zgon był natychmiastowy, a gdyby nawet rdzeń kręgowy ocalał, to zaciśnięcie tętnic szyjnych ewentualnie zapaść wagalna też kończyły się względnie bezbolesną śmiercią: szybka utrata świadomości i rozległy zawał. Ale jeśli zabrakło szczęścia i kręgosłup nie pękł, umierało się zdecydowanie gorzej: tętnice szyjne dalej pompowały krew i człowiek dusił się powoli, w ogromnych męczarniach.

Strażnik Cavanaugh nie był szczęściarzem. Twarz miał purpurową, spuchniętą od krwi, oczy czerwone, wargi sine, a język wywalony aż na brodę. Nogawka jego jasnobrązowych spodni była przesiąknięta moczem; w powietrzu unosił się słodkawy zapach uryny, a na wykładzinie, w miejscu gdzie stopa wisielca muskała podłogę, widniała ciemna kałuża.

– To jest ten facet, który pobił Gretchen? – zapytał Archie. Woń moczu

mieszała się z ostrym zapachem różowych kostek pisuarowych, który z jednej strony był kwiatowy, a z drugiej przypominał naftalinę.

– Miał do niej dostęp – przyznał naczelnik. – Wczoraj był w pracy. No i przyjrzyj się jego rękom.

Martwy strażnik miał sine paznokcie, a jego przedramiona pokrywała siateczka cienkich czerwonych zadrapań.

Naczelnik zatrzymał wzrok na kroczu wisielca, gdzie pod materiałem spodni widniała spora wypukłość. Odchrząknął.

– Widziałeś kiedyś coś takiego? – zapytał.

– Krew spływa do niższych partii ciała – wyjaśnił Archie chłodno, rzeczowym tonem. – Tkanki rozszerzają się do maksimum. Opadnie mu, jak tylko go zdejmą i położą na płaskim.

– Więc to nie jest wzwód?

– Pobierzcie wymaz z członka – uciał Archie bezpłodne dywagacje. – Trzeba porównać DNA z próbką nasienia, którą już mamy.

Nie bardzo wiedział, co spodziewał się poczuć po odnalezieniu człowieka, który pobił Gretchen, ale widok tego dyndającego truposza jakoś nie przyniósł mu satysfakcji. Dlaczego? Bo nie mógł cisnąć nim o ścianę? Aresztować? Bo stracił okazję, aby zostać jej rycerzem, jej mścicielem?

Czuł się odpowiedzialny za to, co zaszło, i nie mógł odpędzić wyrzutów sumienia. Gretchen nie przebywała w sekcji dla kobiet, ale w sektorze izolatek znajdującym się na męskim oddziale, gdzie straż więzienna składała się w większości z mężczyzn. Pomimo swojej drobnej postury Gretchen była niebezpieczną kobietą. Zabijała ludzi na dziesiątki różnych sposobów. Ale ten strażnik, kawał chłopca, ważył co najmniej sto

dziesięć kilo; mógł ją z łatwością obezwładnić, Archie widział z całą dokładnością, jak to się stało.

– Dusił ją chwytem na szyję – powiedział naczelnik – i złamał jej obojczyk. Nasz lekarz mówi, że przez większość czasu musiała być nieprzytomna.

– Jezu... – westchnął Archie.

– A potem poszedł i się wykończył? – prychnął Henry. – Praktyczne.

Archie zgromił go wzrokiem.

– No co? – obruszył się Henry. – Uważasz, że ona nie umie zrobić człowieka w coś takiego?

– Będzie traktowana jako ofiara, dopóki nie udowodnimy, że nią nie jest.

– A czy ten tutaj – Henry wskazał brodą wisielca – przypadkiem nie był świeżo po rozwodzie?

Naczelnik skinął głową.

– W zeszłym roku odeszła od niego żona.

– Pasuje do jej profilu. – Henry zerknął na Archiego. Metoda, której używała Gretchen, polegała na wyławianiu w Internecie samotnych, podatnych na manipulację mężczyzn. Przez pewien czas grasowała w ich towarzystwie, a oni mordowali, kiedy im kazała, aby potem zginąć z jej ręki. Zrobiła tak co najmniej trzy razy. Nie można było wykluczyć, że i ten człowiek zgodził się oddać Gretchen swoje życie.

– Zostawił list? – zapytał Archie.

Naczelnik uniósł brwi, wskazując ruchem głowy przylegającą do szatni łazienkę, i zaprowadził detektywów do pomieszczenia z dwoma prysznicami, trzema toaletami, rzędkiem pisuarów i dwoma umywalkami,

nad którymi ciągnęło się długie lustro. Na powierzchni lustra ktoś narysował flamastrem serce.

Archie uświadomił sobie nagle, że błądzi palcami po własnej bliźnie w tym samym kształcie, po tej linii zgrubiałej skóry ocierającej się o bawełniany materiał jego koszuli. Siłą opuścił dłoń i wcisnął ją do kieszeni, tylko po to, żeby znalazła tam pudełeczko z lekami.

– To jest jej podpis, prawda? – dotarło do niego pytanie naczelnika. – Serce?

– Tak – potwierdził, wyciągając pudełeczko z kieszeni. Otworzył je roztrzęsionymi rękami, wrzucił do ust trzy tabletki i połknął. – Trzeba często zmieniać jej obstawę. Pozwoliliśmy, aby nawiązała kontakt z mężczyznami, i to był błąd. Od tej chwili będą jej pilnować wyłącznie kobiety. – Podsunął naczelnikowi otwarte pudełeczko. – Może tic taca?

Odpowiedzią było tylko dziwne spojrzenie i potrząśnięcie głową. Archie spojrzął na swoje odbicie, objęte wyrysowaną ramką w kształcie serca.

– To moja wina – oznajmił. – Powinienem lepiej o to zadbać. Częściej tutaj bywać.

– Ona tobą manipuluje – powiedział cicho Henry.

– Przydało mi się trochę odpoczynku – powiedział Archie do lustra, próbując przekonać samego siebie, że mówi prawdę. – Teraz już dam sobie radę. – Odwrócił się do naczelnika. – Proszę sprawdzić książki zmianowe, przejrzeć nagrania z kamer i przesłuchać wszystkich ludzi. Chcę wiedzieć, czy to była bliższa znajomość.

Naczelnik poczerwieniał, uświadamiając sobie, co detektyw Sheridan ma na myśli.

– Uważasz, że od początku się z nim pieprzyła?

Archie poczuł, jak żołądek zaciska mu się w twardą kulę. Odrobinę przypominało to zazdrość.

– Obym się mylił – odparł.

Archie włączył telewizor stojący w jego domowym gabinecie, ale dźwięk przyciszył do zera. To był pierwszy odbiornik, który kupili z Debbie do swojego pierwszego mieszkania, jeszcze kiedy oboje studiowali: kolorowy panasonic, monitor dwadzieścia siedem cali. Wtedy taki telewizor był szczytem ekstrawagancji i rozrzutności. Dziś wyglądał jak leciwy rupieć. Debbie kupiła do salonu nowy, z płaskim ekranem, ale on nie chciał rozstawać się z tym starym. Ten przedmiot miał dla niego wartość sentymentalną.

Złapał lokalne wiadomości, mając nadzieję, że ktoś coś wspomni o niezidentyfikowanych szczątkach znalezionych w parku, ale wszystkie serwisy nadawały tylko i wyłącznie relacje z wielkiego cyrku, jakim stała się śmierć senatora i wszystko, co się z tym wiązało. Już zaczęto mówić o zmianie nazwy miejskiego lotniska na Scheer International.

Ciekawe, pomyślał Archie, co Molly Palmer o tym sądzi.

Wyciągnął z szafy cztery kartonowe pudełka pełne aktówek z raportami na temat zaginionych osób i zaczął wykladać zawartość jednego z nich na biurko. Teczek było sto osiem, a każda z nich dotyczyła kogoś, kto zaginął na północnozachodnim wybrzeżu Pacyfiku w latach 1994-2005, czyli w okresie morderczej aktywności Gretchen Lowell. Były wśród nich prawdopodobnie nastolatki, które uciekły z domu, byli zbiegowie z aresztów i zwykle obiboki. Ale inni znaleźli śmierć w okrutnych męczarniach – i tylko Gretchen znała ich nazwiska. Archie miał w głowie każdą fotografię i historię każdego zaginięcia. Spotkał się osobiście z rodzinami wielu spośród poszukiwanych, mając nadzieję, że trafi na jakąś

wskazówkę świadcząca o tym, że akurat ta osoba miała nieszczęście przyciągnąć złe oko Gretchen. Mogło chodzić o styl ubioru, o sposób zachowania, o często odwiedzane miejsca. Ale na tym właśnie polegał problem z Gretchen: profil jej typowej ofiary nie istniał. Zabijała kogo popadło.

Przyjemnie było znów spojrzeć na te aktówki. Nikt nie znał ich zawartości lepiej niż Archie Sheridan. Nie potrafił zidentyfikować dziewczyny z parku, ale mógł przejrzeć te materiały. Pościg za Wirtuozem określił całą jego karierę zawodową – był w tej sprawie i śledczym, i ofiarą. Miło się wraca na stare śmieci.

Uśmiechnął się na myśl, że w niedzielę spotka się z Gretchen, a ona powie mu, gdzie szukać kolejnych zwłok – i znów jedną rodzinę przestanie dręczyć niepewność. Następna sprawa zostanie zamknięta, a on i Gretchen powrócą do dawnego rozkładu zajęć. Na myśl o tym poczuł się... szczęśliwy.

Włożył do ust dwie tabletki vicodinu i wstał zza biurka, żeby przynieść sobie wodę do popicia z łazienki po drugiej stronie korytarza. Otworzył drzwi i stanął jak wryty, ściskając w dłoni pustą szklanekę; na progu stał Henry, a obok niego – Debbie. Wyglądali tak, jakby właśnie chcieli zapukać.

Archie zamarł.

– Nie wiedziałem, że wpadłeś – powiedział do przyjaciela, spoglądając jednocześnie na byłą żonę. Spodziewał się usłyszeć jakieś wyjaśnienie, ale ona unikała jego wzroku.

– Chciałem pogadać z Debbie – odparł Henry. Archie obrócił w palcach pustą szklanekę.

– Co się dzieje? – zapytał, powoli cedząc słowa.

Henry pochylił głowę, oglądając się w stronę salonu. Dobiegały stamtąd odgłosy oglądanego filmu, co oznaczało, że dzieci siedzą przed telewizorem.

– Możemy pogadać w twoim gabinecie? – poprosił.

Archie spojrział na trzymaną w palcach szklanę, gładką i śliską. Pigułki, twarde jak pestki, zaczynały już palić go w gardle.

– Szedłem po wodę – powiedział.

– Przyniosę ci. – Debbie podeszła i wyjęła mu z dłoni szklanę.

– A wy co, zaręczyliście się? – zażartował Archie.

Henry nawet się nie uśmiechnął. Jeszcze raz zerknął przez ramię w kierunku salonu, gdzie siedziały dzieci, a potem odwrócił twarz do Archiego.

– Wejźmy do środka – powtórzył.

– W porządku. – Archie cofnął się do gabinetu i usiadł z powrotem przy biurku. Telewizor wyświetlał archiwalne materiały o młodym senatorze Scheerze z czasów jego pierwszych wygranych wyborów. Na blacie biurka, obok opróżnionego pudełka, piętrzył się stosik teczek z danymi zaginionych osób. Archie miał już kilka nowych pomysłów na to, jak należy pytać Gretchen o jej morderstwa, ale czuł, że to nie jest najlepszy moment, żeby o tym wspominać.

Henry nie usiadł. Stał na środku pokoju. Potarł dłonią łysą czaszkę.

– Wydałem polecenie, żeby Gretchen przeniesiono do innego więzienia – oznajmił wreszcie.

– Co? – Pigułki, których Archie wciąż jeszcze nie połknął, spęczyły mu nagle w gardle, zaczęły dławić.

Henry spojrzał mu prosto w oczy.

– Wydałem służbowe polecenie. Gretchen zostanie przeniesiona do zakładu w Lawford.

Archie wbił wzrok w jego twarz, szukając na niej wyjaśnienia.

– Przecież to jest we wschodniej części stanu – powiedział. Henry stał nieruchomy jak posąg.

– Nie będziesz się więcej z nią widywał – zakomunikował po prostu. – Straciłeś prawo do widzeń z nią. Nie będziesz się z nią kontaktował. Nie ma mowy o żadnych listach, telefonach ani odwiedzinach. Koniec i kropka.

Archie poczuł zawroty głowy. Gabinet zawirował mu przed oczami. Przełknął z wysiłkiem ślinę, chcąc przepchnąć pigułki dalej. W przełyku czuł piekący smak kwasu żołądkowego, ale tabletki tkwiły niewzruszenie w tym samym miejscu.

– Nie możesz tego zrobić. – Potrząsnął głową.

– Już to zrobiłem – odparł Henry cichym, łagodnym głosem.

– Zadzwoń do burmistrza – oznajmił Archie i zaniósł się nagłym kaszlem, przyciskając dłoń do mostka.

– Dobrze się czujesz? – zaniepokoił się Henry.

– Muszę się napić wody – odparł, mrugając łzawiącymi oczami.

– Debbie! – zawołał Henry. – Możesz przynieść tę wodę? – Odwrócił się z powrotem do Archiego, garbiąc swoje szerokie bary. Archie jeszcze nigdy nie widział, żeby jego partner był aż tak smutny. Ani tak stanowczy.

– Rozmawiałem już z Kolesiem – usłyszał. – Jest tego samego zdania co ja.

Burmistrz Portland, Bob Anderson zwany Kolesiem, był

poprzednikiem Archiego na stanowisku dowódcy zespołu śledczego ścigającego Wirtuoza. Potem, kiedy został komendantem policji, zapewniał grupie dofinansowanie, a jako burmistrz dbał o to, żeby Archie zawsze dostał to, co akurat było mu potrzebne. Nie robił tego bynajmniej z dobrego serca. Koleś Anderson znał wartość dobrej reklamy.

– A nasz program identyfikacji ofiar? – przypomniał Henry’emu Archie. Wiedział, że jest potrzebny. Burmistrzowi, wszystkim. Przecież nikt nie wiedział więcej niż on o ofiarach Wirtuoza.

– Będzie rozmawiała z kim innym – skwitował jego partner. – Albo nie. To, co się dzieje teraz, nie jest warte swojej ceny.

– Ja muszę się z nią widywać – jęknął Archie błagalnym tonem i natychmiast wzięło go obrzydzenie na dźwięk własnego głosu, tej gorączkowej desperacji. Czuł się zdradzony – przez Henry’ego, przez Debbie, przez Kolesia Andersona. Uniósł wzrok i zobaczył Debbie stojącą na progu, ze szklanką wody w dłoni. – Proszę – szepnął.

Henry był twardy jak skała.

– To niemożliwe. Wszystko już załatwione. Jutro ją przewożą. Do tego czasu pozostanie w ścisłym odosobnieniu. To koniec.

Nie, pomyślał Archie. On nie może mi tego zrobić. Dowodzę śledztwem w sprawie morderstw Wirtuoza. Nie mogą mnie tak po prostu odsunąć.

Wstał, podniósł leżący na biurku telefon i wystukał numer więzienia, który znał na pamięć. Tabletki paliły w gardle. Odkaszał. Telewizor buczał jednostajnie. Skup się, rozkazał sobie.

– Cześć, Tony – przywitał się z dyżurnym. – Mówi Archie Sheridan. Muszę porozmawiać z Gretchen. Właśnie się do was wybieram.

Przygotujesz ją do przesłuchania?

Chwila wahania na drugim końcu linii.

– Gretchen Lowell jest w ścisłym odosobnieniu. Nie ma z nią widzeń.

Archie zamknął oczy.

– W takim razie czy możesz podać jej do celi telefon? Znowu chwila namysłu. Archiemu było żal tego biednego faceta.

– Otrzymaliśmy polecenie, aby nie pozwalać panu kontaktować się z nią – powiedział wreszcie Tony.

– W porządku – odparł Archie, wciskając klawisz rozłączenia. – W porządku – powtórzył.

Tabletki tkwiące w gardle paliły go jak zgaga. Znał dobrze to uczucie. Gretchen zmuszała go do picia płynu do czyszczenia rur, który przepalił mu ścianę przełyku. Konieczna była operacja, a po niej wielomiesięczna rekonwalescencja. Przez chwilę stał jeszcze ze słuchawką w dłoni, a potem nagle cisnął nią z całej siły o ścianę. Walnęła w białą płytę gipsową i pękła na dwie części, a baterie potoczyły się po podłodze. Debbie zachłysnęła się gwałtownie i upuściła szklankę. Chwilę później z wiszącego na ścianie, oprawionego w ramki dyplomu pochwalnego Archiego wypadło szkło, które przełamało się na dwie części z ostrymi krawędziami. Upuszczona szklanka uderzyła o dywan, ale nie rozbiła się; Debbie osunęła się na kolana, podnosząc ją i patrząc bezradnym wzrokiem na rosnącą ciemną kałużę.

W tym momencie Archie nienawidził jej z całego serca.

– Wiedziałaś o tym – warknął, wychodząc z za biurka. Uniosła na niego wystraszone oczy.

– Nie. Henry powiedział mi przed chwilą.

Wyrzut, który odbił się na jej twarzy, zabolął go do żywego. Nagle Archie poczuł, że miękną mu kolana. Usiadł ciężko na podłodze, zwiesił głowę, splatając dłonie na karku. I wciąż myślał o Gretchen, tylko o Gretchen.

– Wiem, że potrzebuję pomocy – wyjąkał. Ogarnęła go rozpacz, serce waliło jak szalone, groziła mu hiperwentylacja. Gorączkowo szukał słów, którymi mógłby wpłynąć na Henry’ego. Jakich – to było mu obojętne.

– Odwołaj to przeniesienie – poprosił. – Pozbieram się, dam radę. Zrobię, co zechcesz, ale muszę się z nią widywać.

Henry odpowiedział opanowanym, starannie modulowanym tonem, który Archie słyszał u niego tysiąc razy; tak jego partner przesłuchiwał podejrzanych.

– Nie widziałeś jej przez parę miesięcy i widać było poprawę. Serce Archiego szarpnęło się w piersi. Ścisnął palcami grzbiet nosa, pomiędzy samymi oczami.

– Nie – zaśmiał się smutno. – Nie było żadnej poprawy. Debbie podeszła i uklękła obok niego.

– Archie, robimy to dla twojego dobra.

– Potrzebuję jej – szepnął Archie ledwie słyszalnym głosem, pokonując opór wciąż tkwiących w gardle tabletek. – Wydaje się wam, że w ten sposób mi pomagacie, ale to tylko wszystko pogorszy.

Debbie ujęła jego twarz w dłonie.

– Bardzo za tobą tęsknię.

Spojrzał jej w oczy. Dotyk tych rąk był dziwny. Nieznajomy.

– Zostawcie mnie – powiedział, unosząc wzrok na swojego partnera. – Oboje.

Ręce Debbie opadły. Podniosła się z kolan i stanęła za Henrym, biorąc go pod ramię.

– Archie? – zapytał Henry.

Podniósł głowę. Za ich plecami stał telewizor; na monitorze ukazał się wrak samochodu wyciągany z nurtów Willamette, a potem zapłakana wdowa po tragicznie zmarłym senatorze.

– Oddasz mi broń – oznajmił Henry. – Nocuję dziś u was, na kanapie. Rano dostaniesz ją z powrotem.

– Nie ma sprawy – odparł, sięgając po kluczyki leżące na blacie. Rzucił je Henry'emu, który obszedł biurko i otworzył szufladę, gdzie Archie przechowywał swój służbowy rewolwer, wyjął go stamtąd i sprawdził, czy nie jest nabity, po czym zamknął szufladę z powrotem.

– Przepraszam – powiedział, kładąc swoją wielką dłoń na ramieniu przyjaciela.

Arenie nie wiedział, za co Henry go przeprosza: za Gretchen, za odebranie broni czy za spiskowanie z Debbie. Zresztą wcale go to nie interesowało. Gdyby chciał się zabić, to na pewno nie zastrzeliłby się ze służbowej broni. Wykończyłby się lekami. Gretchen domyśliłaby się tego w lot.

Archie obudził się kompletnie zeszywniały. Zawsze tak się czuł po nocy na tej rozkładanej kanapie w swoim gabinecie, a przed zażyciem pierwszej porannej dawki leków; każdy poranek przypominał pierwszy dzień ostrej grypy. Najpierw poczuł dotkliwą sztywność rąk i nóg, potem klucie obolałych żeber, następnie pulsujący ból głowy, a na końcu zobaczył swoją małą Sarę. Stała obok jego posłania, ubrana już do szkoły: w czerwone ogrodniczki i różową koszulkę z krótkim rękawem.

Telewizor wciąż był włączony. Na ekranie migotały zdjęcia lotnicze szalejących płomieni. Lokalna stacja informacyjna widocznie zawiesiła na chwilę opłakiwanie senatora i zdecydowała się podać wiadomość o pożarze lasu gdzieś w centralnym Oregonie. Był to znak, że nawet media zaczynają już przychodzić do siebie.

– Henry smaży jajecznicę – powiedziała Sara. Archie pociągnął nosem; a więc to był zapach jajek, soli i rozgrzanego tłuszczu. Przewracało mu się od niego w żołądku.

– Musisz już wstawać – dodała jego córka.

Przetarł twarz i spojrział na zegarek. Dochodziła szósta trzydzieści.

Sara wzięła go za rękę i zaczęła ciągnąć.

Archie miał na sobie tylko spodnie od piżamy, którą dostał od Debbie na Gwiazdkę przed kilkoma laty; kiedy usiadł na posłaniu, koc zsunął mu się na kolana, odsłaniając pociętą bliznami pierś. Poczuł na skórze dotyk chłodnego powietrza, a widząc, jak oczy jego córki nagle robią się wielkie i okrągłe, opuścił głowę, podążając za nimi. Ujrzawszy swój poharatany tors, wyrwał dłoń z rączki Sary i błyskawicznie zakrył się kocem aż po

same pachy. Był pewien, że dziewczynka cofnie się, wystraszona, ale ona tylko przytuliła się do niego, zawisając mu na szyi.

– Ja też mam blizny – wyszeptała, odgarniając włosy z czoła, żeby pokazać mu cieniutką jak kartka papieru szramę po upadku z sanek; miała wtedy trzy lata. – Widzisz?

Archie dotknął bladej kreseczki na czole córki. Była taka cienka, że ledwie ją wyczuwał swoimi zgrubiałymi palcami; w niczym nie przypominała śladów głębokich cięć widniejących na jego skórze. Po nich mógł wodzić palcami jak po mapie i wyobrażać sobie, że to plastyczny model powierzchni innej planety.

Cmoknął córeczkę w czoło, muskając wargami jej cienką bliznę.

– Idź do kuchni i zjedz tę jajecznicę – powiedział. – Ja też zaraz tam przyjdę.

Odczekał, że Sara zniknie za drzwiami i zamknie je za sobą; dopiero wtedy odrzucił koc i zsunął nogi na podłogę. Sięgnął dłonią do piersi, odnajdując bliznę w kształcie serca, pod którą jego serce było nieprzerwanie. Polubił ją, a dotykanie jej sprawiało mu teraz przyjemność. Siedział tak przez długą chwilę, a kiedy wreszcie oderwał od niej palce, sięgnął po spodnie, w kieszeni których leżało jego pudełeczko z lekami.

Zerknął w telewizor. Na pasku u dołu ekranu widniała nowa wiadomość: doszło do połączenia dwóch pożarów.

Archie wykapał się i ogolił. Pigułki zaczęły działać, kiedy moczył się pod ciepłym prysznicem, a zanim skończył golenie, w głowie szumiało mu już przyjemnie od vicodinu. Ten stłumiony szmer, wywoływany przez leki, doskonale głużył wyrzuty sumienia. Czasami zastanawiał się, czy

nie warto byłoby odstawić pigulek, ale myślał o tym tylko rano, zaraz po przebudzeniu. Kiedy już je zażył i poczuł się na haju – nigdy.

Ubrał się w brązowe spodnie i koszulę w tej samej tonacji, a potem zajrzał do kuchni. Dzieci skończyły już śniadanie. Henry stał przy kuchence, wystrojony w biały fartuch Debbie, i smażył jajecznicę. Głowę miał świeżo wygoloną, a ubranie świeże, nie to samo, w którym Archie widział go wieczorem; wszystko sobie zaplanował i przyjechał dobrze wyekwipowany.

– Wyglądasz jak kurier z UPS – uśmiechnął się na widok Archiego.

Sara oderwała się od mamy i podbiegła do ojca, uderzając go w udo blaszanym pudełkiem na drugie śniadanie. Ben nie ruszył się z miejsca; został tam, gdzie siedział, przy Debbie.

Sara zadarła główkę.

– Mam dzisiaj klasówkę z ortografii – poinformowała Archiego.

– Jesteś dopiero w pierwszej klasie – odparł.

– Henry mnie przepytował.

– Robi mniej błędów niż ja – uśmiechnął się detektyw. Debbie podeszła do nich i położywszy Sarze dłoń na ramieniu, pocałowała Archiego w policzek.

– Do zobaczenia wieczorem – powiedziała. – Henry obiecał, że posiedzi z dziećmi. Możemy dokądś wyjść, rozerwać się trochę.

– Jasne – zgodził się Archie. Skinęła głową.

– Idziemy – zakomenderowała, biorąc Sarę za rękę. – Ben, pocałuj tatę.

Ben przydreptał do Archiego, a on pochylił się, żeby synek mógł cmoknąć go w policzek na do widzenia.

– Kocham cię, tato – powiedziała Sara. – Ka, o, ha, a, em.

– Ceha – poprawił.

Cała trójka wyszła z kuchni.

Archie nalał sobie kawy i usiadł przy stole, gdzie stały jeszcze talerze, z których dzieci jadły śniadanie. Oba były zasypane okruskami chleba i zaplamione tłuszczem zmieszany z glutami z jajecznicy.

– Gdzie moja broń? – zapytał Archie.

Henry zrobił kilka kroków i sięgnąwszy do wysokiej szafki nad kuchenką, wyjął stamtąd rewolwer Archiego. Położył go na stole przed właścicielem.

– Nienabity – powiedział.

Archie wziął broń i ważył ją przez chwilę w dłoni, a potem wsunął do kabury przy pasku.

– Chcesz jeszcze pogadać? – zapytał Henry.

– W tej chwili ją przewożą? – odpowiedział pytaniem Archie.

– Tak.

– Więc nie ma o czym gadać.

Zanim Henry zdążył otworzyć usta, zadzwoniła komórka Archiego. Wyciągnął ją z kieszeni, otworzył klapkę i przyłożył aparat do ucha.

– To ja – usłyszał głos Susan Ward. – Wiem, kim jest wasza NN.

Kostnica miejska w Portland znajduje się w północnej części metropolii, w budynku tynkowanym na beżowo. Ściany wewnątrz mają taki sam kolor, beżowe jest też linoleum na podłodze. Beżowe były sterylne papierowe kitle, które Susan i Archie musieli włożyć na ubranie. Prosektorium mieściło się w piwnicach. Kostnice zawsze są w piwnicy – jeśli wierzyć w to, co pokazuje telewizja. Stały tam rzędem stalowe stoły na kółkach oraz sporo rozmaitych wag i pojemników o szatańskim wyglądzie, a w podłodze widniały cztery olbrzymie otwory odpływowe, do których zmywało się szlauchem krew pod koniec dnia pracy. Na wysokości około trzech metrów biegły szeregiem okna o mlecznych szybach, zalewając pomieszczenie upiornym białym światłem; parapet pod nimi ktoś zastawił najprzeróżniejszymi roślinami doniczkowymi. Były tam i zielistki, i paprotki, i figowce sprężyste.

– Śmierdzi zmywaczem do paznokci – zauważyła Susan.

– Podzielisz się ze mną swoimi przypuszczeniami? – zapytał Archie.

Umówili się na parkingu pod kostnicą. Czekał na nią. Spóźniła się tylko piętnaście minut, co jak na nią było i tak szczytem punktualności. Nie zobaczyła się natomiast już z Henrym.

– Chcę się tylko upewnić – odparła.

Zwłoki były przykryte czarną plastikową płachtą, taką samą, jaką zabezpiecza się, dajmy na to, stos drewna pod gołym niebem. Przed chwilą przywiozła je na stalowym stole pracownica kostnicy w drewnianych chodakach, która pod sterylnym beżowym kitem, chociaż było lato, miała sztruksy, golf i wełniane skarpety. W tym miejscu prawdopodobnie

zawsze panowało zimno. Archie skinieniem głowy dał jej znak, aby odwinęła grubą plastikową płachtę i rozpięła pokrowiec, w którym leżały zwłoki.

Zmarła kobieta nie miała już twarzy. Archie uprzedził o tym Susan, ale mimo wszystko dziennikarka nie była przygotowana na ten widok. Denatka miała opadniętą żuchwę, przez co jej usta bez warg były lekko uchylone; szerniały język przypominał poobijany owoc. Resztki zakrzepniętej krwi widoczne na kościach policzkowych i w oczodołach wyglądały jak plamy dżemu winogronowego. Jak lekarze sądowi w ogóle mogą jeść – to w tym momencie była dla Susan nieodgadniona zagadka.

Opuściła wzrok i uświadomiła sobie, że ściska kurczowo nadgarstek Archiego. Jej serce rwało dzikim galopem, a w gardle jakby coś stanęło, ale zmusiła się, żeby patrzeć dalej. Szukać jakiejś wskazówki. Czegoś znajomego.

Znalazła.

– Boże... – szepnęła.

Archie oswobodził nadgarstek i wziął ją za rękę, splatając palce z jej palcami.

– Powiedz – poprosił.

Susan nie płakała. To nie był płacz. To były tylko łzy. Ciekły jej po policzkach i wsiąkały w czarny, peruwiański, ręcznie robiony sweter, który kupiła jej matka. Skóra na szyi marzła w miejscach, gdzie zostawiły swoje słone ślady. Susan wzdrygnęła się, powtarzając w myślach, że to przecież nie jest jej wina. Ani to, ani śmierć Parkera, ani śmierć senatora. Nie ponosiła winy za żaden z tych zgonów. Ona tylko pisała artykuł. Była dziennikarką. A opinia publiczna ma prawo do informacji.

– To jest Molly Palmer – powiedziała.

Archie wytrzeszczył oczy na ciało leżące na stole sekcyjnym.

– Chcesz mi powiedzieć, że to właśnie jest twoja informatorka? – zapytał. – Że zamordowana kobieta, którą znaleźliśmy kilka godzin przed tragicznym wypadkiem senatora Scheera, to ta sama osoba, która miała go publicznie skompromitować?

Susan skinęła potakująco głową.

Archie powiódł wzrokiem po makabrycznej trupiej twarzy, obrzmiałej i opiętej pożyłkowaną skórą.

– Po czym ją rozpoznajesz?

Dziennikarka nawinęła na palec kosmyk swoich turkusowych włosów.

– Wczoraj dodzwoniłam się w końcu do dziewczyny, która z nią mieszka. Powiedziała mi, że Molly wyjechała. Zostawiła list i zniknęła. Ale przed wyjazdem ufarbowała włosy. Była striptizerką, a blondynki dostają więcej napiwków. Tylko że ona chciała to rzucić. – Puściła niebieski kosmyk, który zachował kształt sprężynki. – I dlatego ufarbowała włosy na rudo. Ten odcień nazywa się „cynamonowy połysk”. Jej współlokatorka znalazła opakowanie w łazience, w koszu na śmieci.

Identyfikacja ofiary na podstawie koloru włosów. Archie zobaczył oczyma duszy spotkanie z prokuratorem okręgowym: Vidal Sassoon powołany w charakterze biegłego.

– Nie obrazisz się, jeśli sprawdzę dokumentację stomatologiczną, tak dla pewności? – zapytał, myśląc, że to czyste szaleństwo. Przeczucie oparte na odcieniu farby do włosów. Ale był to trop, trop, którym można pójść. Archie wyciągnął komórkę i zadzwonił do Lorenza Robbinsa.

Włączyła się poczta głosowa, więc zostawił wiadomość, przekazując kryminologowi to, co wiedział o Molly Palmer. Dziewczyna chodziła do liceum w Portland, była więc szansa, że uda się u kogoś znaleźć zdjęcia rentgenowskie jej uzębienia.

– Kiedy ostatni raz ją widziałaś? – spytał łagodnym głosem. Susan potrząsnęła głową.

– Nie mogłam się z nią skontaktować, ale ona już taka była, że czasami ucinała kontakt. Poza tym wiedziałam, że denerwuje się artykułem, bo miał się niedługo ukazać. – Skubnęła rękawy swetra. – Była blondynką. Powiedziałaś, że ta kobieta z parku miała rude włosy. A Molly była blondynką.

– Brała narkotyki?

Wyników analizy toksykologicznej nie można się było spodziewać przed upływem sześciu tygodni, ale wszystko wskazywało na zgon w wyniku przedawkowania.

– Tak – potwierdziła Susan.

Podsumowując: miała rude włosy. Zaginęła. I była narkomanką.

– Heroinę? – dopytywał się.

– To nie był wypadek – wycedziła załamującym się głosem. – A Parker nie był pijany. – Zaśmiała się ponuro. – On był zawsze pijany, ale nigdy aż tak, żeby pieprznąć w barierkę i spaść z mostu. – Jej dłonie schowały się już całkowicie w rękawach swetra; skrzyżowała ręce na piersi. – Molly brała heroinę, ale nie tykała byle czego. Była uzależniona, więc musiała mieć stałego, zaufanego dostawcę. – Spojrzała na Sheridana, szeroko otwierając oczy, zielone jak algi. – To było morderstwo, Archie. Scheer czuł się upokorzony, więc umówił się z Molly w tym parku i tam dał jej

zatrutą heroinę czy coś w tym stylu. A potem spowodował wypadek na moście, zabijając siebie i Parkera.

W morde, zaklął Archie w myślach, tylko tego mi było trzeba.

– Muszę przejrzeć twoje materiały do artykułu o senatorze – oświadczył. – Wszystko, co zgromadziłaś.

Susan wzdrygnęła się, potrząsnęła głową.

– Nie mogę tego zrobić. Nie mogę tak po prostu przekazać swoich notatek policji. – Odwróciła wzrok na nieruchome ciało, wciąż raz po raz potrząsając głową. Dłonie ukryte w rękawach zacisnęły się w pięści. – Parker nigdy by czegoś takiego nie zrobił. Archie spojrział na zegarek. Dochodziła dziewiąta rano. Wiedział, że transport wiozący Gretchen do Lawford pojedzie prawdopodobnie międzystanową piątką i skęci z niej dopiero na autostradzie numer osiemdziesiąt cztery. To oznaczało, że przejadą przez Portland. A on będzie mógł poczuć bliskość Gretchen. Być bliżej niej.

– Przyjechałaś samochodem? – zapytał Susan. – Tak.

– Podrzucisz mnie w jedno miejsce? – poprosił. – Chcę ci coś pokazać.

Nie odpowiedziała. Stała nieruchomo jak słup soli.

– Zaufaj mi, Susan.

Milczała jeszcze przez chwilę. Pod sufitem szumiała jakaś rura; brzmiało to tak, jakby ktoś spuścił wodę albo mył szlauchem nowe zwłoki przywiezione na autopsję. Wreszcie Susan opuściła ręce, podwijając rękawy do samych łokci.

– W porządku – zgodziła się. – Chodźmy. Archie wyjął komórkę, wystukał numer.

– Spóźnię się dziś trochę – powiedział, kiedy Henry odebrał telefon. –

Chcę pokazać Susan te pudła od Parkera.

Stanęli przed drzwiami domu Archiego. Susan była tutaj kiedyś, jeden raz – umówiła się na wywiad z jego byłą żoną, kiedy pisała o Sheridanie i o pracy zespołu śledczego, którym dowodził. Teraz obserwowała Archiego, który przystanął na werandzie i przez chwilę ważył w dłoni klucze, przyglądając im się jak jakiejś cennej, ale smutnej pamiątce. Wreszcie otrząsnął się i wsunąwszy pasek metalu do zamka, otworzył drzwi na oścież.

Wewnątrz unosiły się jeszcze aromaty śniadania: soli i tłuszczu. Smażonych jajek. Susan wyobraziła sobie rodzinę Sheridanów w komplecie przy kuchennym stole, zapychającą sobie tętnice cholesterolem do wtóru kochających spojrzeń. Przypomniała sobie, jak to raz, kiedy miała dziesięć lat, Bliss postanowiła nagle, że zacznie jej robić śniadania. Przez cały weekend mieszała domowe musli, a potem przez okrągły tydzień karmiła nim Susan. Upłynął miesiąc, zanim dziewczynce udało się normalnie wypróżnić.

– Tędy – powiedział Archie, ruszając korytarzem. Wykładzina tłumiała jego kroki.

– A co tam jest? – zapytała.

– Mój gabinet – odparł.

Susan weszła za nim do dużego pokoju, gdzie stały biurko i stary telewizor, a na ścianach wisały półki pełne książek, zdjęcia i oficjalne dyplomy pochwalne oprawione w ramki oraz tablice obwieszane kartkami papieru. Była tam też rozkładana kanapa. Leżała na niej pościel. Susan musiała się bardzo postarać, żeby nie okazać po sobie żadnego wrażenia

na widok tej kanapy, będącej naocznym dowodem na to, że Archie Sheridan nie sypia ze swoją żoną. Czy też była żoną. Zresztą wszystko jedno, kim była dla niego; Susan w ogóle to nie interesowało. Naprawdę.

Detektyw nie uronił choćby słowa wyjaśnienia i chyba nawet niczego nie zauważył. Podeszedł do szafy i ostrożnie odsunął harmonijkowe drzwi. A potem pociągnął za łańcuszek włączający światło.

W środku, przyczepione pinezkami do tylnej ściany szafy, wisiały dziesiątki ludzkich podobizn. Były tam i zwyczajne zdjęcia, i fotografie z sekcji zwłok. Każda z nich przedstawiała jedną ofiarę mordercy zwanego Wirtuozem.

– Jezu Chryste... – szepnęła Susan.

Archie nie odezwał się ani słowem, wyjął tylko z dna szafy duże, białe pudło. Potem drugie. I na koniec trzecie. Pudła były wykonane z grubego, twardego kartonu, miały pokrywki i owalne wycięcia po obu stronach, służące jako uchwyty. Na jednej z krótszych ścianek ktoś wypisał czerwonym flamastrem jedno słowo: „Wirtuoz”. Susan знаła dobrze ten ścisły, niestaranny charakter pisma. Tak gryzmolił Jefferson Parker.

– To są jego notatki – rzucił Archie beznamiętnym, rzeczowym tonem, stawiając z głuchym stuknięciem trzecie pudło na drugim.

– Skąd je masz? – zapytała.

Detektyw usiadł za swoim biurkiem, wziął długopis i zaczął kręcić nim w palcach.

– Pożyczył mi je – wyjaśnił.

– Po co?

– Dotarł do bardzo wielu ludzi. Poprosiłem go, żeby pokazał mi transkrypcje wywiadów, które z nimi przeprowadził. – Archie podrzucił

długopis do góry i chwycił go w powietrzu. – Na potrzeby naszego programu identyfikacji ofiar.

Susan oderwała wzrok od pudeł, spojrzała na niego.

– Oddał ci swoje notatki?

– Pożyczył – powtórzył Archie. – A teraz ja pożyczam je tobie.

Dziennikarka podeszła do stojących na biurku pudeł. Przesunęła dłonią po jednym z nich. Notatki Parkera. Blisko trzynaście lat gromadzenia materiałów na temat morderstw Wirtuoza. Poczowała, jak na jej twarzy rozlewa się szeroki uśmiech – i natychmiast się zmitygowała. Boże, co ze mnie za świnia, pomyślała. Parker nie żyje, a ja żeruję na nim jak ścierwojad. Wcale nie jestem lepsza niż Ian i cała reszta tej hołoty. Ale jednak mimo tych surowych myśli nie cofnęła dłoni.

– Parker siedział kiedyś cały miesiąc w areszcie, bo odmówił identyfikacji handlarza narkotyków, o którym pisał – powiedziała.

– Wiem – skinął głową Archie. Mówił tak cicho, że z trudnością go słyszała. – Ale teraz sytuacja jest inna. Gretchen została zatrzymana.

Odłożył długopis na biurko, pod niewielkie, oprawione w ramki zdjęcie stojące na blacie. Ze swojego miejsca Susan nie mogła zobaczyć, kto jest na tym zdjęciu, ale domyślała się, że rodzina detektywa: cała czwórka przy choince albo na tle jakiegoś wiejskiego płotu.

– Chciałem, żeby przyznała się do zamordowania Heather Gerber – podjął Archie. – Dziewczyny, którą znaleziono w parku trzynaście lat temu. Gretchen odmówiła. Heather była taką osobą, którą wszyscy mają gdzieś. – Poprawił ramkę, przesuwając ją odrobinę. – Jeden Parker był wyjątkiem.

– I ty – dodała Susan cicho.

Sheridan podrapał się w czoło, tuż nad brwią. Nie odrywał wzroku od zdjęcia.

– Gretchen wybrała Heather mózg z czaszki. Przez nos. Szydełkiem. – Jego głos był beznamiętny i brzmiało w nim zmęczenie. – Niczego nie było widać. Na pierwszy rzut oka głowa była jedyną nietkniętą częścią ciała ofiary. Późno w nocy otrzymałem wezwanie od lekarza sądowego. Pojechałem do kostnicy i tam on zdjął pokrywę czaszki i pokazał mi, co było w środku: rzadka papka zamiast mózgu. – Znow podrapał się w czoło. – Wyglądała jak ciasto na naleśniki.

– To było twoje pierwsze morderstwo, tak? – Susan przysiadła na skraju biurka, pochylając się tak, żeby móc dosięgnąć ręki Archiego. Położyła dłoń na jego nadgarstku. To było bez sensu. I kompletnie nie na miejscu. Ale tak kazało jej nagle pragnienie. Chciała stworzyć więź. Czowała przez skórę, jak bije jego serce.

Przez chwilę oboje siedzieli bez ruchu, aż wreszcie Archie obrócił rękę i wziął w palce dłoń Susan. Dziennikarka poczuła, jak jej puls zaczyna galopować, a do tego zachciało jej się chichotać, jak małej dziewczynce; impuls był tak silny, że bała się spojrzeć na swojego towarzysza. Już samo to, że znajdowała się w jego przestrzeni prywatnej, w miejscu, gdzie spał, było dostatecznie kłępujące. Mimo wszystko zmusiła się jednak, aby unieść wzrok; Archie patrzył na nią z tak wielką czułością, że przez sekundę wydawało jej się, że zaraz ją pocałuje. Ale on powiedział tylko:

– Muszę przejrzeć wszystkie twoje notatki na temat senatora Scheera.

Susan zaśmiała się krótko. Nie mogła się opanować. Pod powiekami wezbrały piekące łzy. Policzki zapłonęły rumieńcem.

– Archie... – zaczęła.

– Susan – przerwał, zaciskając mocniej jej dłoń w swojej. – Uwierz mi, w znajomość ze mną lepiej się nie angażować. – Jakby na potwierdzenie swoich słów odwrócił ramkę stojącą na biurku. Fotografia, na którą patrzył każdego dnia, nie przedstawiała jego rodziny. Nie było na niej choinki ani wiejskiego płotu. To było szkolne zdjęcie młodej dziewczyny, nastolatki. Susan wiedziała, kim ona jest. Widziała jej podobiznę wystarczająco wiele razy: pierwsza ofiara Wirtuoza. Heather Gerber.

– Proszę o twoje notatki – powtórzył Archie.

Nagle Susan zamarła. Za oknem mignęło jej...

– Co? – zapytał.

Dom otaczali policjanci. Gabinet Sheridana miał dwa okna. Beżowe zasłony były zasunięte do połowy, ale mimo to widziała całkiem wyraźnie, że dom otaczają policjanci. Na ulicy stały radiowozy, migając kolorowymi światłami w ciszy wyłączonych syren. Funkcjonariusze szli w kierunku domu. Archie obrócił się na fotelu, chcąc zobaczyć, na co Susan tak patrzy, a potem wstał zza biurka.

– Co się dzieje? – zapytała dziennikarka.

Ktoś zadzwonił do drzwi. A właściwie „zadzwonił” było niezbyt trafnym określeniem. Dzwonek brzmiał tak, jakby ktoś oparł się o przycisk i nie zdejmował z niego palca ani na chwilę: raz za razem rozlegała się uporczywa, rozgorączkowana melodyjka, a wtórował jej głuchy łomot walenia pięścią w drzwi.

Archie sięgnął do kieszeni i wyjął telefon, a Susan dopiero wtedy uświadomiła sobie, że aparat dzwoni. Detektyw przyłożył go do ucha, kierując się w stronę drzwi. Dziennikarka została tam, gdzie siedziała, przycupnięta na skraju biurka.

– Nie ruszaj się stamtąd – ostrzegł Sheridan.

– Spokojnie – odparła.

Dobiegł ją odgłos otwieranych drzwi wejściowych, a potem ciężki tupot biegnących stóp. Kiedy ponownie wyjrzała przez okno, stał za nim policjant w mundurze i machał do niej. Odwróciła się z powrotem do drzwi – i w tym samym momencie stanął w nich Henry Sobol. Twarz miał czerwoną jak burak; jedną ręką przyciskał do ucha telefon, w drugiej trzymał broń. Za nim zjawiło się czterech mundurowych.

– Co jest, do kurwy nędzy? – warknął Archie na jego widok. Henry nie odłożył broni. Jego twarz lśniła od potu.

– Około trzydziestu minut temu Gretchen Lowell uciekła z konwoju – powiedział. – Ostatni raz widziano ją w odległości mniej więcej piętnastu kilometrów stąd.

Archie zakrztusił się, odkaszlnął, a potem zgiął się wpół i zwymiotował prosto na jasnokremowy dywan.

Sprawdzić dom – szczerknął Henry. – I podwórko. Wszędzie.

Archie słyszał, jak po jego domu krząta się mnóstwo ludzi. Otwierały się drzwi za drzwiami. Zagłądano do wszystkich pokoi. Nie mógł uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Od kwaśnego smaku wymiocin w ustach znów zaczęło przewracać mu się w żołądku. Gretchen знаła jego adres. Kiedy Archie był jej więźniem, jego dom pokazywano w cholernej telewizji setki razy. Wiedziała, gdzie go szukać. Boże, nie trzeba było tutaj wracać, pomyślał. Nagle poczuł na ramieniu czyjąś dłoń i wzdrygnął się, porażony niespodziewanym dotykiem niczym uderzeniem prądu. Otworzył zaciśnięte powieki i zobaczył Claire Masland. Nie wiedział nawet, kiedy weszła.

Twarz Claire tchnęła spokojem i opanowaniem, ale jej czujne oczy błyskawicznie obiegły cały pokój, nie opuszczając żadnego szczegółu: ani rozłożonej kanapy, ani pudeł z notatkami Parkera, ani szafy, gdzie na tylnej ścianie zdjęcia ofiar Gretchen układały się w makabryczny kolaż. W dłoni policjantki tkwił służbowy rewolwer kalibru dziewięć milimetrów z mechanizmem spustowym typu *double action*. Była to potężna i precyzyjna broń; Claire trzymała lufę skierowaną w dół, ale rękę miała wyciągniętą, lekko zgiętą w łokciu; w razie potrzeby mogła złożyć się i strzelić w ułamku sekundy.

– Znajdziemy ją – powiedziała krótko.

Archie odwrócił się. W drzwiach stanęła Susan, która przyniosła ręcznik z łazienki w korytarzu. Podeszła, rumieniąc się na całej twarzy, i przyklękła, aby wytrzeć zapaskudzony wymiocinami dywan.

– Zostaw to – mruknął. – Nie trzeba.

Ale ona nieprzerwanie tarła podłogę szarym ręcznikiem. Ręce trzęsły jej się spazmatycznie.

– Spokojnie, to żaden problem – szepnęła, a Archie widział, jak rzuca oczami dookoła siebie, jak rozgląda się po dobytej, gotowej do strzału broni, po uwijających się jak w ukropie policjantach. Przycisnęła ręcznik mocniej. – Spokojnie – powtórzyła, już tak cicho, że z ledwością ją usłyszał.

– Susan – podniósł lekko głos. – Zostaw to.

Spojrzała na niego, a potem uniosła ręce, zostawiając ręcznik na podłodze, i skinęła głową.

– Co z Debbie i dziećmi? – zapytał Archie Henry’ego.

– Wysłałem po wszystkich ekipy – odparł jego partner. Archie poczuł, że jego galopujący puls zaczyna słabnąć.

– A co się właściwie stało?

– Nie mamy bladego pojęcia – odparł Henry, czerwieniejąc i jtnasując dłonią kark. – Przystanęli po benzynę na stacji tuż przed samym wjazdem na dwieście piątkę. Gretchen miała skrepowane ręce i nogi, palcem nie mogła ruszyć. Konwojowało ją dwoje zastępców szeryfa, mężczyzna i kobieta. Pracownik stacji zauważył, że furgonetka nie odjeżdża od dystrybutora, i podszedł, żeby sprawdzić, co się dzieje. Znalazł już tylko zwłoki tej policjantki, zastępcy szeryfa. Gretchen i drugi konwojent, facet, zniknęli.

Archie potrząsnął głową. Wiedział, co się stało: Gretchen zwerbowała policjanta na swoje usługi, a on pomógł jej w ucieczce. Miał też absolutną pewność, że ten mężczyzna już nie żyje. Nawet tak skatowana, Gretchen

Lowell była śmiertelnie niebezpieczna. Jeśli w ogóle jej obrażenia były autentyczne.

– Kurwa – zaklął.

Zrozumiał, że wszystko działo się według jej planu. Że zrobiła z nich durniów. Wszyscy dali się wykolegować jak ostatnie głąby. Oparł się o krawędź biurka i parsknął cichym śmiechem.

– Ciebie to bawi? – zapytał Henry, któremu najwidoczniej nie było zbyt wesoło.

– Wszystko sobie zaplanowała – wyjaśnił mu Archie. – Chciała, żebyście pomyśleli, że trzeba ją przenieść gdzie indziej. Nie rozumiesz? Ta napaść w więzieniu... To nie mną ona manipulowała. – Wycelował w niego palec wskazujący. Henry zrobiłby dla niego wszystko: przeniósłby więźnia i posłał w diabły cały program identyfikacji ofiar, gdyby uznał, że Archie zaczyna svirować. – Nie mną, tylko tobą.

Henry spojrzał na niego spod przymrużonych powiek, a w jego oczach zabłysło zrozumienie. Przejechał dłonią po łysej jak kolano głowie.

– Wiedziała, jak się zachowasz – zgrzytnął, wściekły. – I jak ja zareaguję.

– Oczywiście – przytaknął Archie.

– Dość tego – przerwała im Claire. – Bierzemy cię pod ochronę. Musisz się ukryć.

Ale Archie ani drgnął.

– Jak zginęła ta policjantka? Zastępca szeryfa? Gretchen rzadko zabija tak szybko. Jak to zrobiła? Claire zerknęła na Henry'ego.

– Podcięła jej gardło – odparła.

– Miała nóż?

– Nie wiemy – powiedział Henry.

Susan, siedząca do tej pory na dywanie, wstała na równe nogi. Ręce już się jej nie trzęsły. Nawinęła na palec kosmyk swoich turkusowych włosów.

– Nie chcę wyjść na wyrachowaną sukę – odezwała się – ale czy powiadomiono już media?

– Na razie trzymamy to w tajemnicy – wyjaśnił Henry. – Burmistrz boi się, że wybuchnie panika.

– Ona niedługo kogoś zabije – oświadczył Archie, wodząc wzrokiem od Henry’ego do Claire i z powrotem, usiłując unaocznic im powagę sytuacji. – Lubuje się w odbieraniu ludziom życia, a od blisko trzech lat nie miała możliwości zamordować nikogo po swojemu, bez pośpiechu. Trzeba ostrzec wszystkich.

Claire zerknęła na zegarek.

– Musimy już iść – powiedziała, patrząc na Henry’ego.

– Nie. – Archie potrząsnął głową, nie ruszając się od biurka. – Trzeba dać jej możliwość skontaktowania się ze mną.

– Nie dostanie takiej możliwości – oznajmiła Claire.

– Chcecie ją złapać czy nie? – zapytał.

– W tej chwili pewnie już jest w drodze za granicę. – Henry wzruszył ramionami.

Nagle zadzwoniła komórka Archiego. Wyciągnął ją z kieszeni i spojrzął na wyświetlacz, gdzie widniał napis „numer nieznany”.

– Nie – potrząsnął głową. – Ona nie uciekła. Przyłożył telefon do ucha.

– Halo? – powiedział do słuchawki.

– Witaj, kochany – zamruczał w odpowiedzi miękki głos Gretchen.

Zalało go poczucie bezbrzeżnej ulgi, jak ogromna fala, która porwała i uniosła ze sobą wszystkie obawy, cały strach, a nawet uspokoiła targany nudnościami żołądek. Archie osunął się po przedniej ściance biurka, siadając na podłodze. Palce ściskające telefon były zimne i zgrabiałe, ale ciało ogarnęła gorączka, a na kark wystąpiły nagle grube krople potu. A w następnej chwili dotarło do niego, że wcale się jej nie boi.

Zrozumiał, że boi się tylko jednego: że już nigdy jej nie zobaczy.

– Miło cię znów usłyszeć – powiedział.

Archie z całych sił starał się nie zwracać najmniejszej uwagi na tych wszystkich, którzy byli tuż obok niego w gabinecie, koncentrować się tylko i wyłącznie na telefonie przyciśniętym do policzka, tylko i wyłącznie na Gretchen. Czuł dłoń Claire Masland na ramieniu. Widział, jak Susan Ward otwiera swój notatnik i przykłada długopis do papieru. Zauważył, że Henry wyjął własną komórkę, żeby zamówić wysłanie połączenia. Taka operacja trwała dwie minuty, o ile dzwoniło z telefonu stacjonarnego i nie trzeba było angażować operatorów komórkowych. Archie zerknął na zegarek, rozpoczynając odliczanie. Była dziesiąta czterdzieści sześć.

– Wzięli cię już pod ochronę? – zapytała Gretchen. Przełknął z wysiłkiem ślinę.

– Gretchen, musisz się oddać w ręce policji.

Niemalże usłyszał, jak się uśmiecha po drugiej stronie linii.

– Będiesz za mną tęsknił, prawda? Tak jak ja tęskniłam za tobą. – Ze słuchawki nagle powiało chłodem. – Tyle niedziel minęło, a ty nie pokazałeś się ani razu.

– Będę cię odwiedzał – obiecał. Żołądek go piekł, głowa pękała z bólu.

– Bardzo tego chcę, wiesz o tym.

– Obiecanki cacanki.

Henry wciąż jeszcze miał telefon przy uchu, co oznaczało, że trzeba przeciągnąć rozmowę. Archie znalazł w kieszeni swoje pudełeczko, wyjął cztery tabletki vicodinu i wrzucił je do ust. Claire podała mu szklanekę wody do popicia.

– Sfingowałaś gwałt? – zapytał Gretchen.

– Nie – odpowiedziała. – Pokazałam mu tylko, do czego jest zdolny.

Przypomniawszy sobie wtedy serce narysowane na lustrze więziennej łazienki.

– Zabiłaś go? – zadał kolejne pytanie, oddając Claire szklanę. Policjantka postawiła ją na biurku, obok fotografii Heather Gerber. Była dziesiąta czterdzieści siedem.

– A czy to ważne?

Archie wiedział dobrze, że wszystko dopiero się zaczyna. Odzyskanie wolności przez Gretchen oznaczało początek wielkiej masakry.

– A co z zaginionym zastępcą szeryfa?

– Nie żyje. Nie żyje. Nie żyje.

– Poddaj się, Gretchen – powtórzył Archie. Przycisnął palce do prawej skroni, chcąc w jakiś sposób spowolnić szalone tętno rozsadzające skórę. Susan notowała gorączkowo, zapisując wszystko, co się działo. Miał to gdzieś. – Zrobię, co zechcesz – obiecał.

– Wiesz, czego chcę – powiedziała i zamilkła, a jej słowa zawisły pomiędzy nimi.

– Powiedz – poprosił.

– Chcę ciebie – odparła. – Zawsze ciebie chciałam. Gorące tętno pod opuszkami palców znów przyspieszyło. Archie ucisnął skroń jeszcze mocniej.

– Tego nie mogę zrobić – powiedział.

– Mogłabym tak z tobą gawędzić do wieczora, kochany – zamruczała – ale muszę już kończyć. Za chwilę będzie dzwonek na przerwę.

Dziesiąta czterdzieści osiem. Archie podniósł głowę; Henry wciąż

rozmawiał przez telefon, a jego twarz zaczęła się mienić. Namierzyli połączenie. Henry zakończył rozmowę i wystukał kolejny numer.

– Mówi detektyw Henry Sobol z komendy głównej policji miasta Portland – powiedział do słuchawki. – Czy macie państwo procedury izolacji szkoły? To dobrze. Proszę je wdrożyć i odseparować cały budynek.

Archie wrócił do własnej rozmowy.

– Gretchen – zapytał – gdzie jesteś?

Słyszał jednym uchem, co Henry mówi dalej, nagłym, nieznoszącym sprzeciwu głosem.

– Mamy powody przypuszczać, że uczniowie Ben i Sara Sheridan są w niebezpieczeństwie. Czy wie pani, kim jest Gretchen Lowell? Uważamy, że ta kobieta może się znajdować na terenie państwa szkoły.

Archie nagle poczuł się oderwany od własnego ciała. Nie umiałby powiedzieć, czy to zaczęły działać leki, czy może po prostu poraził go szok, ale faktem było, że jego mózg ogarnęła kojąca drętwota, a myśli stały się ciemne i ciężkie jak ołów. Cała sytuacja przestała mieć dla niego sens. Przecież Gretchen nie mogła uciec. To nie mogło dziać się naprawdę.

Wciąż słyszał głos Henry'ego:

– Jest to osoba niezwykle, powtarzam i uczulam państwa, niezwykle niebezpieczna. Nie wolno się do niej zbliżać pod żadnym pozorem. Proszę zamknąć wszystkie klasy. Nikt obcy nie ma prawa zbliżyć się do dzieci. Policja jest już w drodze. Czy to jest jasne? Cieszę się.

– Gretchen? – powtórzył Archie. Odurzenie mijało, rozsądek powracał co sił. Palce kurczowo zacisnęły się na telefonie.

– Interesuję się nimi wyłącznie dlatego – powiedziała słodkim głosem –

ponieważ przypominają mi ciebie.

I w tym momencie usłyszał, przez telefon, głos szkolnego dzwonka: pięć razy po dwa. Sygnał rozpoczęcia procedury izolacji budynku. Gretchen była w szkole, do której chodziły jego dzieci. Chciała je zabić. Chciała odebrać Archiemu ostatnią rzecz, która jeszcze miała dla niego jakiegokolwiek znaczenie.

– Do widzenia, kochany – dobiegł go jej pieszczotliwy szept, a potem telefon umilkł.

Susan patrzyła, jak komórka wysuwa się z dłoni Archiego i spada na dywan. Była lekka, więc odbiła się raz od podłogi i znieruchomiła, leżąc na boku. Niebieski wyświetlacz jarzył się jeszcze przez chwilę, potem zgasł. W pokoju śmierdziało wymiocinami. Chyba nikt oprócz niej tego nie zauważył.

Archie wstał.

Susan wiedziała, że rozmawiał z Gretchen Lowell, i słyszała, jak Henry dzwonił do szkoły, gdzie uczyły się dzieci Sheridanów. Połączenie obu faktów nie było trudne. Postanowiła, że będzie pisać o tym na żywo, nie przejmując się blokadą informacji. Ale chociaż miała magisterkę z literatury i pięć lat przepracowała w gazecie, to jedynym pytaniem, jakie przyszło jej teraz do głowy, było: „Co się dzieje?”.

Henry zrobił cztery kroki w stronę Archiego. Stał przed przyjacielem, chwycił go swoimi szerokimi dłońmi za ramiona. Pod Sheridanem ugięły się nogi i przez chwilę Susan miała wrażenie, że upadłby, gdyby nie Henry.

– Wysłałem ludzi do szkoły – powiedział Sobol.

– Muszę tam jechać – wydyszał Archie. – Natychmiast. Henry zawahał

się, ale po chwili skinął głową:

~ W porządku.

Susan zamknęła notatnik, podeszła.

– Jadę z wami.

Tym razem Henry odpowiedział bez chwili namysłu:

– Nie.

Ale ona nie zamierzała dać się spławić.

– Koniec waszej blokady informacji. – Pomachała im przed nosem notatnikiem. – Zarządziliście izolację szkoły. W tej chwili już tam pędzą wszystkie ekipy telewizyjne w mieście, a stacje przestawiły się na transmisję na żywo. Tylko dzięki mnie możecie zapanować nad tym, co przedostaje się do mediów. W tej chwili możecie najwyżej doprowadzić do wybuchu masowej hysterii. Tego chcecie? – zapytała. – Żeby wybuchła panika?

Henry zniżył głos.

– Chcę ją dopaść, zanim znów kogoś zabije – odparł. Susan opuściła swój notatnik i spojrzała mu prosto w oczy.

– Potrafię wam w tym pomóc.

– Może pojechać ze mną – odezwała się Claire.

Henry pochylił się, podnosząc komórkę, którą Archie upuścił na podłogę. Wyprostował się i oddał ją dowódcy. Archie wziął telefon, spojrzał na niego i skinął głową.

Wtedy łysy detektyw odwrócił się z powrotem do Susan, mrużąc oczy i ocierając pot z czoła. Dziennikarka czuła odór wymiocin, kwaśnym posmakiem zalegający w ustach.

– Tylko nie daj się postrzelić – powiedział Henry.

Szkoła podstawowa imienia Williama Clarka znajdowała się w odległości dwóch kilometrów i dwustu pięćdziesięciu metrów od domu Sheridanów. Archie zmierzył to kiedyś za pomocą samochodowego licznika. Ben specjalnie go o to prosił. Podobno założył się z kolegą o to, kto mieszka bliżej. Dwa tysiące dwieście pięćdziesiąt metrów. Na oko było dalej. Droga piechotą zajmowała dwadzieścia minut. Rano samochodem jechało się osiem, po południu – sześć (mniejsze korki). A na sygnale, z włączonym kogutem – cztery. Dwie minuty: tyle była warta jazda na sygnale. Sto dwadzieścia sekund.

Które mogły okazać się decydujące.

Archie znał procedurę izolacji szkoły. Uczniowie otrzymują polecenie pozostania w swoich klasach. Każe im się zsunąć ławki na środek pomieszczenia i trzymać się z daleka od okien. Korytarze mają być puste. Wstęp do budynku pozostaje pod ścisłą kontrolą; w tym celu zamyka się na klucz wszystkie drzwi oprócz głównego wejścia. Nauczyciele wyłączają światło w klasach i wydają uczniom instrukcję, aby poruszali się tylko na czworakach. Zwyczajny dzień w publicznej szkole. Przy czymś takim ćwiczenia z czasów zimnej wojny, próbne alarmy na wypadek ataku jądrowego, czyli metoda zwana padnij i kryj się, to była już kompletna starość.

Archie wyobraził sobie Bena i Sarę w swoich klasach, roztrzęsionych z przerażenia. Nienawidził się za to, że muszą przeżyć coś takiego. Zadzwonił jego telefon; błyskawicznie otworzył klapkę, ale kiedy zobaczył numer, jego zapal ostrygł. Miał nadzieję, że to Gretchen.

A to była Debbie.

– Jesteś w bezpiecznym miejscu? – zapytał.

– U ciebie w gabinecie – odpowiedziała głosem twardym i zimnym jak stal. – Dojechałeś już do szkoły?

Archie wyjrzał przez okno, za którym mignął, całkowicie zlekceważony przez Henry'ego, znak ostrzegający kierowców, że zbliżają się do szkoły, i nakazujący ograniczenie prędkości do trzydziestu kilometrów na godzinę.

– Już dojeżdżam – odpowiedział.

– Masz bronić dzieci, Archie – wycedziła Debbie, niemalże dławiąc się słowami. – Zabij ją. – To był już tylko rozpaczliwy szept. – Obiecuj mi.

– Obronię dzieci – powiedział.

– Zabij ją jęknęła błagalnym głosem.

Samochód zatrzymał się z piskiem opon przed szkołą, podskakując na krawężniku. Parkowało tam już osiem radiowozów; wszystkie błyskały kogutami, ale ich syreny milczały, co tworzyło niesamowity kontrast.

– Jesteśmy na miejscu – powiedział Archie.

Szkoła, zbudowana w latach dziewięćdziesiątych, była nowoczesnym, parterowym budynkiem z cegły i szkła. Bardziej przypominała uczelnię niż podstawówkę. Usytuowana w zamożnej podmiejskiej dzielnicy, stała się oazą dla rodziców uciekających przed widmem typowej portlandzkiej placówki edukacyjnej, codziennie zmuszanej do zaciskania pasa. Bezpieczną, godną pozazdroszczenia oazą.

Aż do dzisiejszego dnia.

Archie zatrzasnął telefon i wyszarpnął broń z kabury. Henry był już na chodniku; odznakę miał na wierzchu i wykrzykiwał krótkie, szczekliwe

rozkazy mundurowym policjantom, wysyłając ich jednego po drugim do szkoły. Sheridan odbezpieczył rewolwer i wysiadł z samochodu. Wyrzut adrenaliny przyspieszył działanie jego leków – czuł już wyraźnie kojące mrowienie kodeiny w ramionach i dłoniach.

W samą porę, pomyślał.

Archie nie pamiętał, kiedy wyjął z bagażnika kamizelkę kuloodporną i włożył ją na siebie, ale faktem było, że i on, i Henry mieli je na sobie, kiedy ruszyli w kierunku głównego wejścia do szkoły. Nie przepadał za tym sprzętem, bo był ciężki i urażał go w bolące żebra, ale tego dnia nie zwrócił najmniejszej uwagi na niewygodę.

Zasady postępowania w wypadku izolacji takiej placówki jak szkoła nakazują policji najpierw zabezpieczyć cały teren obiektu; nie wchodzi się do budynku, dopóki osoba stanowiąca zagrożenie nie zostanie zlokalizowana, a cała sytuacja należycie oceniona. W miejscu takim jak szkoła, gdzie uzbrojony przestępca ma pod ręką kilka setek potencjalnych zakładników, nikt nie chce przypłacić pośpiechu śmiercią choćby jednego dziecka. Rzecz jasna, taktyka postępowania zakłada, że szaleniec z bronią też jest nieletni; dzieciaki są nieprzewidywalne, a uzbrojony małolat to już kompletny żywioł. Ale nikt nie chce zastrzelić małolata, nawet takiego, który biega z pistoletem, więc wszyscy stosują tę trzypunktową zasadę: zabezpieczyć teren, ocenić sytuację i czekać.

Taktyka postępowania nie uwzględniała jednak Gretchen Lowell. Gretchen była w stu procentach przewidywalna; miało się całkowitą pewność, że będzie zabijać, dopóki ktoś jej nie powstrzyma.

– Wchodzimy – postanowił Archie.

– Jasne – zgodził się Henry.

Policjanci z komendy w dzielnicy Hillsboro, którzy przyjechali na wezwanie do podstawówki Williama Clarka, skontaktowali się z sekretarką szkoły przebywającą wewnątrz budynku. Kobieta była

wystraszona, ale spokojna. W szkole panowała cisza. Procedura izolacji została wykonana.

EDUKACJA NIE POLEGA NA NAPEŁNIENIU CEBRA, ALE NA ROZPALENIU OGNIĄ, głosiła tablica wisząca nad głównym wejściem.

– Yeats – mruknął Archie.

– Co? – zdziwił się Henry. – Nic.

Dobyli bronie i weszli do budynku, prowadząc za sobą sześciu podmiejskich policjantów, zaczerwienionych i nerwowych.

Za głównym wejściem rozciągał się szeroki korytarz pokryty wykładziną. Naprzeciwko drzwi stał naturalnej wielkości kroczący tygrys z *papier mdche*, pomalowany w bordowo-pomarańczowe pasy. Obok stała tabliczka z napisem NIE WCHODŹ NA MNIE.

Archie był w tej szkole setki razy. Ben chodził do drugiej klasy, Sara do pierwszej. Oboje mieli też za sobą tutejszą zerówkę. Wciąż trzeba było się tam pojawiać: jak nie wywiadówka, to przedstawienie, jak nie przedstawienie, to impreza połączona ze zbiórką pieniędzy, zebranie komitetu rodzicielskiego albo mecz koszykówki. No i codziennie: rano przywieźć dzieci, po południu odebrać.

Kłamstwo.

To Debbie bywała w tej szkole setki razy. Archie, ze względu na charakter swojej pracy, nie mógł się tam pojawiać zbyt często. Ponieważ wstawał wcześnie i pracował do późna, to Debbie odwoziła dzieci rano, to ona odbierała je po południu i to ona chodziła na spotkania komitetu rodzicielskiego. Archie starał się, jak mógł. Był obecny, kiedy tylko miał taką możliwość. Nie przegapił ani jednej wywiadówki. Ale to wszystko było za mało. Postaram się bardziej, obiecał sobie teraz. Jeśli tylko moje

dzieci jeszcze żyją, to od dziś będę starał się bardziej.

– Ben jest w sali numer sześć. Tam, w głębi – poinformował Henry’ego, wskazując mu korytarz, na którym stał papierowy tygrys. – Ja pójdę po Sarę, a wy – zwrócił się do pozostałych policjantów – rozejdźcie się parami po budynku i przeszukajcie jak największy obszar.

Mundurowi przez chwilę stali jak wrośnięci w ziemię, patrząc tylko po sobie. Była wśród nich jedna kobieta, która odchrząknęła głośno. Jej młody wiek rzucał się w oczy; mogła służyć najwyżej od dwóch lat.

– Co mamy zrobić, jeśli ją znajdziemy? – zapytała.

– Zastrzelić – odpowiedział Henry.

– Nie – zaprzeczył szybko Archie. – Ona jest niebezpieczna. Nie wchodźcie jej w drogę. Jeśli ją zobaczycie, macie mnie wywołać. – Dotknął krótkofalówki wiszącej mu na biodrze.

Henry machnął dłonią na dwoje funkcjonariuszy z grupy: tamtą młodą kobietę oraz mężczyznę w średnim wieku, świadczącym o zdecydowanym braku osobistej ambicji.

– Idźcie z nim – polecił. – A jak ją zobaczycie: zastrzelić. Rozdzielili się na dwie grupy. Archie poprowadził swój mały oddział korytarzem biegnącym w lewo od uśmiechniętego tygrysa. Henry ruszył w przeciwną stronę, do klasy Bena. Klasa Sary miała numer drugi i była całkiem blisko, zaraz za wiszącą na ścianie wystawą kartonowych makiet pełnych piłek plażowych, żaglówek i słońca. Wakacje zbliżały się wielkimi krokami; Sara już zaczęła błagać, żeby ją wysłać na obóz jeździecki. Podeszli pod drzwi klasy. Za nimi, pod ścianą, stał wodotrysk z wodą pitną, maleńki (wielkości sporego kufła), a obok niego, na podłodze, leżał porzucony plecak ze Spider-Manem.

Boże, jaka cisza, pomyślał Archie.

Sięgnął do gałki w drzwiach. Były zamknięte na klucz. Uderzył w nie dwa razy pięścią.

– Policja! – zawołał głosem, który zdumiewał w tej głuchej ciszy. – Proszę otworzyć!

Usłyszał kroki i po chwili drzwi się uchyliły. Stała w nich pani Hardy, wychowawczyni pierwszej klasy, nauczycielka Sary. Pracowała w tym zawodzie już od trzydziestu lat, a jej rude włosy dopiero zupełnie niedawno zaczęły lekko siwieć. W dłoni trzymała książkę, przyciskając ją do swetra: „Kto zje zielone jajka sadzone?” Doktora Seussa.

Archie opuścił broń, ale nie zdjął palca z kabłąka spustu. Przesunął ciężar ciała lekko w przód, opierając się mocniej na palcach stóp. Był spokojny. Uczyli go tego. Oddychaj równo. Odprężony człowiek lepiej strzela. Jest taki moment, kiedy płuca opróżnią się w dwóch trzecich: organizm jest wtedy najbardziej stabilny. Nosi to nazwę „naturalnej pauzy oddechowej”. Gdy oddycha się normalnie, ma się około dwóch-trzech sekund na oddanie strzału. Ten czas można jednak wydłużyć aż do ośmiu sekund; później brak tlenu zaczyna pogarszać celność.

Ale dlatego właśnie należy oddychać powoli. Nie myśleć o swojej córce. Zachować spokój.

– Jestem detektyw Sheridan – przedstawił się Archie, błędząc wzrokiem za plecami pani Hardy. – Gdzie moja córka, Sara?

– Wiem, kim pan jest, panie Sheridan – odparła nauczycielka, odsuwając się na bok i włączając światło, które ukazało Archiemu grupkę dzieci siedzących kołem na środku klasy. Tkwiły tam bez ruchu, z pobladłymi twarzami, wpatrując się w niego.

Nie znalazł między nimi Sary. Wszedł dalej.

– Sara! – zawołał, podchodząc do maluchów. Panika, której się dotąd opierał, wezbrała wzmożoną falą. Serce załomotało na wysokich obrotach. Skóra nabrzmiała od nagłego gorąca. Gardło zacisnęło się boleśnie. Zrobił jeszcze jeden krok w stronę dzieci.

Zachować spokój.

Pani Hardy chwyciła go delikatnie za łokieć, zatrzymując w miejscu.

– Zabrał ją pan dyrektor – wyjaśniła. – Dla bezpieczeństwa. Archie zachłysnął się powietrzem, wydając zduszone westchnienie ulgi, od którego nieomal nie zgiął się wpół.

Pani Hardy zacisnęła palce mocniej na jego łokciu.

– Dzieci boją się pana – ostrzegła.

Spojrzał po sobie. Kevlarowa kamizelka kuloodporna. Broń. Policjanci czekający na progu. Klasa jego małej córeczki patrzyła na niego w grobowej ciszy. Widział, jak tu i ówdzie usta już zaczynają wykrzywiać się w podkówkę. Te dzieci nie bały się tego, że zamknięto je w szkole. Nie bały się Gretchen Lowell.

Bały się jego.

Opuścił lufę.

– Czy był tu dziś ktoś jeszcze? – zapytał nauczycielkę. – Kobieta? Blondynka? – Bezskutecznie szukał jakiegoś innego słowa, żeby ją opisać, więc musiał użyć tego, którego nie chciał użyć: – Piękna?

– Nie – padła odpowiedź.

Archie cofnął się o krok w kierunku drzwi.

– Przepraszam – bąknął z głupią miną.

Z podłogi podniósł się chłopczyk ubrany w bluzę, na której uśmiechał

się Elmo z „Ulicy Sezamkowej”.

– Da mi pan potrzymać? – Wyciągnął rękę, pokazując rewolwer Archiego.

Jeżu Chryste, jęknął detektyw w myślach.

– Wszystko w porządku – powiedział, rozglądając się po twarzach dzieci. – Nic się nie stało. Przepraszam.

Policjanci wyszli razem z nim na korytarz. Zaraz za drzwiami klasy Archie ściągnął z siebie kamizelkę kuloodporną, upuszczając ją na podłogę. Spadła z głuchym łomotem na wykładzinę.

– Co pan robi? – zdziwił się starszy funkcjonariusz.

– Tu jest szkoła, do kurwy nędzy – warknął Archie. – Jesteśmy w szkole.

Zza rogu wyłonił się Henry z bronią w dłoni. Zlustrował błyskawicznie korytarz. Jego łysa czaszka lśniła od potu.

– Dyrektor przyszedł i zabrał Bena – poinformował Archiego.

– Sarę też – odparł Sheridan. – Wiem, gdzie jest jego gabinet. – Wsunął rewolwer do kabury i odwrócił się do policjantów. – Schowajcie broń i rozejdźcie się po klasach.

Spojrzeli na niego ze zdziwieniem, nie rozumiejąc.

– Macie uspokoić dzieci – wyjaśnił dobitnie.

Starszy funkcjonariusz obejrzał się na młodą policjantkę.

– A jeśli Wirtuoz wciąż tutaj jest? – zapytał.

– Ja jestem jej celem – wyjaśnił Archie. – Ja i moje dzieci. – Przeczesał włosy palcami. – Do roboty.

A sam puścił się biegiem w kierunku gabinetu dyrektora.

– Ona robi nas w jajo – sapnął Henry, który pędził krok za nim. – To

wszystko mydlenie oczu. Nic tutaj nie gra.

Na drzwiach prowadzących do sekretariatu wisiał plakat z żabą, podpisany hasłem „Wiedza! Kumasz?”. Archie wyrznął żabę pięścią w pysk, raz, drugi, trzeci.

– Policja – powiedział. – Proszę otworzyć drzwi.

W progu stanęła sekretarka, patrząc na niego zza grubych okularów szeroko otwartymi oczami.

– Są tutaj Ben i Sara Sheridan? – zapytał.

Wskazała głową drzwi z tabliczką DYREKTOR.

Archie ruszył do nich, ale otworzyły się, zanim doszedł.

Spotkał dyrektora Hilla tylko raz, na jakiejś imprezie połączonej ze zbiórką pieniędzy. Był to czarnoskóry mężczyzna w wieku około czterdziestu pięciu lat. Skończył studia pedagogiczne. Rada szkoły sprowadziła go z Filadelfii, a wszyscy bardzo się tym ekscytowali, ponieważ nowy dyrektor kiedyś grał w jednej z czołowych drużyn ligi baseballowej. Teraz, kiedy otworzył drzwi, trzymał w dłoni ciężki kij do gry, a drugą ręką tulił do siebie córkę Archiego. Obok Sary stał Ben.

Archie osunął się na kolana, a dzieci podbiegły do niego i mógł je chwycić w ramiona.

– Co się tutaj dzieje, do jasnej cholery? – zapytał dyrektor Hill, opierając kij o podłogę.

Archie przygarnął do siebie swoje dzieci, wdychając w nozdrza zapach ich włosów, czując na ustach smak ich skóry, którą zasypał pocałunkami.

– Już dobrze – zapewniał. – Już wszystko dobrze. Przysięgam. Nagle kątem oka zauważył, jak baseballowy kij przewraca się na podłogę, a dyrektor unosi ręce i cofa się o pół kroku z oczami utkwionymi w jakimś

punkcie za jego plecami.

Usłyszał, że ktoś do niego mierzy, jeszcze zanim chłodna lufa dotknęła jego karku. Rozległo się pojedyncze metaliczne kliknięcie. Taki dźwięk wydaje odbezpieczany pistolet półautomatyczny.

– Zostaw te dzieci – rozkazał czyjś głos. – W tej chwili.

Na słońcu jest bardzo przyjemnie.

W danej sytuacji to raczej dziwne spostrzeżenie, uświadomiła sobie po chwili Susan. Ale tak to już jest w Oregonie: tam, gdzie pada przez większość dni w roku, nie można nie zauważyć, kiedy wychodzi słońce. Gretchen Lowell uciekła z więzienia. Dzieci Archiego Sheridana były w śmiertelnym niebezpieczeństwie. A ona, Susan Ward, cieszyła się słońcem.

Z drugiej strony – nie mogła się przydać absolutnie na nic. Szkoła była otoczona przez policję. Dziennikarka naliczyła też pięć wozów strażackich. Po co aż tyle? Komuś się wydawało, że cały budynek nagle stanie w płomieniach?

Po przybyciu na miejsce szybko straciła z oczu Claire Masland, która po prostu zostawiła ją w samochodzie i teraz Susan nie mogła zbliżyć się do szkoły bez policyjnej eskorty. I co z tego, że była pierwszym reporterem na miejscu zdarzenia, skoro musiała trzymać się od niego z daleka, a na domiar wszystkiego udało jej się jeszcze zapomnieć długopisu?

Tak więc przysiadła na masce forda festiva, którym jeździła Claire, skrobiąc notatki kredką do powiek Chanel Kohl; możliwe, że był to najbardziej kosztowny ze wszystkich przyborów do pisania, jakich w życiu używała. Późnoporanne słońce było olbrzymie i żółte jak jaskier. Ładnie, pomyślała, zapisując w notatniku: „żółte jak jaskier”. Podkreśliła tę frazę.

Spojrzała spod przymrużonych powiek na szkołę, do której przed pięcioma minutami wbiegł oddział antyterrorystów. Pięć minut, kiedy się

obserwuje budynek, to całkiem sporo czasu. Susan poczuła, jak niepokój ściska jej żołądek w twardą kulę. Zauważywszy po drugiej stronie policyjnej taśmy jakiegoś krępego, przysadzistego policjanta w mundurze komendy z Hillsboro, zsunęła się z maski samochodu i podbiegła, ściskając w dłoni notatnik.

– Hej! – zawołała. – Jestem Susan Ward. Z „Heralda”. Co się tam dzieje?

Gliniarz minął ją szybkim krokiem, nie rzuciwszy jej nawet lekceważącego spojrzenia, które jest normą w takich sytuacjach.

Pod szkołę zaczęły się już zjeżdżać pierwsze ekipy telewizyjne. Jako pierwsza pojawiła się Charlene Wood z Kanału 8: wypadła z reporterskiej furgonetki, od razu zajmując sobie dobre miejsce do relacji na żywo. Charlene była wysoka i chuda, miała patykowate nogi wyglądające jak nogi od fortepianu i czarne włosy, czesane zawsze tak samo: z przedziałkiem po jednej stronie, podwinięte na wysokości ramion. Była też powszechnie uwielbiana, Ian chwalił się, że kiedyś go pocałowała, podobno na jakimś wakacyjnym party dla pracowników portlandzkiego serwisu informacyjnego KGW, ale Susan nie chciało się w to wierzyć.

Tuż obok niej przebiegł antyterrorysta, niosąc w obu rękach krótkofalówki.

– Susan Ward! – zawołała za nim Susan. – Z gazety „Oregon Herald”! Powie mi pan, co się tutaj dzieje?

Zwolnił, spojrzał prosto na nią i bez słowa odmaszerował w kierunku centrum dowodzenia, które policja z Hillsboro urządziła dokładnie naprzeciwko szkoły.

Nagle zadzwoniła komórka Susan. Dziennikarka zerknęła na

wyświetlacz: to był łan. Czwarty raz w ciągu dziesięciu minut. Niestety, nie miał co liczyć na dobre wieści.

– Dowiedziałaś się czegokolwiek? – zapytał. – Musimy zaktualizować serwis internetowy.

– Przyjechali antyterroryści – rzuciła. – Weszli do szkoły.

– Wiem – zbył informację. – Charlene Wood ma w tej chwili wejście na żywo na Kanale 8 i właśnie o tym mówi. Coś jeszcze?

– Jaja sobie robisz – prychnęła z niedowierzaniem, oglądając się przez ramię. Charlene przemawiała do kamery: w tle miała centrum dowodzenia, a fortepianowe nóżki wbiła na ten dzień w czarne szpilki. – Przecież dopiero co przyjechała.

– A i tak była szybsza od ciebie. – łan był bezlitosny. – Dowiedz się czegoś. Chcę mieć aktualności do Internetu co dziesięć minut. Fotograf już tam do ciebie jedzie.

– Co dziesięć minut? – powtórzyła.

– Możesz je podawać przez telefon. Tylko żebyśmy nie czekał. Nastął nam wiek informacji, kotku.

W szkole coś nagle zaczęło się dziać. Susan rozłączyła się i ruszyła do przodu, przepychając się w gęstniejącym tłumie. Zobaczyła, jak w drzwiach znikają kolejni policjanci: z komendy głównej, z Hillsboro, ze stanówki, a do tego agenci FBI. Jakim cudem zdążyli zjechać się tutaj tak szybko?

Naparła na cienką plastikową taśmę ogradzającą miejsce przestępstwa i zaczęła pisać gorączkowo, usiłując zanotować wszystko, co widzi. Nieopodal stała policjantka z drogówki, a obok niej kilkoro zapłakanych rodziców. Byli młodzi. W wieku Susan. Po policzkach jednego z ojców

pływały łzy, tymczasem jego żona była wcieleniem stoickiego spokoju: stała twardo jak skała, trzymając męża pod ramię. Susan współczuła tym ludziom: spokojne życie na przedmieściu, które wiodli do tej pory, w jednej chwili stanęło pod wielkim znakiem zapytania. Wiedziała, że wszyscy rodzice najbardziej na świecie boją się tego, że stracą dziecko. Osobiście nie przeżyła niczego podobnego, ale ich strach był tak namacalny, tak nagi, że przez chwilę poczuła wielką radość z faktu nieposiadania potomstwa. Nie groziła jej przynajmniej bezradność, z jaką musieli się teraz zmagać ci ludzie.

W pewnym momencie dobiegł ją zgiełk dziecięcej wrzawy. Cienkie głosiki przecinały powietrze niczym śmigające nisko ptaki. I nagle zza budynku wysypała się gromada maluchów, idących parami, dziewczynka i chłopczyk, uśmiechniętych i zadowolonych z niespodziewanej rozrywki. Jakby to były zwykłe ćwiczenia przeciwpożarowe.

Policja ewakuowała szkołę tylnym wejściem. Należało to chyba uznać za dobry znak. Susan rozejrzała się w tłumie, szukając Archiego. Nic. Znała jego dzieci ze zdjęć, ale ich także nie mogła nigdzie dostrzec.

Jej telefon znów zadzwonił. W morde, pomyślała, czy ten łan nie może dać mi spokoju? Odebrała.

– Cześć, kochanie. – W słuchawce zabrzmiał głos jej matki.

– Bliss – warknęła, rozzłoszczona – jestem w pracy.

– Dostałaś czekoladki od Archiego – usłyszała w odpowiedzi.

– Co? – Susan potrząsnęła lekko głową, jakby to miało jej ułatwić doszukanie się sensu w tym, co usłyszała przed sekundą.

– Czekoladki. Z bilecikiem od Archiego Sheridana. Dziennikarka zachichotała, choć wcale nie miała ochoty chichotać; szybko zakryła usta

dłonią.

– Poważnie?

Para rodziców, których obserwowała, wykrzyknęła chórem jedno słowo. Imię. Max. Ze szkolnego podwórka ruszył w ich stronę biegiem mały chłopczyk.

– Pudełko ma kształt serca – zakomunikowała Bliss. Chłopczyk dobiegł do rodziców, którzy porwali go na ręce, zalewając się łzami. Normalnie Susan już by notowała scenkę: odzyskane dziecko, rodzina znów w komplecie. Czytelnicy „Heralda” kochali takie tematy. Dobre wieści. Szczęśliwa rodzina. Niebezpieczeństwo zażegnane.

A tymczasem notatnik wysunął się jej z dłoni i wylądował na trawie.

Chciała coś powiedzieć, ale niespodziewanie zabrakło jej tchu w piersi. Zmusiła się, żeby zaczerpnąć powietrza i znów spróbowała dobyć głosu. Udało się.

– Bliss, nie zjadłaś chyba przypadkiem którejś z tych czekoladek? Powiedz, że nie.

Słuchawka milczała.

– Mamo?

Archie uniósł wyprostowane ręce, a potem zgiął je w łokciach i złożył dłonie za głową, splatając palce. Ben i Sara odsunęli się od niego. Oboje dygotali ze strachu, wpatrując się w to, co miał za plecami. Na czerwonych ogrodniczkach jego córeczki rozlała się ciemna plama moczu. Policzki Sary zapłonęły rumieńcem.

– Tatusiu, przepraszam – szepnęła, spuszczać głowę.

– Nic się nie stało – uspokoił ją Archie, a chwilę później leżał już jak długi na podłodze, rozciągnięty uderzeniem. Szeroka dłoń przycisnęła mu głowę policzkiem do wykładziny, a ciężkie przedramię wparło się w plecy na wysokości łopatek. Znał tę technikę. Uczyli jej w akademii policyjnej, służyła do obezwładnienia podejrzanego.

Antyterrorysty z Hillsboro.

– Jesteśmy z policji – zabełkotał.

– Właśnie, wy debile! – Przez gabinet przetoczył się wściekły bas Henry’ego. – Kamizelek nie widzicie?

Trzasnął głośnik krótkofalówki. Za oknami wyły syreny. Archiemu wydawało się, że słyszy też co najmniej jeden helikopter. Jeśli nawet Gretchen tutaj była, to na pewno już dawno uciekła.

– Cholera jasna – powiedział jakiś głos.

– Zobacz, co mam na szyi – poradził głosowi Archie i po chwili nacisk na jego plecy zelżał. Skóra zapiekła, otarta kulkowym łańcuszkiem, na którym wisiała jego odznaka. A potem przygważdżający ciężar zniknął i Sheridan mógł usiąść.

Kiedy tylko się odwrócił, natychmiast zaczął pełznąć na czworakach w

stronę swoich dzieci. Ale tym razem one już do niego nie przybiegły. Sara zadrobiała w miejscu, usiłując ukryć przemoczone spodnie, a Ben przyciągnął ją do siebie. Arenie zatrzymał się w miejscu. Dyrektor Hill ukląkł za Sarą i opiekuńczym gestem otoczył ją ramieniem. Dziewczynka zadrżała, wciąż nie odrywając wzroku od ciemnych sylwetek antyterrorystów.

Było ich w gabinecie pięciu, wszyscy w czarnych kombinezonach, bandanach, rękawicach, z kaburami na udach i wyciągniętą bronią. Henry, którego rzucili na kolana, właśnie podnosił się z podłogi. Jedną ręką chwycił dyndającą mu na szyi odznakę, specjalnie wyciągniętą na wierzch, na kamizelkę kuloodporną i podsunął ją pod oczy jednemu z antyterrorystów.

– Ślepi jesteście, do jasnej... – Urwał, oglądając się na dzieci. – Ciasnej? – dokończył.

– Przepraszamy.

– Znaleźliście ją? – dopytywał się Henry. Wszyscy wiedzieli, o jaką „nią” chodzi.

– Nie. Prawie cały teren szkoły przeszukany i zabezpieczony. Chyba jej tutaj nie ma.

Archie odwrócił się z powrotem do swoich dzieci. Wyciągnął rękę do Sary, ale Ben przygarnął tylko siostrę mocniej do siebie. Ich małe ciała trzęsły się od przyspieszonych, głośnych oddechów.

– Ona się ciebie boi – powiedział Ben, ocierając nos wierzchem nadgarstka.

Archie opuścił wyciągniętą rękę; zrozumiał, że znów jego dzieci oddaliły się od niego o kolejny krok. Gretchen nie chciała ich zabić.

Przecież wciąż mogła się nimi posłużyć, żeby zadać mu ból.

– Gretchen tutaj nie ma – powiedział cicho.

Szkolna sekretarka, stojąca w milczeniu za biurkiem, nagle zakryła usta drżącą dłonią.

– Ona powiedziała, że jest pana żoną.

– Co takiego? – Archie obrócił się na pięcie.

Sekretarka miała pięćdziesiąt kilka lat, blond ondulację i była ubrana w golf, częściowo przykryty fartuchem, w którym wyglądała jak przerośnięta przedszkolanka. Archie nie mógł sobie przypomnieć jej nazwiska, chociaż pracowała w tej szkole, odkąd tylko sięgał pamięcią.

– Przedstawiła się jako pańska żona – powtórzyła. – Wiem, że rozwiódł się pan z ich mamą. – Skinęła dłonią w kierunku dzieci, drugą wciąż trzymając przy ustach. – Powiedziała, że jest ich macochą i że przyniosła im drugie śniadanie, bo zapomnieli go zabrać. Zapytała, czy może zadzwonić. Pozwoliłam jej skorzystać z telefonu w sekretariacie. Akurat musiałam coś skserować, więc nie słyszałam, co mówiła. A kiedy ogłoszono ten alarm, zrobiło się zamieszanie i wtedy zniknęła – dokończyła starsza kobieta, wodząc wzrokiem po twarzach policjantów. Wzruszyła ramionami z rezygnacją. – Miała krótką brązową perukę. Nie poznałam jej.

A potem sekretarka opuściła powoli dłoń, którą trzymała przy ustach, i wskazała dwa pojemniki na kanapki, stojące daleko, na samym skraju biurka. Przypominały podpórki, jakie ustawia się na półkach, żeby książki się nie przewracały.

Archie wstał z podłogi i podszedł do nich. Oba pudełka były z plastiku. Na jednym widniała podobizna małej Dory z kreskówki „Dora poznaje

świat”. Drugie było z Batmanem.

– Wezwać saperów? – zapytał jeden z antyterrorystów. Archie nie trudził się odpowiedzią; sięgnął po pojemnik z ciekawą światła Dorą i otworzył go jednym ruchem. Na widok tego, co było w środku, żołądek podjechał mu do gardła. Lekko drżącymi dłońmi uniósł wieczko drugiego pudełka. Wyprostował się sztywno, z wielkim wysiłkiem, nie chcąc, żeby dzieci widziały, jak nim to wstrząsnęło. Najadły się przez niego już dość strachu jak na jeden dzień.

– Co tam jest? – chciał wiedzieć Henry.

Oba pojemniki leżały otwarte na biurku; ciemne mięso połyskiwało w świetle biurowych jarzeniówek. Kolorowy plastik był zalany krwią, która wyciekła z poprzecinanych naczyń i tkanek. Archie czuł wyraźnie jej słodki, miedziany zapach. Wiedział już, co się stało z zaginionym zastępcą szeryfa, z tym biednym durniem, który pomógł Gretchen w ucieczce. I który pewnie nawet sam kupił jej te pudełka.

– Ludzkie serce – odpowiedział partnerowi cichym, spokojnym głosem.

– Wydaje mi się, że zostało przecięte na pół.

Sądząc po zapachu, było też zupełnie świeże.

Mamo? – powtórzyła Susan.

Po chwili ciszy przyszła odpowiedź:

– Chyba jedną zjadłam. Dziennikarka poczuła, że się dusi.

– Mamo – powiedziała z całym spokojem, na jaki było ją stać. – Musisz to wymiotować.

– Proszę?

– Posłuchaj mnie. – Susan uniosła głos. – Te czekoladki są zatrute. Zmusz się do wymiotów. Rozłączam się teraz i dzwonię na pogotowie. – Zacisnęła z całej siły powieki. – Obiecuj mi, że to zrobisz.

– Ale wcale mi nie niedobrze.

Susan nie poprawiła wołającego o pomstę do nieba stylu tego zdania. Otworzyła z powrotem oczy.

– Bliss, przyrzeknij, że to zrobisz.

– No dobrze – zgodziła się z ociąganiem.

Susan przerwała połączenie i wystukała na klawiaturze numer 911.

– Moja matka prawdopodobnie została otruta – rzuciła do słuchawki i szybko wyrecytowała adres Bliss. – Zjadła zatrutą czekoladkę. Podejrzewam, że przysłała mi je Gretchen Lowell.

– Jasne – parsknęła dyspozytorka z centrali 911. Słysząc było, że nie trafiło jej to do przekonania.

– Nie jestem wariatką. Nazywam się Susan Ward. Piszę do „Heralda”. Proszę przysłać karetkę pod ten adres.

Opuściła telefon, rozglądając się gorączkowo dookoła. Dzieci wychodzących ze szkoły przybywało, a do budynku zbiegali się policjanci

wszystkich jednostek. Coś tam musiało się stać. Najwidoczniej wybuchło jakieś piekło.

A Susan w tym momencie miała to gdzieś.

– Potrzebuję pomocy! – zawołała. – Niech mi ktoś pomoże! Dała nurka pod policyjną taśmę i ruszyła w kierunku szkoły.

– Za linię! – dobiegło ją szczekliwe polecenie. Po jej policzkach polały się pierwsze łzy.

– Gretchen Lowell! – załkała w głos. – Przysłała mi do domu czekoladki! – Rozejrzała się błędnym wzrokiem, szukając kogoś, kto mógłby jej pomóc, wszystko jedno kogo. Ale wszyscy byli zaprzątnięci szkołą i tym, co się tam działo.

– Moja mama jedną zjadła! – zawyła. – Niech mi ktoś pomoże! Skakała wzrokiem od twarzy do twarzy, poszukując Archiego, Henry’ego, kogoś, kogo znała.

– Muszę rozmawiać z Archiem! – wrzasnęła do któregoś z policjantów z Hillsboro. – Gdzie jest Archie?

Facet spojrzał na nią obojętnie.

– Proszę – jęknęła błagalnie, puszczając się biegiem przed siebie. – Niech mi ktoś pomoże.

Nagle jak spod ziemi wyrosła obok niej Claire Masland. Objęła dziennikarkę jedną ręką.

– Susan? – Chwyciła ją za ramiona, w samą porę, bo pod dziewczyną zaczęły się już uginać kolana. – tylko spokojnie. Mów, co się dzieje.

Susan musiała głęboko odetchnąć, zanim w ogóle udało jej się dobyć głosu.

– Przed chwilą rozmawiałam z mamą. Ktoś przysłał do domu

bombonierkę w kształcie serca. Była zaadresowana do mnie i podpisana nazwiskiem Archiego. Moja mama jedną zjadła. Zjadła jedną czekoladkę. – Dziennikarka złapała Claire za ramię i zmierzyła ją ciężkim wzrokiem, chcąc pokazać, że sytuacja jest poważna. – Archie nigdy w życiu nie przysłałby mi czekoladek.

– Mama jest w domu? – zapytała Claire.

– Kazałam jej wszystko na siłę wymiotować – powiedziała Susan. Była pewna, że to pomoże. Tak zawsze robią w telewizji. – Ale ona nigdy mnie nie słucha.

Claire uniosła do ust krótkofalówkę.

– Wysłać karetkę na... Jaki to adres?

Susan podyktowała jej adres, a Claire powtórzyła go do mikrofonu.

– Kobieta, po pięćdziesiątce. Możliwe, że została otruta. Chodźmy – strzeliła oczami do Susan, a następnie, rozejrzawszy się szybko, wycelowała palec w białego policjanta z gęstą fryzurą afro w kolorze ciemnoblonde. – Te, Garfunkel! – krzyknęła i nie czekając ani chwili, wyskandowała błyskawicznie adres Bliss. – Za mną!

Wsiadły z powrotem do festywu. Claire włączyła koguta. Dziedziniec przed szkołą był szczelnie wypełniony tłumem złożonym z dzieci, rodziców, gliniarzy, a do tego stało tam mnóstwo różnych służbowych pojazdów oraz furgonetek telewizyjnych, ale kiedy tylko zawyła syrena, w ciżbie otworzyła się ścieżka i Claire bez przeszkód wyprowadziła wóz z zamętu. Susan zadzwoniła na domowy numer, ale nikt nie odbierał. Może Bliss akurat wymiotowała. A może leżała bez zmysłów na podłodze. Kłopot w tym, że to Susan była celem. Jeśli Bliss coś się stało, to ona była temu winna.

Nie rozłączała się; siedziała ze słuchawką przyciśniętą z całej siły do ucha, a telefon po drugiej stronie linii dzwonił i dzwonił. Oczy miała zamknięte, więc jej jedynym doznaniem była ta uporczywa seria sygnałów. Miała nadzieję, że mama je słyszy i rozumie, że Susan już do niej jedzie.

– Boże, jaka ja jestem głupia. Myślałam, że to naprawdę on przysłał mi te czekoladki – jęknęła, kryjąc twarz w dłoniach. Po chwili opuściła ręce i otarła policzki rękawem. Skórę miała lepka i zimną. Nagle strasznie zatęskniła za mamą. Otworzyła oczy, odwracając głowę do Claire, która uwijała się w szybkim ruchu na autostradzie międzystanowej numer dwieście pięć, mijając salony samochodowe, centra handlowe i agencje kredytów hipotecznych. Broń położyła sobie na kolanach. Ta kobieta znała się pewnie na wszystkim: umiała szpachlować ściany, strzelać do celu i wymienić olej w silniku.

– Masz kogoś? – zapytała ni stąd, ni zowąd Susan.

– Tak – odparła policjantka.

Każdy kogoś ma, pomyślała dziennikarka.

– A ja mam tylko mamę – powiedziała.

– Zdażymy, kochanie – uspokoiła ją Claire. – Obiecuję ci. Dzwonki w słuchawce umilkły. Susan już się wydawało, że Bliss w końcu odebrała, ale po chwili dobiegł ją nagrany komunikat:

– Numer, który państwo wybrali, jest chwilowo niedostępny...

Co ty nie powiesz, warknęła w myślach, zrywając połączenie. W tej samej sekundzie komórka zadzwoniła. Susan przycisnęła ją do ucha, myśląc, że to Bliss.

– Dziesięć minut minęło – oznajmił łan. – Dzieje się coś?

– Nic – odparła.

Wychodząc z sekretariatu, Archie wziął Sarę na rękę i przytulił do siebie. Za nimi szedł Henry, niosąc Bena. Osłaniało ich ośmiu antyterrorystów, po czterech z każdej strony. Szli miękko, na ugiętych kolanach, z dobytą bronią i palcami na spustach. Archie był pewien, że Gretchen już dawno się ulotniła, ale nikomu nie uśmiechało się ryzykować choćby w najmniejszym stopniu. Ich eskorta była gotowa do strzału. Z którejś klasy dobiegał chór dziecięcych głosików. Maluchy śpiewały piosenkę.

Była sobie babcia, co połknęła kota.

Ach, co za psota! Połknęła kota.

To jakaś nauczycielka usiłowała zająć czymś swoich uczniów. Ich śpiew i odgłos kroków policyjnej brygady były to jedyne dźwięki w tym pustym korytarzu. Archie oparł główkę Sary o swoje ramię. Przemoczony materiał jej spodni ziębił mu skórę.

Połknęła kota, żeby złapać ptaszka.

Ach, co za igraszka! Chciała złapać ptaszka.

Połknęła ptaszka, by złapać pająka.

I teraz ten pająk w jej brzuchu się błąka.

Nagle do chóru dołączył się głosik jego córki. Sara też śpiewała, z

zamkniętymi oczami i twarzą przytuloną do ojcowskiej koszuli:

Polknęła pająka, żeby złapać muchę.

Główne drzwi otworzyły się przed nimi. Wyszli na zalany światłem dziedziniec.

Cały teren szkoły był otoczony pojazdami wszystkich obecnych na miejscu służb: radiowozami, karetkami, wozami strażackimi. Za tym kordonem widać było furgonetki ekip telewizyjnych. Nad okolicą krążyły dwa helikoptery. Dzieci, wyprowadzone tylnym wejściem, stały teraz w grupkach przed szkołą. Wielu rodziców zdążyło już dotrzeć na miejsce, ale do większości z nich najprawdopodobniej dopiero w tej chwili docierała wiadomość o alarmie i ewakuacji; ci ludzie wybiegali z pracy i gnali na złamanie karku do swoich dzieci, dręczeni najgorszymi przeczuciami. A tymczasem pociechy czekały na nich całe i zdrowe. Mogli wziąć je na ręce i zawieźć do domu, lejąc łzy radości. A potem żyć dalej.

Archie zazdrościł tym ludziom.

Jeff Heil, detektyw z zespołu, którym kierował Archie, dogonił dowódcę i wyprowadził kolegów niosących dzieci na ulicę. Heil był blondynem, a jego partner, Mike Flannigan, miał ciemne włosy. Obaj byli średniej budowy ciała, mieli kwadratowe szczęki i ładną, gładką cerę. Archie mówił na nich „ostre chłopaki”.

Heil nie odezwał się ani słowem. Koncentrował się na prowadzeniu Archiego, trzymając dłoń na jego łokciu i dając mu znaki lekkimi naciskami. Zrównał krok z dowódcą i szedł bardzo blisko niego, niemalże ramię w ramię. Sheridan zrozumiał nagle, że jego podwładny w ten sposób

własnym ciałem zasłania swojego szefa i jego dzieci przed wścibskimi oczami kamer.

Burmistrza miasta Portland usłyszał na długo przed tym, jak go zobaczył. Koleś Anderson komenderował szczekliwym głosem policjantami z drogówki, życząc sobie, żeby cofnąć dziennikarzy. Zobaczywszy Archiego, ruszył ku niemu, a jego żółty krawat zatrzepotał, objając się o pierś opiętą koszulą frakową.

– Co z wami? W porządku? – zapytał.

– Muszę iść do Debbie – powiedział Archie.

– Czeka w samochodzie. – Burmistrz poprowadził ich przez cały trawnik do czarnego lincolna town car. Brygada antyterrorystyczna podążyła w krok za nimi. Sheridan słyszał odległe głosy dziennikarzy wykrzykujących jego nazwisko. Przygarnął Sarę mocniej do siebie i obejrzał się na Bena w rękach Henry’ego. Synek był blady, ale głowę trzymał wysoko, uważnie obserwując wszystko, co działo się dookoła. Sara dalej ciągnęła swoją piosenkę:

Lecz po co połknęła te muchę, niebożę?

Umrze, być może.

Wysoki mężczyzna o japońskich rysach otworzył przed nimi drzwi lincolna. Archie rozpoznał go: był to jeden z ochroniarzy burmistrza.

Z samochodu wyskoczyła Debbie, zakrywając usta dłońmi. Widząc Archiego i dzieci, wybuchnęła płaczem i pochyliła się, rozkładając szeroko ręce. Sara wyrwała się i pobiegła do mamy, rzucając jej się na szyję.

Debbie upadła na kolana, oplatając córeczkę ramionami, przywierając do niej całym ciałem. Henry postawił Bena na ziemi, uwalniając się z uścisku jego wątych, obsypanych piegami rąk. Mama wyciągnęła rękę, a chłopiec poszedł w ślady siostry.

Debbie uniosła wzrok na Archiego. Oczy miała czerwone, twarz bladą.

– Dostałeś ją? – zapytała.

– Przykro mi – odpowiedział. Debbie zacisnęła powieki, a po chwili wstała z klęczek i wsiadła z powrotem do samochodu, zabierając ze sobą dzieci. Archie spojrział na Heila.

– Załóżcie podsłuch na wszystkie moje telefony – polecił. Heil zerknął na Henry'ego.

– Zrobił to od razu, jak tylko się dowiedzieliśmy, że uciekła – mruknął Sobol.

Oczywiście, pomyślał Archie.

– W porządku – powiedział, wsiadając na tylne siedzenie lincolna. Debbie trzymała Sarę na kolanach, a Ben zajął miejsce w środku, ściskając dłoń siostry w obu rękach. Ich matka wyglądała przez przyciemnioną szybę, za którą w oddali majaczył szereg kamer telewizyjnych.

– Musimy już jechać – oznajmił Heil, siadając z przodu, obok kierowcy.

Henry stanął w otwartych tylnych drzwiach, nachylił się nad Archie.

– Kogo Gretchen chciałaby dopaść? – zapytał.

Archie zastanowił się, usiłując ze wszystkich sił odciąć się emocjonalnie od tego zagadnienia.

– Debbie – odparł. – Dzieci. Każdego, kto tylko coś dla mnie znaczy.

Przesunął wzrok na sceny za plecami Henry'ego: radiowozy, grupki

dzieciaków, szkołę. Ostatnimi czasy dopuszczał do siebie bardzo niewielu ludzi. Gretchen jednak знаła go na tyle dobrze, że potrafiła wyczuć, kto jest blisko niego, a kto nie. A on jeszcze jej to ułatwił: sam jej przedstawił jedną z tych osób. Przebiegł oczami ludzkie kłębowisko, szukając Susan, jej fryzury w kolorze akwamarynu. Nie znalazł.

– Gdzie ona jest? – zapytał Henry’ego.

– Kto?

– Susan. Znajdź ją. Dowiedz się, czy wszystko z nią w porządku. Z głębi samochodu dobiegł cichutki głosik Sary:

I po co połknęła tę muchę, nieboże?

Mała uniosła wzrok na mamę i uśmiechnęła się szeroko. W jej pyzatykach policzkach pokazały się dołeczki.

– Myślisz, że Gretchen jest ładna, co? – zapytała.

Debbie rzuciła Archiemu miazdzące spojrzenie i oparła czoło na dłoni, takim gestem, jakby rozboleła ją głowa.

– Saro – powiedziała spokojnym, opanowanym głosem. – Zamknij buzię.

Cieszę się, że nic ci nie jest, Bliss. – Susan spojrzała na matkę, wykręcając się w tył na siedzeniu forda crown victoria, którym jeździł Henry Sobol.

Od momentu, kiedy partner Archiego odebrał je obie ze szpitala, Bliss powiedziała wyjątkowo niewiele. Susan i Claire dotarły do jej domu zaraz po tym, jak zjawiała się tam karetka. Ostatecznie okazało się, że czekoladki, poza składnikami, z których normalnie siebie produkuje, nie zawierają żadnych wesołych dodatków. Gretchen nie chciała zabić; chciała tylko postraszyć.

– Szkoda, że tego nie wiedziałyśmy, zanim zrobili mi płukanie żołądka – mruknęła Bliss. – Wielką rurą. Na podwórku. – Zakreśliła w palcach jeden ze swoich tlenionych dredów. – Na oczach sąsiadów.

Susan wyjrzała przez okno.

– Może to cię wreszcie nauczy, że jak coś przychodzi do mnie, to się tego nie otwiera.

Henry westchnął donośnie i zatrzymał samochód przed stuletnim budynkiem z cegły. Znajdowali się w centrum Portland, w dzielnicy ludzi kultury. Wejścia do budynku strzegły kolumny w stylu korynckim. Nad nimi rozpościerała się ciemnozielona markiza ozdobiona białą tarczą herbową z dwoma literami: AC.

– Jaja sobie robisz – prychnęła Susan.

– Tutaj będziecie bezpieczne – odparł Henry, wysiadając. Obszedł wóz dookoła i otworzył drzwi przed dziennikarką.

– To jest Arlington Club – powiedziała. – Klub towarzyski dla

zdziałających kapitalistów.

– Burmistrz do niego należy – wyjaśnił, otwierając z kolei tylne drzwi, żeby wypuścić Bliss.

– Chyba byłam tu raz na proteście – przypomniała sobie matka Susan, wysiadając na ulicę i przyglądając się ceglanej fasadzie. – Wciąż każą tutaj kobietom chodzić w spódnicach?

Twarz Henry'ego stężała.

– Mamy ten budynek pod kontrolą. Będzie wam tu wygodnie. Susan nie ruszyła się z samochodu.

– Nie będę tutaj mieszkać – oznajmiła twardo, krzyżując ręce na piersi.

Detektyw przykucnął obok otwartych drzwi i chwycił ją mocno za ramię.

– To nie są żarty. Nie wierzysz, że ona nie daruje ci życia?

– Dwa przeczenia w jednym zdaniu – zwróciła mu uwagę. – Lepiej ująć to prościej: „Ona cię zabije”. Tak bez ogródek. Żeby było się czego bać.

Henry spiorunował ją wzrokiem.

– Archie boi się o ciebie. Mając cię w pobliżu, będzie spokojniejszy. – Potarł dłonią wygoloną czaszkę. – A przy okazji i ja będę miał o jedno zmartwienie mniej.

– Archie też tutaj mieszka? – zainteresowała się nagle.

– Aha. – Kiwnął głową.

Susan momentalnie sięgnęła do klamry i rozpięła pas.

– Mogłeś od razu powiedzieć.

Henry westchnął ponownie i poprowadził swoje podopieczne w stronę dębowych, dwuskrzydłowych drzwi klubu. Za nimi Susan i Bliss zobaczyły białe elementy boazerii i sklepienie wykończone białymi

zwornikami, same ściany miały jednak osobliwy, jasny odcień koloru łososiowego; dodatkowo, aby zróżnicować fakturę powierzchni, farbę przetarto gąbką. Na samym środku korytarza, pod olbrzymim, lśniącym, mosiężnym kandelabrem, rozpierał się ozdobny stół ustrojony kwietnymi girlandami. Wspaniałe główne schody prowadziły na górę, a po ich stopniach spływał niebieski dywan. Wielki kominek, niegdyś równie wspaniały, został przebudowany i otrzymał palnik gazowy, a leżące przed nim orientalne dywaniki były wytarte i podniszczone. Susan nieraz słyszała o klubie Arlington, ale jeszcze nigdy nie widziała go od środka. Była, szczerze mówiąc, nieco rozczarowana.

Rozejrzała się dookoła, szukając wzrokiem ludzi u szczytów władzy, różnego pokroju szarych eminencji, ale zobaczyła tylko jednego gościa, jakiegoś starszego pana, który, siedział na sofie przed gazowym kominkiem i czytał „Wall Street Journal”. Nad jego głową wisiał krajobraz w starej złoczonej ramie, przedstawiający Mount Hood.

Wszechobecną ciszę mąciły tylko stłumione głosy i pobrzękiwanie srebrnych sztućców, dobiegające z restauracji na piętrze.

Za biurka w głębi pomieszczenia podniósł się wysoki, chudy jak szkielet mężczyzna. Miał ciemne włosy i był w garniturze, a w jego krawacie pobłyskiwała srebrna spinka. Henry wyjął odznakę, ale na ten widok mężczyzna natychmiast zaczął machać rękami.

– Proszę to schować – syknął, oglądając się na staruszkę czytającego gazetę. – Nie przy członkach klubu.

Henry posłuchał i złożył odznakę, wskazując ruchem głowy Susan i Bliss.

– To są Susan Ward i jej matka, Bliss Mountain. Bliss nachyliła się

lekko ku recepcjoniście.

– W dzieciństwie miałam na imię Pitt – wyjaśniła.

Mężczyzna ze srebrną spinką w krawacie obrzucił spojrzeniem jej obszerne indyjskie spodnie, czerwone pantofle crocasy i zanieczyszczoną wymiocinami koszulkę z krótkim rękawem, ozdobioną napisem KONTESTUJ ZAWSZE I WSZYSTKO. Pod koszulką kołysały się swobodnie piersi Bliss.

– Mamy dla tych pań pokój na szóstym piętrze – podjął Henry. Twarz recepcjonisty zastygła w prawie udanym powitalnym grymasie; psuła go tylko bardzo widoczna panika.

– Tak jest – skinął głową po chwili. – Witam szanowne panie. Proszę tędy.

– Mam dwadzieścia osiem lat – poinformowała go Susan – i nie jestem mężatką. Nie trzeba mnie tytułować „szanowną panią”.

– Rozumiem, ale cóż... – Portier, marszcząc czoło, wcisnął guzik przywołujący windę. – Dopóki będzie pani u nas mieszkać, tak właśnie będziemy się do pani zwracać.

Susan posłała Henry’emu wściekłe spojrzenie spod zmrużonych powiek.

Ból kłujący w boku stał się już tak nieodłączny, że Archie niemalże przestał zwracać na niego uwagę, podobnie jak nie słyszy się tykania zegara. Kluczowym słowem było tutaj „niemalże”. Bo nagle, przy którymś oddechu, pod żebrem odzywała się ostra, bolesna kolka, a on, nie chcąc zdradzić się żadnym grymasem, musiał trzymać się naprawdę mocno w garści. Żeby walczyć z bólem, łykał jeszcze więcej tabletek, doskonale widząc w tym złośliwą ironię losu: przyczyną jego cierpienia były te same substancje, które przynosiły mu ulgę.

Ulokowano ich w apartamencie z dwoma sypialniami. Ściany miały soczysto-żółty kolor, wypisz, wymaluj kupa niemowlaka. Debbie powiedziała, że taki odcień nazywa się patison. Teraz kładła dzieci spać w ich nowym pokoju, gdzie stały dwa tapczany, a ściany miały kolor kupy niemowlaka. Była przerażona, ale Archie wiedział dobrze, że jest też wściekła jak wszyscy diabli.

– Włączyć ci telewizor? – zapytała Claire. Przyjechała do Arlingtona prosto ze szpitala i siedziała u Sheridanów już dobrą godzinę, udając, że niezwykle zaciekał ją znaleziony przypadkiem na jakimś stoliku przewodnik po portlandzkich mostach.

– Możesz już iść – odpowiedział Archie.

– Jestem twoją obstawą.

Trzy ciała w parku, Gretchen na wolności, a jego ludzie, zamiast wziąć się do roboty, zajmują się niańczeniem swojego dowódcy.

– Na korytarzu siedzi mundurowy – przypomniał jej. Claire przerzuciła kolejną stronę.

– Jestem waleczniejsza od niego. Wiedziałaś, że most Hawthorne zbudowano w tysiąc dziewięćset dziesiątym roku?

Ktoś zapukał do pokoju. Policjantka zerwała się na równe nogi i podeszła do drzwi.

– To ja – usłyszeli głos Henry’ego. Claire otworzyła, a po chwili potężny detektyw wtarabanił się do środka, ciągnąc za sobą wypchaną walizę. Zatoczył ją pod ścianę i wyprostował się, masując ramię.

– Masz wszystko? – upewnił się Archie. Obaj wiedzieli, że pyta o swoje tabletki.

– Wrzuciłem kilka zestawów ciuchów dla dzieciaków, dla ciebie i dla Debbie. Za parę dni będziemy mogli podrzucić któreś z was do domu. Przybory toaletowe – dodał na koniec – są w zewnętrznej kieszeni.

– A co z Susan?

– Przed chwilą zainstalowałem je obie w pokoju – zameldował Henry. – Ją i jej matkę. – Znow pomasował ramię. – Pięć razy obracałem, żeby wnieść wszystkie ich klamoty na górę.

– Jak sprawy stoją? – zapytał Archie.

Henry oparł się o ścianę w kolorze kupy niemowlaka i skrzyżował ramiona na piersi.

– To jest obława stulecia. Bierze w niej udział pięć niezależnych instytucji: my, stanówka, FBI, straż wybrzeża i Gwardia Narodowa.

– Kto dowodzi federalnymi?

– Sanchez. – Henry zauważył na stoliku kilka pojemników zjedzeniem z tajskiej knajpy, do połowy opróżnionych. – Czy to może *pad ki maol* – Zerknął na Claire.

– Tak, z tofu.

– Wiesz, że lubię z kurczakiem – skrzywił się.

– Zamawiałam dla siebie.

– Przecież nie mówię, że nie zjem. – Wziął do jednej ręki otwarte pudełko, a do drugiej parę używanych pałeczek i porządnie zapchał usta. – Sanchez wpadnie później – wymamrotał, przeżuwając pokarm. – Teraz odwała prace polowe. Wszystkie media publikują jej podobiznę. Cały świat zna już jej twarz. Złapiemy ją.

– A to serce? – zapytał Archie, który wciąż miał przed oczami kolorowe pudełko zalane krwią i ludzką pompę rozerzniętą na pół.

Henry otarł dłonią tłuszcz, który osiadł mu na wąsach.

– Eksperci twierdzą, że należało do mężczyzny.

– A po czym to niby poznali? – Claire podniosła wzrok znad swojej książki.

– Miało malutkiego fiucika. Nikt się nie roześmiał.

– Chciałem was trochę rozchmurzyć – mruknął Henry. Archie zauważył wszystko mówiące spojrzenie, które posłała mu Claire.

Henry wbił wzrok w podłogę i zajął się jedzeniem. Zanim znów się odezwał, przełknął wszystko, co miał w ustach.

– Jak tam dzieciaki? – zagadnął Archiego.

Na to pytanie Archie nie umiał odpowiedzieć. Całe popołudnie jego syn i córka spędzili z Debbie, nie odstępując jej na krok. Sara bez mamy nie chciała iść nawet do łazienki. A do niego tymczasem odezwały się najwyżej kilkoma słowami.

Odchrząknął głośno.

– Muszę wrócić do pracy – powiedział. – Susan zidentyfikowała naszą pierwszą NN z parku. To Molly Palmer.

Henry zamarł, zgarbiony nad otwartym papierowym pudełkiem. Pałeczki zawisły nieruchomo w powietrzu.

– Jezu Chryste... – mruknął.

– No właśnie. – Archie zamknął oczy, potarł palcami grzbiet nosa. – Ale na razie o tym cicho.

– Kto to jest Molly Palmer? – zaciekawiła się Claire.

W tym momencie znów ktoś zastukał do drzwi: trzy razy, rytmicznie, ale jakby z ociąganiem.

– Tu posterunkowy Bennett – usłyszeli głos.

Henry sięgnął ręką, uchylając drzwi. W szczelinie ukazała się twarz Bennetta. Był o wiele czystszy niż tamtego dnia, kiedy sturlał się po zboczu wzgórza, na którym znaleziono zwłoki Molly Palmer, ale minę miał taką samą jak wtedy: wystraszoną i zaniepokojoną. Spojrzał prosto na Archiego.

– Pani Susan Ward chce się z panem widzieć.

– Skoro już się zaanonsowała, to zapraszam – odparł Sheridan.

Do pokoju wmaszerowała Susan. Mokre turkusowe włosy miała zaczesane prosto do tyłu i założone za uszy; wyglądała tak o wiele młodziej. Była ubrana w spodnie od dresu i koszulkę z emblematem uniwersytetu stanowego w Oregonie. Pod pachą taszczyła jakieś spore pudło.

– Co u was? Wszystko w porządku? – chciał wiedzieć Archie. Zamiast odpowiedzieć, podeszła do niskiego stolika i postawiła swoje pudło prosto pod nosem detektywa.

– Co to? – zapytał.

– Wszystkie moje materiały na temat sprawy senatora Scheera –

odparła. – Ktoś go zabił. Jego i Parkera. I Molly. A do tego pewnie jeszcze tę blondynkę z parku. – Powiodła wzrokiem po twarzach trójki policjantów. – Dowiedźcie się, kto to zrobił.

O drugiej w nocy Henry i Claire dali się w końcu odesłać do domów. O ile klub Arlington za dnia był oazą ciszy i spokoju, to w nocy panowała tam dosłowna martwota. Archie przeglądał materiały z pudła, które przyniosła Susan. Znalazł tam, między innymi, cyfrowe nagrania rozmów, które dziennikarka przeprowadziła z Molly Palmer oraz z ludźmi, którzy znali ją w czasach, kiedy miała kilkanaście lat. Były tam także wywiady z różnymi osobami mającymi związek ze sprawą, włączając dawny i aktualny personel senatora, a nawet samego burmistrza Portland. Ten artykuł miał odbić się szerokim echem. A wiele osób wiedziało, że ktoś nad nim pracuje.

Archie odsłuchiwał jedno nagranie na swoim laptopie, kartkując przy tym kolejno dwanaście dziennikarskich notatników, dorzuconych przez Susan do pudła. Jej pismo było prawie nie do odcyfrowania, a do tego tu i ówdzie kartki upstrzone były dodatkowo przypadkowymi zapiskami na temat tego, co użytkowniczka notatnika miała zamiar zamówić danego dnia na kolację albo nazwami zespołów w jej opinii wartych zapamiętania.

W pewnej chwili detektywowi rzuciło się w oczy podkreślone nazwisko, po którym postawiono pytajnik. John Bannon?

Archie znał to nazwisko.

Co Susan wiedziała o tym człowieku? I co John Bannon mógł wiedzieć o Molly Palmer?

W drzwiach do sypialni stanęła Debbie, owinięta w szlafrok z wyszytą nazwą: Arlington Club. Podeszła do Archiego i przysiadła obok, na poręczu kanapy.

– Idziesz spać? – zapytała.

– Zaraz pójdę.

Zauważyła jego komórkę leżącą na stoliku, wygodnie, pod ręką. Jej twarz zmieniła się, pociemniała.

– Czekasz na telefon?

Gdyby Archie miał powiedzieć prawdę, musiałby się przyznać, że spogląda na wyświetlacz co kilka minut, jakby mógł w ten sposób zachęcić Gretchen, aby znowu do niego zadzwoniła.

– Może i czekam – odparł.

Debbie pochyliła się nad stolikiem i wcisnęła klawisz wyłączający aparat, przytrzymując go tak długo, aż klawiatura i wyświetlacz zgasły całkowicie.

– Jak ta suka chce do ciebie dzwonić, to niech się nagra na pocztę głosową – oznajmiła twardo, biorąc telefon w rękę i rzucając go na poduszkę za plecami Archiego. Potem odwróciła się do niego i delikatnie pogładziła po twarzy. Jej skóra pachniała masłem shea.

– Musisz trochę odpocząć – powiedziała.

– Dobrze – skinął głową, kładąc dłoń na jej wciętej talii. Odnalazł ustami jej usta; pocałunek był lekki, ale trwał długo, a zanim się skończył, Archie zdążył sięgnąć za siebie, znaleźć telefon i włączyć go z powrotem. Idąc za Debbie do sypialni, obejrzał się; zielony blask płonący w ciemności dodał mu otuchy.

Obudził go głos żony i dotyk jej dłoni, potrząsającej jego nagim ramieniem. Spędzili noc razem, obok siebie, w jednym łóżku i bez ubrania. Dobrze było zasypiać obok niej, wsłuchując się w równomierny

puls jej oddechów. Wszystko było prawie jak normalnie, z tym jednym wyjątkiem, że nie dotknęli się ani razu – oboje nawet przez sen trzymali ręce sztywno wyciągnięte wzdłuż boków, żeby tylko przypadkiem się nie potraćić.

– Koleś Anderson przyszedł do ciebie – poinformowała go.

Archie sporym wysiłkiem woli otrząsnął się z sennego zamroczenia. Słońce przeciskające się przez szpary w drewnianych żaluzjach malowało ścianę koloru kupy niemowlaka w świetlne pasy.

– Która godzina? – zapytał.

– Po dziewiątej.

– Jezu... – westchnął Archie, uświadamiając sobie nagle, że odkąd Ben przyszedł na świat, ani razu nie zdarzyło mu się spać dłużej niż do ósmej. Próbował sobie przypomnieć, czy coś mu się śniło, ale pamięć odpowiedziała tylko ciemnością. Mimo długiego snu nie czuł się jednak wypoczęty. Debbie była już ubrana: miała na sobie dżinsy i białą koszulkę z długim rękawem, która zapewne przyjechała w walizce dostarczonej przez Henry'ego. Wyspana, wyglądała bardzo świeżo, a na jej nieumalowanej twarzy rysował się wyraźnie drobny maczek piegów.

– Za chwilę do niego wyjdę – powiedział Archie.

Kiedy Debbie zostawiła go samego, usiadł na łóżku i opuścił nogi na podłogę. Za każdym oddechem pod żebrami z prawej strony odzywał się rwący ból; wstał i ostrożnym krokiem ruszył do łazienki, trzymając się za bok. Na środku pokoju zatrzymał się nagle, czując, jak drętwieją mu dłonie. Uniósł je do oczu i zobaczył, że palce mu spuchły, a łoża paznokci pobielwały. Rozpiął szybko zewnętrzną kieszeń walizki, wyciągając z niej torbę na zakupy pełną pojemniczków z lekarstwami. Grzebał tam, aż

znalazł vicodin i środek moczopędny: pierwszy miał zwalczyć ból, drugi – usunąć opuchliznę. Połknął cztery vicodiny i dwie tabletki ze środkiem moczopędnym. Udało mu się ostatnio ograniczyć poranną dawkę vicodinu do dwóch tabletek, ale chwilowo sytuacja nie sprzyjała treningowi silnej woli.

Zdjął zegarek; głębokiego, czerwonego odcisku na obrzękniętym nadgarstku nie dało się przeoczyć. Wszedł pod prysznic. Kilka razy w tygodniu budził się rano z erekcją, która była zdradzieckim świadectwem snów o Gretchen, ale tego dnia nie mogło być o tym mowy. Tego dnia był tylko wyczerpany. Po kąpieli umył zęby i ogolił się, a potem włożył wczorajsze spodnie i koszulę, którą Henry spakował mu do walizki. Koszula była uszyta z włókna teflonowego, które ma tę zaletę, że się nie gniece. Debbie kupiła mu swojego czasu pięć takich koszul w różnych odcieniach koloru brązowego. Włożywszy jedną z nich, mógł już prawie udawać, że wziął się w garść; każdy dałby się oszukać, gdyby tylko nie zauważył, że detektyw Sheridan wygląda jak świeży nieboszczyk.

– Macie już coś? – zapytał Archie natychmiast, kiedy tylko stanął w drzwiach prowadzących do salonu. Koleś Anderson siedział razem z Debbie na kanapie, a Henry – na sąsiadującym z kanapą fotelu. Z sypialni Bena i Sary dobiegały odgłosy telewizora, w którym lecą kreskówki, natomiast wyciszony odbiornik w salonie pokazywał dwa zdjęcia: jego i Gretchen. Po chwili na ekranie pojawiła się szkoła dzieci Archiego i napis:

WIRTUOZ ZNÓW SIEJE POSTRACH.

– Na razie nic – odpowiedział Henry na pytanie dowódcy.

Burmistrz wyprostował się lekko. Był w samej koszuli; brązowa marynarka, złożona idealnie równo, leżała obok niego, ostrożnie

przerzucona przez oparcie kanapy.

– Opinia publiczna martwi się o ciebie – oznajmił Archiemu. – Chcą zobaczyć, że nic ci nie jest.

Archie jakoś nigdy nie oswoił się z myślą, że opinia publiczna może czegoś od niego chcieć.

– Mam opublikować oświadczenie? – zapytał.

– Masz pokazać się w telewizji – odparł burmistrz.

Archie zauważył, jak na dźwięk tych słów Debbie i Henry nagle się spięli.

– W telewizji – powtórzył.

– Na dole czeka Charlene Wood. Dziesięć minut i może zaczynać. Ja sądzę, że takim zagranem kupimy sobie trochę luzu na rynku medialnym.

Koleś Anderson zawsze mówił jak polityk. Nawet kiedy jako przełożony Archiego kierował grupą pościgową. W każdym momencie prezentował się tak, jakby właśnie studiował „Republikę” Platona i tylko na chwilę oderwał się od lektury.

Archie zerknął na swoją milczącą komórkę, która leżała na blacie niskiego stolika obok tacy z dzbankiem pełnym kawy, przyniesionym przez obsługę. Pochylił się w przód, starając się nie zwracać uwagi na ukłucie bólu pod żebrami, i nalał sobie kubek kawy, która okazała się letnia. Ciężkie białe naczynie w spuchniętej dłoni wydawało mu się dziwnie nieporęczne, ale oprócz niego nikt niczego nie zauważył.

– Moim zdaniem to nie jest dobry pomysł – powiedziała Debbie.

Archie pociągnął jeden łyk. Miał wrażenie, że kawa jest zupełnie gorzka, ale mógł to być posmak po vicodinie. Nie uśmiechało mu się to publiczne wystąpienie w telewizji. Nie chciał dać się wciągnąć w nabijanie

punktów Kolesiowi, który – był tego pewien – myślał już o przyszłych wyborach i reelekcji. Nie miał też ochoty wkurzać swojej byłej żony.

Z drugiej strony, gdyby udało się dobrze wszystko rozegrać... to nadarzała się okazja, żeby zmusić Gretchen do gry w otwarte karty.

– W porządku – zgodził się. – Zaproś ją tutaj.

Charlene Wood usiadła, trzymając kolana razem i krzyżując nogi w kostkach, przed Archiem i burmistrzem, którzy zajęli miejsca obok siebie na kanapie. Koleś Anderson włożył z powrotem marynarkę. Dwóch młodych chłopaków z obsługi planu – obaj w firmowych czapkach KGW – ustawiło za nimi przenośne tło, żeby nikt (a zwłaszcza ci nieliczni, którzy widzieli chociaż raz w życiu apartament imienia założycieli klubu Arlington) nie zorientował się, skąd nadawany jest wywiad.

– Gotowi, panowie? – zapytała Charlene. Z bliska wyglądała na szczuplejszą niż w telewizji, jak również na bardziej nienasyconą.

– Jak najbardziej – odpowiedział Koleś Anderson, zanim Archie zdążył otworzyć usta. Pan burmistrz przed wejściem na antenę poddał się zabiegom kosmetycznym, a teraz, przypudrowany i z utrwaloną lakierem fryzurą, oblizywał starannie górne zęby. Była to sztuczka, której uczył Archiego już dawno, kiedy ten przed laty przejmował po nim stanowisko dowódcy grupy śledczej: robi się tak po to, żeby przed kamerą warga nie przyklepiała się do zębów. Archie myślał wtedy, że Koleś robi go w balona.

– Wchodzimy na żywo – poinformowała ich Charlene. Archie opuścił wzrok, przyglądając się swoim dłoniom.

Obrzęk ustąpił już odrobinę, ale w boku ciągle kłuło; nie pomogły tamte cztery vicodiny i te dwa, które wziął na dokładkę przed chwilą. A on bardzo chciał nawalić się lekami jeszcze bardziej. Musiał wyglądać tak, jakby był chory. Zresztą, pomyślał, to przecież święta prawda.

A teraz należało to sprzedać.

Charlene zwróciła twarz do kamery, opuszczając lekko podbródek, aby

sprawić wrażenie głębokiego namysłu, i zaczęła mówić, zniżając głos:

– Dziękuję, Jim. Są ze mną burmistrz Bud Anderson oraz słynna ostatnia ofiara Gretchen Lowell, detektyw Archie Sheridan. – Odwracając się do Archiego, wyciągnęła rękę i musnęła go lekko palcami po kolanie. – Panie detektywie, czy może pan podzielić się z nami swoimi odczuciami po otrzymaniu wiadomości o ucieczce morderczyni zwanej Wirtuozem?

Archie zapanował nad twarzą, nie dając po sobie poznać, co sądzi o tym kompletnie niedorzecznym pytaniu.

– Poczuję się fizycznie chory – odpowiedział – ponieważ wiem, że wszyscy mamy się czego obawiać. – Nie mogąc się zdecydować, co zrobić z rękami, ostatecznie złożył dłonie na kolanach. – Gretchen jest bardzo niebezpieczna. Jeśli ktoś ją zobaczy, powinien trzymać się z daleka. Zależy nam na tym, żeby ją zatrzymać, nie zabić. Kiedy wróci do zakładu karnego, będziemy mogli dalej identyfikować jej ofiary, dopóki nie poznamy wszystkich.

– Proszę pozwolić, że powtórzę jeszcze raz – odezwał się burmistrz. – Robimy wszystko, co w naszej mocy, aby aresztować Gretchen Lowell. I złapiemy ją.

Charlene znów wyciągnęła dłoń i dotknęła kolana Archiego. Debbie, stojąca za plecami dziennikarki, poza polem widzenia kamery, przewróciła oczami.

– A jak się czują pańskie dzieci po wczorajszych, dramatycznych wydarzeniach? – zapytała Charlene.

– Mają się dobrze – odparł. – Mimo wszystko. Muszę jednak powiedzieć – dodał i natychmiast poczuł, że Koleś Anderson drgnął niespokojnie – że to wszystko, co się dzieje, nie pozwala mi się

skoncentrować na poszukiwaniach sprawcy niedawnych morderstw w Forest Parku. I to sprawia mi największą przykrość. – Podniósł głowę, spoglądając prosto w oko kamery. – Szukamy kobiety o włosach koloru blond, która zaginęła prawdopodobnie około dwóch do trzech lat temu. Wszystkich, którzy mogą udzielić informacji na temat takiej osoby, prosimy o kontakt z najbliższym posterunkiem policji.

Charlene Wood uniosła nieznacznie brwi, zdziwiona tą niespodziewaną zmianą tematu. Ponieważ była jednak profesjonalistką, płynnie podjęła wątek, zadając zupełnie oczywiste pytanie:

– A co wiadomo o pierwszej ofierze?

– Udało się nam ją zidentyfikować – powiedział Archie. – Nazywa się Molly Palmer.

Po wyjściu spod prysznicza zadzwonił do rodziców Molly z telefonu w sypialni. Odebrał jej ojciec, który oznajmił detektywowi, że dla niego i jego żony Molly nie żyje już od piętnastu lat. Sheridan dowiedział się również, że druga córka państwa Palmerów została prawniczką. Zrobiła świetną karierę, ma dwójkę dzieci, a jej mąż pracuje w banku inwestycyjnym. Cóż, zawsze dobrze jest mieć rezerwę.

Na dźwięk nazwiska Molly Palmer burmistrz zeszytywniał na całym ciele.

– Trzymajmy się tematu – zaproponował, odchrząknawszy i odkaszlnawszy lekko. – Zapewniam ponownie całą naszą społeczność, że dokładamy wszelkich starań, aby nikomu nie stała się krzywda.

Archie przyłożył dłoń do bolącego boku. Żołądek podjechał mu do gardła. Uniósł wzrok: kamera wciąż pracowała. Koleś gędził i gędził. Sheridan wyciągnął rękę przed siebie, przytrzymując się krawędzi

niskiego stolika. Chciał, żeby wszystko wyglądało naturalnie. Nie było to trudne. Naprawdę czuł ból i nudności, wystarczyło więc tylko przestać z nimi walczyć. Zerknął jeszcze raz na kamerę, wyczekując momentu, kiedy Koleś przerwie swoje gędzenie – operator musiał mieć czas, aby zareagować. Wreszcie burmistrz umilkł, biorąc głęboki wdech – i wtedy Archie zsunął się z kanapy i upadł na kolana.

– O Boże – wy sapał Anderson.

– Kręć! – zakomenderowała szczekliwie Charlene Wood. Debbie w ułamku sekundy przypadła do Archiego, ujmując jego twarz w dłonie.

– Co z tobą? – zapytała, podtrzymując go i układając na podłodze. Potem pochyliła się nad nim, a jej ściągnięta niepokojem twarz zawisła tuż nad jego twarzą.

Archie chwycił ją za rękę, ścisnął lekko.

– Jeszcze chwila – szepnął.

Debbie zmarszczyła brwi, nie rozumiejąc, co się dzieje. Przed obiektywem kamery pojawiła się zwalista sylwetka Henry’ego.

– Koniec wywiadu – oznajmił detektyw Sobol.

Archie usłyszał jeszcze, jak Charlene wygłasza końcowy komentarz:

– Archie Sheridan zasłabł. Kiedy tylko pojawią się nowe fakty, będziemy informować państwa na gorąco. Jim, oddaję głos do studia. – W tym momencie operator musiał widocznie wyłączyć kamerę, bo dziennikarka dodała jeszcze soczyste: – Kurwa jego mać.

– Do widzenia – warknął Henry, rozglądając się po pokoju. – Wszystkim. Już was tu nie ma.

– Zadzwoń po karetkę? – zapytał burmistrz.

– Nie trzeba – powiedział Archie, nie podnosząc się z podłogi. –

Sprowadź mi tutaj Fergususa.

Henry siłą wypchnął Charlene Wood i jej ekipę na korytarz, nie pozwalając im nawet zabrać przenośnego tła, które rozstawili za kanapą.

Archie nagle usłyszał, jak otwierają się drzwi do sypialni dzieci; chwilę później Sara opadła na kolana tuż obok niego.

– Co się stało, tatusiu? – zapytała.

– Nic – odpowiedział, ocierając wolną ręką – bo w drugiej wciąż trzymał dłoń Debbie – łzę z jej mokrego, zarumienionego policzka. – Wszystko w porządku.

Sara momentalnie zauważyła to, co wszystkim innym udało się przegapić.

– A co ci się zrobiło w rękę, tato?

Archie dźwignął się z podłogi, usiadł. Zobaczył Bena, stojącego po przeciwnej stronie kanapy.

– Zabierz siostrę do waszego pokoju – poprosił syna. Ben wyciągnął dłoń, a Sara posłusznie wstała z klęczek. Obejrzała się jeszcze raz na ojca, a potem wróciła z bratem do sypialni.

– Co się dzieje? – zapytała Debbie bezbarwnym głosem.

– Nic nie mów – uciszył ją Archie. – Proszę. Bądźcie cicho.

– Co z tobą? – Nie wytrzymał Henry.

– Zaczekajcie chwilę – poprosił, zamykając oczy i wmawiając sobie, że słyszy sygnał.

I usłyszał go. Dzwonek komórki. Gretchen oglądała wiadomości.

Dobrze się czujesz? – zapytała Gretchen.

Archie dał Henry’emu znak ręką. Jego partner natychmiast chwycił za komórkę, żeby dać znać chłopcom z podsłuchów. Trzeba było namierzyć to połączenie.

Serce Sheridana tłukło się w piersi jak wściekłe; prowadzenie swobodnej rozmowy było nie lada wysiłkiem.

– Martwisz się o mnie? – odpowiedział pytaniem.

– Zauważyłam, że jesteś cały spuchnięty, kochany. To obrzęk. Wysiada ci wątroba.

Przyjrzał się swojej wolnej ręce. Dłoń przybrała kolor szkarłatny, a palce napęczniały od płynu sączącego się pomiędzy tkankami. Zacisnął pięść, chowając ją pod pachę.

– Chcę się z tobą zobaczyć – powiedział.

Słyszał w słuchawce jej oddechy, jeden za drugim nieskrepowany i lekki. Jego własne zduszone sapanie brzmiało w porównaniu z nimi jeszcze marniej niż w rzeczywistości.

– Już niedługo – obiecała mu.

– Rozumiem, że wciąż jesteś w pobliżu? – zapytał, szukając wzrokiem Henry’ego, żeby mieć pewność, że to usłyszał.

Gretchen odetchnęła jeszcze raz, głęboko.

– Chcę być blisko ciebie.

– Gdzie jesteś? – A ty?

Henry spojrział na niego, potrząsnął przecząco głową. Archie rozumiał, co to miało znaczyć: Gretchen dzwoniła z komórki na kartę, która była nie

do namierzenia. Po skończonej rozmowie rozłączy się i zacznie swój bal, a oni w żaden sposób nie będą mogli jej powstrzymać.

– Gretchen – poprosił Archie. – Nie zabijaj już nikogo, dobrze?

– Boli cię? – zapytała.

Ścisnął dłonią bok. Pod żebrami tętniło palące, tępe klucie.

– Tak – przyznał.

– To dobrze. – W jej głosie słyhać było, że się uśmiecha.

W słuchawce zapadła cisza, ale Archie siedział dalej z telefonem przy uchu. Dopiero po chwili dotarło do niego, że ścisnął go z całej siły, aż do bólu. Odłożył komórkę na stolik, z trudem pokonując opór zeszywniałych palców. Zauważył przy tym, że jego dłoń bez ślubnej obrączki wciąż ma dziwny, obnażony wygląd – choć minęły już przecież prawie dwa lata, odkąd miał ją na palcu po raz ostatni.

Henry, który wciąż chodził w tę i z powrotem z dłońmi splecionymi na karku, nagle zatrzymał się przed ścianą koloru kupy niemowlaka i z całej siły wyrznął w nią pięścią. Wszyscy obejrżeli się gwałtownie, spłoszeni niespodziewanym, głuchym łomotem.

– Szlag by to trafił – zaklął Henry, strzepując dłonią. Na ścianie pozostała cieniutka, ledwie widoczna rysa.

Burmistrz przysiadł na poręczu fotela.

– Nikt nie wie o tych telefonach. – Powiódł wzrokiem od twarzy do twarzy. – I niech to nie wyjdzie poza ten pokój.

Debbie, siedząca na kanapie z dłońmi splecionymi na kolanach, wstała bez słowa i wyszła do sypialni dzieci.

Archie miał jej bardzo wiele do powiedzenia, do wyjaśnienia, ale teraz musiał z tym poczekać.

Drzwi na korytarz otwarły się z trzaskiem. Policjanci odwrócili głowy. Na progu stała Susan Ward, cała w czerni. Jasny blask jej turkusowych włosów bił w oczy niczym płomień, podsycany purpurą wykrzywionej gniewem twarzy.

– Udzieliłeś wywiadu tej cipie Charlene Wood? – wyszczała wściekle dziennikarka.

zidentyfikowała pani tę NN z parku? – zapytał cicho burmistrz.

– To był mój artykuł – wycedziła Susan, blada ze złości. – Moja bomba. Ja domyśliłam się, kto to jest. To był mój artykuł. – Powiodła spojrzeniem od Archiego siedzącego na podłodze do Henry’ego masującego dłonie, zatrzymując wzrok na cienkiej jak pajęczyna rysie widniejącej na ścianie. – Co tu się stało? – zdziwiła się.

Archie wstał z podłogi i usiadł na kanapie, tam, gdzie przed chwilą siedziała Debbie. Poduszki były jeszcze ciepłe.

– Musiałem powiedzieć o tym w telewizji – powiedział do Susan tonem wyjaśnienia.

– Jest pani pewna, że to była ona? – zapytał burmistrz. Susan otworzyła szeroko usta.

– Pan o tym wie? – Uderzyła go spojrzeniem spod przymrużonych powiek. – Wiedział pan o tym, co Scheer zrobił Molly?

Anderson wzruszył ramionami w obronnym geście.

– Słyszałem plotki. Te same, które wszyscy powtarzają już od lat.

– Tylko że znałeś jej nazwisko – zauważył Archie cichym głosem.

– To był normalny romans – odciął mu się Koleś Anderson. – Jezu, Archie, nie zadzieraj tak nosa. Tyle lat byłeś z Debbie i ani razu nie przyszło ci do głowy, że fajnie byłoby zaliczyć numerka albo dwa na boku?

Słabło już działanie adrenaliny, której poziom wzrósł po rozmowie z Gretchen. Archie znów poczuł się niedobrze; gardło zapiekło wyrzuconym z żołądka sokiem trawiennym.

Kiedy – Ona miała czternaście lat – powiedziała Susan. Burmistrz poczerwieniał.

– Myślałem, że więcej – bąknął. – Osiemnaście. Niespodziewanie rozdzwonił się jakiś telefon. Przez ułamek sekundy Archie już myślał, że to znów Gretchen, ale jego komórka miała inny dzwonek. Odchylił głowę w tył, na oparcie kanapy i zamknął oczy. Skronie tętniły mu uporczywym bólem. Pod zebrami kłuło, tępo i dotkliwie. Skóra mrowiła nieznośnie, jakby naprawdę oblaży ją te pracowite owady.

– Susan podała nam domniemaną tożsamość ofiary, a my sprawdziliśmy dokumentację stomatologiczną. To na pewno ona. – Obejrzał się na drzwi do sypialni dzieci, za którymi zniknęła Debbie. Wciąż były zamknięte. Odwrócił głowę z powrotem.

Telefon nie przestawał dzwonić.

– Czy ktoś to w końcu odbierze? – zapytał Archie znużonym głosem.

– Poczekają – odparł Koles Anderson, poklepując skórzane etui na komórkę, wiszące u paska. Wstał z poręczy fotela.

– Moi kochani, czeka nas wielkie polityczne gównno – oznajmił. – To nieuniknione, jeśli ten romans wyjdzie na jaw.

– Kiedy dziewczyna ma czternaście lat, a facet pięćdziesiąt, to już nie jest „romans” – zauważyła Susan. – Taki czyn nosi inną nazwę: uwiedzenie nieletniej. I jest karalny.

Archie westchnął. Czy naprawdę trzeba to było tłumaczyć jak dziecku?

– Nie tylko uwiedzenie nieletniej jest karalne – spojrzał bystro na Kolesia Andersona. Nie dodał, że dawny romans z młodocianą osobą stanowi bardzo wiarygodny motyw morderstwa.

Susan odeszła na pół kroku od drzwi, pod którymi ciągle stała.

– Uważasz, że Scheer zamordował Molly? – zapytała niemalże szeptem.

Henry opuścił rękę, którą trzymał przy ustach, ssąc otarte kostki dłoni.

– Jezu... – mruknął.

– Nie – zaprzeczył kategorycznie burmistrz. – Pracowałem dla tego człowieka. On nie byłby zdolny do morderstwa.

Susan przygryzła wargę.

– Ale żeby rznąć czternastolatkę, a potem tuszować to pracowicie przez piętnaście lat – do tego już był zdolny?

– To wszystko pani wina. – Koleś Anderson wyciągnął starannie wypielegnowaną dłoń i wycelował palec prosto w twarz Susan. – Gdyby pani nie zaczęła w tym grzebać, nie wiadomo po co... – Umilkł, opanował się. Opuścił rękę, zaciskając pięść. – Tak czy inaczej, nikt o tym jeszcze nie napisał. – Skinął głową w zamyśleniu, jakby rozmawiał sam ze sobą. – Jeśli będziemy mieli szczęście, nikt nie skojarzy osoby Molly Palmer z senatorem.

– Była opiekunką jego dzieci – przypomniała mu Susan. – A poza tym to niby co ja tutaj robię? – Pomachała dłonią w powietrzu. – Dzień dobry! Jestem z prasy!

Burmistrz też machnął ręką, niecierpliwie, jakby odganiał natrętną pszczołę.

– Prasa połapie się w tym dopiero za parę dni – powiedział i spojrzał Susan w oczy. – Do tego czasu ma pani embargo na ten temat.

Twarz oburzonej dziennikarki ściągnęła się ze złości.

– Nie może mi pan zabronić pisania na żaden temat.

– Właśnie to zrobiłem. Uważa pani, że pani redakcja sama wymyśliła

sobie, że nie można wydrukować tego artykułu po śmierci senatora?

– To jest normalna cenzura. – Susan spojrzała bezradnie na Archiego. – Rządowa cenzura.

Archie pochylił się lekko, chcąc złagodzić falę czarnego, palącego bólu, wzbierającą pod żebrami. Nic to nie dało. Rozjazgotana komórka burmistrza doprowadzała go do szału.

– Archie, dobrze się czujesz? – zapytał Henry. Sheridan uniósł głowę, spojrzał na Andersona.

– Wezwałeś mi Fergusa?

Doktor Fergus leczył Archiego od samego początku, czyli od momentu, kiedy przywieziono go do szpitala pod wezwaniem Emanuela po dziesięciu dniach spędzonych w towarzystwie Gretchen Lowell. Fergus był jednym z najlepszych chirurgów urazowych w całych Stanach. I potrafił zachować dyskrecję.

– Rozmawiałem z jego sekretariatem. Mają go tutaj przysłać – uspokoił go burmistrz.

– Myślałem, że symulujesz. – Henry obszedł kanapę, przyklęknął obok Archiego. – Że chcesz ją w ten sposób zmusić, żeby zadzwoniła.

Archie spojrzał na rysę pozostałą na ścianie w miejscu, gdzie przyjaciel wyrznął w nią pięścią. Na jego oczach pęknięcie zaczęło rosnąć, pełznąć po ścianie koloru kupy niemowlaka, kreśląc na niej dwa maleńkie półkola, kształt serca.

– Nie do końca symulowałem – przyznał się szczerze.

Doktor Fergus przesunął zimną dłońią po boku Archiego, na wysokości ostatniego zebra. Sheridan siedział na łożku. Koszulę miał rozpiętą. Debbie i dzieci poszły z burmistrzem na śniadanie do bufetu. Henry i Susan zostali w salonie.

Fergus mocno przycisnął palce do pooranej bliznami skóry detektywa.

– Wysiada ci wątroba – oznajmił. Gretchen, oczywiście, musiała mieć rację.

Lekarz z kolei obmacał węzły chłonne na szyi pacjenta. Ręce wciąż miał tak samo zimne. Choć zwykle nosił muszkę, w Arlingtonie zjawił się w zwyczajnych spodniach i koszulce polo.

– Początek marskości – orzekł. – Nie mogę stwierdzić, jak ciężki jest twój stan, dopóki nie zrobię kilku badań.

I już. W parku po drugiej stronie ulicy odbywał się cosobotni targ rolniczy; do uszu Archiego docierał przytłumiony szmer tłumu ludzi oraz granie jakiejś kapeli wykonującej muzykę Grateful Dead.

– A co z tabletkami? – zapytał detektyw. Fergus spojrział na niego sponad okularów.

– Musisz je odstawić.

– Przecież ciągle mnie boli.

– Istnieje pewna szansa – powiedział lekarz, zdejmując okulary i przecierając je koszulą – że jeśli teraz przestaniesz brać tabletki, twoja wątroba jeszcze wyleczy się sama. – Uniósł szkła pod światło wpadające przez szczeliny w drewnianych żaluzjach i przyjrzał im się dokładnie, po czym wrócił do wycierania. – Natomiast jeśli będziesz brał je dalej,

konieczny będzie przeszczep, bo inaczej umrzesz. – Wsunął okulary z powrotem na nos i zmierzył Archiego spojrzeniem. Twarz miał poważną. – A żeby dostać zgodę na transplantację wątroby, pacjent musi być czysty od minimum sześciu miesięcy.

Detektyw zaczął zapinać koszulę.

– Całkiem rozsądnie.

– To nie są żarty.

Archie uniósł głowę, spojrzał na Fergususa. Gryzło go sumienie, kiedy przypominał sobie, jak ten facet leczył go od samego początku, ratował życie, nagiął przepisy i wypisywał receptę za receptą.

– Spowolnij postęp choroby – poprosił.

– Odstaw tabletki – odparł Fergus. – Przestań pić. Łykej środki moczopędne, to zmniejszy obrzęk. Nie bierz do ust soli. Jeśli zauważysz opuchliznę w okolicy brzucha, zgłoś się na ściągnięcie płynu z jamy brzusznej. Robi się to igłą, przez powłoki.

– Jak wyglądają najgorsze objawy? – zapytał Archie. Lekarz podwinął mu rękaw, wyciągnął z torby gumową opaskę i przewiązał mu nią ramię.

– Jeśli zaczniesz wymiotować krwią albo zauważysz zmiany w swoim funkcjonowaniu psychicznym, zadzwoń do mnie albo jedź od razu na ostry dyżur.

Sheridan skinął głową.

– Nie mogę przepisać ci leku, jeśli wiem, że on cię zabija – mówił dalej Fergus, oklepując żyłę na przedramieniu pacjenta.

– Wypiszę ci jeszcze kilka recept, żebyś nie miał objawów nagłego odstawienia. Mogę ci też polecić kilka placówek terapeutycznych. – Wyjął z torby strzykawkę, a igłę wysunął z osłonki i wbił ją w uwidocznioną

żyłę.

Archie przyglądał się, jak jego krew powoli napelnia pojemniczek, myśląc o tym, że w ciągu ostatnich kilku lat naoglądał się krwi ponad wszelkie swoje wyobrażenie.

– Nie chcę, żeby ktokolwiek się o tym dowiedział – zastrzegł. Fergus wyciągnął igłę i przyłożył wacik do krwawiącej ranki.

– Niedługo będzie ci potrzebna czyjaś opieka – poinformował go.

Archie pozwolił sobie na cierpki, skrzywiony uśmiech, który jednak zgasł, zanim Fergus zdążył unieść głowę.

– Mam kogoś takiego na myśli – powiedział. To, co usłyszał od swojego lekarza, przyniosło mu prawdziwą, niekłamaną ulgę. Bo skoro miał umrzeć, to nie zostało mu już nic do stracenia. Skoro i tak miał umrzeć, to mógł złapać Gretchen.

Susan stała przy oknie na samym końcu korytarza, obserwując pszczołę obijającą się o szybę. Okno wychodziło na ulicę, pełną ludzi niosących zakupy z targu rolniczego, ludzi z psami, ludzi na rowerach i w samochodach, krążących w poszukiwaniu miejsca do parkowania. Pszczoła znów walnęła w szybę. Hałas zwrócił uwagę chuderławego policjanta z dużymi uszami, który wartował w tym samym miejscu także poprzedniego wieczoru. Siedział on na fotelu ustawionym pod portretem przedstawiającym jakiegoś brzydkiego starego faceta, a na odgłos stuknięcia w szybę podniósł głowę i uśmiechnął się przyjaźnie.

– Już od godziny tak wali – powiedział. – Ta pszczoła, znaczy się. To jest okno starego typu. – Podrapał się w ucho, naprawdę sporych rozmiarów. – Pszczoły widzą w ultrafiolecie. Nowe okna mają filtry ultrafioletowe, ale w tych starych promienie przechodzą prosto przez szybę, więc pszczoła jej nie widzi.

Dziennikarka wyciągnęła do niego rękę.

– Jestem Susan – przedstawiła się.

– Todd Bennett – odpowiedział policjant. – Możesz mi mówić Bennett – dodał. – Wszyscy tak mówią.

– Znasz się na pszczołach, Bennett – zauważyła, otwierając komórkę.

– Na oknach – poprawił.

Susan nie była akurat w nastroju, żeby rozmawiać o szybach, pszczołach ani nawet o feministycznych protopunkowych poetkachpiosenkarkach z lat siedemdziesiątych dwudziestego wieku – a był to temat, na który niemal zawsze chciało jej się pogadać.

Wystukała numer redakcji „Heralda”, a potem wewnętrzny. Ian odebrał szybko; telefon stał na jego biurku.

– Dział reportaży – powiedział, a Susan na sam dźwięk tego głosu dostała dreszczy; dobrze jej znany, gładki tembr smakował Ianem, jego skórą, mydłem, którego używał. Nigdy nie sypiaj z kolegami z pracy, usłyszała kiedyś od matki. Dokładnie rzecz biorąc, Bliss wyraziła się nieco inaczej, mianowicie: „Nie obsrywa się własnego podwórka”, ale Susan zrozumiała, o co jej chodziło.

I postanowiła, że będzie stosować tę zasadę trochę bardziej konsekwentnie niż kiedyś. Między innymi dlatego zerwała z Derekiem. Odwróciła się plecami do Bennetta.

– Ian – zaczęła cichym, zniżonym głosem – kiedy wydrukujesz mój artykuł o senatorze Scheerze i Molly Palmer?

Ian milczał przez chwilę.

– Kiedy nadejdzie właściwa pora. Pszczoła po raz kolejny wyrznęła w szybę.

– To znaczy kiedy? – Susan nie dała za wygraną.

– Wciąż jeszcze trwa żałoba – usłyszała.

Zachciało jej się śmiać. Albo jeszcze lepiej: przypieprzyć mu prosto w splot słoneczny, tak mocno, żeby serce stanęło.

– Ty skurwielu – wysyczała do słuchawki. – W ogóle nie masz zamiaru tego drukować, przyznaj się.

Jego głos stał się jeszcze gładszy niż do tej pory.

– Cierpliwości, maleństwo.

– Nie mów tak do mnie – warknęła. Pszczoła przysiadła na zewnętrznym parapecie, szykując się do przypuszczenia kolejnego ataku.

Zatrzepotała skrzydełkami. – Pójdę z tym gdzie indziej. Ktoś na pewno mi to wydrukuje.

– Z nami wiąże cię kontrakt – przypomniał jej. – Jeśli złamiesz jego warunki, stracisz pracę. A my jesteśmy jedynym dziennikiem w tym mieście – zaśmiał się. Słyszając ten śmiech, Susan zmieniła zdanie: zamiast w splot słoneczny, postanowiła pieprzyć go w nos, wbić kość do środka i oślepić. W ten sposób miałyby szansę dożyć dnia, w którym pożałowałyby, że wszedł jej w paradę. – Gdzie chcesz pracować, jeśli nie u nas? – Ian pastwił się nad nią dalej. – W „Auto Moto Świecie”?

Zabolało.

– Więc pozwolisz im utracić mój artykuł? Tak po prostu?

– Facet nie żyje. Teraz to już i tak nieważne. To prawda, że znakomicie piszesz, ale senator to już nie temat. Wszyscy chcą czytać o Gretchen Lowell. I tak się składa, że ty jesteś w samym centrum wydarzeń.

– Siedzę zamknięta w zasranym Arlingtonie – prychnęła, nieco głośniejsz niż zamierzała. Pszczoła znów obijała się o okno. – Przestań już – powiedziała Susan. – Sio!

– Słucham? – zapytał Ian. Zakryła dłonią usta.

– To było do pszczoły – wyjaśniła.

– Aha. – Cmoknął cicho, z niezadowoleniem. – Więc sprawa wygląda tak: ja piszę o obławie. Czy tam pościgu. Zresztą jak zwał, tak zwał. Ale założymy też bloga, specjalnie dla ciebie, na naszej stronie w sieci, a ty będziesz go codziennie uaktualniać, stamtąd, z klubu.

– Bloga? – Dla Susan strona internetowa „Heralda” to był jeden wielki nieużytek. Zerknęła na Bennetta. Czytał w najlepszy numer miesięcznika „Portland Monthly”. Na okładce widniało zdjęcie pustyni oregońskiej,

opatrzone następującym nagłówkiem: UCIEKNIJ W EGZOTYCZNY PLENER. Może policjant znalazł tam jakiś artykuł na temat okien.

Podjęła niezłomną decyzję, że musi się stąd wyrwać i żadna Gretchen Lowell jej nie obchodzi. Nie miała zamiaru pisać żadnych blogów, skoro chcieli utracić jej artykuł. Była to winna choćby już samej Molly Palmer.

– Posłuchaj, maleństwo – powiedział Ian. W tle rozbrzmiewał dobrze jej znany stukot komputerowej klawiatury: tuktuktuk. – Muszę lecieć. Mam tekst o wczorajszym oblężeniu szkoły, który trzeba włączyć do dokumentacji.

Pszczoła zniknęła. Może padła. A może dała sobie spokój i odleciała do jakiegoś rajy dla pszczół, krainy pyłkiem płynącej. Susan nie zauważyła, co się z nią stało.

– Pamiętasz, jak ci mówiłam, że twój penis jest przeciętnej wielkości? – zapytała Iana. – To było kłamstwo.

Zatrzasnęła klapkę telefonu. Nagle poczuła, jak bardzo brak jej Parkera. On by już wiedział, co robić. Dopilnowałby, żeby wydrukowali jej artykuł, i to na pierwszej stronie. Wrzuciła komórkę do torebki i ruszyła z powrotem do swojego pokoju, mijając po drodze Bennetta, który, jak zauważyła, unikał jej wzroku, co znaczyło, że słyszał każde słowo rozmowy z szefem. Bennett siedział dokładnie naprzeciwko drzwi do apartamentu Archiego, opatrzonego numerem 602. Drzwi dalej, pod 603, mieszkały Susan i Bliss. Arenie z rodziną dostali apartament, a one dwie – zwykły pokój jednoosobowy. Były tam dwa tapczany, biurko, telewizor i łazienka bez wanny.

A Susan oddałaby w tej chwili wszystko za porządną kąpiel.

Otworzyła drzwi swojego pokoju i zobaczyła następujący widok: na

ciasnym pasku wolnej podłogi pomiędzy łózkami a ścianą naprzeciwko wejścia stała jej pięćdziesięciosześcioletnia matka, goła jak ją Pan Bóg stworzył, wyprostowana, z nogami zestawionymi razem i dłońmi złożonymi na wysokości mostka. Jej blada, cętkowana pieprzykami skóra zwisała luźno na brzuchu i ramionach. Kiedy skłoniła się całym ciałem, aby dotknąć palców stóp, jej piersi opadły, rozchylając się na boki, a tlenione dredy walnęły o podłogę jak pęk splątanych lin.

Susan szybko zamknęła za sobą drzwi.

– Bliss – szepnęła – co to ma być?

Jej matka, nie prostując się, oparła dłonie na podłodze i wyrzuciła nogi do tyłu, przyjmując pozycję kija; jej sutki musnęły wykładzinę.

– Powitanie słońca – odparła krótko.

– Przecież jesteś goła. A tutaj jest klub Arlington.

Bliss wygięła ciało w pozycji psa z głową do góry: nogi pozostały w tym samym ułożeniu, ale wyprostowane ręce podparły cały tułów. Spojrzała na córkę.

– Jogę zawsze praktykuję bez ubrania – wyjaśniła, znów zmieniając pozycję, tym razem na psa z głową w dół: uniosła nagie pośladki (w których widniały okrągłe dołeczki) i wygięła plecy w kabłąk, a potem oderwała jedną nogę od podłogi, podciągając ją do piersi. To była już nowa pozycja, pozycja wojownika: ciało zastygłe w wypadzie do przodu, z rękami wyciągniętymi prosto nad głowę. – To bardzo wyzwala.

Matka Susan miała na ciele tatuaż: pęd bluszczu spływający swobodnymi skrętami spod piersi na biodro. Dziennikarka przebiegła wzrokiem wzdłuż wijącego się rysunku, a w okolicy miejsca, gdzie się kończył, zobaczyła coś, co sprawiło, że po prostu opadła jej szczęka.

– Co ty zrobiłaś z włosami łożowymi?

Bliss opuściła ramiona, modyfikując pozycję: jedną rękę wyciągnęła przed siebie, a drugą za siebie. To była druga pozycja wojownika.

– Wywoskowałam – odrzekła, naciągając skórę brzucha, tak że Susan mogła dokładniej zobaczyć wzór starannie wymodelowany z siwych włosów łożowych. – To jest wiktoria. Zamówiłam ją u nas w salonie. Zgadnij, kto mi to zrobił? Bodhi.

– O Boże...

Bliss ponownie uniosła ręce nad głową, pochyliła tułów nieco niżej, zamknęła oczy.

– To jest wojna z zakazami, kotku – oznajmiła.

Susan zawirowała na pięcie i otworzyła drzwi. Tylko że za drzwiami, na korytarzu, stał Henry Sobol. A obok niego – Debbie. I dzieci Archiego. Cała czwórka obejrzała się na Susan. A za plecami dziennikarki, idealnie widoczna przez otwarte drzwi, jej naga matka trwała niewzruszona w wypadzie, z dłońmi wyrzuconymi nad głowę.

– *Namaste* – pozdrowiła wszystkich skinieniem ręki, prostując się, aby po chwili wykonać pełny skłon, przy którym jej dredy znów skłębiły się na podłodze.

Henry, Debbie, Ben i Sara przez jakiś czas stali zastygli w totalnym bezruchu.

– Ładny ma pani tatuaż – odezwał się w końcu syn Archiego.

– Dzięki! – zawołała Bliss, powracając do pozycji kija. Susan wyszła na korytarz, zamykając za sobą drzwi. Bennett dalej siedział na fotelu, przeglądając swój magazyn, który położył sobie na kolanach. Ben i Sara trzymali mamę za ręce. Henry uniósł brew.

– Jak tam śniadanko? – zapytała dziennikarka, siląc się na swobodny ton.

– Polecam sałatkę z wędzonym łososiem – odparła Debbie. – Doskonała.

W korytarzu panowała cisza, przerywana tylko szelestem stron, które przewracał wartownik; robił to odrobinę zbyt szybko, aby móc choćby udawać, że czyta.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał Henry, obrzucając dziennikarkę wzrokiem. Susan miała na sobie obcisłe czarne dżinsy z czarnym paskiem i czarną bluzkę bez rękawów, jej torebka i buty były natomiast z czerwonej, lakierowanej skóry.

– Do pracy – wyjaśniła. Potrząsnął tylko głową.

– Nie możesz się stąd ruszać. Jesteś pod naszą ochroną.

– Muszę pisać – odparła, ale zabrzmiało to zbyt płaczkliwie, więc szybko znalazła inne słowa, żeby dodać swojej pracy powagi. – Jestem dziennikarką. Pracuję w gazecie.

– Pisz tam, w pokoju. – Henry wskazał głową. – Tam, gdzie jesteś bezpieczna.

Susan obejrzała się na drzwi, za którymi kryła się jej obnażona matka, a potem spojrzała detektywowi w oczy.

– Muszę stąd wyjść – wycodziła przez zaciśnięte zęby. Henry westchnął.

– Pogadam z Archiem.

Świetnie, pomyślała. Jestem więźniem w klubie Arlington. Gretchen uciekła, a mnie zamknęli. Tak wygląda sprawiedliwość. Zerknęła z ukosa na Bennetta siedzącego w fotelu. Nie miała szans, żeby wykiwać

Henry'ego, na to nie było co liczyć. Ale z tym facetem mogło się udać.

– W porządku – zgodziła się.

Henry przyglądał jej się przez chwilę. Wreszcie skinął głową i położywszy dłoń na talii Debbie, ruszył w stronę apartamentu Sheridanów. Dzieci podreptały za mamą.

– Czy to był znak wiktorii? – dobiegł Susan szept żony Archiego, zanim jeszcze cała czwórka zniknęła za drzwiami.

Archie leżał z Sarą na jej łóżku, tuląc do siebie córeczkę ramieniem. Otaczała ich cała menażeria pluszowych zwierzątek, które Henry przywiózł z domu Sheridanów. Przytulanki pokryły każdy wolny centymetr posłania, tworząc falujący krajobraz złożony głównie z syntetycznego futerka, zwierzęcych łapek i ogonków. Archie zażył niedawno swoje tabletki, więc czuł się lekki i odprężony; musiał bardzo się wysilać, żeby nie zasnąć przy małej.

– Jeszcze raz – poprosiła Sara.

Przed chwilą skończył jej czytać wiersze A. A. Milne'a ze zbioru „Mamy już sześć lat”.

– Pora spać – odparł.

Obok, w sąsiednim łóżku, leżał Ben, zaczytany w książce z serii „Lemony Snicket”.

Archie pocałował Sarę w głowę. Jego córeczka miała włosy po mamie: ten sam kolor. Wtulił w nie twarz, rozkoszując się ich zapachem, który uwielbiał. Nie potrafił przypomnieć sobie, kiedy po raz ostatni Ben pozwolił mu pocałować się na dobranoc.

– Kocham cię – szepnął Sarze do ucha. Zdarzały mu się chwile, takie jak ta, kiedy był idealnie, cudownie wręcz szczęśliwy. Ale mimo wszystko nie umiałby powiedzieć, czy to, co czuje, to rzeczywistość czy vicodinowy miraż.

Spuścił nogi na podłogę, rozglądając się za butami. Sara chwyciła go za rękę swoją malutką, płaską dłonią.

– Zostań ze mną – poprosiła. – Dopóki nie zasnę.

– Z miłą chęcią – zgodził się, zadowolony, że może przedłużyć chwilę szczęścia. Wyciągnął się wygodnie na plecach, skrzyżował nogi w kostkach i z powrotem przytulił córeczkę ramieniem. Twardy plastikowy nos któregoś z pluszowych zwierzaków wbił mu się w plecy.

Sara usnęła, nie spuszczając z niego oczu. Jej ciężkie powieki opadały coraz niżej, aż wreszcie w cieniutkiej jak włos szczelinie błysnęła biel i to był znak, że dziewczynka przestała walczyć z sennością.

Archie odczekał jeszcze kilka minut, a potem wyplątał się z jej objęć i znalazł buty.

Ben odłożył swoją książkę na nocny stolik obok łóżka i odwrócił się plecami.

– Dobranoc, tato – powiedział do ściany.

– Dobranoc – odpowiedział Archie.

Spodziewał się zastać Debbie i Henry’ego tam, gdzie ich zostawił, ale główny pokój apartamentu był pusty.

– Tutaj jestem. – Z sypialni dobiegło ciche wołanie.

Debbie stanęła w drzwiach, otulona białym szlafrokiem z wyszytą nazwą klubu Arlington. Polubiła go; Archie był pewien, że po powrocie do domu – o ile kiedykolwiek tam wrócą – okaże się, że ten szlafrok jakoś zaplątał się w walizce.

– Kiedy wyszedł Henry? – zapytał, wchodząc do sypialni i siadając na łóżku.

Debbie poszła do łazienki i zaczęła myć zęby.

– Piętnaście minut temu – odpowiedziała niewyraźnie, nie wyciągając szczoteczki. Nabrała dłonią wody, przepłukała usta i splunęła do umywalki. – Prosił, żebym cię od niego pożegnała.

Archie obserwował ją w lustrze, nie wstając z łóżka. Była piękną kobietą. Sara bez dwóch zdań musiała wyrosnąć na taką samą piękność: brązowe włosy, delikatne piegi, oczy o czujnym, uważnym spojrzeniu. Debbie wypłukała szczoteczkę i wytarła usta białym ręcznikiem. Kiedy zauważyła, że Archie na nią patrzy, odwróciła się, opierając o brzeg umywalki.

– No, co? – zapytała. – Nic.

– Cieszę się, że już ci lepiej – powiedziała miękkim głosem.

Wzruszył ramionami.

– To pewnie stres, nic więcej.

– Wystraszyłeś mnie.

– Przepraszam. – Za wszystko, dokończył w myślach. Uśmiechnęła się po swojemu, krzywo, co u niej miało wyrażać z troską. Archie był pewien, że Debbie przeżyje to, co się z nim stanie. Nie będzie jej łatwo, ale przetrwa i w końcu się otrząśnie. Dzieci też. I prawdopodobnie na dłuższą metę tak będzie im lepiej.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz? – zapytała. W odpowiedzi wyciągnął do niej rękę.

– Chodź tutaj.

Może to jednak nie był vicodin. Może naprawdę był w tej chwili szczęśliwy.

Podeszła do niego. Była bosa. Rozwiązał pasek podtrzymujący połę jej szlafroka, pozwalając im opaść swobodnie. Wstał z łóżka i wsunął rękę pod grubą tkaninę, przebiegając palcami po wypukłościach żeber, zatrzymując dłoń na krągłości biodra.

Odetchnęła głęboko, przygryzła wargę.

– Już tak dawno... – urwała w pół słowa.

Archie przygarnął ją do siebie i złożył pocałunek na jej szyi, nasycając się zapachem Debbie.

– Nie musisz mi mówić – mruknął, zsuwając szlafrok z jej ramion. Biały frotowy tłumok skłębił się na podłodze. Debbie wyszła z niego, wtulając się w ramiona Archiego.

Znał jej ciało, znał je dobrze. Piersi: jedna odrobinę większa od drugiej. Garść pieprzyków na bladej skórze brzucha. Niewielka fałdka tłuszczu nad pępkiem, pozostałość po ciąży.

Pocałował Debbie w usta i usiadł z powrotem na łóżku, pociągając ją na siebie. Smakowała miętową pastą do zębów. Z gardłowym westchnieniem sięgnęła do klamry jego paska. Powstrzymał ją, unosząc jej dłoń do ust i całując palce, jeden po drugim. Wysiłił całą wolę, żeby zmusić organizm do właściwej reakcji. Chciał się z nią kochać. Kochał ją. A mimo to ciało stawiało opór. Jak zawsze, odkąd pojawiła się Gretchen. Archie nie potrafił zrozumieć, dlaczego tak się dzieje: czy to skutek urazu fizycznego, tortur, które mu zadała, czy też może pożądanie, które w nim budziła, zatruło go tak kompletnie, że jego ciało nie mogło już jej zdradzić, nie mogło rozpaść się dla nikogo innego.

Tak czy inaczej, chciał kochać się ze swoją żoną. Ten jeden, ostatni raz. Zamierzał to zrobić za wszelką cenę, nawet za cenę niewielkiego oszustwa. Wpuścił więc Gretchen na krótką chwilę do świadomości. Zamknął oczy – i pojawiła się w ułamku sekundy. Była skończenie piękna: blond włosy, mlecznobiała cera, otwarte usta, rozchylone pożądaniem. Pragnęła jego, tylko jego. Kiedy przebiegł ustami po płatku ucha Debbie, czuł smak skóry Gretchen. Kiedy wplątał palce we włosy Debbie, ugrzęzły

w burzy loków Gretchen. Stwardniał w mgnieniu oka. Czuł, jak Gretchen rozpina mu spodnie, wsuwa dłoń do środka, zaciska palce. Czuł przyjemność i zastanawiał się, dlaczego wcześniej nie robił tego w ten sposób. Na jego szyję, kark, gardło spadł deszcz lekkich, roztrzepotanych pocałunków. Tak całowała Debbie, ale on chciał czegoś innego. Wepchnął jej język głęboko w usta, zsunął ze swoich bioder spodnie razem z bielizną, rzucił ją na plecy i wszedł w nią w jednej chwili. Był brutalny, a jego siła wydarła z jej ust zduszone westchnienie. To go podnieciło jeszcze bardziej. Wbijał się w nią raz za razem, najmocniej i najgłębiej jak tylko potrafił. Nie mógł się powstrzymać. Pragnął zerznąć ją tak, jak jeszcze nikt i nigdy jej nie zerznął. Żaden z facetów, których miała. Żaden z tych, którzy zabijali dla niej. Żaden z tych, których sama zabiła. Chciał przebić ją na wskroś, dotrzeć do samego sedna jej istoty.

Gdzieś z oddali dobiegł go głos żony:

– Archie, to boli.

I wtedy nadszedł orgazm. Potężny spazm targnął jego ciałem, mięśnie pleców skamieniały, ściśnięte twardym skurczem. Twarz wykrzywiła się dziko, zniekształcona całą wściekłością, napięciem i żalem, które dławił w sobie. Wreszcie otworzył oczy.

– Jezu Chryste, Archie... – szepnęła Debbie. Drżała na całym ciele, a oczy miała wielkie i okrągłe jak spodki.

Archie wycofał się i rozciągnął na łóżku. W ustach czuł słaby posmak mięty.

– Przepraszam – wyjąkał, przepełniony obrzydzeniem do samego siebie.

Debbie usiadła na posłaniu. Długo milczała. Owinęła się ciasno

prześcieradłem aż po pachy, ściskając jego rąbek tak mocno, że zbieleły jej kostki dłoni.

– Idziesz do swojej psycholożki – oznajmiła w końcu. – Jutro.

Wstała z łóżka i poszła do łazienki, zabierając ze sobą prześcieradło. Odkręciła kran i spojrzała na Archiego w lustrze. Odwzajemnił spojrzenie.

– A jak nie pójdziesz sam – warknęła – to zagonię cię tam na kopach.

Co ty robisz? Palisz? – zapytała Susan.

W pokoju było ciemno. Susan obudziła się nagle; zapach papierosowego dymu wyrwał ją z cudownego snu, w którym wraz z Archiem Sheridanem oddawała się przygodom w mieście bardzo podobnym do Atlantydy. Po przebudzeniu leżała jeszcze przez kilka minut, wdychając woń, która nieomylnie zdradzała zamiłowanie jej matki do dymka o północy.

– Mamo?

Bliss nie odpowiedziała.

Susan włączyła nocną lampkę. W ciemności zapłonął świetlisty trójkąt, ukazując nagie plecy Bliss skulonej na brzegu sąsiedniego łóżka i trzymającej papierosa jak najniżej, aby ukryć demaskujący blask żaru.

Jej blond dredy, związane w nieporządny węzeł, sięgały prawie do pasa. Zerknęła na Susan przez ramię.

– Tylko parę machów – poprosiła, unosząc papierosa. – Nie mogłam zasnąć.

Susan usiadła na łóżku.

– Nie – powiedziała twardo. – Tutaj nie wolno palić. Jest zakaz. Włączysz alarm przeciwpożarowy. Stań sobie przy otwartym oknie.

Bliss włożyła papierosa do ust, zaciągnęła się głęboko.

– Okna się nie otwierają – powiedziała. Susan zarzuciła głową, zirytowana do granic.

– Mamo... – jęknęła.

Bliss z ciężkim westchnieniem wyciągnęła się na łóżku i rozgniotła

niedopałek w pustej szklance na swoim nocnym stoliku. Miała na sobie czarne bawełniane majtki i podkolanówki w różowe i pomarańczowe pasy.

– Jesteś gorsza od policji – poskarżyła się.

Susan zerknęła na zegarek. Właśnie minęła trzecia rano. O tej porze teoretycznie miała szansę się stąd wyrwać. Wstała z łóżka i podkradła się do drzwi. Spała w majtkach i swojej koszulce z nadrukiem „Nie ze mną te numery”. Strój niezbyt odpowiedni do nocnych eskapad, ale to miał być tylko rekonesans. Uchyliła drzwi i wyjrzała na korytarz. Bennett czuwał na posterunku, a jakże: natychmiast uniósł głowę i pomachał do niej wesoło.

Kurwa mać, pomyślała Susan. Ten facet chyba nigdy nie nocuje w domu. I nawet nie przysypia na służbie.

Odmachała orłowi czujności, starając się nie okazać zbyt swego rozczarowania.

– Nie mogę zasnąć – wyjaśniła, chowając się z powrotem w pokoju i wracając do łóżka.

– Grozi mi zwolnienie – powiedziała matce. – Molly Palmer, ta dziewczyna, o której pisałam, nie żyje. W sobotę znaleźli w parku zwłoki. To była ona.

Bliss uniosła głowę, zaciekawiona.

– Jak umarła? – zapytała.

– Nie wiedzą – odparła Susan. – Z początku myśleli, że przedawkowała. Ale teraz, kiedy senator nie żyje, Parker też... Kolejne tragiczne wypadki, ale coś musi je łączyć. A w „Heraldzie” nie chcą wydrukować mojego artykułu, łan najpierw mówił, że to ze względu na żałobę po senatorze, że muszą odczekać kilka dni, żeby się do niego dobrać. A teraz nagle zmienił śpiewkę i okazało się, że nie można nic

opublikować, jeśli Molly nie potwierdzi swojej wersji wydarzeń.

Susan obiecała Molly Palmer, że wszystko będzie dobrze. Złożyła jej zresztą wiele obietnic. Powiedziałyby wszystko, byle tylko nakłonić ją do wyznań.

– Coś mi mówi, że ktoś wywiera nacisk na lana.

– Masz notatki? – zapytała Bliss. – Nagrania rozmów?

– Wszystkie swoje materiały oddałam Archiemu – wyjaśniła Susan.

Bliss uniosła brew.

– Oddałaś policji jedyne dowody autentyczności faktów, o których napisałaś?

– Tak. – Susan przygryzła wargę. Nie myślała o tym w ten sposób.

Bliss wyciągnęła rękę i wyłączyła nocną lampkę, pograżając pokój na powrót w ciemności.

– Kiedy byłaś mała, zabierałam cię na tyle protestów... – westchnęła. – I wiesz, czasem wydaje mi się, że nauka kompletnie poszła w las.

Czy to naprawdę konieczne? – zapytała Sarah Rosenberg.

Zgodziła się przyjąć Archiego z samego rana i widocznie niedawno wyszła spod prysznic, bo jej brązowe włosy były splątane i mokre, zostawiały ciemne plamy na szarym golfie. Na twarzy nie miała ani śladu makijażu. Na biurku, obok jej fotela, leżała podkładka, a na niej stał kubek na kawę, ozdobiony wielkim czerwonym sercem i napisem NAJLEPSZA MAMA NA ŚWIECIE.

Archie uniósł do ust własny papierowy kubek, łyknął kawy. Drzwi do domowego gabinetu doktor Rosenberg pilnował osobiście Henry. Przed jej domem stały dwa radiowozy. Na werandzie siedział policjant z drogówki.

– To wszystko na wypadek, gdybyś próbowała mnie zamordować – wyjaśnił Sheridan psycholożce. Zielone aksamitne zasłony były zaciągnięte. Nie widać było śliw rosnących za oknem.

Sarah Rosenberg zmarszczyła brwi, spojrzała na niego z troską.

– Dobrze się czujesz? – zapytała.

Nie było sensu mydlić jej oczu. Archie miał lustro, widział się w nim rano. Skóra blada, jakby odlana z wosku. Pod oczami ciemne półkola. Ręce rozdygotane.

– Nie – odpowiedział szczerze.

– A jak twoja rodzina?

Detektyw obejrzał się na zegar szafkowy stojący pod ścianą. Wciąż wskazywał trzecią trzydzieści. Postanowił, że kiedyś poprosi właścicielkę, żeby oddała go do naprawy. Na jego koszt.

– Trochę są pogubieni – przyznał – ale dochodzą do siebie.

Terapeutka milczała przez chwilę, a potem wzięła do ręki kubek z sercem i pociągnawszy jeden łyk, odstawiła go z powrotem na blat. Herbata, zauważył Archie, rozpoznając zapach. Nie kawa.

– Czytałam o zajściu w szkole – powiedziała psycholożka. – To musiało być dla ciebie bardzo trudne przeżycie.

Archie nie chciał uwierzyć, że Gretchen naprawdę mogłaby zabić jego dzieci. Zastraszyć, sterroryzować – to co innego. Ale uśmiercić istoty, w których żyłach płynęła jego własna krew?

– Zamordowała kiedyś małego chłopca – zaczął cichym głosem. – To była u niej rzadkość. Zabiła nie więcej niż kilkoro dzieci.

Kogo ty chcesz oszukać, zapytał się w myślach.

– My w każdym razie wiemy tylko o tych kilku – poprawił się, opierając podbródek na dłoni wspartej łokciem o poręcz fotela. Doktor Rosenberg siedziała wyprostowana, trzymając głowę wysoko, obserwując go. – Miał dziesięć lat – ciągnął dalej Archie. – Wracał do domu z zabawy w parku i zaginął bez śladu. Poila go płynem do czyszczenia rur, a potem obdarła ze skóry skalpelem.

– Archie jechał na autopsję aż do stanu Waszyngton, gdzie rozegrała się ta tragedia. – Zwłoki, ze skrępowanymi rękami i nogami, podrzuciła jego matce na podwórko.

Psycholożka nadal siedziała bez ruchu.

– Widziałeś bardzo wiele przemocy – powiedziała prosto.

Archie pociągnął kolejny łyk kawy. Po tym, jak spędził dziesięć dni w rękach Gretchen, musiało upłynąć bardzo dużo czasu, zanim jego ciężko uszkodzony przełyk mógł przyjąć cokolwiek bez katowania go piekącym bólem.

– Płyn do rur pije się ciężko – mruknął. – Organizm reaguje torsjami, zwraca bardzo dużo tego, co się połknęło. A ten chłopiec miał go w sobie taką ilość, że nie mogło być wątpliwości: przytrzymała go na siłę i pompowała mu to prosto do gardła.

– Archie wyciągnął z kieszeni swoje pudełeczko z lekami. Nie próbował nawet się z nim ukrywać. Otworzył wieczko i wysypał na dłoń kilka tabletek. – Miałem szczęście – podsumował, wkładając je do ust. – Dostawałem tylko kilka łyżeczek naraz.

– To nie było żadne szczęście, Archie – odparła doktor Rosenberg. – Nie zrobiłeś absolutnie nic, żeby sobie na to zasłużyć.

W tym cały problem, pomyślał. Zrobiłem.

– Muszę ją złapać – powiedział. Nie potrafię dać szczęścia swojej rodzinie, dodał w myślach, ale mogę zapewnić jej bezpieczeństwo.

– W jaki sposób? – zapytała.

Archie uśmiechnął się; przypomniała mu się tablica nad wejściem do szkoły jego dzieci.

– Edukacja nie polega na napełnieniu cebra, ale na rozpaleniu ognia – odpowiedział cytatem.

Psycholożka nie skomentowała.

– Tak napisał Yeats – poinformował ją.

– Znam ten cytat – odparła. – Nie rozumiem tylko, jak to się ma do twojej sytuacji.

– Ona będzie zabijać bez końca – wyjaśnił Archie. Plan, który sobie opracował, wydawał mu się coraz mniej sensowny; musiał się sam przekonywać, że nie zwariował. – Nie potrafi się powstrzymać. Wszystko, czego dotknie się ta kobieta, ginie w płomieniach. A jak gasi się pożar?

Dorzuca się do ognia, a potem pozwala mu się wypalić.

– Można też bardzo szybko uciec i zadzwonić po straż pożarną –
zauważyła doktor Rosenberg.

– Można – zgodził się.

Debbie Sheridan otworzyła drzwi ubrana w biały frotowy szlafrok z napisem ARLINGTON CLUB wyszytym złotą nicią na piersi. W pokoju Susan nie było szlafroków. Nie było tam nawet szamponu w łazience.

– Archiego nie ma – usłyszała dziennikarka, ale mimo wszystko wyciągnęła szyję, próbując zobaczyć, czy pudło, które przyniosła detektywowi, dalej stoi tam, gdzie je postawiła. Z głębi apartamentu dobiegały dziecięce głosy.

– Dałam mu niedawno pudełko ze swoimi notatkami – oznajmiła – ale muszę je teraz przejrzeć.

Jej problem, choć tak ewidentny, jakoś nie zrobił na Debbie wrażenia.

– Będzie pani musiała przyjść kiedy indziej – oznajmiła żona Archiego, zamykając Susan drzwi przed nosem.

Dziennikarka mrugnęła oczami, zezując na lakierowane drewno.

– W porządku – mruknęła, odwracając się, aby wrócić do swojego pokoju. Na samym progu przystanąła jednak z ręką na klamce, zastanowiła się szybko i zmieniwszy zdanie, ruszyła w kierunku klatki schodowej.

– Dokąd pani idzie? – zawołał ktoś za nią. Bennett. Cofnęła się kilka kroków, stanęła przed nim.

– Pan to nigdy nie dostaje wolnego?

– Sam się zgłosiłem na dwie zmiany z rzędu – odparł. Siedział na tym samym fotelu co poprzednio. Nie wyglądał nawet na zmęczonego. – Dokąd pani się wybiera?

– Na dwór? – odpowiedziała niepewnie.

Bennett wstał z fotela, odłożył swój magazyn na siedzenie, zaznaczając

starannie miejsce, gdzie czytał, i podszedł do dziennikarki.

– Mają państwo przebywać tutaj, na piętrze – poinformował ją, mrużąc oczy.

Susan uniosła rozcapierzone, drżące dłonie.

– Muszę zapalić – jęknęła.

– Palenie szkodzi – odparł policjant. Uśmiechnęła się słodko.

– Pisali o panu kiedyś w gazetach? Bo mogłabym wysmażyć piękny reportaż z panem w roli głównej. Do mojego pisma. – Zatrzepotała rzęsami. – Coś w bohaterskim stylu.

– Mam tylko jedno zadanie – oznajmił, krzyżując ręce na piersi. – Siedzieć na tym korytarzu i pilnować bezpieczeństwa detektywa Sheridana i wszystkich państwa.

Susan sięgnęła do kieszeni, wyciągnęła paczkę papierosów i pomachała mu nią przed nosem.

– Chętnie się podzielę.

– Nie palę.

– Więc co mam zrobić? – zapytała, zrezygnowana. Bennett wyjął z własnej kieszeni nieco wymiętą paczkę gumy do żucia Big Red.

– Przetawić się? – zasugerował.

– Archiego nie ma. – Susan poinformowała Bliss po powrocie do pokoju.

– Coś długo cię nie było. Skąd masz gumę?

W tym momencie zadzwoniła komórka Susan, wyświetlając numer redakcji „Heralda”. Dziennikarka odebrała.

– Przed chwilą było spotkanie redakcyjne – oznajmił Ian. – Wszyscy bardzo się palą do tego błoga. – Zrobił dramatyczną pauzę. – Mam już

nagłówek: RAPORTY Z KRYJÓWKI. Zebrałaś materiał?

– Czy ktoś wywiera nacisk na gazetę, żeby utracić artykuł o Molly Palmer? – zapytała Susan.

Ian nie odpowiedział. Susan słyszała, jak wstaje i zamyka drzwi swojego gabinetu. Wreszcie się odezwał: – Tak.

– Bronisz mnie? – pytała dalej. – W zakulisowej rozgrywce?

– Wiem, że mi nie uwierzysz – odparł – ale tak.

Uwierzyła. Nie dlatego, że w gruncie rzeczy nie był wcale takim osłem, na jakiego wyglądał, ale dlatego, że przede wszystkim był dziennikarzem. A dopiero potem osłem.

– Będę pisać te twoje raporty – powiedziała – ale mają ukazywać się drukiem. Nie życzę sobie żadnych internetowych pierdoł. I robię to tylko dlatego, że chcę, byś wydrukował mi artykuł o romansie senatora Scheera.

– Więcej ludzi zagląda na naszą stronę, niż czyta gazetę – przypomniawszy jej.

– Aha. – Zawiesiła głos na chwilę. – Za pół godziny coś podrzucę do tego błoga.

Kiedy Susan skończyła ostatni tego dnia wpis na stronie „Heralda”, było już ciemno. Policja ustaliła, że Gretchen Lowell miała romans z B. D. Cavanaghem – strażnikiem, który powiesił się w więzieniu. Zabiła też kobietę, która ją konwojowała, i uciekła ze swoim drugim konwojentem, mężczyzną. On też mógł do tej pory już nie żyć. Ze względu na ograniczoną swobodę poruszania się Susan musiała wykonać wszystkie rutynowe czynności przez telefon i pisząc emaile. Musiała też znosić towarzystwo matki wyciągniętej na sąsiednim łóżku i oglądającej

telewizję. Bliss nie uznawała telewizorów w swoim domu, skutkiem czego nigdy nie można jej było oderwać od działającego odbiornika.

Wszystkie stacje, co oczywiste, bez przerwy nadawały wiadomości z ostatniej chwili dotyczące polowania na Gretchen. Reporterzy relacjonowali je w taki sposób, jakby życzyli ściganej powodzenia.

Susan zamknęła laptopa. Gretchen Lowell na wolności, pomyślała. I Archie Sheridan tuż obok, drzwi w drzwi. To było wydarzenie roku, a ona znajdowała się w samym jego centrum. Na błoga zajrzało już ponad milion osób. W zasadzie powinno ją to cieszyć, ale mimo wszystko nie potrafiła przestać myśleć o Molly Palmer.

Zsunęła laptopa z kolan na łóżko. Skóra zachowała ciepło rozgrzanego urządzenia.

– Dostaniesz od tego raka uda – ostrzegła Bliss, nie odrywając wzroku od telewizyjnych wiadomości.

Dziennikarka przeciągnęła się jak kot.

– Raka uda? Nie ma czegoś takiego.

– Na razie – odparła Bliss.

Susan, zeszywniała i spięta, poczuła nagle, że zaczyna jej już lekko odbijać.

– Muszę zapalić – oznajmiła. – Zrobisz coś z tą siostrą Ratched?

Bliss oderwała się od telewizora, spojrzała na nią.

– Z kim?

– Z tym gliniarzem na korytarzu.

– A co mam z nim zrobić? Susan naciągnęła na siebie bluzę.

– Pogadać – sprecyzowała.

Twarz Bliss przecięły bruzdy niepokoju. – I co mam mu powiedzieć?

Jej córka wzruszyła ramionami.

– Zapytaj go o coś związanego z oknami – poradziła.

Z głośnika telewizora dobiegał głos Charlene Wood, pytlującej bez chwili przerwy, a na ekranie migały fotografie ofiar mordercy zwanego Wirtuozem.

– Jesteś pewna, że nic ci się nie stanie, jak stąd wyjdiesz? – zapytała Bliss.

Susan wepchnęła do kieszeni bluzy papierosy i zapalniczkę.

– Miej uszy otwarte – poprosiła, chowając głowę pod kapturem. – Jeśli Gretchen Lowell spróbuje mnie porwać, będę wrzeszczeć.

Poszło zupełnie gładko. Bliss wyszła na korytarz i zagadała Bennetta, a Susan udało się wymknąć na schody i zejść prosto na dół. Policjant niczego nie zauważył, tak był zaabsorbowany rozmową z jej matką. Niewykluczone, że słyszał plotki o znaku wiktorii.

Susan była zatem wolna – i nie wiedziała, co ma ze sobą zrobić. Nie miała swoich notatek, łan chciał, żeby siedziała w Arlingtonie i pisała błoga – a dopóki mógł coś zdziałać w sprawie publikacji jej artykułu o senatorze, Susan wołała żyć z nim dobrze.

Zapaliła papierosa i zaciągnęła się dymem. Pierwszy mach był zawsze najlepszy. Napięte mięśnie rozluźniły się odrobinę. W tym względzie palenie przypominało nieco seks: zawsze przynosiło ulgę. Susan powtarzała sobie, że pali tylko dlatego, ponieważ lubi robić sobie przerwy na papierosa – te wymuszone intermedia, peany samotności i kontemplacji – ale prawda była inna. Jej po prostu smakowała nikotyna.

Niedawno zapaliły się ozdobne śródmiejskie latarnie. Z parku dochodziły pokrzykiwania jakichś zabłąkanych mew. Portland leżało o

godzinę jazdy samochodem od wybrzeża Pacyfiku; Susan nie mogła zrozumieć, po co mewy zapuszczają się aż tak daleko w głąb lądu, ale fakt pozostawał faktem: nad rzeką zawsze było ich pełno. Dreptały brzegiem rzeki, obsrywały esplanadę, spacerowały po parkach. Kiedy tuż obok nich śmignął na deskorolce jakiś wytatuowany i wykolczykowany dzieciak, nie zaszczyliły go niczym więcej jak przelotnym spojrzeniem.

Wieczór był ciepły – około dwudziestu stopni Celsjusza – i wyjątkowo ładny. Nocne niebo północnozachodniego wybrzeża Pacyfiku olśniewało paletą pastelowych barw. Niektóre okna biurowców w śródmieściu płonęły światłem: pracownicy ostatnich zmian pracowali, sprzątacze sprząтали, a gabinety służyły jako miejsca potajemnych schadzek po godzinach.

Susan zaciągnęła się jeszcze raz, myśląc, że być może wcale nie miała racji. Być może to nie pierwszy mach jest najlepszy, ale drugi.

Molly zawsze paliła koolsy. Dziennikarka nagle zaczęła się zastanawiać, czy rodzina zmarłej, przez tyle lat odcinająca się od niej, wyprawi jej pogrzeb. Jeśli tak, przyrzekła sobie Susan, wybierze się tam, weźmie ze sobą paczkę koolsów i włoży ją do trumny.

– Tutaj nie wolno palić, szanowna pani – zabrzmiał czyjś głos. Uniosła głowę; upiorny klubowy konsjerż sunął ku niej, wachlując dłonią w powietrzu.

Obejrzała się za siebie, sprawdzając, czy to na pewno było do niej. Stała przecież na zewnątrz. Na publicznym chodniku. Nikomu nie przeszkadzała. No i prosiła go, żeby nie zwracał się do niej per „szanowna pani”.

Konsjerż nie przestawał wachlować dłonią.

– Szanowna pani... – powtórzył. Susan zaciągnęła się jeszcze raz.

– Dlaczego nie mogę tutaj palić? – zapytała.

– To przeszkadza gościom – odparł, jakby to była oczywistość.

Wykonała dłonią z papierosem szeroki gest, który objął ciemną ceglana fasadę klubu, zieloną markizę, park i samochody na ulicy.

– Nie jestem w budynku – zwróciła mu uwagę.

– Ale goście muszą przechodzić obok pani. – Dla zilustrowania swoich słów konsjerż otworzył wielkie szklane drzwi. – Kiedy wchodzi i wychodzi.

Przyjrzała się swojemu papierosowi. Trzeba już było strząsnąć popiół, ale bała się to zrobić prosto na chodnik, pod samym nosem tego faceta. Pewnie kazałyby jej posprzątać po sobie.

– To gdzie mam iść? – zapytała.

Zamiast odpowiedzieć, wskazał ręką park po drugiej stronie ulicy.

Susan skapitulowała i przemknęła się przez jezdnię, znajdując sobie drewnianą ławkę stojącą frontem do klubu Arlington. W tej części parku znajdował się ozdobny, czteroramienny wodotrysk z wodą pitną, obok którego stał niski betonowy murek ozdobiony medalionem z profilem Simona Bensona, lokalnego potentata przemysłu drzewnego z przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku. Podobne wodotryski, tak zwane *Benson Bubblers*, można było znaleźć w całym śródmieściu. Jak głosiła miejska legenda, Benson polecił je zainstalować, aby zniechęcić swoich pracowników do picia piwa w środku dnia. Susan nie miała pojęcia, czyjego plan przyniósł rezultaty, ale po stu latach w całym parku stały tablice zakazujące spożywania alkoholu.

Strząsnęła popiół na chodnik wybrukowany sześciokątną kostką. Palila

american spirits. Molly nie żyła, a ona, Susan, siedziała sobie na ławeczce i paliła papierosy. Czuła, że musi wrócić do sprawy Molly. Blog nie ucieknie. Książka o Gretchen też nie. Był to moment, w którym należało zachować pełną koncentrację. Znaleźć jakiś sposób, żeby „Herald” opublikował historię Molly. Z każdą chwilą Susan była coraz bardziej pewna, że jej śmierć nie nastąpiła wskutek przypadkowego przedawkowania. Musiała się dowiedzieć, kto ją zabił. I kto próbował zatuszować całą sprawę.

Była przekonana, że tropiąc pierwszą z tych osób, trafi na ślad drugiej.

Po jakimś czasie na jej ławkę dosiadł się kudłaty kloszard, tulący do siebie plik starych numerów „Street Roots”, portlandzkiej gazety dla bezdomnych i bezrobotnych. Śmierdział na potęgę zapoconym, długo niemytym ciałem, ale Susan postanowiła nie zwracać na to uwagi. Śmierzący rzucił swoje gazety na ławkę, pociągnął nosem i obejrzał się na Susan.

– Mogłabyś?

– Co mogłabym? – zdziwiła się.

– Nie palić.

Bóbr miał około metra wysokości. Stał, wypchany, na tylnych łapach, a jego ogon leżał płasko na podłodze, wielki jak talerz. Głowa zwierzęcia była zwrócona w bok, jakby właśnie złowiło kątem oka jakieś niebezpieczeństwo. Ten bóbr był martwy od mniej więcej stu lat; jego futro liniało już mocno, ale w oczach z czarnego szkła wciąż czaiła się iskra przerażenia, nadająca mu niemalże pozory życia. Dla Archiego był to widok mocno sugestywny.

Wypchany bóbr stał obok stanowiska kierownika sali w restauracji klubu Arlington. Sheridan współczuł temu facetowi, ponieważ nigdy nie widział tam więcej niż siedmiu osób naraz, jako że wstęp do lokalu mieli tylko członkowie i ich goście. Głównym zajęciem kierownika sali było zatem kartkowanie oprawionej w skórę księgi rezerwacji, na przemian ze zbieraniem z dywanu drobnych piórek, które zgubił wypchany bażant stojący na kominku.

Debbie zerknęła na jelenią głowę zawieszoną nad drzwiami do sali jadalnej.

– Jak tylko tu wchodzę – powiedziała – to zaraz oblatuje mnie gęsia skórka.

Choć była pora obiadowa, tylko przy jednym stoliku siedzieli goście; pobrzękiwanie srebrnych sztućców niosło się głośniej niż ich rozmowy.

– Nie pomieszkacie tutaj długo – uspokoił ją Henry. – Najwyżej jeszcze kilka dni.

Obejrzała się na Archiego, jakby oczekując, że przytaknie, choćby skinieniem głowy. Na temat tego, co stało się w nocy, nie zamienili ze

sobą ani słowa. Zresztą co właściwie on mógł jej powiedzieć? Przepraszam?

Wbił wzrok w talerz.

Po wizycie u doktor Rosenberg spędził kilka godzin w kwaterze swojej ekipy śledczej, próbując pomóc w koordynacji obławy na Gretchen; potem wrócił do Arlingtona i siedział tam przez resztę dnia, udając przed dziećmi, że czuje się dobrze. W tej chwili Ben i Sara zostali w apartamencie, pod opieką Claire, żeby Archie i Debbie mogli побыć trochę razem. Ale, jak się okazało, Henry musiał mieć na nich oko nawet podczas takiej chwili we dwoje.

Jedzenie było całkiem do rzeczy. Archie przełknął jeszcze jeden kęs sałatki z łososia skropionej kolendrowym pesto, w dalszym ciągu unikając wzroku Debbie. W menu klubowej restauracji łosoś pojawiał się najczęściej: były krokiety z łososiem, filety z łososia i sałatki z łososia. Na dzikiej alaskańskiej rzece Copper River zaczął się sezon: setki wędkarzy ciągnęły do jej ujścia, polując na łososie podążające w górę blisko pięciusetkilometrowego nurtu w poszukiwaniu miejsc na tarło. W pobliżu ujścia rzeki ryby były jeszcze wydarzone i tłuste. Im zaś większy dystans miały za sobą, tym ich mięso było bardziej łykowate i pozbawione smaku.

Archie poczuł, jak skręca mu się żołądek. Próbował już kiedyś odstawić leki i znał początkowe objawy głodu narkotycznego. Odłożył srebrny widelec, zdjął z kolan białą serwetkę i rzucił ją na stół. Odsunął krzesło, wstał.

– Idę do łazienki – zakomunikował.

Henry podniósł się natychmiast, zamierzając najwidoczniej mu towarzyszyć.

Zdaniem Sheridana jego podwładni zbyt się o niego martwili, nie przejmowali się natomiast jak należy tropieniem Gretchen. Gdyby to zależało od niego, ścigałoby ją wojsko. Ale nie zależało. Nie licząc wypadu do psychologa, detektyw spędził dzień zamknięty w Arlingtonie, unikając wzroku Debbie.

Westchnął.

– Chcesz mnie pilnować, jak będę siedział na kiblu? – zapytał.

Henry rozejrzał się po pustawej restauracji, a kiedy zobaczył, że toaleta znajduje się w zasięgu wzroku, w głębi sali, wzruszył ramionami i opadł z powrotem na krzesło.

– Dziękuję – powiedział Archie.

W łazience były zabudowane, zamykane kabiny. Luksusy. Archie zrobił, co miał do zrobienia, i umył ręce. Mydło w dystrybutorze pachniało bzem – chyba że to była jego wyobraźnia. Obmył twarz, obrzękniętą z niewyspania, przejrzał się w lustrze nad umywalką: jego oczy miały dziwny, żółty kolor. Wytarł dłonie w ręcznik z prawdziwej tkaniny i wrzucił go do wiklinowego kosza ustawionego pod marmurowym blatem umywalki.

Za drzwiami łazienki czekał na niego jakiś chłopak, a właściwie młody mężczyzna, lat około dwudziestu. Archie z miejsca zauważył przebitą wargę, znak po kolczyku zdejmowanym do pracy. Jego biały kitel – strój pomocnika kelnera – był sztywny od krochmalu. Kiedy chłopak podszedł bliżej, zaleciało od niego cierpkim zapaszkiem niedawno wypalonego papierosa.

– Znajoma pana szuka – powiedział półgębkiem, jakby zwierzał się z jakiegoś sekretu. – Prosiła, żebym to panu przekazał na osobności.

Na szczycie ucha, w samej chrząstce, chłopak miał jeszcze jeden kolczyk: srebrny ćwiek, ukryty pod włosami, tak maleńki, że kierownik restauracji musiał go przeoczyć. Archie też nie zwróciłby na niego uwagi, gdyby nie cienka czerwona nitka, wyrysowana krwią na płatku lewego ucha jego rozmówcy.

Takie przekłucia mają to do siebie, że długo się goją.

– Gdzie ona teraz jest? – zapytał Sheridan.

– W samochodzie. Zaparkowała w alejce. – Chłopak skinął dłonią w kierunku stalowych, wahadłowych drzwi, gestem tak neutralnym, jakby to nie było zupełnie nic wyjątkowego, jakby pokazywał komuś, jak trafić do sklepu. – Tam, na tyłach. Idzie się przez kuchnię.

Zmierzył Archiego przebiegłym spojrzeniem. Detektyw zrozumiał: temu dzieciakowi się wydawało, że Gretchen to jego kochanka.

– Krew ci leci – zauważył.

Młody kelner zmarszczył brwi, sięgając lewą dłonią do ucha i krzywiąc się lekko. Opuścił rękę; na palcach miał krew, niemożliwą do pomylenia z niczym innym.

– Fuu... – mruknął.

– Masz jakieś plany na dziś? – zagadnął Archie, wyobrażając sobie czekające niefortunnego młodzieńca wielogodzinne posiedzenie z Henrym w sali przesłuchań.

– Nie.

Archie odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi prowadzących do kuchni, zostawiając za sobą Henry'ego, Debbie, wszystko.

– To dobrze – rzucił przez ramię.

Ostatnią osobą, jaką Archie spodziewał się zobaczyć po wyjściu do alejki, była Susan Ward. Dziennikarka stała obok dużego zielonego pojemnika na śmieci. Kiedy zobaczyła detektywa, wyjęła z ust papierosa i przywitała się spokojnym głosem, jakby ani trochę się nie zdziwiła na jego widok. Przez długą chwilę Archie był kompletnie zdezorientowany, ale potem zauważył za plecami Susan tylne światła srebrnego jaguara, gorejące w gęstniejącym mroku niczym półsenne, złowrogie ślepie.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

Dziewczyna strząsnęła popiół do dużej, hurtowej puszkii po duszonych pomidorach, służącej jako prowizoryczna popielniczka wszystkim, którzy przychodzili tutaj na papierosa.

– Tak – odpowiedziała. – To jest jedyne miejsce, gdzie mnie nie gonią z paleniem. Uwaga na siki – ostrzegła, wskazując dłonią boczną ścianę pojemnika na śmieci, z którego na potęgę cuchnęło zepsutym jedzeniem.

A zatem znalazła się tutaj zupełnie przypadkowo. Ulga Archiego była tak wielka, że aż zakręciło mu się w głowie. Zatoczył się ciężko i uchwycił krawędzi śmietnika, aby utrzymać równowagę.

– Ojoj, mamy wypite? – uśmiechnęła się Susan, błyskając zębami poplamionymi czerwoną szminką. Zaciągnęła się jeszcze raz papierosem. Chodnik dookoła był usłany niedopałkami wyglądającymi jak bierki w dziecinnej grze. Niedopałek to doskonałe źródło DNA, pomyślał Archie.

– Daj mi jednego – poprosił.

– Poważnie? – spojrzała z wahaniem.

Wyciągnął rękę. Dłoń mu drżała, ale tak nieznacznie, że nikt oprócz

niego nie miał szans tego zauważyć. Susan wysunęła papierosa z żółtej paczki, podała mu.

– Palileś kiedyś nałogowo? – zagadnęła.

Archie przyjął od niej czarną plastikową zapalniczkę, zapalił papierosa, zaciągnął się mocno. Zapanował nad odruchowym kaszlem, choć piekący dym wypełnił mu płuca. Rzucił okiem w kierunku srebrnego jaguara, który wciąż stał w tym samym miejscu. Włączony silnik pracował niemalże bezgłośnie na jałowym biegu. Jaguar – jedyny dobry samochód, jaki wyjechał z angielskiej fabryki.

– Nie paliłem – zaprzeczył. – Parę razy próbowałem, ale nigdy mnie to nie wciągnęło. Pamiętam za to swojego pierwszego papierosa. Pierwszy raz zawsze się pamięta. Pierwszy papieros. Pierwszy pocałunek. Pierwsze zwłoki znalezione w parku.

– Jasne, czaję... – Susan uniosła brwi, zdziwiona. Miała na sobie czarne legginsy, brązowe buty, koszulkę z nazwą zespołu, która Archiemu nie mówiła absolutnie nic, i bluzę z kapturem. Jej turkusowe włosy były związane w mysie ogonki. – Aha, posłuchaj – podrzuciła głowę. – Wiem, że dopiero co dałam ci swoje materiały o senatorze, ale muszę je odzyskać. Są mi teraz potrzebne.

Jej prośba ledwie do niego dotarła. Zaprzętało go zupełnie co innego.

– Muszę już iść – powiedział.

Obejrzała się na odrapane drzwi ewakuacyjne prowadzące do klubowej kuchni.

– A gdzie Henry?

– Poradzą sobie – mruknął pod nosem, bardziej do siebie niż w odpowiedzi na jej pytanie, po czym ruszył w kierunku czekającego

samochołu. Po kilku krokach przystanął, odwrócił się i upuścił papierosa na chodnik, uśmiechając się do Susan.

– Archie! – zawołała za nim, głosem nieco wyższym niż zazwyczaj.

Ale on szedł już zdecydowanym krokiem w stronę jaguara. Otwierając sobie drzwi, obejrzał się jeszcze raz. Susan stała z przekrzywioną głową i rękami opartymi na biodrach. Pomiedzy nim a nią leżał upuszczony papieros, rozżarzony pomarańczowy punkcik. Archie nie zgasił go ani nie przydeptał. Nie chciał psuć próbki DNA, którą można było z niego pobrać.

Nie pomachał Susan na pożegnanie. Uznał, że efekt byłby zbyt upiorny. Zamiast tego po prostu odwrócił się do niej plecami i płynnym, pewnym ruchem ciała wsunął się na siedzenie samochodu.

Mdłości już mu przeszły i czuł coś w rodzaju ulgi; był pewien, że to właśnie jest najlepszy plan z możliwych. A poza tym papieros pomoże grupie poszukiwawczej.

Jeśli będą musieli zidentyfikować zwłoki.

Samochód w jednej chwili ruszył z miejsca.

Archie najpierw poczuł dłoń na udzie, a dopiero potem usłyszał głos, jej głos:

– Witaj, kochany.

Spojrzał na nią. Blond włosy związane na karku, lewa dłoń na kierownicy, przepisowo, na godzinie dwunastej. Był to widok jednocześnie zniewalający i przerażający, a do tego zaskakująco pełen życia. Jeśli mój plan się powiedzie, pomyślał, nie będę tego żałował. A jeśli nie, to cóż – do diabła z tym.

– Witaj, Gretchen – odpowiedział.

Deska rozdzielcza jaguara była wykończona orzechowym fornirem, tak lśniącym, że można było w nim się przejrzeć. Obraz, choć niewyraźny, był jednak na tyle ostry, że Archie natychmiast odwrócił wzrok od swojej wymizerowanej twarzy.

– Rozładuj broń, wyjmij baterię z telefonu i wyrzuć to wszystko przez okno – powiedziała Gretchen. Głos miała szklisty i melodyjny.

Archie spojrzał na nią. Serce waliło mu jak młotem, adrenalina tętniła w każdej żyły. Przyjemne uczucie. Od razu poczuł się jak na haju.

– Nie wolno śmieć – sprzeciwił się.

Gretchen posłała mu słodki uśmiech, a on przypomniał sobie, jak dawno na nią nie patrzył, i zrozumiał, jak bardzo mu tego brakowało. Miała trzydzieści cztery lata, ale wyglądała jednocześnie na młodszą i na starszą. Cera idealna, bez najmniejszej skazy. Perfekcyjnie harmonijne rysy. Poczuł się tak, jakby przyszedł do muzeum i oglądał oryginalny portret, znany mu do tej pory tylko z pocztówek; dokładnie tak miał się jej obraz, który nosił w pamięci, do prawdziwej Gretchen.

– Najdalej rano tę amunicję i baterię znajdą ci, którzy będą cię szukać – odparła.

Tak więc Archie znalazł w kieszeni telefon, zdjął tylny panel i wymontował płaską baterię, a potem wyciągnął rewolwer z kabury i otworzył bębenek, wysypując naboje na dłoń. Gretchen nacisnęła jakiś guzik, otwierając okno po jego stronie. Archie wystawił rękę na zewnątrz i upuścił naboje razem z baterią na ulicę; spiczaste metalowe cylindry odbiły się z brzękiem od betonowej nawierzchni.

Gretchen skrzyła w lewo, w stronę rzeki, pozostawiając park w tyle.

– Niezły wóz – pochwalił ją Archie.

– Odłożyłam sobie trochę pieniędzy – wyjaśniła. – Pod innym nazwiskiem. – Przesunęła dłoń, wciąż spoczywającą na jego udzie, o milimetr wyżej. Tylko milimetr, ale wydawało się dalej. – Zajrzyj do schowka – poleciała.

Archie otworzył elegancki, wygodny schowek. Znalazł w nim pięć dużych butelek z bursztynowego szkła. Wszystkie były pełne tabletek.

– Zażyj leki – powiedziała – a broń i telefon schowaj tam, do środka. Wodę masz pod ręką.

Posłuchał. Broń i telefon były już zresztą i tak bezużyteczne. W stojaku na samochodowy kubek, tuż obok swojego lewego kolana, znalazł butelkę wody. Odkręcił ją, a potem otworzył jedną ze szklanych butelek z lekami. Było ciemno, ale nawet w tym słabym świetle rozpoznał kształt i fakturę tabletek. Wysypał na dłoń cztery i wrzucił je do ust, popijając wodą.

Gretchen sięgnęła do samochodowej szufladki na drobne monety i wręczyła mu trzy małe, żółte pigułki.

– Co to? – zapytał. Znajdowali się już na Bill Naito Parkway i jechali na południe. Po lewej ciągnęła się Willamette. W latach siedemdziesiątych wzdłuż rzeki biegła autostrada, ale postanowiono ją zlikwidować i założyć w jej miejscu park dotykający samej wody.

– Przed nami długa droga – powiedziała Gretchen.

Nie chciała, żeby widział, dokąd jadą. To był dobry znak. Gdyby zamierzała zabić go od razu, nie przejmowałaby się tym wcale.

– Obudzę się przywiązany do łóżka? – zapytał. – Nie.

Położył pigułki na języku. Były gorzkie, ale inaczej niż vicodin. Ten

smak nie przypominał go wcale. Archie przepłukał usta wodą, aby się go pozbyć.

– Tęskniłam za tobą, kochany – powiedziała Gretchen.

Uśmiechnął się i oparł głowę o szybę, patrząc, jak jaguar skręca na autostradę międzystanową numer pięć, biegnącą na południe.

– No, tak – mruknął.

Jaki to był samochód? – zapytał Henry.

Susan wyciągnęła nowego papierosa z paczki. Ręce jej drżały. Detektyw Sobol wypadł do alejki dosłownie chwilę po tym, jak srebrny wóz odjechał, znikając w oddali. I od razu zaczął na nią wrzeszczeć. Bez przerwy.

– Mówiłam ci już – odpowiedziała. – Srebrny. Wyobraziła sobie ten odcień, porównując go z próbkami farb, które jej matka zносиła do domu i przypinała do różnych ścian; wisiały tam całymi latami, zanim się wreszcie zdecydowała.

– Ale nie srebrny błękit – dodała szybko – i nie lodowe srebro ani metalik. – Szukała z całych sił odpowiedniego określenia, chcąc pomóc jak najlepiej. – To był taki srebrny z domieszką szarości. Mam jedną jedwabną bluzkę właśnie w tym odcieniu. Noszę ją czasem. To był drogi srebrny odcień. Platynowy.

I nagle właściwe słowa pojawiły się w jej głowie.

– O ton jaśniejszy od macbooka pro.

Henry nie docenił ani jej wysiłków, ani dokładności opisu.

– Czy ten wóz był nowy? – zapytał, a żyły na czole nabrzmiały mu krwią.

– Eee... tak? – odparła niepewnie. Denerwowała się przy tym człowieku. Zajrzała do paczki: zostały jej już tylko dwa papierosy. Jasna cholera. Nie możesz bardziej uważać, Susan?

Henry położył jej dłoń na ramieniu. Uniosła głowę i spojrzała na niego.

– Czy to był amerykański samochód? Sedan? Miał tablicę

rejestracyjną? Naklejki na zderzaku? Ile tylnych świateł?

Susan poczuła, jak łzy napływają jej do oczu.

– Nie wiem – szepnęła, zapalając papierosa. Po drugiej stronie alejki, w drzwiach wiodących do kuchni, stała Debbie Sheridan, a z nią dwóch policjantów, którzy na zmianę pilnowali piętra. Trzy radiowozy, które zdążyły już przyjechać, zalewały ciemniejącą alejkę rozmigotanymi, kolorowymi światłami.

– Boże jedyny, przecież jesteś dziennikarką – sapnął Henry.

– Nie znam się na samochodach – wyjąkała, zmuszając zaciśnięte gardło do oddechu, a potem płuca do kolejnego zaciągnięcia się dymem. – Znam się za to na ciuchach, muzyce i biznesie agrozrywkowym.

– Agrozrywkowym?

– Pisałam o tym kiedyś – wyjaśniła. Henry zacisnął powieki.

– Co on ci powiedział? To już mieli przerobione.

– Dwa słowa, mówiłam ci: „Poradzą sobie”. Nic więcej.

– Kurwa! – zaklął Henry na cały głos.

Debbie natychmiast oderwała się od grupki policjantów i podbiegła do nich, zakrywając usta dłonią, jakby się bała, że zacznie głośno szlochać.

– Co się dzieje, Henry? – zapytała przez palce. – Czy to była ona?

Susan odruchowo odsunęła od niej rozżarzonego papierosa. A potem przyjrzała mu się uważniej.

– Papieros – powiedziała. – Rzucił papierosa na chodnik. Tam. – Wskazała miejsce odległe o jakieś trzy metry.

– Archie nie pali. – Debbie potrząsnęła głową.

Susan podeszła do miejsca, gdzie Sheridan rzucił niedopałek. Henry i Debbie ruszyli za nią. Dziennikarka rozejrzała się i znalazła go szybko:

zdażył wypalić się aż po sam filtr. W powietrzu wciąż czuć było zapach dymu.

Henry przykucnął, wyciągając z kieszeni plastikową torebkę z zamknięciem. Wywrócił ją na drugą stronę i wziął papierosa w palce, po czym odwinął torebkę z powrotem, zamykając w niej dowód.

– Co się dzieje? – chciała wiedzieć Debbie.

Henry przyjrzał się niedopałkowi, a potem potarł czoło swoją wielką dłonią.

– Kompletna głupota – mruknął. – To nie było do ciebie. – Obejrzał się szybko na Debbie i przetarł twarz. – Archie chciał nam zostawić próbkę swojego DNA. Tylko że niepotrzebnie się wysiłał – westchnął – bo w magazynie dowodów mamy jego śledzionę w słoju z formaliną.

Debbie zaczęła drżeć na całym ciele.

– Byliśmy szczęśliwi – powiedziała, nie patrząc na nikogo konkretnego. – Kochaliśmy się. – Zachłysnęła się powietrzem, a jej klatka piersiowa zapadła się głęboko. Oderwała dłoń od ust, aby przytrzymać się ramienia Henry'ego.

– O Boże – wyszeptała, spoglądając na niego – co ja powiem Benowi i Sarze?

Nie odpowiedział.

– I co teraz? – zapytała Susan.

– Musimy ich znaleźć – odparł Henry po prostu. Podszedł do nich policjant z drogówki, prowadząc ze sobą młodego mężczyznę w białym kitlu pomocnika kelnera.

– Ten chłopak mówi, że jakaś blondynka prosiła go, żeby skierował Sheridana tutaj.

Młodzieniec pomasaował palcami lewe ucho.

– Co jest, koledzy? – zapytał.

Henry, wciąż przykucnięty na chodniku, uniósł głowę, obrzucając go znużonym spojrzeniem.

– Jaki miała samochód? – zapytał.

– Srebrnego jaguara XK coupe, rocznik 2007, z chromowanymi felgami sabre – padła odpowiedź.

Henry odwrócił się do Susan.

– Widzisz, jakie to łatwe?

Susan wzięła kubek stojący na biurku i pociągnęła łyk zimnej kawy. Smakowała jak mielona kora, bo zaparzano ją przed sześcioma godzinami, ale jej to nie przeszkadzało. Odchyliła się na oparcie swojego służbowego fotela. Była czwarta rano, a tymczasem na piątym piętrze redakcji „Heralda” panowała gorączkowa krzątanina. Krążyły plotki, że podobno Howard Jenkins we własnej osobie siedzi w swoim gabinecie na dole. Nawet stażyści zgłosili się do pracy. Gretchen Lowell zniknęła z Archiem Sheridanem? To była sensacja i każdy miał chrapkę na ten łakomy kąsek. Co z tego, że w centralnych rejonach Oregonu szalał pożar, na wybrzeżu zaginął mały samolot i doszło, jak zwykle, do różnych innych nieszczęść. Dzięki Gretchen gazety sprzedawały się w takim tempie, że sam Hearst spłonąłby ze wstydu. W „Heraldzie” już dawno nie działo się aż tyle – a dokładnie rzecz biorąc, od czasu uprowadzenia Archiego Sheridana. Po raz pierwszy.

– Niech ktoś nastawi kawę! – zawołała Susan.

Nikt w całym wielkim pomieszczeniu nawet nie drgnął. Dziennikarka zgmiotła jakąś kartkę w kulę i cisnęła nią w Dereka, który siedział trzy biurka dalej i surfował po Internecie.

– Ej! – Obejrzał się, rozcierając trafione ucho.

– Nastaw kawę – poleciała mu. Wstał i poczłapał do kuchni.

Susan siedziała w redakcji przez całą noc. Uparła się, że musi pojechać do pracy, i pozwolono jej na to, pod warunkiem że wróci do klubu, żeby się wyspać. Gretchen Lowell zniknęła, uciekła.

Susan była święcie przekonana, że w tym momencie jest ostatnią

osobą, jaką Wirtuoz zechciałby zaprzętać sobie głowę. Jej matka została w Arlingtonie; mówiła, że nie czuje się bezpiecznie. Susan mocno podejrzewała, że po prostu przypadło jej do gustu mieszkanie w pokoju z obsługą.

Siedziała przed włączonym laptopem, który klawisze L i S miał starte do czysta, a na białej obudowie – nieusuwalne odciski dłoni. Susan miała służbowy komputer w redakcji, ale go nie używała. Miał procesor Pentium II. Parker, najstarszy stażem na całym piętrze, miał Pentiuma III – i wszyscy teraz wyglądali sposobności, żeby go zawłaszczyć bez plamy na honorze.

Informacja o zaginięciu Archiego Sheridana została podana po raz pierwszy do wiadomości publicznej na stronie internetowej „Heralda” – osiem minut przed tym, jak Charlene Wood nadała relację na żywo z alejki za klubem Arlington. To już było coś; przynajmniej tyle. Te osiem minut to była najdłuższa chwila spokoju, jaką Ian dostał w prezencie od Susan, nieustannie ciosającej mu kołki na głowie o swój zawieszony artykuł. Pisała wtedy obszerniejszą i bardziej osobistą relację z tego, co wydarzyło się o zmroku w tamtej alejce, Ian był zwolennikiem stylu reportaży „New York Timesa”, gdzie autor tekstu pojawia się w artykule wyłącznie w trzeciej osobie: „Jak donosi nasz reporter, wspomniany samochód był koloru srebrnego” albo „Nasza reporterka wyszła do alejki na papierosa i w ten sposób stała się świadkiem całego zdarzenia”.

Susan natomiast była zdania, że pisząc takim stylem, robi z siebie idiotkę, więc postanowiła zlekceważyć preferencje Iana i napisała relację w pierwszej osobie, nie wspominając tylko o papierosie.

Przenikanie wiadomości do mediów udało się utrzymać pod kontrolą.

Susan zgodziła się z Henrym: nie należy pisać o tym, że Archie wsiadł do tego jaguara z własnej, nieprzymuszonej woli. Na razie. Oficjalna wersja wydarzeń dawała aktualnie do zrozumienia, że Gretchen znów porwała detektywa Sheridana siłą. Co nie było zresztą wykluczone. Mogła przecież mieć broń, której Susan nie zauważyła. To nie było kłamstwo, jedynie fragmentaryczna wersja wydarzeń, niewyczerpująca wszystkich możliwych scenariuszy. Bóg jeden wie, że dla dziennikarza jest to chleb powszedni.

Łan pojawił się przy biurku Susan i przysiadł na blacie tuż obok niej. Za blisko. Robił tak, kiedy ze sobą sypiali – i wtedy jej się to podobało. Było pikantne i nieprzyzwoite. Myślała o tym: nasz mały sekret. A teraz zastanawiała się za każdym razem, kiedy tak robił, czy już cała redakcja wie o wszystkim. Prawdopodobnie tak właśnie było.

– O szóstej jest konferencja prasowa – oznajmił Łan. Miał na sobie dzinsy i T-shirt kupiony w sklepie z pamiątkami przy Museum of Modern Art w Nowym Jorku. – Chcesz na nią iść?

– Tak – odparła, zastanawiając się, czemu ma służyć ta propozycja: czy tylko zamydleniu oczu?

– Skoro tak, to wracaj do domu – polecił.

Susan nie chciało się wracać do domu, a tym bardziej do Arlingtona.

– Czekam na telefon od informatora – postawiła się.

– Jedź do domu, Susan – powtórzył Łan łagodnie. – Odpocznij trochę. Weź prysznic. Przebierz się. I bądź pod sądem o szóstej. – Położył dziennikarce dłoń na ramieniu. – Wiem, że ten Sheridan to dla ciebie ważna osoba.

Susan zeszywniała na całym ciele, zrozumiała, co Łan sobie

wyobraża.

– Nie sypiam z nim – zaprzeczyła szybko. Uniósł obie dłonie obronnym gestem.

– To nie moja sprawa.

– Właśnie. – Potrząsnęła głową. – Więc nie rób z tego jarmarcznego widowiska.

Nie chciała, żeby Ian myślał o Archiem w ten sposób: jak o kolejnym z długiej serii kompletnie niewłaściwych facetów, którzy zawrócili w głowie Susan Ward.

– To mój przyjaciel – dodała, sięgając pod blat i gwałtownym szarpnięciem wrywając z listwy zasilającej kabel od swojego laptopa. – Z tobą to było zupełnie co innego.

Obok biurka wyrósł Derek. Przyniósł dwa firmowe kubki z logo „Heralda”. Z jednego z nich sterczało plastikowe mieszadełko, a napój przypominał Nesquika, tyle było w nim mleka. Druga kawa była całkiem czarna i właśnie ten kubek Derek wręczył Susan.

– Czarna bez cukru, zgadza się? – zapytał.

Susan stanęła przed drzwiami do apartamentu Sheridanów w Arlingtonie. Uniosła rękę, żeby zastukać. Bennett, jak zwykle tkwiący na swoim fotelu, obserwował ją, dopingując bezgłośnie. Kiedy dziennikarka już niemalże zebrała się na odwagę – a postanowiła zajrzeć do Debbie Sheridan, żeby zobaczyć, czy żona Archiego daje sobie radę, a jednocześnie nie chciała wyjść na natrętną i wścibską – drzwi otworzyły się same i stanął w nich Henry Sobol. Za jego plecami Susan zauważyła Debbie, na kanapie, tulącą do siebie swoje dzieci i ocierającą zaczerwienione oczy. Widziała to wszystko przez jedną krótką chwilę, a potem Henry zamknął za sobą drzwi.

– To nie jest najlepszy moment – oświadczył tonem, któremu nie sposób się było sprzeciwić.

Susan zanurzyła palce uniesionej ręki we włosy.

– Są jakieś świeże wiadomości? – zapytała.

Na pierwszy rzut oka widać było, że Henry też nie spał tej nocy. Miał na sobie to samo ubranie co poprzedniego wieczoru, a na jego łysej głowie ciemniał świeży poranny meszek. Jego głos był zachrypnięty i beznamiętny.

– O szóstej będzie konferencja prasowa – zakomunikował jej.

– Nie obwiniaj się – powiedziała Susan i choć pożałowała tego natychmiast, to mimo wszystko brnęła nieskładnie dalej: – Za to, że nie było cię przy nim. Jeśli naprawdę chciał uciec, to zawsze znalazłby odpowiednią chwilę.

Niebieskie oczy detektywa pociemniały. Henry obejrzał się przez ramię

na zamknięte drzwi i zniżył głos do warkliwego szeptu:

– On nie uciekł. Porwała go siłą. Kapujesz?

– Tak. – Susan cofnęła się o pół kroku.

Ściągnięte krzaczaste brwi uniosły się z powrotem. Zwalisty policjant odwrócił się bez pożegnania.

– Chcę się włączyć – rzuciła za nim Susan, zaskoczona własną śmiałością.

Zatrzymał się na progu.

– Co takiego? Wyprostowała się odrobinę.

– Chcę włączyć się do śledztwa – powtórzyła. – Taka jest moja cena – wyrwało jej się, zanim zdołała się powstrzymać. – Mogę wam pomóc. Nie będę pętać się pod nogami. Chcę po prostu coś zrobić.

Henry zacisnął powieki.

– Nie wyskakuj mi z tym w takiej chwili.

– Wszystko podam do prasy – oświadczyła, nabierając pewności siebie. – Jeśli nie dopuścicie mnie do śledztwa, możesz być tego pewien. Znam Archiego. Wiem bardzo dużo o sprawie Wirtuoza. Mogę wam pomóc ich znaleźć. – I w tej chwili nawet sama wierzyła, że to prawda: choć Molly zamordowano, a artykuł o senatorze Scheerze wciąż wisiał na kołku, ona wciąż mogła się przydać. Wierzyła, że da sobie radę. – Muszę wam pomóc w poszukiwaniach – powtórzyła. – Proszę.

Rzecz jasna, Susan nigdy w życiu nie wbiłaby Archiemu takiego noża w plecy. Mówiąc to, postawiła wszystko na jedną kartę, mianowicie taką, że Henry nie odważy się podjąć ryzyka. Chciała, żeby się zgodził, ale jednocześnie pragnęła czegoś zupełnie przeciwnego – żeby ją sprawdził, zmusił do pokazania kart. Bo gdyby się zgodził, znaczyłoby to, że jej nie

ufa.

– W porządku – powiedział wreszcie. – Możesz dołączyć.

Susan nie była w kwaterze zespołu śledczego od czasu zamknięcia śledztwa w sprawie Dusiciela po Lekcjach. Znajdowała się ona we wschodniej części Portland, w budynku, w którym kiedyś mieścił się bank. Władze miasta wykupiły go i przekazały policji do zagospodarowania jako przestrzeń biurową. Był to niski, jednopiętrowy budynek na planie kwadratu, otoczony ze wszystkich stron parkingiem. We wschodniej ścianie znajdował się wciąż czynny bankomat.

Wnętrze zostało nieco odnowione: zerwano starą wykładzinę, zdemontowano okienka kasjerskie oraz zainstalowano biurka, na których stały płaskie monitory komputerów. Jednak pomimo tych zabiegów w dalszym ciągu wszystko wyglądało jak w banku. Został przecież stary skarbiec i duży ścienny zegar z napisem CZAS POWIERZYĆ SWOJE PIENIĄDZE PRZYJACIOŁOM. Jak dawniej pod sufitami płonęły jarzeniówki, dające światło tak ostre, że na nagraniu z kamer ochrony można było spokojnie policzyć wszystkie pryszcze na twarzach bandytów podczas ewentualnego napadu. Nie było to oświetlenie korzystne dla kobiecej urody. Susan skubnęła rąbek koszulki. Henry zabrał ją z Arlingtona tak jak stała. Nie starczyło czasu, żeby się przebrać, a teraz żałowała, że nie wróciła do swojego pokoju, żeby włożyć stanik.

Policjanci zgromadzili się w dawnym pokoju socjalnym dla pracowników banku. Stał tam stół konferencyjny. Obok Susan usiadła Claire Masland. Pomieszczenie było po brzegi wypełnione ludźmi, z których chyba żaden nie położył się tej nocy do łóżka. Cuchnęło tam jak w sportowej szatni. Susan uniosła do ust papierowy kubek z kawą. Nalała jej

sobie ze wspólnego dzbanka. Orzechowa. Co to za policjanci, którzy piją aromatyzowaną kawę?

– New Kids on the Block? – szepnęła Claire, przyglądając się dziennikarce.

Susan opuściła wzrok, spoglądając na swoją koszulkę.

– To taki żart – wyjaśniła.

– W porządku – zabrzmiał bas Henry’ego Sobola. – Zaczynamy.

Detektyw pochylił się nad stołem i rozłożył na nim mapę Oregonu poobklejaną karteczkami samoprzylepnymi w różnych kolorach.

– Macie tu zaznaczone blokady drogowe – powiedział. – Na wszystkich lotniskach, dworcach kolejowych i autobusowych, a także we wszystkich portach rozłożone są ulotki. Fotografie obojga zaginionych krążą po łączach. Współpracujemy z mediami. – Potarł kark, przebiegł wzrokiem po zgromadzonych ludziach. – O czymś zapomnieliśmy?

Jeff Heil zerknął mu przez ramię, przyglądając się dokładnie mapie leżącej na stole.

– Naprawdę uważasz, że ona wciąż jest jeszcze w Oregonie? – zapytał sceptycznym tonem. Mapa pokazywała tylko wąziutkie skrawki sąsiednich stanów: na północy Waszyngton, na południu Kalifornia, a na wschodzie – Idaho, sklezione z Oregonem granicą przypominającą konturem profil ludzkiej twarzy zwróconej w stronę Pacyfiku.

– Poprzednim razem nie uciekła zbyt daleko – zauważyła Claire.

– Może powinniśmy przeszukać wszystkie piwnice w Gresham – rzucił ktoś.

Henry potrząsnął głową, wbił oczy w mapę.

– Myślicie, że nie brałem tego pod uwagę?

Odetchnął głęboko; jego potężne bary uniosły się i opadły. Potem uniósł głowę i rozejrzał się, zauważając Lorenza Robbinsa z laboratorium medycyny sądowej, który pojawił się w drzwiach pomieszczenia już po rozpoczęciu odprawy.

– Wiadomo już coś o tym rozciętym sercu? – zapytał go Henry.

Robbins założył ramiona na piersi i oparł się o drzwi, które zamknął za sobą. Pod pachą miał kilka szarych papierowych teczek na dokumenty. Susan знаła go tylko z widzenia, nigdy nie przedstawiono go jej osobiście. Był osobnikiem łatwym do rozpoznania ze względu na swoje dredy.

– Jest ludzkie. Należało do mężczyzny w wieku około trzydziestu pięciu lat. DNA zgodne z próbką pobraną w domu zaginionego konwojenta, Ricka Yosta.

– Jak umarł?

– Na pewno nie na zawał – poinformował go Robbins. Henry westchnął.

– Co znaleźliście na amunicji i baterii od telefonu? – zwrócił się z kolei do Mike'a Flannigana.

Susan momentalnie nastawiła ucha i wyprostowała się nieznacznie na krześle. Media nie otrzymały informacji o tym, że znaleziono jakąś baterię i amunicję. Podniosła rękę.

Henry zauważył to i skrzywił się z niesmakiem.

– W rynsztoku niedaleko parku leżała bateria od telefonu Archiego i garść nabojów – wyjaśnił. – Możemy chwilowo wstrzymać się z pytaniami?

Susan opuściła rękę i zajęła się swoim kubkiem orzechowej kawy.

– Nic, poza odciskami palców Archiego – zameldował Flannigan. –

Pewnie wyrzucił je z samochodu.

Susan nie znosiła orzechowej kawy prawie tak samo jak waniliowej, zresztą wszystkie aromatyzowane kawy generalnie były dla niej niewarte złamanego grosza. Pomimo to przełknęła jeden łyk. Nic, poza odciskami palców Archiego. A zatem wsiadł do tego samochodu z własnej woli. A potem, niczym nieprzymuszony, wyrzucił baterię i amunicję.

– W porządku. – Henry potarł grzbiet nosa. – Na razie zachowamy to dla siebie.

Rozejrzał się po twarzach zebranych policjantów. Jest zmęczony, pomyślała Susan. Jego niebieskie oczy były przekrwione, szczecina pokrywająca łysą czaszkę – siwa.

– Trzeba się przygotować do konferencji prasowej – zakomenderował.

Odsunął się od stołu, a pozostali policjanci jak na komendę wstali i zaczęli wychodzić. Susan została na krześle, wbijając wzrok w swój kubek. Nagle poczuła, że ktoś otarł się o jej ramię. Uniosła głowę; pomiędzy nią a Claire stanął Lorenzo Robbins, który bez uprzedzenia wcisnął policjantce w rękę szarą teczkę.

– Tobie mam teraz to oddać? – zapytał. – Tu są wyniki sekcji zwłok z parku.

Susan odwróciła się szybko.

– To jest to śledztwo, które prowadził Archie?? Robbins zerknął na Claire, a ona wzruszyła ramionami.

– Mów. – Skinęła głową. – Ona już praktycznie tu pracuje.

– To była para – powiedział kryminolog, patrząc na Susan. – Mężczyzna i kobieta. Oboje dobiegali trzydziestki. Nie żyją od około dwóch lat.

– Hm – mruknęła Claire rzeczowym tonem.

Susan oderwała wzrok od Robbinsa i spojrzała na nią.

– Wiadomo, czy coś ich łączyło z morderstwem Molly Palmer?

Drobna policjantka wzięła w ręce teczkę i zaczęła przeglądać jej zawartość.

– Nie wiem. Po świecie krąży od cholery popaprańców, a ten park to świetne miejsce, żeby pozbyć się ciała.

– W takim razie co chcesz zrobić? – zapytała Susan. Claire zamknęła teczkę.

– To jest zimny trop. Może poczekać parę dni. Dziennikarka ujrzała oczyma duszy zwłoki Molly na stole w prosektorium.

– Ale morderstwo Molly Palmer to me jest zimny trop – przypomniała policjantce.

Claire nagle pochyliła się do niej. Była niższa od Susan, ale silniejsza; dziennikarka z trudem poskromiła instynktowny impuls, każący jej się cofnąć. Pomieszczenie opustoszało, zostało w nim tylko dwóch policjantów studiujących mapę. Mimo to Claire mówiła niemalże szeptem.

– Gretchen Lowell uciekła, a Archie jest razem z nią – wyjaśniła krótko. Jej głos i oczy były spokojne, ale emanowała od niej jakaś szczególna bezwzględność, która uderzyła Susan. – Spędził z nią całą noc. Jak uważasz, ile gwoździ zdążyła mu już wbić?

Ale dziennikarka nie zamierzała poddać się zbyt łatwo.

– Śmierć Molly może mieć związek z morderstwem Parkera i senatora – powiedziała.

Claire przewróciła oczami, poirytowana.

– To nie było morderstwo, Susan. Samochód spadł z mostu. Mogło to

być samobójstwo, ale równie dobrze zwykły wypadek. I raczej nic poza tym. Nie mamy żadnych dowodów na to, że zaistniała jakaś trzecia ewentualność.

Susan potrząsnęła głową.

– W tym samym parku Gretchen Lowell porzuciła ciało Heather Gerber. Jakiś inny morderca dwa lata temu zostawił tam zwłoki dwojga swoich ofiar. A teraz Molly Palmer?

– Słyszając tętent kopyt, nie możesz zakładać, że to zebra.

– Co to ma znaczyć? – zdziwiła się Susan.

– Że prawie zawsze to będzie koń – wyjaśniła Claire. Rozłożyła szeroko ręce. – Koń też ma kopyta. – Przeczesła palcami swoje krótkie włosy. – Muszę się ogarnąć. Henry powiedział, że mam iść na tę konferencję.

Konferencja.

– Ja też tam idę – wypaliła Susan. – Daj mi chwilę. Odwróciła się do stołu, chcąc złożyć swój notebook, i przy okazji przewróciła kubek z niedopitą kawą, która rozlała się szeroko po blacie, zachlapując mapę. Dziennikarka zachłysnęła się przerażeniem i pognąła do aneksu kuchennego, zgarniając z szafki obok mikrofalówki garść serwetek.

– Jezu... – westchnęła Claire. – No to idę. Spotkamy się na konferencji.

I wyszła.

Mikę Flannigan i jakiś drugi detektyw, którzy razem studiowali mapę, podnieśli ją z mokrego stołu. Susan zarzuciła serwetkami kałużę rozlanej kawy, a potem zaczęła ścierać plamy z mapy, rozłożonej tymczasem na podłodze.

Zaciek sięgnął aż do centralnej części stanu Oregon, do przełęczy

Santiam i miast Bend oraz Prineville. Dziennikarka uwijała się gorączkowo z serwetkami, uważając jednocześnie, żeby nie zerwać żadnej z karteczek oznaczających blokady drogowe. Nagle rzuciło jej się w oczy, że na zbiegu międzystanowej piątki i szosy numer dwadzieścia dwa brakuje takiej karteczki.

– Na dwudziestce dwójce nie ma blokady – zauważyła na głos.

– Bo ta szosa prowadzi tylko w góry – wyjaśni! Flannigan, zbierając mapę z podłogi i zwijając ją ostrożnie. – A tam pali się teraz las.

– Myślałam, że ten pożar jest już opanowany.

– Wiatr się zmienił – odparł detektyw. – Pali się już prawie sto sześćdziesiąt hektarów. Nie musieliśmy stawiać tam blokady. Leśnicy sami zamknęli dwudziestkę dwójkę. Dziś rano.

Po przebudzeniu Archie stwierdził, że leży na wznak na jakimś łóżku. W pokoju było ciemno, ale przez otwarte drzwi, wychodzące na korytarz, wlewało się światło. Pod sufitem obracały się łopatki wentylatora, najwidoczniej źle przymocowanego, bo postukiwał przy pracy. Sufit i ściany były z cedrowych belek, jak w willi letniskowej. Pod jedną ze ścian stała drewniana komoda, na innej wisiał, oprawiony w ramki, stary plakat anonsujący jakieś rodeo. Żaluzje w oknie były zaciągnięte. Archie był sam, ale w powietrzu unosił się zapach dymu. Gdzieś niedaleko palił się ogień. I ona też była w pobliżu.

Zorientował się, że musiał przespać całkiem sporo czasu, bo ciało miał obolałe, było mu zimno i chwytaly go dreszcze. Organizm domagał się kolejnej dawki leku. Nie podnosząc się, Archie opuścił stopy na podłogę. Wciąż miał na nich skarpetki. Zdjęła mu tylko buty; zauważył je obok łóżka, ustawione równo jeden obok drugiego. Sięgnął po nie, ale zamarł w pół ruchu, porażony wściekłym bólem, który zatętnił w głowie. Odczekał chwilę, a potem wsunął stopy w buty, zawiązał sznurówki i usiadł na łóżku. Rozejrzał się za tabletkami w butelkach, które widział w samochodzie, ale nie znalazł ich ani na komodzie, ani na nocnym stoliku. Zauważył za to wnękową szafę o drzwiach z cedrowych desek. Otworzył ją; była pełna ubrań. Zaciekawilo go, do kogo należą, ale po chwili zorientował się, że wszystkie są nowe. Kupiła je specjalnie dla niego. A zatem albo zamierzała zatrzymać go w tym miejscu przez jakiś czas, albo chciała, żeby tak właśnie myślał. W szafie wisiały i sztruksy, i lekkie spodnie z jasnobrązowej tkaniny, i niebieskie koszule z podpinanymi

kołnierzykami. I białe koszule tego samego rodzaju. I swetry, i kilka sportowych marynarek o profesorskim wyglądzie. Zupełnie jak w jego własnej szafie. Przewidywalność. Jego odwieczna wada.

Odwrócił się, podszedł do okna i otworzył żaluzje. Na zewnątrz zapadał zmierzch albo wstawał wczesny świt. Za oknem widać było drzewa i tylko drzewa. Sosny żółte, które nie rosły na zachód od gór. Zabrała go więc na wschód. Na wysoką pustynię. Być może byli jeszcze w Oregonie. Ale niekoniecznie.

Usłyszał muzykę. Klasyczną. Nie była głośna, ale grała z całą pewnością gdzieś wewnątrz domu. Obejrzał się na okno. Mógł je otworzyć bez problemu. Wyjść. Odejść. Możliwe, że znajdowali się na jakimś zapadłym odludziu. Mógł to jednak zrobić. Mógł zrezygnować ze swojego planu, mógł ją jeszcze porzucić. Podjąć próbę powrotu do siebie.

Przez chwilę zastanawiał się nad tą możliwością, a potem odwrócił się od okna i wstąpił w kwadrat światła wiodący na korytarz. Znajdowało się tam jeszcze kilkoro innych drzwi, a ściany, tak jak w pokoju, były wyłożone cedrem. Na podłodze Arenie zauważył szarą wykładzinę w cętki – zwyczajną, biurową wykładzinę, jaką spotyka się w domach do wynajęcia albo willach letniskowych. Muzyka dobiegała z końca korytarza, który otwierał się na salon.

Archie ruszył w tamtą stronę.

Szereg okien w salonie wychodził na taras, za którym ciemniała ściana gęsto rosnących drzew. Światło na zewnątrz przygasło jeszcze odrobinę. Był więc wieczór, nie poranek. Pod sufitem salonu biegła galeria, na którą prowadziły schody o balustradzie z kutego żelaza. Był tam także kominek z masywnym kamiennym gzymsem oraz olbrzymia skórzana kanapa. Na

kominku trzaskał i pohukiwał ogień. Obok paleniska, w krytym skórą fotelu, siedziała Gretchen. Na jej kolanach leżał rozłożony laptop. Włosy miała rozpuszczone i była nieumalowana; w blasku płomieni jej nieskazitelna cera lśniła anielskim czarem.

Gretchen spojrzała na Archiego z uśmiechem.

– Leki znajdziesz w kuchni – powiedziała, wskazując oczami w lewo. Podążył za jej wzrokiem, dostrzegając otwartą kuchnię, która miała podłogę nieco wyżej niż salon; wchodziło się tam po schodku. Butelki z tabletkami stały rzędkiem tuż obok zlewu. Archie udał się do kuchni i zaczął otwierać po kolei wiszące szafki, aż znalazł szklanę. Napełnił ją wodą z kranu i zażył cztery tabletki vicodinu. Po zastanowieniu dorzucił sobie jeszcze jedną.

– Napijesz się czegoś? – dobiegł go głos Gretchen. Odwrócił się. Nie siedziała już w fotelu, ale stała przy barku – niedużym kontuarze z drewna rattanowego. Była ubrana w szary kaszmirowy sweter i dopasowane spodnie w tym samym kolorze. Na bosych stopach miała pończochy. Wyciągnęła w jego kierunku jakąś butelkę.

To nie dzieje się naprawdę, pomyślał.

– Jasne – przystał na propozycję.

– Może być szkocka?

– Jasne – powtórzył, ale nie ruszył się z miejsca. Tkwił w dalszym ciągu obok zlewu, przytrzymując się blatu dłońmi schowanymi za plecami.

Patrzył, jak Gretchen przyrządza drinka: nabiera lodu z wiaderka, wsypuje go do szklanki i zalewa alkoholem. Czystym, bez kropli wody. Jej lśniące włosy, rozkołysane łagodnie, rozsypały się na ramionach.

Odwróciła się i wyciągnęła do niego dłoń, w której trzymała szklankę.

Archie przez chwilę stał bez ruchu, a potem odepchnął się od kuchennego blatu, podszedł do niej i wziął drinka z jej ręki. Ich palce zetknęły się na chłodnym szkle. Dotyk jej skóry zakręcił mu w głowie; przed oczami pociemniało, ale opanował się wszystkimi siłami, żeby nie zdradzić tego choćby najlżejszym drgnięciem mięśni twarzy. Zasalutował Gretchen szklanką i opróżnił ją kilkoma łykami. Pomimo że nie znał się zbyt dobrze na szkockim alkoholu, musiał przyznać, że to, czym go poczęstowała, pije się znakomicie, a smak jest zdecydowanie z górnej półki. Zwrócił szklankę, w której grzechotały już tylko samotne kostki lodu.

– Muszę wziąć prysznic – oznajmił, ocierając usta wierzchem dłoni.

– Łazienka jest w korytarzu – odparła. – Drugie drzwi po lewej. Znajdziesz tam wszystko, czego możesz potrzebować.

– Lekarstwo na obłąd też? – zapytał.

Gretchen zbliżyła twarz do jego twarzy, jakby chciała go pocałować, ale zamiast tego przysunęła tylko usta do jego ucha, nieledwie muskając policzkiem policzek Archiego. Poczul jej zapach, a wraz z nim przyszedł zawrót głowy. Jej oddech, chociaż ciepły, posłał mu po plecach falę lodowatych dreszczy.

– Tego już nic nie uleczy, kochany – szepnęła.

Po kąpieli przebrał się w ubranie, które wybrał sobie z szafy: parę jasnobrażowych sztruksów i niebieską koszulę. Do tego podkoszulek. Bielizna. Skarpetki. Wszystko pasowało jak ulał. Kiedy stał pod prysznicem, zaczęły działać leki, transformując skurcze obolałych mięśni i

ostre klucie wątroby w monotony biały szum, łagodny i pokrzepiająco znajomy. Czuł się teraz po tabletkach inaczej niż kiedyś: zamiast dawnej euforii przychodziło otepienie zmysłów, dzięki któremu było mu niemalże przyjemnie.

Kiedy wrócił do salonu, za oknami zapadła już całkowita ciemność.

Gretchen przeniosła się na obitą skórą kanapę. Ogień na kominku przygasł nieco, ale wciąż płonął na tyle mocno, żeby napełnić pomieszczenie ciepłym, pomarańczowym blaskiem. Archie zajął fotel, gdzie przedtem siedziała Gretchen. Laptop, który trzymała na kolanach, gdzieś zniknął.

– Napijesz się jeszcze? – zapytała.

– Czemu nie?

Gretchen wstała i przeszła pomiędzy kanapą a fotelem, po drodze muskając palcami ramię Archiego, który patrzył sztywno przed siebie, usiłując nie wodzić za nią wzrokiem. Słyszał ją, jak krząta się za jego plecami, jak nalewa szkocką do szklanki. Słyszał, jak kostki lodu postukują o szkło. Wreszcie wróciła. Podała mu drinka, a potem przysiadła na poręczy jego fotela. Archie zamarł w napięciu. Nie mógł tego ukryć: palce zacisnęły się kurczowo na szklance, uda i łydki zeszywniały konwulsyjnie.

Gretchen zaśmiała się cicho i pochyliła nad nim, opierając się przedramieniem na szczycie oparcia fotela. Archie poczuł, jak jej kaszmirowy sweter ociera się o jego kark. Szklanka nadal tkwiła w jego zdętwiałej dłoni.

– Im więcej będziesz pił, tym szybciej to nastąpi – poinformowała go Gretchen.

Skupił wzrok na naczyniu pełnym whisky. Było wykonane z grubo rżniętego kryształu i miało posrebrzaną krawędź. Upił mały łyżeczek, tym razem powoli, zatrzymując alkohol na języku i delektując się jego smakiem.

– Niewydolność wątroby – podjęła po chwili. – To dlatego tutaj jesteś, prawda?

Archie poczuł, jak jego stężałe mięśnie rozluźniają się nieco. Ponownie zasalutował szklanką.

– Za moje zdrowie – wznosił toast.

Gretchen wzięła jego drugą dłoń w swoje ręce, obróciła, ukazując zbielełe łoża paznokci i pożółkłą skórę, której kolor przybrał już nieco zbyt intensywny odcień.

– Już niedługo – powiedziała cicho.

Ale Archiemu potrzebny był czas, może nawet kilka dni. Musiało go wystarczyć.

– Ile? – zapytał.

– Parę dni, parę tygodni – odpowiedziała, opierając się o niego i sięgając po szklankę. Jej piersi dotknęły jego piersi, biała szyja otarła się o podbródek. Gretchen wyłuskała mu kryształ z palców i z powrotem usiadła prosto. Pachniała inaczej, niż Archie pamiętał, chociaż także kwiatami. To były róże. Niewykluczone, że nigdy nie pachniała bzem. Mógł sam to sobie wyobrazić. Uśmiechnął się na tę myśl, patrząc, jak Gretchen pije szkocką z jego szklanki.

– Ładnie pachniesz – powiedział. Oddała mu drinka. Wziął go.

– A może nawet jeszcze szybciej – podjęła. – To zależy od tego, jak skutecznie będziesz się truł.

Archie przyjrzał się kunsztownemu przedmiotowi, który trzymał w dłoni. Takich rzeczy nie widuje się w zwykłych domach do wynajęcia. Była to więc bardziej luksusowa willa wypoczynkowa. Gretchen wynajęła ją. Albo wymordowała całą rodzinę. Żołądek podjechał Archiemu do gardła. Nie możesz teraz o tym myśleć, rozkazał sobie.

Szklanka. Gdyby plan wypalił, jego podwładni mieli ją znaleźć. Dwa zestawy odcisków palców na szkle. Kumple od kieliszka.

– Naprawdę pracowałaś w szpitalu na izbie przyjęć? – zapytał. Gretchen przekrzywiła głowę i z uśmiechem rozpięła trzeci guzik od dołu na jego koszuli. Wsunęła dłoń pod spód, przebiegając palcami po tkaninie podkoszulka; szybko odszukała bliznę po cięciu, przez które wyjęła mu śledzionę. Uniosła brew.

– Wątpisz w moje medyczne umiejętności?

Pierś Archiego zafalowała nagle, oddech przyspieszył. Wypił kolejny łyk whisky.

– Trening czyni mistrza – powiedział.

Nie wyjmując dłoni spod jego koszuli, Gretchen zarzuciła prawą nogę na jego lewe udo.

Zapragnął coś powiedzieć, cokolwiek. Szukał w pamięci, aż wreszcie przypomniał sobie laptopa.

– Nad czym pracowałaś na komputerze? – zapytał. Pytanie nie zdziwiło jej ani trochę. Wiedział, że na nie czekała.

– Szykuje dla ciebie prezent.

– Swoją autobiografię?

– Coś w tym rodzaju. Cierpliwości, dostaniesz go. – Musnęła palcami jego skroń, zakładając mu kosmyk włosów za ucho. – Wciąż jeszcze o

mnie myślisz? – szepnęła.

– Tak – odpowiedział, z trudem przepychając słowa przez ściśnięte gardło.

Pochyliła się nad nim, zbliżając twarz do jego twarzy. Jej oczy zaśniły w blasku ognia.

– Jak sądzisz, czy Henry coś podejrzewa?

Dopił szkocką i odstawił szklankę na poręcz fotela.

– Nie – odpowiedział.

Dziwnie się czuł, rozmawiając o tym. Tak długo trzymał ten fakt w sekrecie. Na widzeniach z nią siedział naprzeciwko, po drugiej stronie stołu, wiedział to samo co ona – i milczał tak jak ona. Tak skrzętnie skrywana tajemnica zżerała go od środka.

– Henry ma o mnie zbyt dobre zdanie, żeby cokolwiek podejrzewać.

– Nigdy cię nie pytał o te wszystkie widzenia późnym wieczorem? – zapytała z uśmiechem. – Albo o to, skąd mam numer twojej komórki? – Uniosła brew. – Ani razu nie zapytał, po co tak naprawdę zjawiłeś się u mnie tamtego wieczoru, gdy cię porwałam?

Archie wzruszył lekko ramionami.

– Przyjechałem na konsultację psychiatryczną w sprawie najnowszej ofiary.

– I tak po nitce do kłębka... – Zawiesiła głos.

– Nigdy nie zdradziłem żony – uciął Archie. – Kochałem swoją rodzinę.

W ciągu ostatnich trzech lat powtarzał sobie te słowa setki, tysiące razy – a mimo to i tak nie mógł spojrzeć swoim najbliższym w oczy. Był pewien, że jego syn domyśla się wszystkiego, choć nie potrafił odgadnąć,

w jaki sposób. Nikt inny niczego nie podejrzewał, ale Ben wiedział, że Archie zdradził jego, jego siostrę i matkę.

Oddech Gretchen, delikatny jak ptasie piórko, musnął jego policzek.

– Zbyt ciężko pracowałeś, kochany – szepnęła. – Musiałeś znaleźć sobie jakieś ujście dla stresu.

Jej usta zawisły tuż nad jego uchem; jej słowa spłynęły mu po karku falą dreszczy. Nagle Gretchen chwyciła zębami płatek ucha Archiego i ugryzła go mocno. Ból był przyjemny, bo dawał się poczuć. Przez chwilę kobieta nie odrywała ust, ssąc bez przerwy. Serce detektywa zaczęło galopować.

– Wielu mężczyzn miewa romanse – powiedziała wreszcie Gretchen.

Spróbował się uśmiechnąć.

– A mnie po prostu przypadek pchnął w ramiona morderczyni, którą miałem wytropić i aresztować.

– Grzech rzadko kiedy bywa prosty i jednoznaczny. – Jej głos ociekał współczuciem.

Pochyliła się i pocałowała go w usta. Na jej języku zachował się smak whisky. A dla niego nastąpiła chwila, w której istniała tylko ona, gorące usta i ciepła dłoń wciąż mocno przyciśnięta do jego żeber. Był całkowicie pewien, że ona go czuje: bicie jego serca, galopujący puls i twardy, nabrzmiąły członek wbijający się w jej udo.

Oderwała usta od jego ust i odsunęła twarz o kilka centymetrów, tak że spoglądali sobie w oczy.

– Chciałbyś cofnąć czas? – zapytała. – Zmienić to, co się stało tamtej nocy, kiedy po raz pierwszy do mnie przyjechałeś?

To było o drugiej nad ranem. Archie wracał z miejsca zbrodni. Mógł

pojechać prosto do domu, do żony, ale zamiast tego udał się do Gretchen. Zrobił to z całą premedytacją. Obmyślił sobie wszystko po drodze. A kiedy Gretchen, ubrana tylko w koszulę nocną, otworzyła mu drzwi, przestąpił próg i pocałował ją.

To on. On zaczął ten romans.

Sam to na siebie ściągnął.

I cieszył się tym; każda minuta przynosiła mu radość. A potem, podczas tortur, które mu zadawała, nie mógł odpędzić uporczywej myśli, że w pełni sobie na to wszystko zasłużył. Że dostaje za swoje, ale przynajmniej niedługo umrze, a Debbie nigdy nie dowie się prawdy.

– Dlaczego to zrobiłaś? – zapytał Gretchen.

– Z miłości – odparła, uśmiechając się do niego.

Archie nie umiał powiedzieć, czy Gretchen zrozumiała, o co mu chodziło. O co pytał? O romans? O dziesięć dni tortur? O to, że poddała się policji i uratowała mu życie? Zajrzał w jej bladoniebieskie oczy, szukając czegoś.

– Zmieniłbym wszystko – odpowiedział na jej pytanie. – Wolałbym cię nigdy nie poznać.

I mówił poważnie. Jeszcze nigdy przedtem nie był tak poważny jak w tamtej chwili.

– Zapłaciłbym każdą cenę, żeby cofnąć czas. Żeby to się nigdy nie zdarzyło.

Gretchen przekrzywiła głowę. Jasna fala jej blond włosów załamała się na ramieniu. Archiemu wydało się, że w tym momencie dostrzegł w niej przebłysk jakiejś prawdy, że odsłoniła na ułamek sekundy swoją prawdziwą twarz, smutną i przepełnioną bezbrzeżną rozpaczą.

Czy domyślała się, dlaczego do niej przyszedł, co zamierzał zrobić?

– Chcesz mnie teraz zerznąć? – zapytała.

Chwycił jej twarz w dłonie, wpił się ustami w jej usta.

– Tak – odpowiedział.

Susan zaparkowała samochód dwie przecznice od kwatery grupy pościgowej. W pobliżu starego banku zgromadziło się już tyle wozów transmisyjnych wysłanych na konferencję prasową, że mogła mówić o szczęściu: dwie przecznice w takich warunkach to zupełnie blisko. Wszystkie okna w samochodzie były zamknięte, ale mimo to dziennikarka najpierw się rozejrzała, czy przypadkiem gdzieś nie czają się jacyś koledzy po fachu, i dopiero wtedy otworzyła telefon. Wystukała numer redakcji „Heralda”, a potem numer wewnętrzny. Odebrał Derek Rogers.

– To ja – rzuciła do słuchawki. – Zrób coś dla mnie. Obdzwoń wszystkie stacje benzynowe na szosie numer dwadzieścia dwa, tej, która biegnie przez przełęcz Santiam.

– Ee... Co? – zająknął się Derek.

– Nie ma ich aż tak dużo – uspokoiła go szybko, opuszczając daszek z lusterkiem i grzebiąc w torebce w poszukiwaniu kosmetyków; konferencja prasowa miała się rozpocząć za kwadrans. – Kiedyś tamtędy jechałam. Wszędzie tylko miasteczka drwali. I co pół godziny stacja benzynowa. – Umilkła na chwilę, żeby umalować usta szminką w kolorze malinowym. – A tankować trzeba było często. No bo ile pali taki jaguar? Dwanaście litrów na setkę? – Usunęła nadmiar szminki starym paragonem znalezionym w torebce. – Ona musiała często tankować.

W głosie Dereka brzmiało powątpiewanie.

– Czyli chcesz, żebym obdzwoił wszystkie stacje benzynowe na dwudziestce dwójce i dowiedział się, czy ktoś przypadkiem nie widział Gretchen Lowell?

– Nie – potrząsnęła głową. – Nie Gretchen Lowell. Jej samochodu. Samochód zauważą i zapamiętają. Pytaj, czy ktoś nie widział srebrnego jaguara.

– Tam pali się las – przypomniał jej. – Trwa ewakuacja. Uważasz, że ta kobieta jest aż tak rąbnięta, żeby kryć się w płonącym lesie?

– Ona jest rąbnięta. Jak drewno na podpałkę. Derek wciąż nie był przekonany.

– Tyle telefonów zajmie kilka godzin – powiedział.

– Wiem. – Susan ściągnęła gumki ze swoich mysich ogonków, wygrzebała z torebki szczotkę i zaczęła czesać włosy.

– Czeszesz się? – zapytał Derek.

– Zrób dla mnie coś jeszcze – poprosiła, przypomniawszy sobie, co Archie powiedział podczas ich ostatniej rozmowy. Wciąż nie dawało jej to spokoju.

– O co chodzi? – westchnął.

– Możesz sprawdzić w bazie danych, u nas w redakcji, czy około dwóch lat temu nie zaginęła jakaś para, mężczyzna i kobieta? Oboje mieli mniej więcej po dwadzieścia-trzydzieści lat.

– A co to ma wspólnego z Sheridanem i Gretchen Lowell? – zdziwił się.

– Nic – odparła.

– Zdajesz sobie sprawę, jaką mamy konkurencję? Ten temat to bomba. Cały kraj o tym mówi. – Derek zniżył głos. – Jak łan się dowie, że pracujesz nad czymś innym, to chyba się zesra z wściekłości.

– Wydaje mi się, że to może mieć związek ze śmiercią Parkera – powiedziała.

W słuchawce zapadła cisza.

– To mi zajmie parę minut – odezwał się Derek po chwili. – Poczekaj, oddzwonię do ciebie.

Susan otworzyła okno i zapaliła papierosa, żeby pozbyć się z ust natrętnego smaku orzechowej kawy. Derek zadzwonił, zanim zdążyła go wypalić do końca.

– Był jeden taki artykuł – zameldował. – We wrześniu dwa tysiące piątego roku. Niejaki Stuart Davis i jego dziewczyna, Annabelle Nixon. Mieszkali razem. Zniknęli bez śladu. Ich samochód znalazł się później. Był zaparkowany na Dwudziestej Trzeciej alei. Od tej pory słuch po nich zaginął. Było wokół tego trochę szumu, bo ten Davis pracował w biurze senatora Scheera jako młodszy asystent.

– Zebra... – szepnęła Susan.

– Proszę?

Do konferencji prasowej pozostało już tylko kilka minut. Dziennikarka wysiadła z samochodu i rzuciła niedopałek na ulicę.

– Prześlij mi emailem wszystko, czego się dowiesz – powiedziała.

A zatem cała sprawa zataczała krąg wokół senatora. Susan zamyśliła się, szukając w pamięci szczegółów historii Molly Palmer, faktów, które udało jej się zebrać, ludzi, którzy zachowywali się podejrzanie. W ciągu ostatnich kilku miesięcy przeprowadziła setkę wywiadów i szczerze mówiąc, każdy, z kim rozmawiała, tak właśnie się zachowywał. Był jednak ktoś, kto wyróżniał się nawet na tym tle, młody chłopak ze szkoły średniej, znajomy jednego z synów senatora Scheera. Być może, pomyślała dziennikarka, nadeszła odpowiednia pora, żeby złożyć mu kolejną wizytę.

Archie usiadł na skraju łóżka w pokoju, który zajęła Gretchen. Materac był twardy, a kołdra z szarego atłasu – śliska w dotyku. Sklepiiony sufit czynił pomieszczenie nienaturalnie wysokim, a ukośna perspektywa przyprawiła Sheridana o zawroty głowy bliskie omdleniu.

Gretchen rozbierała się. Ruchy miała spokojne, jakby już nie po raz pierwszy robili to we dwoje, jakby byli kochankami od zawsze. Kiedy skończyła równiutko układać swoje ubranie na krześle stojącym obok szafy, naga odwróciła się do niego.

Archie poczuł natychmiast, jak cała krew spływa mu do dolnych partii ciała. Gretchen wciąż była posiniaczona. Na żebrach i brzuchu ciemniały plamy krwiaków, skóra na lewym obojczyku była otarta i spuchnięta. Ale wszystkie te brutalne pamiątki nie zdołały jej odebrać ani trochę wdzięku i uroku. W żadnym innym miejscu człowiek nie ma tak doskonałych warunków do uprawiania osobistego treningu jak w więzieniu; Gretchen stała przed nim wysportowana i szczupła. Za jej doskonale piękną twarz i nienaganną sylwetkę była też jednak odpowiedzialna właściwa mieszanka genów. Sekwencja DNA, która uczyniła z niej potwora w ludzkiej skórze, dała jej również nieskazitelną urodę. Kto wie, kim by była, gdyby nie gen, dzięki któremu jej profil miał linię tak perfekcyjnie harmonijną? Mogłoby się okazać, że Gretchen Lowell jest kimś zupełnie innym – dobrym człowiekiem.

Wentylator pod sufitem mełł powietrze i rzucał cienie: na strop, na jej twarz, na podłogę. Kątem oka Archie łowił płynne, wciąż zmieniające się kształty.

Gretchen podeszła do niego i ujęła jego twarz w dłonie, unosząc ją lekko, tak że musiał na nią spojrzeć. Ich kolana zetknęły się. Sheridan zacisnął palce, nabierając pełne garście śliskiego atłasu.

Gretchen zgarbiła się lekko, spoglądając na niego zalotnie.

– Mam ci zrobić coś, co boli? – zapytała.

– Nie – odrzekł.

Przekrzywiła głowę na bok, uśmiechnęła się wesoło.

– A ty chcesz zadać mi ból? Westchnął krótko.

– Nie.

– A czego pragniesz?

Wypuścił z palców atłasową kołdrę i położył dłonie na jej biodrach. W pokoju było ciemno, ale widział wyraźnie, jak od dotyku jego rąk jej ciało obsypuje się gęsią skórką.

– Odkupienia – powiedział. – I może jeszcze odrobiny rozrywki.

– Z rozrywką nie powinno być problemu – odparła i nie odrywając dłoni od jego twarzy, pochyliła się i pocałowała go delikatnie w policzek.

– Bo wiesz – dodała – ja jestem zdolna do ludzkich uczuć.

Bardzo chciał jej uwierzyć. Pragnął wierzyć, że łączy ich jakaś autentyczna *wieź*, choćby nawet miała być pokręcona i nienormalna.

Przyciągnął ją do siebie, a ona splotła mu dłonie na karku i pocałowała jeszcze raz. Trzymać w objęciach jej nagie ciało – to było dla niego niemalże nie do zniesienia.

Odchrząknął głośno.

– Masz słodki smak – powiedział.

– To nie ja – odparła. – To twój organizm nie oczyszcza się prawidłowo z toksyn.

– Rozbierz mnie – polecił, unosząc rękę.

Gretchen rozpięła mu najpierw jeden mankiet, potem drugi. Następnie zabrała się do ośmiu guzików na przodzie koszuli. Ani na chwilę nie przerwała kontaktu wzrokowego, robiła to za pomocą samego dotyku, wędrując palcami od guzika do guzika.

Kiedy koszula była już rozpięta, zsunęła ją z ramion Archiego i rzuciła na podłogę, przytrzymując przedtem na chwilę w dłoni.

Wciąż nie odrywając od niego wzroku, sięgnęła w dół i wyciągnęła mu podkoszulek ze spodni. Archie podniósł ręce, pomagając zdjąć sobie bieliznę przez głowę. Podkoszulek dołączył do koszuli.

I wtedy jego poharatana pierś momentalnie przykuła jej wzrok. Widział, jak obmacuje oczami jego blizny, licząc rany, które sama mu zadała. Wiedział, że jego ciało przypomina pole minowe. Nawet pielęgniarki musiały się specjalnie przygotowywać na pierwsze spotkanie z nim. Ale nie Gretchen. Jej twarz lśniła uznaniem. Patrzyła na niego jak na obraz Picassa.

– Masz ulubioną? – zapytała, a on zrozumiał, że chodzi jej o blizny.

Z początku wydawało mu się, że to miał być żart.

– Nie mogę wyróżnić jednej, bo inne się obrażą – odpowiedział.

– Mnie się podoba to serce – wyznała Gretchen, dotykając blizny na lewej piersi Archiego, przebiegając palcami po jej dwóch łukach. – To jedno z najlepszych, jakie zrobiłam. Niełatwo jest tak równo przeciąć mięśnie na klatce piersiowej.

Opuściła głowę na wysokość jego obojczyka. Archie myślał, że chce się przyjrzeć z bliska swojemu dziełu, ale ona zrobiła coś zupełnie innego – dotknęła blizny językiem.

Niespodziewany, ciepły i wilgotny nacisk na tkliwą tkanę zaskoczył go tak, że aż się szarpnął.

Gretchen odsunęła się i spojrzała na niego, a on chwycił ją od tyłu za głowę, przyciskając jej twarz z powrotem do swojej piersi. Znow przesunęła językiem po jego bliźnie. Blond włosy, które trzymał w zaciśniętej pięści, były miękkie i śliskie; czuł, jak żar bijący z jej ust rozchodzi się po całym jego ciele. Odchylił się w tył. Gretchen usiadła na nim okrakiem, a po chwili zaczęła muskać bliznę wargami, powoli, rozkosznie.

Następnie jej język powędrował niżej, wzdłuż pionowej szramy po splenektomii i dalej, po napiętych mięśniach brzucha, aż zatrzymał się na pasku od spodni. Gretchen sięgnęła do klamry, chcąc ją rozpiąć.

Jego stwardniały członek zapulsował natarczywie, domagając się wypuszczenia na swobodę. Głowa zatętniała wściekłym bólem. Przez ciało przebiegły skurcze. A jednak, mimo wszystko, nie czuł się tak skonfliktowany wewnętrznie, jak się tego spodziewał. Za każdym razem, kiedy fantazjował o Gretchen, dręczyły go wyrzuty sumienia, o wiele silniejsze niż kiedykolwiek w trakcie ich romansu. Zapłacił emocjonalną cenę za urojony seks, ale tym razem nie było o tym mowy.

– Chcę, żebyś była na górze – zażyczył sobie. – Żebym mógł cię widzieć.

Gretchen poradziła już sobie z paskiem i ściągnęła z Archiego spodnie, jednym szybkim, wprawnym ruchem.

– Będę ostatnią kobietą, z którą się kochałeś – powiedziała, kiedy wbijał się w nią. Rozkosz tego wejścia odebrała mu oddech; zamknął na chwilę oczy, zagubiwszy się w doznaniu jej ciała, usiłując ze wszystkich

sił powstrzymać się od natychmiastowego wytrysku, jak u nastolatka. A potem pozwolił sobie spojrzeć na nią, na jej rozkołysane biodra, lekko odrzuconą w tył głowę, na jej twarz, spokojną i odprężoną od błogości. To była najpiękniejsza kobieta, jaką widział w życiu. Chwycił ją w tali, przyciągając do siebie, aby móc wbić się w nią jeszcze głębiej.

– To nie jest żadna miłość – powiedział.

Przez całą konferencję prasową Susan nie mogła ustać spokojnie. Bo też i całe to wydarzenie przypominało istny dom wariatów. Na parkingu przed bankiem ustawiono podwyższenie z mikrofonami. Głos zabrali Henry i Claire, która miała brodę białą od cukru pudru. Razem przedstawili wszystkie działania policji podjęte w celu odszukania detektywa Sheridan. Zwrócili się do obywateli z prośbą o czujność i informacje. Poinformowali, że zniknięcie Archiego zostało uznane za uprowadzenie. I ani jedno, ani drugie nie zająknęło się choćby słowem o tym, że ich dowódca z własnej, nieprzymuszonej woli wsiadł do srebrnego jaguara. Ani też o tym, że własnoręcznie wyrzucił amunicję i baterię do telefonu przez okno. Po zadawanych pytaniach widać było, że połowa dziennikarzy ma go już za zmarłego. Każdy wiedział, że to wszystko jedna wielka szopka. Gretchen zapadła się pod ziemię i nie sposób było jej znaleźć, dopóki sama tego nie zechciała.

Susan się spóźniła, więc wszystkie składane metalowe krzesła ustawione naprzeciwko podwyższenia były już zajęte. Musiała stać z tyłu i przestępować z nogi na nogę, licząc upływające minuty.

Kiedy konferencja dobiegła końca, dziennikarka puściła się pędem, chcąc złapać Henry'ego, który wracał już do banku.

Dognała go tuż pod drzwiami.

– Pojedź ze mną do liceum Cleveland High – wydyszała – i pomóż mi przekonać dyrekcję, żeby pozwoliła nam pogadać z chłopakiem nazwiskiem Justin Johnson.

– Justin Johnson? A kto to, kurwa, jest? – zdziwił się Henry.

– Jego nazwisko wypłynęło, kiedy zbierałam materiały do mojego artykułu – wyjaśniła Susan. – Był dobrym kumplem jednego z dzieciaków Scheera. Wiem, że coś wie na temat senatora i Molly Palmer. Tylko że ktoś dotarł do niego pierwszy. Justin powiedział mi, że zakazano mu ze mną rozmawiać. Nie wykluczam, że ta sama osoba, która zamknęła mu usta, miała coś wspólnego z uciszeniem Molly.

Henry zatrzymał się i odwrócił do niej.

– A ja mam teraz wyciągnąć odznakę i zastraszyć paru nauczycieli, żebyś ty mogła swobodnie dobrać się do jakiegoś nieletniego? Bez zgody jego rodziców i bez przysługującej mu reprezentacji prawnej?

– Tak – przyznała.

– A wiesz o tym, że parę dni temu zaczęły się wakacje?

– On chodzi na letnie kursy.

Henry przetarł dłonią przekrwione oczy.

– I to ma mi pomóc znaleźć Archiego? W jaki sposób?

– To ma związek ze śledztwem, które prowadził – odparła Susan, starając się nadać głosowi przekonujące brzmienie. – Z tymi morderstwami w parku. On chciał, żebym doprowadziła tę sprawę do końca.

– Wiesz co, Susan, w tej chwili mam sporo rzeczy na głowie. Rozumiesz, seryjna morderczyni na wolności, najlepszy kumpel zaginął, takie tam...

– Na telefon od niej możesz czekać równie dobrze tutaj, jak i tam, gdzie ja chcę pojechać – wzruszyła ramionami. – Możesz też, zamiast beczynnie czekać, pomóc Archiemu. – Nachyliła się do ucha Henry'ego, jakby chciała mu powierzyć jakiś sekret. – To on kazał mi to zrobić. Bo

ma jakiś plan. Sam to zresztą przyznałeś. Więc może w takim razie sprawa morderstw w parku też należy do jego planu, a rozwiązanie tej zagadki doprowadzi nas do niego.

Potrząsnął gniewnie głową.

– To się nie trzyma kupy.

– Zanim poszedł do tego jaguara – Susan zniżyła głos do szeptu – powiedział mi, że zawsze pamięta się pierwsze zwłoki znalezione w parku. Dokładnie tych słów użył: zawsze pamięta się pierwszy papieros, pierwszy pocałunek i pierwsze zwłoki znalezione w parku. No i co? – parsknęła. – Może twoim zdaniem to miała być jakaś przenośnia? Nie, on chciał, żebym zbadała te morderstwa. A wszystkie ofiary coś łączy z senatorem Scheerem.

Henry zatrzymał się przed samymi drzwiami, z ręką na klamce. Wysunął szczękę i poruszył nią, przyglądając się dziennikarce.

Susan była całkiem pewna, że masywny detektyw nie darzy jej wielką sympatią. Jednak z drugiej strony potrzebna jej była jego pomoc i miała dziwne przeczucie, że Archie życzyłby sobie, żeby poprosiła go o wsparcie.

– Dlaczego nie wspomniałaś o tym wcześniej? – zapytał Henry po chwili.

– Bo nie wiem, czy dobrze kombinuję – wyznała szczerze. – Ale skoro nie mamy żadnych innych tropów, więc to chyba i tak wszystko jedno, co?

Wysunął szczękę jeszcze odrobinę dalej.

– Fakt, że lubię poniewierać małolatów... – mruknął wreszcie. Susan uśmiechnęła się szeroko, czując przyływ niesamowitej ulgi.

– To niezła frajda – przytaknęła.

Wielki ceglany gmach liceum Cleveland High tchnął spokojem. Na parkingu stało tylko kilka samochodów, a główne wejście wciąż jeszcze ocieniał rozstawiany płócienny dach z napisem GRATULACJE DLA ABSOLWENTÓW.

Henry wprowadził samochód na parking po drugiej stronie ulicy i zatrzymał się na miejscu wyznaczonym dla gości szkoły. Wysiedli.

– Powiesz, że to sytuacja nadzwyczajna, tak? – upewniła się Susan, oczyma duszy już widząc, jak wpadają z hukiem do szkolnego sekretariatu, a Henry dramatycznym gestem rzuca odznakę na biurko sekretarki. – Że musimy natychmiast z nim porozmawiać? Że prowadzimy śledztwo?

Obejrzała się i nagle, około dziesięciu metrów dalej, zauważyła pomarańczowe bmw, z którego właśnie wysiadał młody, przystojny blondyn z plecakiem w dłoni. Kudłate włosy nosił związane w króciutki kucyk. Obszerne szorty zwisały mu nisko na biodrach. Na ich widok chłopak stanął jak wryty.

– To on? – zapytał Henry. Susan skinęła głową.

Detektyw podszedł prosto do Justina Johnsona.

– Ta pani chce z tobą porozmawiać. Sytuacja nadzwyczajna. Prowadzimy śledztwo.

No to sobie powpadaliśmy z hukiem do sekretariatu, westchnęła w myślach dziennikarka.

– Dzięki – mruknęła do Henry'ego.

Chłopak rzucił na nią okiem i natychmiast się skulił. I wzdrygnął.

– Kurde... – sapnął. – Pani to chyba nie rozumie, jak ktoś mówi „nie”.

Susan zbliżyła się do niego.

– Kto ci zabronił rozmawiać ze mną?

– Niech pani sobie przejrzy gazety – odparł J. J. – Senator nie żyje. –
Zarzucił plecak na ramię. – Czas sobie odpuścić.

Henry nabrał głęboko powietrza, a twarz mu pociemniała. Wyprostował się, wypiął pierś.

– Posłuchaj mnie, syneczku bogatych rodziców – wycodził, stając chłopakowi na drodze. – Nie jestem dzisiaj w nastroju, więc dobrze ci radzę, nie podskakuj. Odpowiedz pani.

– To jest przemoc – zaprotestował J. J.

– Mam ci przeszukać kieszenie, mądralo? – zapytał Henry. – Bo coś mi tu śmierdzi marychą. A ja, kiedy czuję ten zapach, to muszę znaleźć jego źródło i zdarza mi się po drodze podeptać prawa obywatelskie. Wypełniłeś już pewnie parę formularzy dla kandydata na uniwersytet. A pamiętasz tam taki punkt: „Czy był pan kiedykolwiek aresztowany pod zarzutem popełnienia przestępstwa?”. Miałbyś od cholery zawracania głowy, żeby teraz to wszystko pozmienić, co?

Justin przygryzł wargę, a po chwili wzruszył ramionami.

– Były facet mojej mamy – powiedział, patrząc na Susan. – On mi zakazał rozmawiać z panią. Kiedyś był szefem policji i wciąż mu się wydaje, że jest gliniarzem.

Henry obejrzał się na dziennikarkę, a potem znów na chłopaka.

– Burmistrz Anderson? – zapytał z niedowierzaniem.

– On. – J. J. znowu wzruszył ramionami, przerzucając plecak na drugie ramię. – Mogę już iść? Muszę zaliczyć osiem semestrów biologii, bo inaczej nie będę mógł skończyć szkoły.

Odwrócił się i chciał odejść, ale Susan jeszcze go zatrzymała.

– Znasz Stuarta Davisa i Annabelle Nixon? – spytała.

– A kto to?

– Davis pracował w biurze senatora Scheera – wyjaśniła. – Zaginął niecałe dwa lata temu. Pisali o tym w „Heraldzie”.

Justin przełożył wolną rękę przez drugi pasek plecaka, poprawił go na ramionach i ruszył w stronę szkoły.

– Odkąd Aidana Scheera posłali do prywatnego liceum w Andover, nie widziałem się z nim ani razu. Z jego tatą – senatorem też nie. A „Heralda” nie czytam w ogóle – dodał. – U nas się prenumeruje „New York Timesa”.

– Co to za Davis i Nixon? – zapytał Henry, kiedy chłopak oddalił się już na tyle, że nie mógł ich usłyszeć.

– Facet z laboratorium medycyny sądowej powiedział, że zwłoki z parku należały do mężczyzny i kobiety. Byli w wieku tych dwojga i umarli mniej więcej wtedy, kiedy tamci zaginęli.

Henry wziął się rękami pod boki.

– A kiedy zamierzałaś mnie o tym poinformować? ‘

– Sama dopiero co się dowiedziałam – odparła. Detektyw ruszył z powrotem w kierunku samochodu.

– W archiwum zaginionych osób znajdują się próbki DNA. Sprawdzę to, choćby tylko po to, żeby przygasić ten twój dziennikarski zapał.

– Dlaczego burmistrz zabronił Justinowi rozmawiać ze mną? – zastanowiła się na głos, doganiając go.

– Może to miała być tylko dobra rada – odparł Henry. – Może chciał chronić znajomą rodzinę przed plotkami, a chłopaka przed oskarżeniami. Gdyby się okazało, że wiedział o popełnieniu przestępstwa i tego nie

zgłosił, nie wyglądałoby to najlepiej.

Susan wsiadła do samochodu. Pokryte sztucznym tworzywem siedzenia zdążyły się już mocno nagrzać.

– Nie podoba mi się ten facet – oznajmiła. Henry włączył silnik i wyprowadził wóz z parkingu.

– Koleś Anderson? Archie wiele mu zawdzięcza. Przez ostatnie dwa lata był pod jego opieką i ochroną.

Susan opuściła szybę po swojej stronie. Powietrze było gorące i suche. Dzień zapowiadał się upalny.

– Jasne – prychnęła. – Chronił go i bronił. I patrz teraz, jak świetnie mu wyszło.

A po chwili, kiedy już dotarło do niej, że ten sarkazm jest absolutnie nie na miejscu, musiała dodać jeszcze jedno słowo:

– Przepraszam.

Henry przystanął przed drzwiami do apartamentu Debbie Sheridan. Odczekał chwilę, żeby się pozbierać. Krew w żyłach tętniła mu mocno, pobudzona wysiłkiem, jakim okazało się sforsowanie kordonu kilkunastu dziennikarzy oblegających klub Arlington od frontu. Ich złośliwa radość z tego, że wpadł im w łapy taki tłusty kąsek, była wręcz namacalna. Cholerne pijawki. Henry wysadził Susan przy jej samochodzie, a dosłownie chwilę później odebrał telefon z policyjnego schroniska dla zwierząt. Bill, pudel trzymany pod obserwacją, zrobił kupę. W kupie natomiast znaleziono pierścień absolwentki liceum Benson High z datą tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt siedem. Henry zadzwonił do szkoły i potwierdził podejrzenia Susan Ward: Annabelle Nixon ukończyła Bensona dokładnie w tym roku. Potarł dłonią swoją łysą głowę, pokrytą ostrą szczecina, ścisnął palcami grzbiet nosa. Potrzebna mu była chwila czasu, żeby przetrwać tę nową informację. Oczy piekły go z niewyspania. Organizm domagał się kawy. W brzuchu burczało, a usta wykrzywiały gorzki smak. Tymczasem dzień najwyraźniej szykował się do bicia rocznego rekordu temperatury. Dziesiąta rano, a koszulka już ciemna od potu.

Jeśli znajdę Archiego na czas, obiecał sobie Henry, to tak mu przywalę, że się nakryje nogami.

– Kurwa – mruknął pod nosem. Po chwili opuścił rękę i zamrugał kilka razy oczami, przywołując na twarz wyraz ożywienia w połączeniu z optymizmem.

Zastukał do drzwi, raz, drugi.

– To ja – powiedział głośno.

Otworzył mu jakiś mundurowy policjant. Nigdzie nie było widać Bennetta.

Na kanapie, czyli dokładnie w tym samym miejscu, gdzie Henry zostawił go, wychodząc, siedział burmistrz Portland. Towarzyszył mu asystent; razem wpatrywali się w monitor laptopa ustawionego na niskim stoliku. Koleś Anderson z całą pewnością nie spał minionej nocy zbyt długo, ale w niepojęty sposób sprawiał wrażenie zupełnie wypoczętego.

– W końcu usnęli, cała trójka – powiedział, wskazując kolejno drzwi do obu sypialni.

– Dzięki, że z nimi zostałeś. – Henry zamknął za sobą drzwi.

– Co nowego? – zapytał burmistrz. Detektyw zerknął na policjanta i asystenta.

– Możemy porozmawiać w cztery oczy? – poprosił. Koleś Anderson zmarszczył brwi.

– Przygotowuję w tej chwili oświadczenie dla prasy. Ma przyjechać Brian Williams.

– To potrwa tylko chwilę – obiecał Henry.

Wydało mu się, że dostrzegł w oczach burmistrza błysk rozdrażnienia, • który jednak zgasł już w następnej chwili. Koleś wzruszył ramionami.

– Nie ma sprawy, stary. – Uśmiechnął się do swojego asystenta. – Zostaw nas na chwilę, co?

Asystent wstał z kanapy i wyszedł razem z policjantem. W drzwiach odwrócił się jeszcze.

– Poczekamy na korytarzu, panie burmistrzu – powiedział.

– Dziękuję, Jack – powiedział Anderson. – Bardzo mi się podoba ten

twój tekst dla prasy. Naprawdę.

Jack niemalże spłonął rumieńcem.

Kiedy już zostali sami, Henry podszedł do okna i wyjrzał na rozciągający się za nim park. Klimatyzacja działała jak należy, a mimo to czuło się skwar napierający na szybę. Na dole, w pobliżu wjazdu zaopatrzeniowego do klubu, widać było kilka furgonetek reporterskich. Henry zanotował sobie w pamięci, żeby zadzwonić i zgłosić je komu trzeba.

– Widywałeś się kiedyś z Beverly Overlook – zaczął, odwracając wzrok z powrotem na burmistrza.

Koleś Anderson splótł dłonie z tyłu głowy i odchylił się na oparcie kanapy.

– Boże, ile lat temu to było... – mruknął.

– Czy to ty doradziłeś jej synowi, aby nie rozmawiał z dziennikarką Susan Ward na temat Molly Palmer? – ciągnął dalej Henry.

– Owszem. Nie chciałem, żeby ich wplątano w bardzo nieprzyjemną historię.

Henry Sobol nigdy nie trzymał się blisko Kolesia Andersona. Archie znał go lepiej. Rzecz jasna, obaj pracowali pod jego komendą, na samym początku, kiedy to on dowodził grupą śledczą tropiącą Wirtuoza. Był to typ człowieka, który zawsze lubi mówić o sobie.

– Pracowałeś kiedyś dla senatora Scheera, prawda? – zapytał Henry. – Jako ochroniarz?

– Kiedy jeszcze byłem gliniarzem. – Koleś skinął głową. – Zanim powstała nasza grupa dochodzeniowa. To było dawno temu, stary.

– Znałeś tych dwoje, którzy zaginęli? Stuarta i Annabelle? Burmistrz

wzruszył lekceważąco ramionami.

– To było już nie za moich czasów. Znałem Stuarta. Przelotnie. Ludzie mówili, że szajba mu odbiła i zabił najpierw swoją dziewczynę, a potem sam się wykończył. Taka teoria krążyła. Policja nigdy nie znalazła zwłok, ale mnie zawsze coś mówiło, że zabrał ją do lasu i tam zamordował, a potem popełnił samobójstwo. To był mocno zestresowany dzieciak.

Teoria, pomyślał Henry. W sumie – całkiem niezła. Zaparkowali na Dwudziestej Trzeciej alei. Poszli do lasu. Był tylko jeden szkopuł: to właśnie ciało mężczyzny, a nie kobiety, wylądowało w rozdrabniarce do drewna. Więc może to była jej sprawka? Zabiła go i pozbyła się zwłok, ale nie mogła znieść świadomości swojej zbrodni, więc zaszyła się w zaroślach i odebrała sobie życie. A może to w ogóle nie była ta para? Może Stuart i Annabelle uciekli, wzięli potajemny ślub i dołączyli do Korpusu Pokoju? Może mieszkają teraz w Malezji, w ubogiej chatce?

– Wiedziałeś, że senator ma romans z opiekunką swoich dzieci? – zapytał Henry.

– Nie znałem żadnych szczegółów – odparł Koleś Anderson, bez chwili zawahania, bez choćby mrugnięcia okiem, stanowczo i zdecydowanie. – Jasne, coś mi się tam obilo o uszy przez te lata. Wszyscy słyszeli plotki – dodał znaczącym tonem. – Ale przysięgam: myślałem, że ta dziewczyna była starsza. Że to był zwykły grzeszek. Bardzo wielu polityków chodzi na boki. Tak to już jest i nic tego nie zmieni. – Odwinął rękaw koszuli i zapiął mankiet. – A ty nie powinienesz w tej chwili szukać Archiego? – zapytał.

Henry wciąż tkwił przy oknie. Pod klub zajechała kolejna dziennikarska furgonetka.

– Coś mi mówi, że właśnie w ten sposób go szukam – odparł, oglądając

się na burmistrza, który odwijął sobie drugi rękaw. – Kiedy się dowiedziałeś? Pytam przez ciekawość.

– Senator Scheer zwiększył wydatki na szkolnictwo o trzydzieści procent, objął pół miliona dzieci specjalnym programem ochrony zdrowia, stworzył nowy model opieki nad osobami starszymi oraz rezerwy przyrody o łącznej powierzchni ponad czterystu tysięcy hektarów – oznajmił Koleś Anderson, zapinając sobie drugi mankiet. Skończył, uniósł wzrok na Henry’ego. – To był wspaniały senator, a także wielki człowiek. I taki, nie inny, pozostanie w mojej pamięci.

Przez chwilę patrzyli sobie twardo w oczy. Było powszechnie wiadomo, że Scheer dwa z pięciu swoich zwycięstw wyborczych zawdzięczał minimalnej większości głosów, najniższej w całej historii stanu. Mimo to od czasu jego tragicznej śmierci każdy, kogo tylko Henry spotkał, twierdził z pełnym przekonaniem, że zawsze głosował na niego i na nikogo innego.

Detektyw odwrócił wzrok, znów wyjrzał przez okno.

– Zostanę tutaj trochę – powiedział, powoli odmierzając słowa. – Możesz iść.

Słyszał, jak Koleś Anderson zamyka laptopa, a chwilę później dobiegło go szuranie drogich butów na dywanie i szcęk zamykanych drzwi. Henry zdawał sobie sprawę, że ten człowiek to kombinator pierwszej wody, a do tego polityk z gatunku niezatapialnych; nie miał nawet cienia wątpliwości, że celowo zabronił Justinowi Johnsonowi rozmawiać z Susan. Był również całkiem pewien, że burmistrz nie mówił prawdy, pytany o to, co wiedział i kiedy się tego dowiedział. Tylko w jaki sposób stare plotki na temat polityków, nawet jeśli dotyczyły karalnych wykroczeń, mogły pomóc w

poszukiwaniach Archiego?

Drzwi sypialni Sheridanów otworzyły się i stanęła w nich Debbie, ubrana w koszulę nocną na ramiączkach. Okryła swoje obsypane piegami ramiona hotelowym szlafrokiem i tak weszła do salonu. Jej krótkie włosy po jednej stronie głowy były przygniecione do skóry, a w poprzek policzka biegł odcisnięty ślad po szwie poduszki.

– Coś nowego? – zapytała.

– Nie – odparł Henry.

Debbie podeszła i oparła czoło o jego ramię, a on położył dłoń na jej karku. Nie płakała. Nawet nie drżała. Oddech miała równy i całkiem spokojny.

– Przyślę ci tutaj kogoś, żeby z tobą został – obiecał. – Burmistrz musiał wracać do pracy.

Debbie uniosła głowę. Z bliska dostrzegł zaczerwienione oczy.

– Mogę umyć u ciebie zęby? – poprosił. – Pożyczysz mi dezodorant?

Skinęła głową, wskazując drzwi do sypialni.

Wewnątrz panował półmrok i chłód. Na łóżku leżała pościel, a wgłębienie widniejące w poduszce zdradzało miejsce, gdzie chwilę wcześniej spoczywała głowa Debbie.

– Możesz się położyć – zaproponowała żona Archiego – i odpocząć, jeśli chcesz.

Henry szybko przeszedł do łazienki. Wziął szczoteczkę do zębów, której używał Archie, pochylił się nad umywalką.

– Muszę zaraz wracać – powiedział.

Po skończonej toalecie wrócił do sypialni, gdzie paliło się już światło. Na podłodze Henry zauważył kilka otwartych, do połowy rozpakowanych

walizek, a obok nich – kartonowe pudło, w którym stały trzy duże segregatory i leżało mnóstwo dziennikarskich notatników. Debbie, która przebrała się w dżinsy i Tshirt, siedziała na skraju łóżka.

– Co to? – Henry wskazał pudło.

– Materiały Susan Ward – odparła. – Na temat senatora Scheera.

Zerknął ponownie na pudło. To już było coś konkretnego. A w obecnej sytuacji wszystko mogło okazać się istotne.

– Mogę je zabrać? – zapytał.

– Możesz je nawet spalić, wedle życzenia – prychnęła. – Mam to gdzieś.

Henry podszedł, przystanął obok niej i pochylił się, żeby podnieść pudło z podłogi. Nagle poczuł jej dłoń na ramieniu i odwrócił głowę.

– Chcę jakoś pomóc – powiedziała. – Jeśli uważasz, że powinnam pokazać się w mediach... cokolwiek... to tylko powiedz. Mogę go poprosić w telewizji, żeby wrócił.

– Nie sądzę, żeby to coś dało.

– On sobie wymyślił jakąś misję samobójczą. – Debbie wreszcie odważyła się powiedzieć to na głos.

Henry odwrócił się szybko. Nie mógł na nią patrzeć. Wiedział, że gdyby lepiej się troszczył o Archiego, mógłby wszystkiemu zapobiec. Gdyby zmusił go do pójścia na terapię. Uciał widzenia z Gretchen. Bo ich wspólnym błędem okazała się zachłanność. Minęło bardzo wiele czasu, a tylu zaginionych wciąż czekało na odnalezienie.

– Wiem – przytaknął.

Archie pogładził Gretchen po włosach. Leżała przytulona do niego, opierając mu się policzkiem o bok. Słuchał z wielką czułością jej oddechów i tak samo czule przebiegał wzrokiem po jej piersi, wznoszącej się i opadającej tuż obok sklepienia jego żeber, i niżej, po łagodnej krągłości jej biodra. Wiedział jednak dobrze, że to tylko złudzenie wywołane seksem. Cała jego relacja z Gretchen była takim złudzeniem. Uniósł dłoń, gładząc jej włosy. Zauważył, że znów mu spuchła, więc zacisnął kilka razy pięść, żeby pobudzić krążenie, a potem znów zaczął głaskać Gretchen po głowie. Oddychała tak równo i spokojnie, że Archie zaczął się zastanawiać, czy naprawdę śpi.

Mógłbym ją w tej chwili zabić, przemknęło mu przez myśl. Zakryć jej twarz poduszką i udusić.

Wyrywałyby się na pewno, ale on usiadłby na niej okrakiem i unieruchomił ciężarem ciała. Docisnąłby poduszkę z całej siły i trzymał, dopóki nie straciłaby na dobre przytomności, a potem zatkałby jej usta i nos, żeby dobić.

– O czym myślisz? – zapytała nagle Gretchen. Archie odchrząknął.

– Znaleźliśmy trzy ciała w Forest Parku – powiedział.

Odwróciła się, spojrzała na niego. Jego uroda wciąż go zaskakiwała, za każdym razem. Tak często wpatrywał się w jej zdjęcie, przywoływał jej twarz w myślach – a jednak nigdy nie był przygotowany na jej widok, jej rzeczywistą obecność.

– Moim zdaniem senator Scheer został zamordowany i ktoś próbuje to zatuszować.

Gretchen uśmiechnęła się sennie.

– Mówiłam ci już, że niewydolność wątroby często wywołuje chaos myślowy?

– Piętnaście lat temu Scheer wdał się w kompromitujący romans z czternastoletnią dziewczyną. Susan Ward napisała o tym artykuł i była o krok od wydania go drukiem. W zeszłym tygodniu ktoś zabił tę dziewczynę i porzucił jej ciało właśnie tam, w Forest Parku. – Umilkł, zastanawiając się, czy dodać ostatnią informację, ale po chwili dokończył: – Niedaleko miejsca, gdzie ty zostawiłaś Heather Gerber.

Ani senatorska tajemnica, ani nazwisko Heather nie speszyły Gretchen.

– Kto będzie miał korzyść z zatuszowania faktów? – zapytała.

– Rzecznik prasowy senatora? – zaśmiał się oschle Archie. Gretchen usiadła na posłaniu, przesuając się na skraj łóżka.

Ruchy miała powolne. Była ciężko poturbowana i posiniaczona, ale dopiero teraz dała po sobie poznać, że coś ją boli.

– Jego rzecznik prasowy byłby zachwycony, gdyby to wyszło na jaw – powiedziała. – Pamiętaj, że oni pracują na godziny.

– Ty nie miałaś żadnej korzyści z mordowania ludzi – zauważył Archie.

Gretchen wstała i podeszła do komody, na której stała butelka z tabletkami.

– Morderstwa przynoszą mi satysfakcję emocjonalną – wyjaśniła, wracając do łóżka i wyciągając się na boku tuż obok niego. – Tutaj chodzi o władzę. – Otworzyła butelkę i wytrząsnęła mu prosto na pierś pięć pigułek. – Poczucie władzy to wielka przyjemność. Z tego samego powodu ludzie biorą narkotyki. Możesz im prawić kazania o odpowiedzialności wobec społeczeństwa, ale w gruncie rzeczy ludzie

biorą, bo to lubią. Sprawia im to przyjemność.

Ułożyła tabletki na jego piersi w prostą, równą kreskę, która poruszała się w rytm jego oddechów.

– A seks? – zapytał Archie.

– Seks ma bardzo wiele wspólnego z władzą – odparła, chwytając pierwszą tabletkę w zęby i podając mu do ust. Przyjął ją w krótkim pocałunku; vicodin zawisł pomiędzy jego wargami a jej.

– Połknij – szepnęła.

Archie pozwolił pigułce spaść do ust i dalej, do gardła. Przełknął. Byłoby łatwiej, gdyby miał czym popić, ale nie chciał prosić, bo wtedy musiałby zostać sam, bez niej.

– Czy twój ojciec naprawdę z tobą sypiał? – zapytał. Mówiła mu o tym poprzednim razem, kiedy więziła go w piwnicy, a on bardzo chciał w to uwierzyć. Bo tak na dobrą sprawę policja nie wiedziała o niej niczego. Jej odcisków palców nie było w żadnej bazie danych. Nazwisko Gretchen Lowell nosiło wiele kobiet, ale żadna nie pasowała do jej rysopisu. Najprawdopodobniej była to zmyślona tożsamość. Wszystkie gazety w Ameryce drukowały jej zdjęcia, a mimo to nikt nigdy nie zgłosił się na policję z informacjami na temat jej przeszłości. Jak sama zeznała, skończyła trzydzieści cztery lata. Należało się jednak spodziewać, że to również mogło być kłamstwo.

Gretchen uśmiechnęła się, słysząc to pytanie.

– Nie – odpowiedziała. „ – Ale chciałeś to usłyszeć, prawda? – Zabrała dłoń z piersi Archiego, gdzie leżały tabletki, wędrując palcami w dół, po brzuchu. Zatrzymała się dopiero w pachwinie, biorąc do ręki jego jądra. – Chciałeś zrzucić odpowiedzialność na mężczyznę. – Trąciła nosem jego

szyję. – Dlaczego kobiety mordują ludzi? – szepnęła. – To na pewno wina złego chłopaka, ojca albo męża. Przecież same z siebie nie są do tego zdolne.

– Jesteś psychopatkąfeministką, jak widzę – zauważył.

– Betty Friedan* [Betty Friedan – amerykańska działaczka feministyczna, autorka książek oraz założycielka (1966 r.) Krajowej Organizacji Kobiet, największej amerykańskiej organizacji feministycznej (przyp. tłum.)] wśród seryjnych morderczyń – przytaknęła. Wypuściła z dłoni jego mosznę, przesuwając rękę nieco w górę, aby popieścić członkiem kciukiem i palcem wskazującym. Drugą ręką podniosła z piersi Archiego kolejną tabletkę i wsunęła mu ją do ust.

– Połknij – powiedziała.

Udało mu się, chociaż ledwie starczyło śliny, którą miał w ustach.

– Jeśli morderca będzie chciał utracić artykuł – Gretchen uniosła rękę do ust, zwilżając dłoń językiem – to jego następną ofiarą padnie Susan Ward.

Archie zaczął oddychać szybciej; żar bijący z lędźwi rozlał się po całym ciele, aż po szyję.

– Skąd wiesz, że morderca to mężczyzna? – zapytał. Przesunęła wilgotną dłonią po jego sztywnym członku.

– Kobiety nie są zdolne do morderstwa, kochany – zamruczała. – Przecież wiesz.

Nadchodził czas, aby zacząć realizować przygotowany plan. Gretchen nie wiedziała jeszcze, że nie opuści tego domu jako wolna kobieta. Natomiast Archie, gdyby wszystko poszło tak, jak sobie założył, miał go już nigdy nie opuścić. Chyba że nogami do przodu.

A Susan będzie bezpieczna pod opieką Henry'ego.

Gretchen podała mu po kolei trzy pozostałe tabletki, a następnie uniosła się i powędrowała wargami po jego ciele, muskając skórę na piersi, potem na brzuchu, aż dotarła do krocza. Trąciła koniuszkiem języka grzbiet członka Archiego i powiodła nim dookoła główki, aby nareszcie wziąć go całego do ust i powoli, nieznacznie powoli, przesuwać po nim wargami. Sheridan oddychał już bardzo szybko, a serce waliło mu jak oszalałe. Twarz oblała się rumieńcem, a na górną wargę wystąpił pot, słodki i lodowaty. Opuścił rękę i znalazł dłonią jej głowę, gładząc palcami śliskie blond włosy.

Nie zostało mu już nic do stracenia. Skoro i tak miał zgrzeszyć, to mógł chociaż mieć z tego przyjemność.

Zaplątał palce w jej włosy i zmusił, aby poruszała głową w jego własnym rytmie. Ani na chwilę nie odrywał wzroku od twarzy Gretchen: jej oczy łzawiły, policzki płonęły, a w kącikach ust pobłyskiwały strużki śliny. Patrzył, jak bierze go w siebie raz za razem, a kiedy jej opadające włosy zasłaniały mu widok, odsuwał je na bok, żeby widzieć jej wargi, widzieć ze wszystkimi szczegółami, jak to on, on sam, pieprzy tę kobietę. Nienawidził jej i kochał zarazem. Kiedy zaczął szczytować, Gretchen chciała unieść głowę, ale Archie nie wypuścił z garści jej włosów, trzymał ją mocno.

– Połknij – powiedział.

Susan wybrała pocztę ze skrzynki: znalazła tam jeden numer „The Nation”, ulotkę informacyjną od zarządu spółdzielni mieszkaniowej oraz paczkę naklejek z wydrukowanym adresem Amerykańskiego Zrzeszenia na rzecz Swobód Obywatelskich. Rzuciła to wszystko na stolik obok drzwi, razem z kluczami. W domu jej matki panowała koszmarna duchota. Wszystkie okna były pozamykane na głucho. Tak trzeba było robić w ciągu dnia. Nie było innego sposobu na upał, jak tylko zamykać i zasłaniać okna aż do zmierzchu; kiedy słońce zaszło, otwierało się je wszystkie na oścież i modliło o najłżejszy powiew wiatru. Susan nie umiała sobie wyobrazić, w jaki sposób ludzie z epoki wiktoriańskiej żyli w takich domach.

Oczy piekły ją nieznośnie z przemęczenia. Potrzebowała kilku godzin snu; tyle w zupełności wystarczyło, żeby mogła wrócić do pracy. Poszła na piętro, do pokoju Bliss, nie zamierzając spać w cholernym hamaku, jeśli naprawdę nie musiała. Pokój jej matki był pomalowany na czerwono i stało w nim prawdopodobnie ostatnie łóżko wodne w mieście Portland. Susan włączyła wiatraczek na komodzie, chcąc poruszyć zastale powietrze.

Od wielu lat nie zdarzyło jej się nie zmrużyć oka przez całą noc; zapomniała już, jak człowiek się wtedy czuje. Ona osobiście miała potworne mdłości. Wyciągnęła się na wznak na łóżku Bliss, ale zwariowane bujanie wody wtłoczonej pod plastikową powłokę zemdlilo ją jeszcze bardziej. Poleżała tam jeszcze przez chwilę; za każdym razem, kiedy próbowała zmienić pozycję, materac falował jak morze podczas

przyływu. Rozbolała ją od tego głowa, jakby do kompletu. Równie dobrze mogłaby ją włożyć w imadło.

Pozostało więc tylko jedno wyjście: kąpiel. Susan rzuciła okiem na zegarek. Dochodziła jedenasta rano.

Wstała z wodnego łóżka i poszła do łazienki, gdzie odkręciła kran nad masywną żeliwną wanną. Do chłodnej wody dołała sobie hojną ręką eukaliptusowego płynu do kąpieli, z bąbelkami. Wzdłuż krawędzi wanny stał długi rząd świeczek o różnych kolorach i zapachach; Bliss dobierała je bardzo starannie, tak aby każda kąpiel była niezapomnianym przeżyciem.

Susan pstryknęła zapalniczką, przykładając ją do knota jednej ze świeczek. Przez chwilę płonął jasno, potem zgasł. Spróbowała jeszcze raz. Znowu zgasł. Kolejna świeczka – to samo. Sfrustrowana, pozwoliła sobie na zniecierpliwiony jęk. Cała Bliss: świeczki, oczywiście, trzeba kupić w najtańszym sklepie z towarami z importu. Przez chwilę stała w miejscu, wpatrując się w trzymaną w palcach zapalniczkę, a potem rzuciła ją obok którejś świeczki, kwitując całe zajście wzruszeniem ramion.

Przyjemnie było zrzucić z siebie ubranie, w którym chodziło się przez bite dwadzieścia cztery godziny. Upchnęła brudne rzeczy w koszu z Gwatemali, którego jej matka używała w charakterze pojemnika na pranie. Głowa pękała jej z bólu. Nawet oczy zaczęły dotkliwie pulsować. Zrozumiała, że to nie tylko brak snu, ale po prostu stres: śmierć Parkera, zniknięcie Archiego Sheridana. Nie wolno tak się wszystkim przejmować. Tak sobą orać. W tym stanie nikomu nie mogła pomóc, nikt nie miałby z niej pożytku.

Weszła do wanny, zanurzając się powoli w chłodnej wodzie. Ogarnął ją miły mentolowy aromat eukaliptusowego płynu do kąpieli. Kiedy

przyglądała się swoim stopom (odprysnięty lakier na paznokciach), nagle usłyszała brzęczenie pszczoły, która przeleciała jej nad głową i usiadła na umywalce. Rzecz była dziwna, bo dom stał zamknięty przez całe dwa dni, więc żadna pszczoła nie mogła się dostać do środka. Susan oparła głowę na krawędzi wanny, zastanawiając się nad tym niecodziennym zjawiskiem, ale w tym momencie pszczoła zrobiła kolejną dziwną rzecz: śmignęła wysoko, zatoczyła brzęczące koło, a potem ni z tego, ni z owego zatrzymała się w powietrzu i spadła na podłogę.

Susan usiadła prosto. Wyjrzała z wanny. Bliss pomalowała podłogę w łazience na lazururowo, a teraz, na tych błękitnych deskach, niczym samotną łódź pośrodku morza, dziennikarka dostrzegła pręgowanego owada. Pszczoła leżała na grzbiecie, a odnóża sterczały jej sztywno do góry. Była martwa.

Dziewczynę chwyciły nagle zawroty głowy. Przez chwilę wyleciało jej zupełnie z pamięci, co w ogóle robi w tym miejscu, po co wróciła do domu. Archie Sheridan zaginął. Trzeba było wracać do kwatery grupy śledczej. Znaleźć Henry'ego.

Gdzie moja matka, pomyślała Susan.

Przyjrzała się martwej pszczole, przypominając sobie, jak kiedyś pisała artykuł o pięcioosobowej rodzinie z Lake Oswego, która o mały włos nie zginęła w wyniku zatrucia czadem. Czad nie ma zapachu ani smaku. Najpierw zdechły im domowe zwierzęta: chomik i ptaszek w klatce. Widząc to, matka miała na tyle rozumu, żeby wyprowadzić całą rodzinę z domu. Policjanci mówili potem, że jeszcze pół godziny i wszyscy by umarli.

Susan zerwała się na równe nogi i wyszła z wanny, chlapiąc po całej

podłódze pianą ściekającą z jej nagiej skóry. Nie zdążyła zrobić nawet jednego kroku, bo natychmiast się poślizgnęła i runęła jak długa, waląc twarzą o kant umywalki. Ból i wstrząs otrzeźwiły ją i rozjaśniły w głowie; chwyciła ręcznik i owinąwszy się nim, puściła się pędem na dół.

Wyjdź z domu. Musiała powtarzać to sobie raz po raz, bo jeśli tego nie robiła, momentalnie nachodziła ją senność. Zaczynała myśleć o tym, jak cudownie byłoby zamknąć na chwilę oczy: wyjść z domu zawsze zdążę, zrobię to, jak się obudzę. Wiedziała jednak, że jeśli ulegnie tej pokusie, to nie obudzi się już nigdy.

Wyjdź z domu.

Nagle dotarło do niej, że zgubiła gdzieś ręcznik. Nie wiedziała kiedy. Musiał się zsunąć. Nie zatrzymała się jednak, pędziła dalej po schodach, w dół, zataczając się, z twarzą zalaną łzami. Nie, to nie były łzy. To była krew. Uderzając o umywalkę, rozcięła sobie skórę. Rana krwawiła, krew spływała do ust; jej miedziany smak był słodki i cierpki zarazem.

Dotarłszy do drzwi wejściowych, zobaczyła przez szybę, że ktoś stoi na zewnątrz. Dopiero po chwili rozpoznała człowieka, ponieważ po raz pierwszy widziała go bez munduru: to był posterunkowy Bennett, ten z Arlingtona, jej opiekun, specjalnie przydzielony ochroniarz.

Przyjechał jej na ratunek.

Chwyciła za gałkę w drzwiach, ale ta nie dała się przekreślić. Drzwi zamknięto na klucz. Susan była uwięziona w domu. Pokazała gestem Bennettowi, że gałka się zacięła, prosząc, żeby ją uwolnił.

Ale on ani drgnął.

Susan znów złapała za gałkę, ale zimny metal nie uległ. Zasuwka była we właściwej pozycji, więc drzwi powinny się otwierać. Zabębniła

pięciami w szybę, pozostawiając na niej mokre ślady.

– Pszczoła nie żyje! – krzyknęła.

Bennett nie zareagował; dalej stał jak słup soli, nie spuszczać z niej nieruchomego wzroku, a potem uniósł rękę i pokazał Susan klucze, jej własne klucze od domu. Dzień był piękny i słoneczny, a za plecami policjanta dziennikarka dostrzegła błękitne niebo bez jednej chmurki. Na werandzie stała glazurowana donica, w której jej matka hodowała bambus, a obok – ulubiony rododendron Susan, obsypany szkarłatnymi kwiatami.

Chwyciły ją nagle zawroty głowy, takie same (przypomniła sobie, nie wiedzieć czemu) jak kiedyś na studiach, gdy zjadła na imprezie u znajomych za dużo ciastek z marihuaną i odpłynęła, oparta o puf. Spała długo, z twarzą na dłoni, a kiedy się obudziła, miała na policzku odcisniętą bransoletkę od zegarka. Z tą myślą zaczęła osuwać się na podłogę.

Miałam coś zrobić, błysnęło jej jeszcze. Aha. Wyjść z domu.

Należało do kogoś zadzwonić, ale telefon stał za daleko.

Z tego mętliku wyrwał ją jakiś hałas, a kiedy podniosła głowę, zobaczyła twarz Bennetta przyciśniętą do szyby w drzwiach. Oczy miał zamknięte i wyglądał jak dzieciak, który się wygłupia.

Trwał tak przez chwilę, a potem zsunął się po szybie i zniknął jej z oczu. Susan usłyszała jeszcze, jak jego ciało wali się z łomotem na drewnianą podłogę werandy.

Drzwi stanęły otworem. Ktoś podniósł ją z podłogi i wyprowadził z domu. Poczowała pod stopami próg, o który boleśnie uderzyła piętami, potem schodki prowadzące na podwórze i wreszcie trawę, chłodną i miękką. Ogarnęła ją radość: teraz można było w końcu zasnąć. Położyła się na ziemi, uniosła wzrok i zobaczyła swoją matkę.

– Cześć, mamó – wymamrotała sennym głosem.

– Przywalałam mu Buddą – oznajmiła Bliss.

Susan wielkim wysiłkiem woli otrząsnęła się ze snu. Oddychaj, rozkazała sobie. Jej pierś, wypełniona tlenem, uniosła się, a w głowie rozjaśniało się odrobinę z każdym kolejnym wdechem.

– Jezu, mamó... – wykrztusiła wreszcie – zabiłaś gliniarza. Zacisnęła powieki.

– Dzwon po pogotowie i straż pożarną – rozkazała. – I do Henry’ego. Tylko nie wchodzić do domu. Tam się ulatnia czad. To Bennett. Zamknął mnie w środku.

– Nie mam komórki – odparła Bliss.

Matka Susan nie była dobra w rozwiązywaniu problemów. Brak telefonu komórkowego stałby się dla niej przeszkodą nie do pokonania, grożącą wielogodzinnym zawieszeniem wszelkich działań. A czasu było mało. Susan uniosła się i chwyciła Bliss za klapy poliestrowej marynarki w tureckie wzory.

– To idź, kurwa, do sąsiadów – wydyszała.

A potem ułożyła się z powrotem na trawie i pogrążyła w otchłani nieprzytomności.

Gdy Susan się ocknęła, miała na twarzy maskę tlenową i doglądało jej dwóch ratowników paramedycznych. Po niebie sunęła strzępiasta chmura podobna do zajęcia. Susan odwróciła głowę i zwymiotowała na trawę.

– Przepraszam – powiedziała, oglądając się na ratowników. Obok przeszedł mundurowy policjant, niosąc posążek Buddy w dużej plastikowej torbie na dowody. Za nim dreptała Bliss.

– Zwróćcie mi go, prawda? – dopytywała się.

Nad Susan zawisała zwałista sylwetka Henry’ego. Detektyw przykucnął; kolana strzeliły mu głośno, a nogawki czarnych dżinsów podjechały do góry, ukazując w całej krasie amerykańskie orły wytłoczone na jego nieodłącznych kowbojkach.

– Lepiej ci już? – zapytał. Ściągnęła maskę.

– Co z tamtym? Nie żyje?

– Nieprzytomny.

Susan poczuła falę ulgi, która błyskawicznie zakręciła jej w głowie. Więc jednak jej matka nie zabiła policjanta.

– Bliss opowiedziała ci, co się stało? – Kiedy mówiła, jeden z ratowników założył jej maskę z powrotem; plastik stłumił słowa.

Henry potarł sobie kark.

– Powiedziała, że wybrała się do domu, żeby sprawdzić, co się dzieje z waszą kozą. Zobaczyła, jak dobijasz się do drzwi od wewnątrz. Byłaś goła. Bennett stał na werandzie. – Obejrzał się na Bliss, która kilka kroków dalej wyklócała się z policjantem trzymającym posążek Buddy. Uniósł brew. – Uznała, że on ci zagraża, więc mu przywaliła.

Za plecami Henry'ego przemaszerował kolejny policjant, znikając w drzwiach domu. Susan napięła mięśnie, próbując usiąść.

– W środku chyba ulatniał się czad – stęknęła.

– Owszem – przytaknął Henry. – Piec w piwnicy był nieszczelny. Wyłączyliśmy go.

Susan opadła z powrotem na trawę. Od poruszania się dostała zawrotów głowy. Przez dłuższą chwilę wdychała tlen, nie mówiąc ani słowa. Szukała logiki w ostatnich wydarzeniach. To wszystko nie miało najmniejszego sensu. Kiedy poczuła się już lepiej, znów zdjęła maskę.

– Przyjechałam do domu, żeby się zdrzemnąć – zaczęła opowiadać. – Nagle zrobiło mi się bardzo niedobrze, ale kiedy chciałam wyjść z domu, okazało się, że Bennett zamknął drzwi i nie chce mnie wypuścić. – Strzępiasta chmura zając rozmyła się, przybierając kształt, który nie kojarzył się już z niczym konkretnym. – Zabrał moje klucze. Nie mogłam otworzyć.

– Musiałaś go czymś konkretnie wkurzyć – podsumował Henry z kamienną twarzą.

– To nie jest zabawne – zwróciła mu uwagę.

Detektyw rozejrzał się dookoła, mierząc wzrokiem stojącą nieopodal karetkę, radiowozy, uwijających się policjantów. Susan wydawało się, że coś go niezwykle dziwi.

– Dlaczego Bennett usiłował cię zabić? – zapytał wreszcie.

– Nie wiem – odparła. – Ale naprawdę chciał to zrobić. Jestem pewna.

Henry potrząsnął głową.

– To mogła być Gretchen. – Obejrzał się na dom. – Ty i twoja matka od tej chwili jesteście znów pod całodobową ochroną. Nigdzie was nie ma

bez policyjnej eskorty. Zrozumiano?

W tej chwili do świadomości Susan przebił się nagle fakt, że leży na trawniku kompletnie naga, okryta zaledwie jednym kocem.

– Muszę się ubrać – jęknęła.

– Musisz jechać do szpitala – poprawił ją.

Nie ma mowy, pomyślała. Nie odeślesz mnie do szpitala. Nie zamkniesz pod kluczem. Nie teraz, kiedy tyle się dzieje.

– Muszę wracać do pracy – zaprotestowała. Henry uniósł dłoń do twarzy i dotknął palcem nosa.

– Masz złamany nos – poinformował ją.

W tym momencie zjawiała się Bliss. Susan nie mogła nie zauważyć świeżej czerwonej szminki na ustach matki. Bliss spojrzała na nią i skrzywiła się; górna warga wywinęła jej się z obrzydzenia. Matka Susan nigdy nie przepadała za widokiem krwi.

Umywalka, pomyślała dziennikarka. Złamałam nos o kant umywalki.

– W porządku – powiedziała Henry’emu. – Ale bez mojej torebki nigdzie się nie ruszę.

– Zaryzykuję życie policjanta – zgodził się bez namysłu. – Wyślę go zaraz do twojego domu, a on przyniesie ci torebkę.

– Dzięki. – Susan spojrzała na stojących w pobliżu ratowników. – Zabierzcie mnie do Emanuela.

Skoro już musiała jechać do szpitala, to do takiego, gdzie pracował lekarz, który leczył Archiego.

Ile miałeś lat, kiedy złamałeś sobie nos? – zapytała Gretchen, delikatnie przesuając jednym palcem po czole Archiego i grzbiecie jego nosa. Leżeli razem na łóżku: on na wznak, ona na boku. Dopiero co skończyli się kochać. Archie czuł się wyjątkowo osłabiony seksem, a dodatkowo zamroczony, z tym że inaczej niż po swoich tabletkach. Odurzenie lekami przypominało jasną mgiełkę, lekką i miękką. To doznanie było mroczniejsze, niczym nieprzebita ciemność ścieląca się na skraju pola widzenia.

– Siedemnaście – odpowiedział na jej pytanie i wiedząc, jak będzie brzmiało następne, dodał od razu: – Wypadek samochodowy.

– Ktoś zginął? – chciała wiedzieć.

Archie nie rozmawiał z nikim na ten temat od tak dawna, że powiedział jej prawdę – co go bardzo zaskoczyło. Teraz nie miało to już jednak wielkiego znaczenia; zresztą, pomyślał, skoro pyta, to pewnie i tak zna odpowiedź, chociaż nie wiadomo skąd.

– Moja matka – wyznał. – Aha.

– Co: aha?

– Ty prowadziłeś – domyśliła się.

– Nie opowiadałem o tym nawet Henry’emu – mruknął. Nikomu o tym nie mówił. Tylko Debbie. Odkąd wyprowadził się z domu, nie rozmawiał o tamtym wydarzeniu z nikim innym. To był jego najpaskudniejszy sekret. Oprócz Gretchen.

– To ty spowodowałeś ten wypadek? – zapytała.

– Przegapiłem znak stopu.

Gretchen dotknęła jego twarzy. Wydało mu się, że robi to z czułości, jednak mogło się za tym kryć coś zupełnie innego.

– Ojciec pewnie nigdy ci nie wybaczył – powiedziała. Odkąd opuścił dom rodzinny, Archie nie widział się z ojcem ani razu.

– Nigdy – przyznał.

Przez chwilę leżeli w milczeniu, a Archie obserwował wirujące cienie rzucane przez łopaty wentylatora.

– Moja matka umarła, kiedy miałam czternaście lat – odezwała się w końcu Gretchen.

Ciekawe, czy to prawda, pomyślał.

– Zabiłaś ją? – zapytał.

– Nie. – Uniosła się na łokciu, spojrzała na niego. Wyglądała na zmartwioną: brwi marszczyły jej się lekko na samym środku. – Boisz się tego?

Wiedział, o co jej chodzi.

– Śmierci? W tej chwili już nie.

– W końcu zawsze okazuje się, że wszystko jest w porządku – powiedziała, biorąc Archiego za rękę. – Wszyscy wyglądają bardzo spokojnie. – Ucałowała kostki jego dłoni. – Ty też tak wyglądałeś.

– Mogło to mieć pewien związek z zakończeniem tortur – odparł, cofając rękę. Usiadł na łóżku, opuszczając bose stopy na podłogę. – Wstaję – poinformował ją. – Muszę iść do łazienki. A potem chcę coś zjeść.

To było kłamstwo, ale jeśli jego plan miał się powieść, trzeba było zwabić Gretchen do salonu.

Co pan mi zrobi? Proszę powtórzyć – zażądała Susan.

Zerwała z twarzy maskę tlenową, opuszczając ją na przód jaskrawozielonego kitla, który pożyczyła od jakiegoś pracownika szpitala im. Emanuela.

– Co pan zrobi? – zapytała jeszcze raz.

– Nastawię pani nos – odparł lekarz, który, była tego całkiem pewna, musiał mieć z osiemdziesiąt lat. Kiedy wszedł do gabinetu, gdzie dziennikarka czekała na pomoc, Susan pomyślała, że to jakiś dziadzio, który pracuje w szpitalnym kiosku z upominkami.

– Rękami? – Zrobiła wielkie oczy, przerażona nie na żarty.

– Tak. – Staruszek uniósł dłonie i zanim zdążyła zrobić jakikolwiek unik, chwycił ją za nos. Poczuła ból, błysnęło jej w oczach, jęknęła niezrozumiale – a lekarz równie nagle opuścił ręce.

– No, proszę – powiedział z miłym uśmiechem. – Nie było chyba aż tak źle, co?

Susan obmacała sobie twarz.

– Au – poskarżyła się.

– Pielęgniarka założy opatrunek stabilizujący na nos. I proszę do domu.

– A dostanę coś na ból? – zapytała. Staruszek poklepał ją po dłoni.

– Wystarczy lód i ibuprofen. Będzie pani zdrowa jak ryba. – Zerknął na Henry'ego, który uparł się jechać z nią i siedział teraz na krześle obok stołu do badań – To pani mąż?

– Nie – odpowiedzieli natychmiast jednym głosem. Lekarz obrócił się na pięcie i ruszył do drzwi.

– Kto się dzisiaj żeni? – rzucił, wychodząc na korytarz.

Pielęgniarka, która została w gabinecie, uśmiechnęła się lekko. Była to wysoka kobieta o ciemnych włosach spiętych spinkami i rysach, które wydawały się zbiegać ku środkowi twarzy.

– To doktor starej daty – usprawiedliwiła sędziwego laryngologa. – On nawet nie znieczula pacjentów.

Susan dotknęła nosa. Był obrzęknięty i cały pulsował przy najlżejszym muśnięciu palcami. Jej matka wróciła już do Arlingtona, w eskorcie dwóch policjantów; zresztą i tak nie przydałaby się na nic, bo bała się pogotowia. Susan nie była tylko pewna, czy tych dwóch policjantów dostało rozkaz ją ochraniać – czy aresztować.

Pielęgniarka zaczęła opatrywać jej nos gazikami mocowanymi za pomocą plastra.

Henry wstał z krzesła.

– Sprawdzę, co Bennetem – powiedział. – Nie wychodź stąd.

– Czy doktor Fergus dzisiaj pracuje? – zagadnęła Susan pielęgniarkę, kiedy tylko detektyw zniknął za drzwiami.

– Tak – potwierdziła. – Zna go pani?

Dziennikarka uśmiechnęła się słodko. Od tego uśmiechu rozboleła ją cała twarz.

– Jestem przyjaciółką rodziny – oznajmiła. – Czy może go pani poprosić, żeby mnie tutaj odwiedził?

Kiedy doktor Fergus wszedł do gabinetu, Susan, w masce tlenowej na twarzy, siedziała po turecku na stole do badań, czytając numer magazynu „People”. Lekarz wyglądał dokładnie tak samo jak podczas ich ostatniego spotkania, kiedy dziennikarka przeprowadzała z nim wywiad na potrzeby

swojej serii o Archiem Sheridanie. Te same siwiejące włosy, ostrzyżone krótko, na jeża. Ta sama przygarbiona sylwetka. I ta sama wyniosłość. Poprzednim razem zgodził się na współpracę z wielkim ociąganiem i dopiero po tym, jak Archie podpisał zgodę na ujawnienie dokumentacji lekarskiej.

Przez chwilę Fergus patrzył na Susan spod zmrużonych powiek; nie poznał jej, bo miała turkusowe włosy i zabandażowany nos. Potem pobladł lekko, a górna warga uniosła mu się nieco.

– Ach, to pani – powiedział.

Susan nie dała mu czasu, żeby mógł się ulotnić. Wiedziała, że Archie łykał mnóstwo tabletek, i zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie potrzebuje sobie ich dokupić. Gdyby to zrobił, można by go namierzyć. Zdjęła maskę, kładąc ją na kolanach.

– Lekarstwa, które bierze Archie – wypaliła. – Ma wystarczający zapas czy będzie musiał go uzupełnić?

Fergus westchnął, włożył ręce do kieszeni swojego białego fartucha.

– Nie wolno mi rozmawiać z panią o moim pacjencie.

– Grozi mu wielkie niebezpieczeństwo – wyjaśniła.

– Kontaktował się ze mną detektyw Sobol – odparował. – Zostanie on natychmiast powiadomiony, jeśli ktokolwiek spróbuje wykupić recepty Archiego.

– Aha – mruknęła Susan pod nosem. Można było się domyślić, że Henry przewidział już taką ewentualność.

Fergus odwrócił się do wyjścia.

– On jest chory, prawda? – zawołała za nim szybko.

Lekarz zamarł. Jego ramiona uniosły się i opadły. Susan miała

wrażenie, że coś powie, bo wyprostował się, jakby chciał zrzucić z piersi jakiś ciężar. Pochyliła się, gotowa wysłuchać każdego słowa.

– Radzę przyłożyć sobie lód – mruknął doktor Fergus.

Henry znalazł Claire w poczekalni na ostrym dyżurze. Filigranowa policjantka znalazła w ciągu dnia czas, żeby pojechać do domu i przebrać się w dżinsy, czerwone kowbojki i koszulkę z obrazkiem niedźwiedzia grizzly. Henry był zmęczony i czuł się brudny, a skóra na głowie swędziała go nieznośnie. Życzył sobie usłyszeć proste wyjaśnienie całego zajścia. Że czad ulatniał się przypadkowo. Że doszło do nieporozumienia. Że Bennettowi założą kilka szwów i wszystko będzie można obrócić w żart. Chciał usłyszeć coś takiego, żeby móc położyć się na kilka godzin do łóżka.

Claire stała pod wielkim znakiem z napisem *ZAKAZ UŻYWANIA TELEFONÓW KOMÓRKOWYCH* i rozmawiała z kimś przez komórkę. Widząc Henry'ego, szybko zakończyła rozmowę.

– Jak sprawy stoją? – zapytał.

– Bennetta zabrali na operację – odpowiedziała. – Pęknięta czaszka, odłamek wbił się w mózg: – Parsknęła kpiąco. – Ten Budda ważył swoje.

No to sobie pospałem, skrzywił się Henry w myślach.

– Przeżyje? – pytał dalej.

– Raczej tak. – Claire oparła dłonie na biodrach, potrząsnęła powoli głową. – To on zrobił to wszystko.

Henry uniósł brwi w niemym geście zapytania.

– Heil dzwonił przed chwilą – wyjaśniła. – Na piecu w piwnicy znaleźli odciski palców Bennetta. To on rozkręcił tamto ustrojstwo.

– Ustrojstwo? – nie zrozumiał Henry.

– Wiem, ten element ma pewnie jakąś mądrzejszą nazwę – zgodziła się.
– Tak czy inaczej, przy szczelnie pozamykanych oknach dom wypełnił się trującym gazem aż po dach. Gdyby Susan przyjechała parę godzin później, nie przeżyłaby tam nawet trzech minut.

Oczywiście, pomyślał Henry. Kiedy w sprawę jest zamieszana Susan Ward, to nie ma mowy o tym, żeby było prosto i z górki. Należało teraz odpowiedzieć sobie na pytanie: dlaczego Bennett chciał zabić dziennikarkę? Henry podrapał się w głowę. Jego myśli, ociążałe od braku snu, toczyły się powoli, jakby oblepiła je gęsta mgła.

– To on był pierwszy przy zwłokach Molly Palmer – zastanowił się na głos. – Więc może wcale nie spadł z tej skarpy.

– Próbował zatrzeć ślady? – zapytała Claire.

– Powiedzmy, że to on ją zamordował i chciał się kryć. To byłby powód, żeby wyeliminować Susan.

– Dlaczego akurat ją?

– Bo pisze artykuł łączący Molly Palmer i senatora Scheera. Claire zrobiła wielkie oczy.

– To była ta dziewczyna, o której mi opowiadałeś? Ta, którą posuwał pan senator?

– Miał pewnie jakąś mądrzejszą nazwę dla tego, co z nią robił – powiedział Henry.

Wiedział jedno: musi chronić Susan. Z tym nie było problemu. Archie na pewno życzyłby sobie, żeby jego przyjaciel zaopiekował się młodą dziennikarką, więc Henry postanowił spełnić to życzenie.

O ile zdoła się powstrzymać, żeby nie zamordować jej własnymi rękami.

– Daj mi znać, kiedy Bennett odzyska przytomność – polecił Claire. – Przeszukujemy już jego dom?

– Właśnie złożyłam podanie o nakaz rewizji – odparła i w tym momencie zadzwonił jej telefon. Zerknęła na wyświetlacz. – To Flannigan – powiedziała, przykładając aparat do ucha.

Mikę Flannigan został w kwaterze głównej i koordynował poszukiwania Archiego.

– Daj mi porozmawiać – poprosiła Claire, kładąc lekko dłoń na ramieniu Henry’ego. – To może być dobra wiadomość.

Spodoba ci się to, zobaczysz – powiedziała Gretchen. – Narysuj gwiazdę.

Siedzieli razem na kanapie w salonie. Gretchen ubrała się w bluzkę z białego jedwabiu i parę luźnych spodni. Archie założył to samo co poprzednio: niebieską koszulę i sztruksy. Kiedy ona robiła dla niego kanapkę, rozpalili ogień na kominku, a teraz siedział, trzymając talerz na kolanach. Gretchen wręczyła mu pióro i notes, które znalazła w swojej torebce.

Archie przyłożył pióro do kartki i spróbował narysować gwiazdę. Nie wyszło: z jednej strony rysunek był zupełnie krzywy, przez co całość bardziej przypominała trójkąt. Spróbował jeszcze raz. To samo.

– Nie mogę – powiedział, unosząc pióro do oczu i przyglądając mu się uważnie.

– W ten sposób określa się poziom zaburzenia procesów neurologicznych – wytłumaczyła mu, wstając z kanapy i zostawiając go nad koślawym rysunkiem. – Będzie jeszcze gorzej – zapowiedziała, podchodząc do barku.

– Wczoraj próbowałem kochać się z Debbie, ale nie chciał mi stanąć. – Archie odłożył notes na podłogę razem ze swoim talerzem. Nie mógł jeść, a w moczu zauważył dziś krew.

Gretchen przygotowała dwa drinki i wróciła na kanapę. Wręczyła Archiemu szklanekę whisky, a sama wyciągnęła się na plecach, kładąc mu stopy na kolanach.

– Próbowalesz pomyśleć wtedy o mnie? – zapytała. Przyjrzał się

bursztynowemu płynowi, pociągnął łyk.

– Tak – przyznał. Uśmiech.

– Domyśliła się? – padło kolejne pytanie. – Tak.

– To dobrze – ucieszyła się Gretchen, przyciskając jedną stopę do krocza Arłiego. – Wiesz co, może urodzę nam dziecko. Na pamiątkę naszej miłości.

– Masz podwiązane jajowody – przypomniał jej. – Czytałem wyniki badań, które robili ci w więzieniu.

W jej oczach nagle pojawił się błysk. I równie nagle zgasł.

– To prawda – przyznała. – Już w wieku siedemnastu lat wiedziałam, że nie powinnam się rozmnażać.

Możliwe, że była to najbardziej odpowiedzialna rzecz, na jaką zdobyłaś się w całym swoim życiu, pomyślał. A jednak, mimo wszystko, zrobiło mu się smutno. Taka młoda dziewczyna i tak poważna decyzja.

– Znalazłaś ginekologa, który podjął się zabiegu? – zapytał.

– Ten sam miesiąc wcześniej usunął mi ciążę – odparła, przewracając się na bok, twarzą w stronę ognia. Pomarańczowy blask oblał miękko jej gładką skórę. – To był pierwszy człowiek, którego zabiłam.

– Dziecko?

– Lekarz.

57

Nagle zadzwoniła komórka. Miała być wyłączona, więc Susan musiała szybko wygrzebać ją z torebki, zanim przyleci pielęgniarka. Na wyświetlaczu zobaczyła numer redakcji „Heralda”. Odebrała.

– Wszystko w porządku? – zapytał Derek. – Mówili o tobie na linii

wewnętrznej. – Oddychał ciężko, jakby zapało mu dech w piersiach. – To prawda, że twoja mama zastrzeliła policjanta?

– Nic mi nie jest – odpowiedziała Susan.

– Coś ci się stało z nosem?

Zaczerwieniła się po same uszy. Pięknie. Oczywiście zauważył, że mówiła przez nos. Super.

– Można powiedzieć, że go sobie złamałam – odparła. Chwila ciszy.

– Kurde – wyszeptał wreszcie Derek.

Susan wiedziała, że pielęgniarka może wrócić w każdej chwili.

– I dlatego muszę cały czas siedzieć w masce tlenowej – wyjaśniła, próbując zakończyć rozmowę.

– Znalazłem stację benzynową Texaco w miasteczku o nazwie Mills Crossing, na dwudziestce dwójce – poinformował ją Derek. – To jest mniej więcej półtorej godziny za zjazdem z międzystanowej piątki. Sześćdziesięciu pięciu mieszkańców. Facet, do którego się dodzwoniłem, mówi, że wczoraj, około dwudziestej trzeciej, tankował jaguara. Nie zapamiętał kierowcy, ale podobno wóz miał jakieś bardzo specjalne koła. Poczekaj, zerknę do notesu...

Susan poczuła, że nagle zaschło jej w ustach.

– Felgi sabre? – zapytała cicho.

– Zgadza się – potwierdził. – A co to w ogóle jest?

– Nie mam pojęcia – przyznała się szczerze. – Słuchaj, muszę już kończyć.

– W porządku, łan przyśle ci kogoś do szpitala. Wiesz, żeby zrobić wywiad z tobą i twoją mamą.

– Powiedz mu, niech się goni – warknęła, wyjmując z torebki szczotkę

do włosów. Zaczęła się czesać; maska tlenowa leżała na stole do badań, bucząc cicho i niepotrzebnie.

– Przekażę mu to innymi słowami – obiecał. – A ty znów się czesziesz?

Do gabinetu wszedł Henry Sobol, drapiąc się w kark.

– Muszę kończyć – rzuciła Susan, rozłączając się szybko.

– Co się dzieje? – zapytał detektyw.

Dziennikarka podeszła do szafek ze sprzętem lekarskim i zaczęła szperać po szufladach.

– Pracownik stacji Texaco na dwudziestce dwójce widział wczoraj srebrnego jaguara z felgami sabre. Tankował go o dwudziestej trzeciej, więc ramy czasowe się zgadzają.

– W Mills Crossing?

– Tak. – Susan zamarła, kompletnie zaskoczona.

– Policja też pracuje – uświadomił ją. – Flannigan przed chwilą dzwonił do Claire. Nasi ludzie obdzwanniają wszystkie stacje benzynowe w całym stanie. Taki wóz rzuca się w oczy i czasem trafi się ktoś, kto go zapamięta.

Susan otworzyła kolejną szufladę i znalazła w niej to, czego szukała: zimny okład typu *coldpack*.

– Co teraz zrobicie? – zapytała, gniotąc z trzaskiem paczuszkę, która zaczęła wydzielać zimno.

– Wyśle się na tę stację miejscowego funkcjonariusza ze zdjęciem Gretchen – odparł Henry, obserwując, jak Susan zapina torebkę na suwak i zarzucają sobie na ramię. – A ty dokąd? – zapytał.

Dziennikarka przyłożyła okład do twarzy.

– Muszę iść po znieczulenie.

– Lepiej ci zrobi odpoczynek pod maską tlenową – powiedział. – Tam pali się las. Zanim dojedziesz do Mills Crossing, wszystkich pewnie stamtąd ewakuują.

Odwróciła się do niego. Twarz ją bolała i było jej niedobrze, jakby za chwilę miała zwymiotować. Wszystko to razem wzięte powoli zaczynało oddziaływać na jej generalnie radosne usposobienie.

– Bennett chciał mi uniemożliwić napisanie artykułu o Molly Palmer – oznajmiła twardo.

– Być może. – Henry potarł palcem górną wargę.

– Nie musiał tego robić – skrzywiła się. – Redakcja utraciła mój tekst. Więc jadę w góry, szukać Archiego. Czy się tam pali, czy nie. A ty możesz zostać tutaj. – Wyszła na korytarz, ale odwróciła się jeszcze. – Chyba że chcesz jechać ze mną.

– Susan.

– Co? – rzuciła przez ramię, odwracając się. Henry skrzywił wargi w uśmiechu.

– Ale po drodze wpadniesz do Arlingtona i przebierzesz się, co? Susan spuściła głowę, patrząc na zielony kitel, który miała na sobie.

– No tak – mruknęła.

Wracajmy do sypialni – powiedział Archie, wstając z kanapy i wyciągając do Gretchen spuchniętą dłoń obciążoną pożąłką skórą. Kiedy spojrzał na nią z góry, uderzyło go, że wygląda na niezwykle bezbronną. Wrażenie potęgował brak makijażu i siniak na obojczyku, wystający spod dekoltu białej bluzki. Być może nie zawsze była potworem w ludzkiej skórze, możliwe, że stała się nim z winy jakiegoś człowieka albo tragicznego wydarzenia. Chociaż wcale niekoniecznie. Teraz zresztą nie miało to już najmniejszego znaczenia. Ciemność otaczała ich coraz ciaśniejszym kręgiem. Nadszedł czas szybkich działań.

Gretchen chwyciła jego dłoń i wstała, a Archie poprowadził ją dookoła kanapy.

– Staram się być dobra – powiedziała. – Wiesz o tym, prawda?

– Wiem – przytaknął łagodnym głosem. U stóp schodów, obok balustrady, Archie przystanął, żeby zawiązać but. Uklęknął na jedno kolano, ukradkiem wyciągając ze skarpetki kajdanki, które schował w łazience. Miał je przy sobie, wsiadając do srebrnego jaguara; liczył na to, że Gretchen, w swojej nieposkromionej pysze, nie zechce go obszukać. Był to z jej strony fatalny błąd: uważała, że Archie jest całkowicie i bez reszty pod jej kontrolą. A tak nie było. Nie całkowicie i nie bez reszty.

Szybkim, płynnym ruchem zatrzasnął jedną bransoletkę na jej smukłym nadgarstku, błyskawicznie mocując drugą do balustrady wykonanej z kutego żelaza. Reakcja Gretchen była natychmiastowa: schwytna w potrzask ręka wystrzeliła w powietrze, napinając łańcuch kajdanek. Tak szamocze się tonący, ściągany **W** nieubłaganą siłą na dno oceanu. To był

czysty, zwierzęcy instynkt. Archie wykorzystał ów moment impulsywnej nieuwagi, żeby się wycofać, bo Gretchen błyskawicznie odwróciła głowę w jego stronę, aż trzasnęło jej w karku. Wargi miała mokre, w oczach płonął ogień. Zamachnęła się na Archiego, niemalże ocierając koniuszkami palców o przód jego koszuli. Rozbiegane oczy ani na chwilę nie zatrzymywały się w jednym punkcie: umysł pracował gorączkowo, szukając wyjścia z sytuacji. Czerwone plamy na policzkach tylko dodawały jej urody.

Wreszcie opanowała się, przyglądała włosy wolną ręką. Uniosła brew.

– Kochany... – powiedziała, cedząc każde słowo powoli, oddzielnie. – To... jest... bardzo... zły... pomysł.

Archie milczał. Nie mógł mówić, bo poświęcił całą uwagę, aby skoncentrować się na tym, co miał do zrobienia. Zostawił Gretchen przy balustradzie i udał się do łazienki w korytarzu. Była nieduża; sedes, szafka z umywalką i kabina prysznicowa stały bardzo blisko siebie. Nad muszlą wisiała akwarelowa grafika; obraz przedstawiał jelenia stojącego w głębokim śniegu. Lustro nad umywalką otaczały rzędem duże, okrągłe żarówki. Archie przytrzymał się kurczowo szafki, walcząc z falą zawrotów głowy. Nagle wydało mu się, że jego serce bije zbyt wolno. Ból pod żebrami przypominał o sobie ostrym kluciem. Sheridan otarł pot z czoła, ukląkł na podłodze i otworzył szufladę pod szafką. W środku, przyrzucony zapasowymi rolkami papieru toaletowego, leżał nieduży telefon komórkowy oraz złożona kartka papieru maszynowego; Archie schował je tam w nocy, razem z kajdankami.

Zabrał telefon wraz z kartką z szuflady i wrócił do salonu. Gretchen wiła się na wszystkie strony, usiłując wyciągnąć rękę z kajdanek.

– To policyjny sprzęt – poinformował ją. – Nie dasz rady. Przestała się szarpać i spojrzała na niego. Pierś falowała jej ciężko.

Archie zademonstrował jej telefon i włączył go. Aparat ożył, dając znać o sobie serią melodyjnych dzwonek. Sheridan odłożył go na blat barku. Wiedział, że policja namierzy sygnał. Mogło im to jednak zająć kilka godzin albo nawet dni. Miał inne wyjście: zadzwonić do Henry’ego, ale nie chciał, żeby go znaleźli zbyt szybko, zanim leki zdążą zrobić swoje.

Sięgnął do kieszeni spodni, wyjął z niej klucz do kajdanek i położył go obok telefonu. Henry bez trudu go tam znajdzie.

A potem wziął jedną butelkę z vicodinem i wysypał całą jej zawartość na barek. Tabletki potoczyły się z przyjemnym grzechotem po granitowym blacie i zatrzymały w jego nadstawionej dłoni. A więc oto wreszcie nadeszła ta chwila, pomyślał. Przez ostatnich kilka lat wyobrażał ją sobie mnóstwo razy i teraz poczuł się niemalże rozczarowany brakiem mocniejszych wrażeń. Wszystko było takie znajome, naturalne. Odkąd wyszedł ze szpitala, zabijał się na raty, codziennie po kawałku. Teraz zamierzał po prostu trochę przyspieszyć. Sztuka polegała na odpowiednim dawkowaniu tabletek: tak aby nie zwymiotować, zanim narkotyk osiągnie odpowiednio wysokie stężenie, żeby zabić. Archie wsunął jedną z nich do ust, przytrzymując na języku i ssąc, dopóki gorycz nie przebiła mu się aż do zatok. Chciał w pełni tego posmakować. Przeżyć każde doznanie z szeroko otwartymi oczami. Skoro i tak miał umrzeć, mógł to zrobić z całą świadomością. Gretchen go tego nauczyła.

Zgarnął na dłoń jeszcze dwie tabletki i włożył je do ust, zlizując z palców gorzki, kredowy proszek.

– Archie – dobiegł go jej głos. – Nie rób tego. Las się pali. Nie czujesz?

Pociągnął nosem i faktycznie: w powietrzu snuł się zapach dymu, jakby gdzieś niedaleko paliło się ognisko. Zaśmiał się głośno. Dom stał w płonącym lesie. Doskonale. Kurwa, idealnie.

– Nie możesz mnie tutaj zostawić – powiedziała.

– Znajdą cię – uspokoił ją. – A jeśli nie, to umrzemy oboje.

Nie będziesz mi tutaj rzygać, prawda? – zapytał Henry.

Susan oparła głowę o obramowanie otwartego okna. Jechali szosą dwadzieścia dwa już od godziny, przedzierając się przez lasy i od czasu do czasu pozostawiając za sobą miejsciny z jedną stacją benzynową; dziennikarka zaczynała mieć objawy choroby lokomocyjnej. Gorące i suche powietrze wciskało jej włosy do oczu, a popękane wargi szczypały i piekły. Każdy wybój na drodze przypominał o złamanym nosie.

– Wszystko w porządku – zatrąbiła przez niego, przelękając ciepłą ślinę, która zebrała jej się w gardle. Nie wiedziała, co jest odpowiedzialne za jej stan: zatrucie czadem czy to, jak Henry prowadził samochód, ale stawiała na to drugie.

Mieli niezły czas. Z gór zjeżdżał długi sznur pojazdów, ale w przeciwnym kierunku jechało ich bardzo niewiele, jeśli nie liczyć wozów strażackich i furgonetek straży leśnej. Jak dotąd pożar nie dał jeszcze o sobie znać.

Za oknem mignęła zielona tablica z napisem MILLS CROSSING, MIESZKAŃCÓW: 52, PROSIMY, JEDŹ OSTROŻNIE. Susan usiadła prosto.

– To tutaj – powiedziała.

Miasteczko Mills Crossing składało się na pierwszy rzut oka ze stacji benzynowej, zajazdu, kilku starych domów oraz szumnie nazwanego „sklepu z antykami”, który tworzyło kilka płacht rozłożonych na parkingu przed zajazdem; można tam było nabyć tak emocjonujące starocie jak wysłużone talerze albo sfatygowane książki w miękkiej oprawie.

Henry włączył kierunkowskaz, chcąc zjechać z szosy na stację, ale

kolumna samochodów zjeżdżających z góry ciągnęła przed siebie stałym, równym tempem, nieprzerwana w żadnym miejscu. Po chwili oczekiwania detektyw zniecierpliwiał się, wystawił na maskę wozu syrenę i wcisnął jakiś klawisz na desce rozdzielczej. Syrena zawyła krótko, jeden raz. Samochody momentalnie przyhamowały, żeby go przepuścić.

– To musi być miłe uczucie – skomentowała Susan.

– Jest – potwierdził.

Zaparkowali tuż obok stacji. W kolejce po benzynę Susan naliczyła osiem samochodów. Dystrybutory były dwa, a obsługiwał je jeden pracownik. W całym Oregonie próżno by szukać samoobsługowych stacji benzynowych. Zniknęły w latach czterdziestych dwudziestego wieku, zlikwidowane ustawą władz stanowych. Wtedy wszyscy bali się, żeby coś nie wybuchło, teraz ustawa miała na celu co innego: ochronę środowiska, miejsc pracy oraz starszych ludzi, źle znoszących opary benzyny.

Facet nalewający paliwo do baków sprawiał wrażenie, że chętnie pozwoliliby klientom obsłużyć się na własną rękę – i na własne ryzyko.

Henry i Susan wysiedli z samochodu i przecisnęli się pomiędzy zderzakami dwóch luksusowych terenówek typu SUV. Przystanęli obok dystrybutora. Pracownik stacji był wzrostu Susan i ważył na oko niewiele więcej niż ona. Miał opaloną, ogorzałą skórę i koszulkę z napisem PUSZCZYK PLAMISTY SMAKUJE JAK KURCZAK.

– Ty jesteś Duży Charlie? – zapytał Henry bez wstępów.

– No – przytaknął człowieczek. W zębach trzymał wykałaczkę. Kiedy mówił, jeździła mu ona z jednego kącika ust do drugiego. – Tylko gotówka – rzucił w stronę kierowcy starej furgonetki Volkswagena. – Czytnik Visy wysiadł.

Kierowca podał mu zmiętą dziesiątkę, a Duży Charlie wetknął końcówkę pistoletu od dystrybutora do otwartego baku i walnął w spust pompy. Licznik paliwa zaczął powoli przerzucać cyfry. Kobieta za kierownicą hondy element, czekająca na obsłużenie po drugiej stronie, zatrąbiła niecierpliwie klaksonem. Duży Charlie zignorował ją całkowicie.

W kolumnie samochodów zjeżdżających z góry szosą numer dwadzieścia dwa przeważały mitsubishi montero, subaru kombi i jeepy wagoneery; tu i ówdzie tę motoryzacyjną monotonię urozmaicał akcent w postaci starej ciężarówki do przewozu ściętych drzew. Niektóre z terenówek ciągnęły za sobą przyczepy z łodziami motorowymi, inne miały zamontowane bagażniki na rowery z trzema albo czterema jednośladami. Susan zauważyła też jednak inne samochody, obciążone zupełnie inaczej niż wówczas, gdy rodzina pakuje się na wakacje; te wozy wiozły na dachach olbrzymie, wypchane torby i ciężkie pudła.

Ośloniwszy oczy dłonią, przebiegła wzrokiem wzdłuż tego niecodziennego konwoju.

Duży Charlie zdjął swoją czapkę z daszkiem i osuszył czoło jakąś szmatką, po czym wsunął czapkę z powrotem na głowę.

– Ewakuacja – mruknął. Jego szare oczy przyłgnęły do rozżarzonego koniuszka papierosa, który Susan trzymała w dłoni. – Jakiś tuman rzucił peta w lesie – dodał. – Co roku to samo.

Dziennikarka spojrzała na swojego american spirit i szybko schowała go za siebie.

– No co? – zapytała, nie patrząc ani na Charliego, ani na Henry'ego, tylko gdzieś pomiędzy nimi. – Przecież to nie ja.

Pracownik stacji benzynowej bez słowa wskazał kciukiem wiszący na

dystrybutorze paliwa znak PALENIE WZBRONIONE.

– Przepraszam – bąknęła Susan i zaciągnęła się szybko ostatni raz, a potem zdusiła niedopałek na ścianie dużego, stalowego pojemnika na śmieci, pełnego po brzegi pustych butelek po napojach, zużytych pieluch i innych odpadków z rodzaju tych, które zbierają się w samochodzie podczas dłuższej jazdy.

Henry otworzył swoją odznakę i pokazał ją Dużemu.

– Widziałeś srebrnego jaguara? – zapytał.

– No – przytaknął Charlie. Widząc, że bak volkswagena jest już pełny, wyciągnął pistolet z otworu, odwiesił go na dystrybutor i na odchodne przyjaźnie poklepał starą furgonetkę po szybie. – Fajny wózek – przypomniał sobie jaguara. – Przejeżdżał tędy wczoraj w nocy. Nalałem do pełna wysokooktanówki.

– Pamiętasz, kto prowadził?

– Jakaś babka. Ale mówiłem już temu, co dzwonił, że najlepiej zapamiętałem wóz.

– Rzucisz okiem? – poprosił Henry, podając pracownikowi stacji policyjną fotografię Gretchen Lowell, zrobioną w areszcie, po zatrzymaniu.

Duży Charlie zadarł głowę do góry, żeby daszek czapki nie zasłaniał mu zdjęcia.

– Może być, że to ona. – Zerknął na Susan. – I tak samo może być, że to ty. A co ona takiego zrobiła?

– To jest Gretchen Lowell – poinformowała go dziennikarka. Duży Charlie odpowiedział obojętnym spojrzeniem.

– Morderczyni, którą nazywali Wirtuozem – dodała. Kobieta za

kierownicą hondy element ponownie zatrafiła.

Duży Charlie nawet nie drgnął. Zupełnie mu się nie spieszyło.

– Ja to raczej kibicowałem Johnowi Wayne’owi Gacy’emu* [John Wayne Gacy – amerykański gwałciciel i seryjny morderca. Jego ofiarą padło, jak się przypuszcza, około trzydziestu trzech chłopców i młodych mężczyzn. Skazany w 1980 r. na karę śmierci. Wyrok wykonano w r. 1994 (przyp. tłum.)]. – Zmrużył oczy, przyjrzał się Susan. – Radzę przyłożyć sobie łód – mruknął.

Poszło łatwiej, niż się spodziewał. Może dlatego, że organizm był przyzwyczajony do vicodinu. A może dlatego, że umysł był gotowy na koniec. Dwie bursztynowe butelki stały już puste. Zażywał tabletki metodycznie, po trzy naraz, popijając każdą dawkę łykiem szkockiej. Po jakimś czasie wpadł w stały rytm. I polubił smak tej whisky. Rozgrzewała całe ciało, jak gorąca kąpiel. Żałował, że nie posmakował jej lepiej za życia. Uśmiechnął się na tę myśl: przy swoich zarobkach nie mógłby sobie pozwolić na alkohol tej klasy.

– Proszę cię – odezwała się Gretchen. – Przestań. Ostatnie tabletki leżały na granitowym blacie barku, ułożone rzędkiem, który przypominał mu miniaturową karawanę osadników. Archie włożył je po kolei do ust, a kiedy połknął ostatnią, odwrócił się z powrotem do Gretchen.

Stała przy balustradzie nieruchoma niczym posąg. Wargi miała rozchylone, głowę przekrzywioną lekko. Jej oczy były wielkie jak spodki, a ich białka poróżowiały od płaczu. Był to obraz autentycznej rozpacz; wyglądała jak dziewczynka, która nie potrafi zrozumieć, za co została ukarana. Na ten widok niemalże zrobiło mu się jej żal.

– Wybacz – powiedział – ale mam pewne zobowiązania.

– Zdejmij mi kajdanki – szepnęła. Potrząsnął tylko głową.

Jej cała twarz poczerwieniała, po policzkach polały się łzy.

– Wszystko im powiem.

– Nie powiesz – zaprzeczył. – Nie wiem dlaczego... – przetarł powieki, które z każdą chwilą robiły się coraz cięższe – ... ale nie powiesz.

– Wszystko powiem – powtórzyła, tym razem głośniej. – Zniszczę

twoją karierę, twoje małżeństwo, twoją rodzinę, wszystko, co po tobie zostanie. Uwolnij mnie.

– Ty nie możesz być wolna – odparł krótko. – Będziesz krzywdzić ludzi.

– Nie będę. Potrafię nad sobą panować. Naprawdę.

Archie podszedł do niej. Gretchen wyprostowała się, spoglądając z nadzieją. Założyła włosy za uszy, wytarła spod oczu rozmazany tusz do rzęs. A on wyciągnął z kieszeni złożoną kartkę papieru maszynowego, rozłożył ją i podał jej razem z wiecznym piórem.

Zmarszczyła brwi.

– To jest oświadczenie, w którym przyznajesz się do zamordowania Heather Gerber – oznajmił. – Podpisz.

Gretchen wzięła od niego kartkę i pióro, usiadła, i położywszy kartkę na podłodze, podpisała dokument. Oddała go Archiemu razem z piórem, a on wziął je i wrócił do barku.

– Klucz. – Zagrzechotała łańcuchem od kajdanek. – Pożar – przypomniała mu.

– Nie.

– Wiesz, że to się tak nie skończy.

Archie znalazł kolejną butelkę szkockiej. Wyszedł z barku i usiadł wprost na podłodze, opierając się o niego plecami. Otworzył butelkę, uniósł ją do ust. Już niedługo, pomyślał.

Jego serce znów zaczęło bić jakby odrobinę za wolno. Rozpiął koszulę, kładąc dłoń na piersi, żeby sprawdzić, czy da się wyczuć jego uderzenia pod żebrami.

– Znów będziesz musiała pójść na ugodę. Dać im coś więcej. Inaczej

nic cię nie uratuje przed zastrzykiem...

– Przynieś mi moją torebkę – powiedziała.

Przed oczami Archiego nagle rozlała się przemiła ciemność. Powietrze przybrało barwę atramentu. Serce, schowane pod blizną, którą Gretchen wyrznęła na jego piersi, zmagало się z krwią krążącą w żyłach.

– Dziwnie się czuję... – wykrztusił. Słowa były już nieco bełkotliwe.

Gretchen opadła na podłogę pięć metrów od niego. Przykuta do balustrady ręka zawisała, wykręcona, nad jej głową. A on, nawet w tym miejscu, nawet w takim stanie – poczuł. Aż tak mocno jej pożałował.

Spróbował wstać i padł na kolana, powalony falą zawrotów głowy. Gretchen wyciągnęła do niego wolną rękę; jej wyprężone palce zawisły w powietrzu. A Archie zaczął pełznąć do niej, najpierw na czworakach, a potem, kiedy skóra nagle mu ostygła, a mięśnie odmówiły posłuszeństwa, odpychał się już tylko łokciami.

Dotarł do niej i przewrócił się na wznak, a ona ułożyła sobie jego głowę na kolanach.

– Jesteś głupi jak but – poinformowała go.

– Wiem – odparł Archie.

Gretchen Lowell siada na fotelu obitym pasiastym materiałem, zakłada nogę na nogę, pochyla się lekko w przód.

– Więc jak to będzie wyglądać? – pyta Archie. W domu Gretchen czuje się nieswojo. Kiedy zaproponowała mu indywidualne sesje, zgodził się głównie przez uprzejmość. Nie przyszło mu do głowy, że będą się one odbywać u niej. Coś mu mówi, że tak nie powinno być.

Jej błękitne oczy otwierają się szerzej.

– Nigdy pan nie korzystał z usług terapeuty? – pyta.

Archie poznał Gretchen Lowell dopiero przed kilkoma tygodniami, kiedy pojawiła się w biurze jego grupy śledczej, aby zaoferować pomoc w schwytaniu mordercy zwanego Wirtuozem. W jej towarzystwie czuje się skrępowany. Zanim zadzwonił do drzwi, siedział w samochodzie przez bite dziesięć minut, zbierając się na odwagę.

– Byłem tylko na tych spotkaniach grupowych, które prowadziła pani u nas – odpowiada.

Gretchen uśmiecha się. Splata dłonie i zaczepia je o kolano; jej spódnica odsłania dwa centymetry uda.

– To nic trudnego – wyjaśnia. – Pan mi powie, co zaprzęta panu myśli, a potem oboje o tym porozmawiamy.

Archie wierci się z zażenowaniem w swoim fotelu. Służbowa broń wbija mu się w biodro. Faktycznie, jest pewna rzecz, która zaprzęta mu myśli. Nie mówił o niej nawet Henry'emu.

– Zastanawiam się nad złożeniem podania o przeniesienie – mówi. – Chciałbym mieć więcej czasu dla rodziny.

Wreszcie powiedział to na głos. To miłe uczucie. Słowa dodają mocy całej tej koncepcji, pozwalają uwierzyć, że tym razem Archie faktycznie to zrobi. Unosi wzrok, spogląda na Gretchen. Jest kobietą, więc detektyw oczekuje od niej poparcia, pochwały wyboru: dzieci, a nie praca. Po to właśnie dziś do niej przyszedł. Między innymi.

Ale ona tego nie robi.

– Czy to źle wpływa na pana małżeństwo? – pyta. – Taki nawał zajęć?

Archie namyśla się krótko. Zna odpowiedź na to pytanie, nie wie tylko, jak bardzo chce się odsłonić przed tą kobietą.

– Żona ucieszyłaby się, gdybym zmienił pracę – przyznaje ostatecznie.

Gretchen nachyla się jeszcze odrobinę, jej spódnica odsłania kolejny centymetr skóry.

– Przecież jest pan świetny na swoim stanowisku – mówi. Archie śmieje się głośno.

– Mam jedno zadanie: złapać Wirtuoza. Do tej pory jakoś mi się to nie udało.

– Myślę, że jest pan już blisko – odpowiada ona, kładąc dłoń na poręczu fotela, w którym siedzi Archie. Nie dotyka jego samego, tylko obicia, tylko mebla. – Proszę teraz nie rezygnować. Musi pan skoncentrować się na śledztwie.

– Muszę więcej przebywać w domu. – Archie potrząsa głową. – Nie chcę skończyć jak ci wszyscy rodzice, którzy zapominają o urodzinach własnych dzieci. – Nie dodaje, że zdążył już przegapić wiele miesięcy z najmłodszych lat swoich pociech. Pracę do późna łatwo usprawiedliwić, jeśli tylko się uwierzy, że w ten sposób ratuje się ludzkie życie.

– Jak długo jest pan ze swoją żoną? – pyta Gretchen.

– Od czasu studiów.

– A z iloma kobietami pan spał? – pada kolejne pytanie. Archie oblewa się rumieńcem. Wygląda przez okno; na podwórzu rośnie kępa śliw.

– Tylko z nią.

– Naprawdę?

Przełyka ślinę.

– W liceum miałem dziewczynę, ale ona chciała poczekać z tym do ślubu. Szanowałem jej decyzję. Potem, na studiach, poznałem Debbie. I już.

– I nigdy pan jej nie zdradził? – Nie.

– To rzadkość.

– Naprawdę?

– Spędzić całe życie z jedną i tą samą osobą? Owszem. Archie wzrusza ramionami.

– Kocham ją.

– A czy seks państwu wychodzi? – pyta Gretchen.

Robi mu się gorąco. Unosi rękę do szyi, pociera kark. Jedynym odgłosem, jaki słyhać w całym gabinecie, jest tykanie szafkowego zegara.

– Dziwnie się czuję, rozmawiając z panią o takich rzeczach. Gretchen kiwa głową, w oczach ma współczucie.

– Jeśli terapia ma przynieść rezultaty – przekonuje go – to musi pan być ze mną szczery.

– Tak – odpowiada, odwracając wzrok. – Seks nam wychodzi.

– Skąd pan to wie? – Od razu następne pytanie. Archie uśmiecha się. Celny strzał.

– Po prostu wiem – mówi. Gretchen znów dotyka jego fotela.

– Fantazje na temat innych osób to nic złego – mówi. – To nie jest zdrada. – Kładzie dłoń na poręczy. Jej palce są smukłe, alabastrowo białe i tak wiotkie, jakby w ogóle nie miały kości. Paznokcie – starannie wypielegnowane.

– Pociągają pana inne kobiety. – To stwierdzenie, nie pytanie. Archie bezradnie zasłania się rozłożonymi dłońmi.

– Jestem mężczyzną – broni się.

– A ja pana pociągam? – pyta Gretchen i zawiesza głos, ale tylko na chwilę, żeby Archie miał czas wydać z siebie nieporadny bulgot; potem prostuje się na swoim fotelu i uśmiecha do niego. – Oczywiście, jest to pytanie czysto teoretyczne. Dla terapeuty to cenna informacja.

Archie zastanawia się gorączkowo, co ma jej odpowiedzieć. Musi to być coś bliskiego prawdy, lecz nie za bardzo. Nagle zasycha mu w ustach. Zegar wciąż tyka. Ostatecznie decyduje się na następującą odpowiedź:

– Uważam, że jest pani bardzo piękna.

Jej twarz rozjaśnia się w jednej chwili. Gretchen śmieje się życzliwie, jakby to był ich wspólny, osobisty żart.

– Wprowadziłam pana w zakłopotanie.

– Owszem.

– Pytam o pana życie intymne tylko i wyłącznie z tego powodu, że seks jest doskonałym reduktorem stresu, a pan, jak wiem, żyje pod dużym obciążeniem.

– Nie lubię kochać się z Debbie po powrocie z miejsca zbrodni – wyznaje Archie. – Nie potrafię odpędzić obrazów, które pozostają mi w pamięci. W takich chwilach seks wydaje się nie na miejscu.

– Obrazy pozostają panu w pamięci? – powtarza Gretchen. Archie

przykłada dłoń do czoła, jakby wierzył, że wspomnienia można wymazać ręcznie, samym dotykiem.

– Tak.

Jej skupienie jest namacalne i aż ciężkie.

– Czy któreś z nich są bardziej wyraźne od innych?

– Heather Gerber – odpowiada. – Pierwsza ofiara, którą znaleźliśmy. Porzucona w parku. Pod względem okaleczenia nie było z nią jeszcze najgorzej, ale twarz... Miała otwarte oczy. I patrzyła na mnie. To brzmi jak jakiś obłąd, prawda?

– Czy przez te wspomnienia ma pan problemy ze snem? Komórka w kieszeni daje o sobie znać krótką wibracją. Archie wyciągają i otwiera. SMS od Henry’ego. Kolejny trop.

– Kurwa – wyrywa mu się. Unosi wzrok, patrzy na Gretchen, zażenowany swoją wulgarnością. – Przepraszam – mówi. – To Henry. Muszę już iść.

Wstaje, poprawiając kaburę na biodrze. Gretchen też podnosi się z fotela i podchodzi do Archiego, ujmując go pod rękę, tuż powyżej łokcia.

– Chcę się z panem jeszcze zobaczyć – zapowiada. – Wydaje mi się, że mogę panu pomóc.

Bije od niej zapach bzu.

Archie stoi bez najmniejszego ruchu. Nie chce przerywać tego dotyku. Czuje, że w dziwny sposób coś go połączyło z tym miejscem – i z nią. To jakiś absurd, myśli. Ledwie ją znam. Jest piękna i chce mi pomóc, a zachowuję się przy niej jak siedemnastolatek.

Postanawia nie umawiać się od razu na następne spotkanie. Odczekać kilka dni. Żeby nie pokazać, jak bardzo mu zależy.

Tykający zegar nagle milknie. Archie rzuca okiem na cyferblat. Wskazówki znieruchomiały na godzinie trzeciej trzydzieści.

Przełyka ślinę.

– Pani zegar stanął – informuje ją.

Gretchen zdejmuje dłoń z łokcia Archiego, ogląda się na szafkę z czasomierzem.

– Zabawne – komentuje.

Sheridan rusza w stronę drzwi, a ona idzie za nim; kontur jej postaci, obrysowany światłem wpadającym przez okno, emanuje nieodpartym urokiem. To nic złego tak pomyśleć, tłumaczy sobie Archie. Po prostu to zauważyłem i tyle.

– Jeśli ma pan problemy ze snem – mówi Gretchen – mogę dać panu coś, co pomoże się ich pozbyć. Niewiele, tylko do spróbowania.

Archie uśmiecha się. Może lepiej nie odkładać następnego spotkania, myśli. Kilka dni to dużo. Może zadzwonię do niej jeszcze dziś. Tylko po to, żeby usłyszeć jej głos.

– Dziękuję – odpowiada – ale nie lubię brać pigułek.

Henry przez chwilę próbował jechać na sygnale, nic to jednak nie dało – samochody nie miały gdzie zjechać, żeby go przepuścić. Stanęli w gigantycznym korku. Autostrada wiała się w dół zbocza, obramowana trzydziestometrowymi jedlicami zielonymi niczym gigantycznym żywopłotem. Czasem ledwo widać było niebo zza ich gałęzi. Dodatkowe pasy przeznaczone do wyprzedzania zdarzały się sporadycznie i były wyjątkowo krótkie; Henry włączał wtedy z powrotem syrenę i dawał gaz do dechy, mijając naraz trzynaście samochodów. Mimo to i tak staczali się z góry w tempie lodowca, co miało jednakowoż tę zaletę, że Susan przestała cierpieć na chorobę lokomocyjną. Od Dużego Charliego dostała trochę lodu do obłożenia nosa i czuła się już całkiem nieźle.

– Zdejmij nogi z deski rozdzielczej – syknął Henry. – Przepraszam. – Dziennikarka usiadła bokiem, wsuwając bosc stopy pod siebie. Miała nadzieję, że detektyw nie zauważy odcisków palców u stóp, które zostawiła mu na szybie. – Wiesz co – zagadnęła – dalej nie rozumiem, dlaczego nie pozwalasz mi jej szukać.

– Rozesłałem ulotki wzdłuż szos numer dwadzieścia i dwadzieścia dwa, a do tego po całym wschodnim Oregonie. Słyszałaś, co powiedział tamten facet. To mogła być ona, ale niekoniecznie.

– Policyjny wóz, a nie ma klimatyzacji – poskarżyła się, skubiąc naklejkę na butelce wody mineralnej, którą kupiła na stacji benzynowej. Odkąd ruszyli, zdierała tę naklejkę po kawałku. Zwinęła w palcach kolejny kawałeczek kolorowego papieru.

– Zepsuta – wyjaśnił Henry.

Susan odwróciła się, chcąc sprawdzić, czy z tyłu nie ma przypadkiem jakiejś gazety, którą mogłaby się powachlować. W jej samochodzie tylne siedzenie tonęło w starych czasopismach, ale u Henry'ego ziało pustką. Zobaczyła tam tylko ręcznie opisane kartonowe pudło. Rozpoznała charakter pisma.

– To są moje materiały o senatorze Scheerze – powiedziała.

– Aha – przytaknął Henry. – Pożyczyłem je sobie. Tak jakby.

– A ja pożyczyłam je Archiemu, a nie tobie – wypomniała mu, wykręcając się mocniej, żeby móc unieść przykrywkę. – Jak mi tam narobiłeś bałaganu, to...

– Nawet ich nie dotknąłem – przerwał.

Susan wyciągnęła jedną ręką – drugą przykładła do twarzy plastikową torebkę z lodem – notatnik, który leżał na samym wierzchu.

– Pisałeś coś tutaj? – zapytała. Notatnik był otwarty i wyraźnie rzucało się w oczy jedno zakreślone nazwisko: John Bannon.

– Nawet nie otwierałem tego pudła – odparł. A zatem to było dzieło Archiego.

– Czy mówi ci coś nazwisko John Bannon? – zagadnęła. Samochód znów posunął się o metr albo dwa do przodu.

– To był partner Kolesia Andersona z dawnych czasów – odpowiedział.

– Kiedy jeszcze Koleś dowodził naszą ekipą śledczą.

– Molly powiedziała mi, że to był jej kontakt – oznajmiła Susan. – Do niego dzwoniła, kiedy skończyły jej się pieniądze. To był pacholek Scheera.

– Bannon zmarł dziesięć lat temu – poinformował ją Henry. Facet jadący za nimi nagle odpałił na cały regulator muzykę: ZZ Top. Miał w

samochodzie dobre nagłośnienie. Ford Henry'ego zaczął drżeć, wstrząsany miarowym tętnem niskich tonów.

Umarł. Kolejna ślepa uliczka.

Fan ZZ Top podkręcił muzykę jeszcze głośniej.

– Kurwa jego mać – warknął Henry, ściskając palcami grzbiet nosa.

– Heather Gerber – powiedziała nagle Susan.

– Co? – Detektyw opuścił rękę.

– Cały czas chodziło o Heather Gerber – wyjaśniła. – Archie powiedział, że pierwszy raz zawsze się pamięta. Pierwszego papierosa i pierwsze zwłoki znalezione w parku. Wydawało mi się, że mówił o tamtej parze, którą znaleźliśmy w Forest Parku...

Urwała, zażenowana tym wykwitem narcyzmu.

– Dla mnie to był pierwszy raz – podjęła – ale on mówił o swoich pierwszych zwłokach znalezionych w parku. O swoim pierwszym dużym śledztwie. O Heather Gerber.

– W porządku. – Henry skinął głową.

– Więc może to właśnie jej powinniśmy teraz szukać. – Susan oderwała z naklejki na butelce kolejny kawałeczek i upuściła go na podłogę. – Gdybyś chciał kogoś znaleźć, to co byś najpierw zrobił?

– Podnieś to – rozkazał.

– Przepraszam. – Susan zgięła się wpół, zbierając papierek z wycieraczki.

– Namierzyłbym komórkę – odpowiedział Henry. – Od tego bym zaczął.

– To jest do zrobienia, prawda? – zapytała. – Wykonuje się pomiar triangulacyjny na podstawie sygnałów, które emitują wieże operatorów

komórkowych? – Łód zaczął się już rozpuszczać, a zimna woda ciekła jej po ramieniu.

– Proszę, proszę... – Henry zerknął na nią z ukosa, wyraźnie zaskoczony.

– Pisałam w zeszłym roku artykuł o tych turystach, którzy zgubili się w lesie – wyjaśniła.

Poszukiwania zaginionych przerwano ze względu na złą pogodę, a następnego dnia rano ratownicy odnaleźli ich ciała.

– Są już lepsze metody – poinformował ją Henry. – Nowsze telefony mają wbudowane nadajniki GPS. Możemy je zlokalizować z dokładnością od pięćdziesięciu do stu metrów.

– Musiałby kupić sobie nowy aparat, na nowy numer – zamyśliła się Susan. – I na jej nazwisko. Najdalej kilka dni temu.

– Chcesz mi powiedzieć, że Archie ma telefon na nazwisko Heather Gerber? Ale w takim razie dlaczego do nas nie zadzwoni, skoro ma drugi aparat?

– Nie wiem.

Henry otworzył swoją własną komórkę i wcisnął jeden klawisz, pod którym miał najwidoczniej przypisany jakiś numer.

– Sprawdź, czy dasz radę znaleźć numer komórkowy zarejestrowany na nazwisko Heather Annę Gerber – powiedział do słuchawki, a po chwili milczenia dodał: – Archie ma telefon w Verizonie. Tam zacznij.

Henry bębnił palcami po rozgrzanym plastiku kierownicy. Susan z powrotem założyła nogi na deskę rozdzielczą, ale tym razem uszło jej to na sucho. Posunęli się do przodu najwyżej o długość samochodu, kiedy zadzwoniła komórka Henry'ego. Odebrał.

– Znalazłam – rozległ się głos Claire Masland. – Heather Annę Gerber. Archie dodał ten numer do swojego pakietu rodzinnego. Zadeklarował ją jako swoją córkę.

– Daj mi go – zażądał Henry, zrywając karteczkę samoprzylepną z kostki przymocowanej do deski rozdzielczej. – Namierz aparat i oddzwoń do mnie.

Zapisał dziesięć cyfr, które podyktowała mu Claire.

– No i co? – zapytała Susan, kiedy już się rozłączył. Przyciskała do twarzy cieknącą torebkę z lodem, więc Henry zrozumiał piąte przez dziesiąte.

Nie trudził się też zresztą z odpowiedzią. Wystukał na klawiaturze numer telefonu, który Archie zarejestrował na nazwisko nieżyjącej dziewczyny.

Po pierwszym dzwonku włączyła się poczta głosowa.

– To ja – powiedział Archie z nagrania. – Pospiesz się. – I zabrzmiał sygnał.

– Cholera jasna – zaklął Henry i wyrecytował do słuchawki: – Wymyśl sobie lepiej dobre usprawiedliwienie. Długie i kwieciste.

– W tym momencie głos mu się załamał. Przełknął z wysiłkiem ślinę i odwrócił głowę, żeby Susan nie widziała, jak to przeżywa.

– Już do ciebie jadę.

Rozłączył się i spojrzał z powrotem na dziennikarkę.

– To był on.

Kiedy jego komórka odezwała się ponownie, miał ją przy uchu, zanim zdążyła zadzwonić drugi raz.

– Niedaleko rzeki Metolius, na szosie numer dwadzieścia, za dziewięćdziesiątym drugim słupkiem milowym, jest zjazd na leśną drogę. Namierzyliśmy przy niej ten aparat, około trzech kilometrów od autostrady. Flannigan sprawdził, że jest tam tylko jeden dom.

Za oknem przesunął się powoli słupek z numerem 38. A więc Susan miała rację. Jaguara prowadziła Gretchen. A on, Henry, pojechał dokładnie w przeciwną stronę. Chwilowo nie było jednak czasu, żeby zmyć sobie głowę.

– W porządku – powiedział do słuchawki. – Jadę tam. Poślijcie za mną, kogo tylko możecie.

– Ale wiesz, że las się pali? – zapytała Claire.

Henry włączył syrenę, zjechał na przeciwny pas ruchu i zawrócił samochód. W perspektywie *szosy, nad horyzontem*, unosił się złowrogi pióropusz cielistego dymu.

– Wiem – rzucił do słuchawki.

Odkąd skończył rozmawiać z Claire, Susan usłyszała od Henry'ego razem może jakieś dziesięć słów. Ścisnął kierownicę tak mocno, że aż pobielały mu kostki dłoni, prowadził ostro i ścinał zakręty. W jego ciemnych okularach odbijała się jezdnia. Żaden inny pojazd już im nie przeszkadzał. Minęli stację Dużego Charliego i popędzili dalej szosą

wijącą się wśród wysokich jedlic, a za nimi pociągnęło wycie policyjnej syreny.

W pewnym momencie drzewa wyrosły jeszcze wyżej w górę, a niebo stało się wąziutkim strumykiem ponad ich głowami. Na drodze rozlały się plamy głębokiego cienia. Lód w torebce stopniał już do reszty.

Za kolejnym zakrętem natknęli się na blokadę straży leśnej. Wtedy to właśnie Susan po raz pierwszy zobaczyła ogień, chwiejną ścianę pomarańczowych płomieni biegnącą wzdłuż grzbietu jednego z porośniętych gęstym lasem łańcuchów górskich. Cały wschodni nieboskłon ginął za zasłoną kremowego dymu.

– Jezu... – westchnęła.

Henry zatrzymał samochód przed blokadą. Pas jezdni prowadzący w kierunku zachodnim był otwarty dla maruderów, którzy wciąż uciekali przed pożarem, ale po drugiej stronie szosy stały potężne kozły do piłowania drewna oraz wielki znak z napisem POŻAR LASU – DROGA ZAMKNIĘTA.

Do ich samochodu zbliżył się strażnik ze służby leśnej. Spod przydziałowego kapelusza z szerokim rondem wystawały mu długie włosy związane w kucyk. Usta i nos zakrywała mokra bandana zawiązana na szyi.

– Musi pan zawrócić – poinformował Henry'ego, wskazując ręką pas drogi wiodący w dół zbocza.

Henry w odpowiedzi wskazał mu syrenę na masce.

– Policja – powiedział.

– Przyjechał pan aresztować pożar? – zapytał strażnik.

– Muszę dostać się na leśną drogę w pobliżu rzeki Metolius. Przeczący

ruch głową.

– Pali się już bardzo blisko niej. Droga jest zamknięta. Może pan pojechać naokoło.

– Nie mogę – sprzeciwił się Henry. – Muszę jechać tędy. Natychmiast. Podejrzewam, że jest tam Gretchen Lowell. I detektyw Archie Sheridan.

Strażnik zadarł głowę, przyglądając się płomieniom na zboczu góry. Przez chwilę Susan zaczęła się zastanawiać, czy gdyby zaszła taka potrzeba, Henry staranuje blokadę.

Potrzeba jednak nie zaszła.

– Jeśli pożar wyprzedzi państwa samochód – odezwał się w końcu strażnik – radzę nie wysiadać. Proszę położyć się na podłodze, zakryć głowę i twarz. Oddychać płytko przez nos. Gdyby musieli państwo wysiąść, to proszę pamiętać, że przed ogniem nie ucieka się pod górę.

Susan wychyliła się ze swojego siedzenia, żeby spojrzeć na strażnika, który stał po stronie kierowcy.

– Dlaczego? – zapytała.

Strażnik wyjął z kieszeni chusteczkę, wytarł sobie kark.

– Bo gorące powietrze się unosi – wyjaśnił – i ogień państwa wyprzedzi.

Skinął na kolegów, żeby rozsunęli kozły i przepuścili forda Henry'ego.

– Proszę jechać – powiedział. – A jeśli ogień przeskoczy przez szosę, radzę spieprzać w cholerę.

Henry spojrział na Susan. Wiedziała bardzo dobrze, co chodzi mu po głowie.

– Nie – oznajmiła twardo, patrząc prosto przed siebie i krzyżując ramiona na piersi. – Zostaję z tobą.

Wzdłuż szosy rosły dzikie kwiaty; pobocze drogi od strony północnej, gdzie skaliste górskie zbocze szło ostro w górę pod zawrotnym kątem stu dwudziestu stopni, mieniło się rozległymi polami w kolorach różowym i fioletowym. Susan włożyła z powrotem buty i spuściła nogi na podłogę, żeby móc się pochylić i obserwować przez szybę słup dymu bijący z płonącego lasu, pióropusz tak gigantycznych proporcji, że wyglądał zupełnie jak jeszcze jedna góra. Na drodze panował niesamowity spokój. Ujechali już dobrych kilka kilometrów i minęło ich tylko parę żółtych furgonetek straży leśnej. Henry włączył syrenę i koguta, dzięki czemu żaden strażnik nawet się za nimi nie obejrzał; mieli zupełnie inne rzeczy na głowie. Za oknami jedlice zielone ustępowały miejsca sosnom żółtym. Kiedy przejechali kolejne wzniesienie, Susan dostrzegła w górze dwa samoloty zrzucające czerwony środek gaśniczy; wyglądało to tak, jakby strugi krwi lały im się z głębokich ran na brzuchu.

Minęli martwą łanię leżącą na poboczu.

Minęli podziurawiony kulami znak z napisem PARK ZIMOWY.

Dym zgęstniał, aż w końcu Henry musiał włączyć światła.

Susan zerknęła na swoją komórkę. Kilka kilometrów wcześniej włączył jej się roaming. Teraz nie miała już nawet sygnału.

– Straciłam zasięg – powiedziała.

– Ja też – skinął głową Henry.

Dziennikarka poczuła ściskanie w żołądku. Bardzo podobne, nawiasem mówiąc, do strachu.

Zaczęło padać. Henry włączył wycieraczki, ale ich pióra, zamiast oczyścić szybę, wyrysowały na niej dwa szare półkola. To nie był deszcz.

– Co to? – zapytała Susan.

– Opowiadałem ci kiedyś, jak ożeniłem się z indiańską księżniczką z plemienia Lummi? – odpowiedział detektyw pytaniem.

– To nie jest deszcz. Henry dodał gazu.

– To popiół.

Susan chwyciła za korbkę przy drzwiach. Zamknęła szybko okno, pracując mocno, całym ramieniem. Popiół sypał się z nieba niczym śnieg, pokrywając samochód i jezdnię drobnym szarym puchem.

Za grzbietem przełęczą minęli zakręt. Dookoła, jak okiem sięgnąć, ciągnął się las, w którym znikąca szosa. Połowa tego lasu stała w płomieniach; pomarańczowy blask pożaru na niebie wyglądał jak jakiś chory, psychodeliczny zachód słońca.

– Daleko jeszcze? – zapytała Susan. Gęstniejący z minuty na minutę dym gryzł ją w oczy. Widoczność spadała i wkrótce Henry musiał zwolnić, żeby nie wypaść z drogi.

– Osiem kilometrów.

Pożar szalał na południe od szosy. Ziemia była tam czarna, a wśród płomieni sterczały białe kikuty drzew, obwieszane nagimi, poskręcanymi gałęziami. Naprzeciwko, w miejscach, gdzie ogień nie przeskoczył przez szosę, las stał nietknięty, pełen smukłych sosen i olch, podszyty stokłosa o nieprawdopodobnym, żółtozielonym odcieniu. Ale i tam było już widać płonące drzewa, tkwiące w tej bujnej zieleni niczym ogromne pochodnie.

– Ogień przenosi się na drugą stronę drogi – zauważyła Susan. Oddychali z coraz większym trudem. Dziennikarka zamknęła nawiew pod szybą, ale nic to nie dało.

– Wiem – odparł krótko Henry.

Susan kaszlnęła i zakryła dłonią usta, próbując wciągać powietrze przez palce, żeby odfiltrować popiół.

– Strażnik powiedział, że powinniśmy zawrócić, jeśli tak się stanie – przypomniała.

Ten sam strażnik radził też, że trzeba oddychać przez nos. Tylko że ona miała nos zapchany opatrunkiem.

– Za późno. – Henry wskazał kciukiem przez ramię. Odwróciła głowę; las płonął już po obu stronach szosy.

Nagle rozległ się huk eksplozji. Dziennikarka zapała się oburącz o deskę rozdzielczą, myśląc, że strzeliła im opona, ale samochód jechał dalej prosto. Przez chwilę nie mogła zrozumieć, co się dzieje, i już chciała zapytać Henry'ego, zrezygnowała jednak, widząc, jak detektyw garbi się nad kierownicą i usiłuje przebić wzrokiem kłęby gęstego dymu. A potem ją olśniło: drzewa. To drzewa tak wybuchają.

– Cholera – zaklął zniecierpliwiony Henry. Susan poderwała głowę; na samym środku ich pasa, nieruchomy jak posąg, stał łoś.

Henry wdepnął z całej siły hamulec i samochód wpadł w poślizg.

Susan, przygnieciona siłą inercji do drzwi po swojej stronie, zamknęła mocno oczy. Otworzyła je, kiedy rozległ się przeraźliwy zgrzyt metalu o metal; przebili barierkę, krzesząc karoserią snopy iskier. Wóz pomknął po zboczu, a potem przewrócił się na dach; Susan zawisła głową w dół, uderzając rękami o sufit. Zacisnęła powieki z powrotem. Samochód sunął pomiędzy kikutami spalonych pni, objijając się o nie i czyniąc przy tym nieprawdopodobny hałas, podobny do zwierzęcego ujadania. Dziennikarka wyobraziła sobie w tym momencie Parkera zamkniętego w samochodzie spadającym z mostu do rzeki. Dziwna rzecz: czas musi biec wolniej w

takich sytuacjach, skoro zdążyła pomyśleć o czymś takim i w ogóle zrozumieć, co się dzieje.

A potem zapadła cisza.

Ale śmierć nie nadeszła.

Susan wykonała szybki przegląd swojej anatomii: mam ręce, mam nogi. Jestem cała. Otworzyła oczy. Samochód był wypełniony kłębami pyłu. Zapieкло ją pod powiekami. Zaniosła się kaszlem.

– Wszystko w porządku? – zapytał Henry.

– Chyba tak – odparła. – Walnęliśmy go?

Nie umiałyby odpowiedzieć, dlaczego tak ją obchodził los tego łosia.

– Możesz stamtąd wyjść? – chciał wiedzieć detektyw.

Wykręciła ciało i odpięła pas bezpieczeństwa. Walnęła ramieniem o sufit zdachowanego wozu, po czym zwinęła się na nim w pozycję embrionalną. Wszędzie było pełno szkła i ziemi. Susan, pomimo bólu w stłuczonym ramieniu, zaczęła pełznąć. Wydostała się przez przednią szybę, która poszła w drobny mak. Szczerniała ziemia była jeszcze ciepła; czołgając się po niej, dziennikarka wzbija kłęby popiołu i poczuła w ustach gorzki smak, zupełnie jakby ugryzła przypalony tost.

Zostawiła samochód za sobą, usiłując wydostać się z chmury pyłów otaczającej to pobojuwisko. Wrak zatrzymał się na nadpalonym drzewie. Podczas kraksy obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i leżał na pochyłym zboczu przodem w kierunku szosy, wsparty o poczerniały pień. Koła wciąż jeszcze się obracały. Susan wytrząsnęła z włosów gałązki i okruchy szkła. Wstała, ale nagła fala zamroczenia powaliła ją z powrotem na kolana. Znowu zaniosła się kaszlem.

Mój nos. Obmacała twarz. Bandaż trzymał się na miejscu. Bolało, ale

wcale nie bardziej niż do tej pory.

Uniosła głowę. Znajdowali się dziesięć metrów od pobocza, na stoku opadającym w stronę jeziora. Susan zamrugła oczami, usiłując przebić wzrokiem oślepiający dym. Las na wzgórzach otaczających jezioro był jednym wielkim cementarzyskiem zwęglonych drzew. Wyglądało to jak koniec świata.

Usłyszała głuchy łomot. To Henry wyswobodził się z pasa bezpieczeństwa. Po chwili on także wyczołgał się przez zbitą przednią szybę.

– Radio szlag trafił – oznajmił, przechodząc na tył samochodu. – Kurwa! – zaklął. – Bagażnik się zaciął.

Susan na pół zeszła, na pół zjechała po zboczu do miejsca, gdzie stał. Cały tył forda był owinięty wokół pnia drzewa.

– Zaciął się? – powtórzyła.

– Tam jest apteczka – burknął. – Pistolet z rakietami sygnalizacyjnymi, latarka, wszystko. – Przez chwilę milczał, pocierając czoło. – Dobra – powiedział wreszcie. – Musimy iść na piechotę.

I ruszył w górę stoku.

– Chodź! – zawołał, oglądając się przez ramię.

Susan ani drgnęła.

– Strażnik powiedział, że mamy nie wysiadać.

– Samochód leży na dachu – zwrócił jej uwagę.

– Ja się stąd nie ruszam. – Założyła ramiona na piersi.

– Nie zostawię cię samej. – Wyciągnął rękę.

– Nie, nie, naprawdę – powiedziała. – Spoko. Zostaw mnie tutaj.

– Chodź, Susan. Ściemnia się. Na szosie mamy większe szanse.

Dziennikarka patrzyła na niego przez chwilę, a potem wróciła do samochodu, opadła na czworaki i wpełzła do środka przez zbitą boczną szybę.

– Susan! – warknął gniewnie Henry.

To, czego szukała, znalazła za przednimi siedzeniami.

– Muszę zabrać torebkę – wyjaśniła, wycofując się. Wstała i poświęciła jeszcze chwilę na otrzepanie kolan z odłamków szkła.

Henry wyciągnął do niej rękę. Podała mu dłoń.

– Nigdy więcej nie postawię nogi w lesie – zarzekł się detektyw, ciągnąc ją za sobą w górę po stoku.

Łoś tymczasem zdążył się ulotnić.

– Chyba jednak go nie potraciliśmy – powiedziała Susan.

– W dupie mam tego łosia – warknął Henry.

– To dlaczego skręciłeś?

– Żeby nie uszkodzić samochodu.

Susan uniosła brew i obejrzała się na rozkraczonę pod drzewem forda.

– Aha. – Kiwnęła głową.

Nagle wpadł jej w oko pewien przedmiot leżący po drugiej stronie szosy. Podbiegła i podniosła go.

– Hej, patrz – uśmiechnęła się. – Moja woda.

– Cudownie – prychnął Henry.

– Będziesz się śmiał, jak zaczniesz umierać z pragnienia – odgryzła się, wycierając plastikową butelkę z ziemi i brudu. Potem wygrzebała z kieszeni dwie tabletki ibuprofenu i popiła je jednym łykiem wody.

– To nam nie grozi – powiedział Henry, wskazując stojący na poboczu

słupek milowy oznaczony liczbą 90. – Jesteśmy już prawie na miejscu. Zostało nam jeszcze z sześć kilometrów.

– Na piechotę? – Susan przyjrzała się krytycznie swoim wysokim skórzanym butom na obcasie. Bolało ją gardło, a wiszącej w powietrzu dławiącej różowej mgiełki nie rozganiał nawet najłżejszy powiew.

– Zanim dojdziemy, cała ekipa zdąży dojechać. O ile już ich tam nie ma.

– W takim razie możesz mi opowiedzieć – oznajmiła dziennikarka.

– O czym? – zdziwił się Henry.

– Jak się ożeniłeś z indiańską księżniczką z plemienia Lummi.

Zostawili pożar za sobą i weszli w część lasu zdominowaną przez sosny żółte. Tutaj ogień nie dotarł, co dało się poznać po tym, że z jezdni nagle zniknęła spalenizna. Po jednej stronie tej umownej granicy były tylko zgliszcza, po drugiej – zielone sosnowe igły, brązowe szyszki, fioletowe kwiaty i stokłosa. W powietrzu wciąż wisiał jednak gęsty dym, a jedynym dźwiękiem, jaki dawał się słyszeć, był warkot silnika samolotu albo śmigłowca straży leśnej, które sporadycznie przelatywały nad ich głowami. I nie słyszeli żadnych radiowozów, żadnych syren.

Nagle Susan zauważyła, że Henry jest zasypany popiołem: głowa, wąsy, ubranie. Przetarła twarz – na dłoni pozostała ciemna, brudna smuga.

W górach zmrok zapada szybko. Tarcza zachodzącego słońca, które z wielkim trudem przebijało się przez dym pożaru, wyglądała raczej jak uliczna latarnia w pomarańczowej mgle. Połowa nieba była usiana gwiazdami, druga połowa ziała pustką, przesłonięta obłokiem sadzy i zwęglonych drobinek. Należało się spieszyć. Maszerując pieszo i bez latarki, przed upływem godziny byli skazani na zupełną ślepotę.

Susan raz po raz przecierała oczy, podrażnione dymem, ale piekły ją od tego jeszcze bardziej. Spojrzała na swoje dłonie; były czarne od popiołu. Wytarła je o dzinsy.

– To musi być tutaj – zawyrokował Henry, przystając obok słupka milowego z liczbą 92, ustawionego w miejscu, gdzie od szosy odłączała się żwirowa droga, niknąc w lesie porastającym stok wzgórza.

Detektyw otworzył swoją komórkę; w gęstniejącym, fioletowym półmroku rozbłysło bladoniebieskie światło.

– Dalej nie ma sieci – mruknął. – Pewnie cała wieża padła. Susan przyjrzała się leśnej drodze. Dym wygładzał wszystkie kontury i nadawał całej okolicy pozór wyjątkowego spokoju.

– Gdzie ekipa? – zapytała.

Henry wyciągnął broń z kabury pod pachą, rozejrzał się po szosie, a w końcu zwrócił wzrok na żwirową drogę.

– Jeszcze nie dojechali.

– Dlaczego? – zdziwiła się. Przecież rozmawiali z Claire całą godzinę temu. Coś jest nie tak. Powinni już się zjawić.

– To przez ten pożar – wyjaśnił Henry. – Policja z Sisters prawdopodobnie jest zajęta ewakuacją miasta. Mogli też zamknąć lotnisko, więc nasi nie dadzą rady wylądować. Zresztą nie wiem. Ale ty powinnaś zostać tutaj i poczekać. Strażacy cię znajdą.

Susan potrząsnęła głową.

– Nikt mnie nie znajdzie. Już byśmy się na nich natknęli. Pewnie pojechali do pożaru gdzie indziej. Nie zostawisz mnie samej.

– Ogień idzie na północ – uspokoił ją Henry. Zadarła głowę, spojrzała w niebo.

– A jak wiatr się zmieni?

Henry rozejrzał się jeszcze raz po opustoszałej szosie: zerknął w lewo, zerknął w prawo, a potem odwrócił się i ruszył przed siebie żwirową drogą, trzymając broń na wysokości biodra.

– W porządku – rzucił przez ramię.

Susan dogoniła go szybko, trzymając się cały czas za jego plecami.

– No i dobra – mruknęła pod nosem.

Droga do leśnego domu zajęła im pół godziny. Nietrudno było go

znaleźć, wiedząc, czego się szuka. Przy tej długiej, ciemnej drodze nie było innych posesji. Najpierw zauważyli skrzynkę na listy. Potem – światło pomiędzy drzewami.

To nie była jakaś tam stara chałupa, ale willa letniskowa w stylu typowym dla stanów północnozachodnich, wzniesiona z drewnianych bali, z kamienną fasadą i dużymi, dwuskrzydłowymi drzwiami. Stał przed nią srebrny jaguar, którego szukali.

– Czekaj tu – szepnął Henry, unosząc rękę z bronią i ruszając w kierunku drzwi.

Susan pospiesznie podreptała za nim, z wielkim chrzęstem depcząc po szyszkach i drobnych gałązkach, które gęsto zaścielały ziemię.

– Co ty, kurwa, wyprawiasz? – warknął, odwracając się do niej.

– Nie zostanę tutaj sama – oznajmiła.

Zachodnia część nieboskłonu pociemniała, przybierając kolor fioletowy.

Henry położył Susan dłonie na ramionach.

– Musisz zostać. Jesteś mi potrzebna. Jeśli Archie faktycznie tam jest, a mnie coś się stanie, ty musisz wezwać pomoc.

Dziennikarka nie miała zielonego pojęcia, jak ma tego dokonać. Iść na piechotę do Sisters? Złapać śmigłowiec? Jednak Henry mówił tak poważnym głosem, że skinęła głową na znak, że się zgadza.

Detektyw uniósł broń i ruszył w stronę domu. Zgarbił się, przechodząc pod oknami od frontu, wszedł na ganek i zbliżył się do drzwi.

– A nie musisz mieć nakazu? – zawołała za nim szeptem Susan.

Najwidoczniej nie usłyszał, bo nie zatrzymując się, otworzył drzwi i zniknął w środku. Susan została sama.

Upłynęło kilka minut. Na drzewo, pod którym czaiła się dziennikarka, wskoczyła wiewiórka i w czterech susach była już na samym szczycie, gdzie zamarła w bezruchu.

Drzwi do domu wciąż stały otworem.

Susan rozejrzała się dookoła i podniosła najbardziej spiczasty patyk, jaki rzucił jej się w oczy. Wzięła go w dłoń, w drugiej ściskając swoją butelkę z wodą. Miała wybór: dalej stać tutaj sama albo wejść do środka i sprawdzić, co się dzieje. I jedno, i drugie niosło ze sobą niebezpieczeństwo, ale w domu przynajmniej nie byłaby sama. Parker by wszedł, pomyślała sobie. Bez wahania.

Pieprzę to. Odstawiła butelkę na ziemię i ruszyła w ślady Henry'ego.

Wewnątrz grała muzyka. Susan ledwie ją słyszała, tak głośno waliło jej tętno. Zorientowała się jednak, że ciche dźwięki klasycznego koncertu dobiegają z dużego salonu na końcu korytarza.

Przez chwilę już prawie uwierzyła, że trafili w niewłaściwe miejsce. Że Archiego tutaj nie ma.

Przylgnęła do ściany, sunąc wzdłuż niej zrywami, po kilkadziesiąt centymetrów naraz. Patyk trzymała w wyciągniętej ręce, niczym miecz. Był krzywy i brudny. Bała się, że może w każdej chwili pęknąć, tak mocno go ścisnęła.

Henry stał na końcu korytarza, nieruchomy jak słup soli.

– Co mu zrobiłaś? – Susan usłyszała jego pytanie. Pełzła dalej, nie odrywając pleców od ściany. Popychał ją jakiś neodparty przymus. Nie potrafiła nad nim zapanować. Nie wiedziała nawet, że porusza się naprzód, dopóki nie stanęła u wylotu korytarza.

Wyrósł przed nią ogromny kominek; dogasający na nim żar skrzył się

słabym blaskiem. Po chwili dziennikarka uświadomiła sobie jednak, że to wcale nie żar – to płonął las. Kamienna obudowa paleniska, sięgająca od podłogi do sufitu, miała po obu stronach wysokie panoramiczne okna; za nimi, w zapadającej ciemności, widać było wyraźnie, jak do leśnego domu zbliża się ściana czerwonych płomieni. Obraz ten miał w sobie jakiś złowieszczy splendor. Pożar był już najwyżej o półtora kilometra.

Susan poczuła, że się dusi.

Przystanęła obok Henry'ego, który mierzył prosto w Gretchen Lowell. Nie mogła zaczerpnąć oddechu, nie mogła się skoncentrować. Gretchen miała na sobie luźne spodnie i bluzkę z białego jedwabiu, a włosy – upięte w kok, z którego wyślizgnęło się sporo kosmyków, opadając na policzki. Na podłodze, z głową na jej kolanach, leżał Archie. Był martwy. Susan wyteżyła wszystkie siły, żeby nabrać powietrza, ale nos miała zatkany opatrunkiem i czuła się tak, jakby ktoś ją dusił, zasłaniając dłonią drogi oddechowe. Na białej bluzce Gretchen widniały plamy krwi Archiego.

Dziennikarka zarzęziła chrapliwie, jak zdychające zwierzę.

– Susan, wynoś się stąd – syknął Henry, nie spuszczać oka z Gretchen. – A ty odejdz od niego! – rozkazał szczekliwym głosem drugiej kobiecie.

Susan zobaczyła, jak Gretchen Lowell unosi rękę, demonstrując parę kajdanek, którymi była przykuta do balustrady schodów.

– Nie mogę – oznajmiła tonem, w którym dała się słyszeć lekka irytacja; zupełnie jakby miała pretensję, że musi komuś tłumaczyć taką oczywistość.

Henry ruszył powoli w jej stronę, nie opuszczając broni ani o centymetr, a Susan poczuła, że dławi się paniką. Przed oczami przewinęło

się jej tysiąc możliwych zakończeń tej sytuacji. Zaczęła się zastanawiać, co robi, jeśli Henry'ego zabraknie i zostanie sam na sam z Gretchen i Archiem na podłodze. Zerknęła na ściskany w dłoni patyk i rozejrzała się dookoła w poszukiwaniu lepszej broni: noża, młotka, czegokolwiek. Zauważyła białą torebkę leżącą na barku, a obok niej nieduży klucz, jakąś kartkę i puste butelki po lekarstwach, nigdzie nie było jednak żadnych tępych narzędzi. I wtedy, na tym samym blacie, dostrzegła nóż do obierania warzyw i owoców. Upuściła swój patyk na podłogę, podbiegła do baru i chwyciła nóż w dłoń. Henry tymczasem przyklęknął nad Archiem, wciąż celując w głowę Gretchen. Położył palce na szyi przyjaciela, szukając pulsu.

– Co mu zrobiłaś? – zapytał.

– Zgadnij – odparła.

Susan wyjęła komórkę, spojrzała na wyświetlacz. Wciąż nie miała zasięgu. Przysięgła sobie, że jeśli tylko przeżyje, to z całą pewnością zmieni operatora. Rozejrzała się za telefonem stacjonarnym, ale żadnego nie zauważyła.

– Trzymaj ręce tak, żebym je widział – rozkazał Henry, patrząc na Gretchen. Zęby miał zaciśnięte, więc zabrzmiało to twardo, jak zgrzytnięcie.

Uniosła wolną dłoń.

– To polekowe uszkodzenie wątroby. Mam tutaj nalokson. Mogę go uratować. Klucz do tych kajdanek leży na barze. Rozkuj mnie.

Susan spojrzała na kluczyk leżący na blacie. Potem znów przeniosła wzrok na Gretchen. I nagle zatrzęsło ją porażające olśnienie: te plamy na białej bluzce – to nie była krew Archiego, tylko jej własna. Gretchen

rozciąła sobie głęboko skórę na nadgarstku, szarpiąc się z całej siły w kajdankach. Więc Archie mógł jeszcze żyć.

– Pierdol się – warknął Henry w odpowiedzi na propozycję Gretchen.

– On umrze – poinformowała go spokojnym głosem, pełnym niezachwianej pewności. – Rozkuj mnie, a ja go uratuję.

Susan wodziła oczami od niej do Henry’ego i z powrotem. Niech ktoś coś zrobi, powtarzała w myślach.

– Ratuj go, bo strzełę ci w łeb – powiedział Henry z taką samą pewnością w głosie.

A więc Archie jeszcze żył. Susan poczuła zawrót głowy. Otarła nos, który zaczął cieknąć przez opatrunek. Wydzielina była czarna od popiołu i krwi. A Archie umierał.

Gretchen spojrzała na nią.

– Rozepnij mi kajdanki – powiedziała. Susan obejrzała się z powrotem na klucz. W głosie Gretchen brzmiała tak bezwzględna stanowczość, że zaczęła się wahać.

– Susan, nie ruszaj się z miejsca – ostrzegł Henry.

– Tiktak – wyskandowała Gretchen.

Archie za chwilę umrze, przemknęło dziennikarce przez głowę. Tak jak Parker. I jak mój ojciec. Umrze na naszych oczach.

W tej samej chwili zaczął się atak: Sheridan wyprężył się, wyginając plecy w pałąk. Susan nie widziała zbyt dobrze, nie rozumiała, co się dzieje, ale dostrzegła, jak jego nogi kopią w miejscu, a klatka piersiowa zawisa w powietrzu, wypchnięta do góry w przeraźliwy sposób. Jej ojciec miewał takie same ataki.

– Pomóżcie mu – pisnęła błagalnym głosem. Po jej policzkach pociekły

ły. Nie potrafiła się opanować. Czuła się obco w tym nieznanym miejscu. Dygotała na całym ciele i nie mogła jasno myśleć. Wszystko waliło się w gruzy.

– Susan... moja torebka – powiedziała Gretchen.

Susan wiedziała jedno: nie może pozwolić, żeby Archie umarł. To było najważniejsze na świecie. Gretchen wydawała się absolutnie pewna siebie. A przecież była kiedyś pielęgniarką. Wiedziała, co robić. Umiała go uratować. W końcu już raz to zrobiła. Susan obejrzała się, chwyciła białą torebkę leżącą na barze i rzuciła ją w kierunku Gretchen.

Pożałowała tego momentalnie, kiedy tylko wypuściła torebkę z rąk. Ale nie można już było jej zawrócić.

Torebka śmignęła w powietrzu i wylądowała obok kolana Gretchen.

Niespodziewane zamieszanie zdekoncentrowało Henry'ego, który na jedną chwilę spuścił Gretchen z oka.

– Nie! – krzyknął.

W ułamku sekundy torebka była otwarta, a Gretchen trzymała w dłoni rewolwer, przykładając go do skroni Henry'ego. Oboje klęczeli na podłodze, twarzami do siebie. Każde miało lufę o centymetry od głowy. Oczy uśmiechniętej Gretchen błyszczały, w kącikach ust lśniły krople śliny. Pomiedzy nimi leżał Archie, nieruchomy, twarzą do dołu. Atak ustąpił. Susan uświadomiła sobie, że najprawdopodobniej zakończył się śmiercią. Chwyciła się dłońmi za gardło, przerażona tym, co zrobiła.

Gretchen uśmiechnęła się lekko.

– Praca z amatorami to żadna praca, Henry.

Susan – poprosił cicho Henry – wyjdź stąd.

Ale było już za późno. Susan nie mogła nawet drgnąć. Nie, nie sparaliżował jej strach; po prostu była tak wściekła na siebie, że nie potrafiła jasno myśleć.

– Nic z tych rzeczy, gołąbeczku – zamruczała Gretchen. – Chcesz uratować Archiego? Strzykawka jest w mojej torebce. Chodź tutaj.

Susan nie mogła odpowiedzieć. Nie mogła w ogóle się ruszać.

– Masz szansę uratować Archiego, ale musisz ruszyć tyłek i przyjść tutaj. Najdalej za kilka minut.

Susan otarła wargę z krwi zmieszanej ze śluzem z nosa, a potem zmusiła mięśnie do ruchu. Nóż do warzyw wsunęła do tylnej kieszeni dzinsów i zrobiła pierwszy niepewny krok w stronę Gretchen.

– Idź stąd – powtórzył Henry. – Wróc na szosę, próbuj dostać się do miasta.

Ale Susan szła dalej. Przez materiał spodni czuła mały ostry nóż ocierający się o ciało; to był jedyny bodziec, dzięki któremu mogła w ogóle się poruszać. Idąc, układała sobie w głowie listę celów: piękne błękitne oko Gretchen, elegancko zarysowana żyła szyjna. Wyszarpnąć nóż, wbić, przekreślić. Nie był duży, ale nie musiał być; Henry nie potrzebował więcej pomocy, żeby wyrwać Gretchen broń z ręki. Albo strzelić jej między oczy.

W miarę, jak się zbliżała, Susan mogła lepiej przyjrzeć się Archiemu. W wąskich szparkach pomiędzy uchylonymi powiekami pobłyskiwały szkliste białka oczu, skóra była lekko podsiniąta.

Dziennikarka połknęła gorące łzy wściekłości. Henry wciąż trzymał palce na szyi Archiego. To dobry znak, powiedziała sobie Susan. To znaczy, że jeszcze czuć puls.

Zatrzymała się, przyklękła przed Gretchen. Uznała, że najlepiej jednak będzie celować w żyłę szyjną. Większy cel – większa tolerancja błędu.

– Grzeczna dziewczynka – pochwaliła ją Gretchen. – A teraz sięgnij do zewnętrznej kieszeni w mojej torebce. Znajdziesz tam strzykawkę z igłą, gotową do użycia, oraz gumową stazę. Wyciągnij to wszystko.

Susan wyjęła strzykawkę razem z opaską.

– Nie umiem tego używać – powiedziała.

– Nauczysz się – poinformowała ją Gretchen. – A jak coś spieprzysz, Archie umrze. A ja potem zabiję Henry’ego. I ciebie też. Do roboty – zakomenderowała. – Zaciśnij mu stazę na ramieniu i znajdź żyłę. Widzisz jakąś?

Susan podwinęła Archiemu rękaw, przewiązała biceps gumową opaską i uniosła lekko całe ramię. Jego posiniała skóra była chłodna w dotyku, ale w zgięciu łokcia zarysowała się napęczniała żyła.

– Chyba tak – odpowiedziała niepewnie. Głos Gretchen był całkowicie opanowany.

– Odwróć igłę tym skośnym ścięciem do góry. Przebij skórę. Poczujesz lekki opór, który ustanie, kiedy wejdiesz do naczynia.

Susan odwróciła strzykawkę, tak aby ścięcie na igle znajdowało się u góry i popchnęła ją lekko palcami. Poczowała opór, który natychmiast zelżał.

– Chyba jestem w żyłę – powiedziała.

– Dobrze. Widzisz krew w strzykawce?

Susan przyjrzała się bliżej. W plastikowym cylindrze nie było ani

kropki krwi.

– Nie – odpowiedziała.

– To nic – uspokoiła ją Gretchen. – Odciągnij tłok odrobinę. Susan przesunęła tłok do tyłu. W strzykawce natychmiast pojawiła się cienka nitka czerwieni.

– Widzę krew – oznajmiła.

– Świetnie – powiedziała Gretchen. – To znaczy, że jesteś w naczyniu. Teraz sprawdź, czy ścięcie jest cały czas na górze, i naciśnij tłok.

Susan sprawdziła ułożenie igły i wcisnęła kciukiem tłok. Udało mi się, pomyślała. Podałam Archiemu lek. Chciało jej się śmiać, krzyczeć, tańczyć po całym salonie. A w następnej chwili zatrzymała wzrok na śmiertelnie poważnej twarzy Henry'ego, który nie przestawał mierzyć prosto w głowę Gretchen. Wyciągnęła igłę z żyły Archiego. Nie miała niczego, czym można by zatamować krwawienie, więc tylko zgięła mu rękę w łokciu i przytrzymała.

Archie momentalnie zaczął odzyskiwać kolory.

– A teraz proszę klucz do kajdanek – oznajmiła Gretchen. Susan wstała z klęczek i przyniosła klucz, powtarzając sobie, że musi wykonywać jej polecenia, bo Gretchen trzyma Henry'ego na muszce. Wsunęła klucz w zamek na stalowej bransolecie i przekręciła go. Pół obręczy odskoczyło – Gretchen była wolna. A Susan w tej samej chwili sięgnęła do tylnej kieszeni spodni i zadziwiając samą siebie szybkością ruchów, wyciągnęła nóż do warzyw, wbijając go w tułów Gretchen, tuż pod żebrami. To było łatwiejsze, niż się spodziewała. Ostrze ześlizgnęło się po kości, podskakując kilka razy, a potem zniknęło w ciele, które stawiało mu mniej więcej taki sam opór co kostka twardego sera. Wtedy Susan cofnęła drżącą

rękę, a nóż został, wbity po samą rękojeść. Na białym jedwabiu rozlała się ciemnoczerwona plama.

A wszystko to w całkowicie bezpiecznej odległości od żyły szyjnej.

Niemniej jednak wystarczyło. Powieki Gretchen rozszerzyły się, a usta rozchyliły, jakby chciała powiedzieć: „O!”. Kiedy nóż pogrążył się w jej ciele, wydała z siebie ciche westchnienie. Henry, chwytając się szansy, zanurkował całym ciałem w przód, uderzając przedramieniem w łokieć swojej przeciwniczki. Susan nagle straciła broń z oczu, bo zasłonił ją sobą. Po chwili rewolwer potoczył się po dywanie.

Henry rzucił się za nim, a Susan patrzyła, jak Gretchen powoli przesuwa dłońią po swoim boku, a jej palce zaciskają się na rękojeści noża sterczącego pod żebrami.

– Nóż – zdołała wyjąkać, zanim Gretchen wyciągnęła go z rany szybkim ruchem, od którego aż strzeliło jej w łokciu. Srebrzyste ostrze lśniło od krwi. Gretchen chwyciła Archiego za włosy, szarpnięciem uniosła mu głowę i przyłożyła nóż do gardła.

– I tak zresztą noże lubię najbardziej – powiedziała.

W domu pojawił się dym. Niewiele, tyle tylko, żeby zmniejszyła się ostrość widzenia. Susan nie wiedziała, czy Gretchen albo Henry to zauważyli.

Wiatr zmienił kierunek.

Gretchen pochyliła się, obejmując Archiego jedną ręką w poprzek piersi, a drugą wciąż przyciskając ostrze noża do jego szyi. Zaczęła pełznąć do tyłu, jak krab, opierając się na biodrze i odpychając łokciami. Ciągnęła go za sobą niczym drapieżnik swoją zdobycz, kierując się w stronę przeszklnych drzwi prowadzących na taras; były otwarte.

– Nie – odezwał się Henry, który padł na dywan i leżał tam na boku, z bronią w wyciągniętych sztywno rękach, wymierzona w Gretchen.

– Zabiłeś kiedyś kurczaka, Henry? – zapytała słodkim głosem, dociskając ostrze do skóry Archiego. – Niektórzy robią to na pniu do rąbania drewna, ale można się też posłużyć metalowym lejem. – Uśmiechnęła się do niego. – Wiąże się ptakowi nogi i przepycha głowę przez otwór na końcu leja, tak żeby nie mógł się szamotać, a potem podcina się szyję. – Przesunęła nożem pod brodą Archiego; ostrze było odwrócone płazem, więc nie poderżnęła mu gardła. – Cała sztuka polega na tym, żeby otworzyć żyłę szyjną, tak aby się wykrwawił, ale jednocześnie nie uszkodzić tchawicy. – Puściła oko do Henry’ego. – Mówią, że dla ptaków to niezły stres.

– Ani centymetra dalej – ostrzegł. – Tym razem się nie wywiniesz.

– Jego organizm już wiele przeszedł – powiedziała Gretchen. – Jak sądzisz, ile krwi może jeszcze stracić?

Henry usiadł na podłodze, wciąż mierząc w jej głowę. Następnie powoli podniósł się i stanął na nogach.

– Nie zrobisz tego. Archie jest dla ciebie zbyt ważny.

Susan w tym momencie wydało się, że żelazna wola Gretchen słabnie. Jej brwi drgnęły. Przygarnęła Archiego mocniej do siebie, obejmując kolanami jego tułów.

Henry ma rację, pomyślała dziennikarka, odzyskując pewność siebie. Gretchen nie zabije Archiego. Przed chwilą uratowała mu życie. Po raz kolejny. Ona chce, żeby on żył. Henry, nie opuszczając broni, zrobił krok w jej stronę.

A Gretchen poderżnęła Archiemu gardło. Pod mocno dociśniętym do

ciała ostrzem powłoki rozeszły się miękko, jak łupina bakłażana. Z rany pociekła krew, rozlewając się ciemną plamą na szyi i piersi Sheridan.

Susan w jednej chwili pociemniało przed oczami; tak zadziałała adrenalina w połączeniu z szokiem i przerażeniem. Zrobiło jej się szkoda wyrzuconego patyka; gdyby go teraz miała, wsadziłaby go Gretchen prosto w oko. Nie zabiłaby jej może w ten sposób, ale w takich ranach najczęściej rozwija się zakażenie. Z daleka, z samych obrzeży świadomości, do jej uszu dotarło przytłumione wycie policyjnych syren.

Gretchen spojrzała na Henry'ego z błyskiem w oku.

– Niech ci się nigdy nie wydaje, że potrafisz przewidzieć, co zrobię – wycedziła. Nóż i jej dłoń były zalane krwią; wyglądało to tak, jakby trzymała go przez czerwoną rękawiczkę. Powoli uniosła rękę i oblizwała ostrze.

– Uszkodzona wątroba to dobra rzecz – uśmiechnęła się z zadowoleniem. – Krew robi się słodziutka.

Na łysej czaszce Henry'ego nabrzmiały wszystkie żyły. Susan przestraszyła się, że zaraz pękną, rozsądzone tętniącą krwią. Detektyw z całej siły zacisnął dłonie na rękojeści swojej broni, jakby to była szyja Gretchen.

– Za chwilę – ostrzegła go.

Archie jeszcze żył. Krew ciekła z rany, ale nie tryskała pod ciśnieniem, bo Gretchen nie przecięła tętnicy. Był blady, a mimo to nadal się pocił. A przecież jak ktoś nie żyje, to się nie poci, prawda?

– Uciskaj ranę – poinstruowała Gretchen, patrząc na Susan. – Powiedz im, że ma polekowe zatrucie wątroby. Wziął mniej więcej czterdzieści tabletek vicodinu około trzech godzin temu. – Na ustach miała krew, którą

zlizwała z noża.

Szepnęła coś Archiemu do ucha, a potem pocałowała go w policzek, zostawiając na skórze krwawy odcisk wargi, i delikatnie ułożyła jego głowę na podłodze. Następnie wstała i wyszła na taras. Henry strzelił za nią i rzucił się w pogoń. Po chwili od strony lasu rozległy się kolejne trzy wystrzały z jego broni.

Susan skoczyła do barku, złapała leżącą tam ściereczkę w szkocką kratę, po czym wróciła biegiem do Archiego i padła obok niego na kolana, przyciskając materiał do ziejącej na szyi rany.

– Nie umieraj – prosiła, rąbkiem rękawa wycierając mu z policzka ślad krwawego pocałunku. – Tylko nie umieraj.

Syreny wyły coraz głośniejsze.

Żyjesz – powiedział Henry. – A ona uciekła.

Dokładnie nad samym łóżkiem znajdowała się dysza instalacji przeciwpożarowej. To była pierwsza rzecz, jaką Archie zobaczył, kiedy otworzył oczy. Potem zauważył stojącego nad nim Henry'ego, a dalej – Debbie, siedzącą na krześle po drugiej stronie łóżka, z otwartym czasopismem na kolanach.

Boże, westchnął w myślach. Debbie.

– Uciekła prosto w ogień – podjął Henry. – Wszędzie było od cholery dymu. – Potarł dłonią łysą czaszkę. – Wciąż trwa przeszukiwanie terenu. Możliwe, że ogień ją dogonił, ale ja w to nie uwierzę, dopóki nie znajdą jej szczątków.

Archie z powrotem zamknął oczy i zwinął się na boku. Wszystko go bolało, a zlana potem skóra piekła nieznośnie. Zaczął się wiercić, usiłując znaleźć jakąś w miarę wygodną pozycję, ale od tych wszystkich ruchów chwycił go skurcz żołądka. Ręce dygotały mu tak mocno, że musiał je unieruchomić między kolanami. Otworzył oczy. Nawet światło sprawiało ból.

– Co się ze mną dzieje? – zapytał.

– Masz objawy abstynencyjne – wyjaśnił Henry. – Dostajesz nalokson, lek hamujący działanie narkotyków. Przedawkowałeś. Nalokson blokuje receptory opioidowe. Jesteś na normalnym głodzie, przyjacielu.

Archie skoncentrował się, szukając w pamięci jakichkolwiek wspomnień dotyczących tego, co zaszło. Pustka. Pościel, na której leżał, była mokra i lodowata od jego potu. Ostatnią rzeczą, jaką pamiętał, było

to, że Gretchen trzymała go w ramionach. Nagle przez jego ciało przetoczyła się fala bólu; zatrząsł się jak porażony prądem i skulił jeszcze mocniej, przyjmując pozycję embrionalną. Znaleźli go za szybko – ale w takim razie tym bardziej nie mógł zrozumieć, jakim sposobem Gretchen udało się uciec. I wtedy, głęboko w gardle, odezwał się tępy ból; Archie uniósł drżącą dłoń i obmacał palcami szorstkie bandaże owijające jego szyję. Nie miał pojęcia, jak to mogło się stać, ale wiedział jedno: uciekła. Wszystko na nic. Zaczął się śmiać.

– Wzięła cię jako zakładnika – powiedział Henry. – A potem uratowała ci życie dawką naloksonu. A jeszcze później podcięła ci gardło.

– Spałem z nią – wyznał Archie, wiedząc jednocześnie, że to i tak tylko pół prawdy.

Rozległ się trzask. To otwarte czasopismo spadło z kolan Debbie na podłogę pokrytą linoleum.

Henry pochylił się nad Archie, położył mu dłoń na ramieniu.

– Nigdy więcej o tym nie mów – wycodził.

– Pomyślałem sobie, że powinniście wiedzieć, oboje. – Archie przełknął z wysiłkiem ślinę; szyja odpowiedziała tętniącym bólem. – Na ból gardła też pewnie nic nie dostanę? – zapytał.

Debbie siedziała nieruchomo, zaciskając z całej siły pięści, aż pobieleły jej kostki palców. Wyglądało to tak, jakby najwyższym wysiłkiem woli powstrzymywała się od uduszenia Archiego gołymi rękami. Nie miał do niej pretensji. Ucieszyłby się, gdyby spróbowała: zakryła mu twarz poduszką i zakończyła to życie. Tak by było po ludzku.

– To jest fałsz – wykrztusiła wreszcie. – Wydaje ci się, że coś cię z nią łączy, ale to wszystko jest fałszywe.

Żeby móc rozmawiać, musiał się mocno skoncentrować. Każdy mięsień jego ciała, szarpany bolesnym skurczem, domagał się tlenu. W ciągu ostatnich kilku lat nieraz wyobrażał sobie, jak wygląda głód po odstawieniu narkotyków.

To było gorsze niż wszelkie wyobrażenia.

– Chciałem ją złapać. Myślałem, że mi się uda – jęknął bezradnie.

Do pokoju weszła pielęgniarka w brzoskwiniowym kitlu, która wyregulowała Archiemu kroplówkę.

– Łatwiej będzie panu zasnąć – wyjaśniła. Skinął głową, uśmiechając się z wdzięcznością. Henry ścisnął palcami grzbiet nosa.

– Następnym razem mógłbyś nas wtajemniczyć w swoje plany – mruknął.

Obaj wiedzieli, że Henry zrobiłby wszystko, żeby powstrzymać Archiego.

– Puściłeś mnie – przypomniał mu Sheridan. – Puściłeś mnie samego do łazienki. To do ciebie niepodobne.

Debbie obejrzała się na Henry'ego.

Odpowiedział jej spojrzeniem, a potem odwrócił głowę z powrotem do przyjaciela.

– Nigdy bym ci nie pozwolił wystawić się na przynętę – oznajmił mu. – Masz szczęście, że żyjesz.

Szczęście. I co mi po tym szczęściu, pomyślał Archie, co to wszystko dało?

– Znalazłeś oświadczenie, które podpisała? – zapytał.

– Znalazłem.

Przynajmniej tyle. Jeden cel osiągnięty.

– Możesz teraz zamknąć tę sprawę – burknął Henry. – Tę jedną sprawę. Czternaście lat. Dziewczyna bez domu, bez żadnej rodziny. A ty wreszcie zamknąłeś sprawę. Warto było?

Archie zamknął oczy, uśmiechnął się szeroko. Czuł już działanie środków nasennych. Przynosiły odrobinę ulgi.

– Tak – odpowiedział.

Musiał odpłynąć na długo, bo kiedy się ocknął, Debbie już nie było. Został z nim tylko Henry. Stał obok łóżka, tak jak przedtem.

Archie zgiął się wpół. Targnęły nim nudności. Henry podstawił mu różowy, plastikowy basen, a Sheridan zwymiotował do niego, drżąc na całym ciele. Potem opadł z powrotem na łóżko; pierś falowała mu ciężko.

Henry wyniósł basen do łazienki. Zza drzwi rozległ się szum spuszczonej wody i odkręcanego kranu, a po chwili zwalisty detektyw wrócił z pustym naczyniem i odstawił je na tacę obok łóżka.

– To już koniec? – zapytał.

Archie nie zrozumiał, o co mu chodzi.

– Rzygasz od godziny – wyjaśnił Henry. – Nie pamiętasz? Skulił się na boku.

– Nie.

– Była u ciebie doktor Rosenberg – mówił dalej jego przyjaciel. – I Fergus. Tego też nie pamiętasz?

Archie potrząsnął przecząco głową. Wciąż było mu zimno, pomimo kilku koców, którymi był przykryty. Podciągnął je pod brodę. Ręce i nogi trzęsły mu się, a ból czuł chyba aż w kościach.

– Powiedział, że po dwunastu godzinach na naloksonie będą mogli ci dać coś na ból. Odtruja cię stopniowo.

– Długo jeszcze? – zapytał Archie. Henry zerknął na zegarek, uniósł brwi.

– Siedem godzin.

Archie poczuł w gardle piekący sok żołądkowy. Podciągnął kolana do piersi.

– Mów do mnie – poprosił. Henry usiadł obok łóżka.

– Susan ze mną pojechała – powiedział. – Znaleźliśmy cię razem.

Archie skrzywił się z niechęcią. Nie zamierzał wystawiać Susan na niebezpieczeństwo, ale naprowadzając ją na trop sprawy Heather Gerber, zdawał sobie sprawę, że jeśli dziennikarka domyśli się, o co mu chodziło, to rozwiąże całą zagadkę do końca. I nie odczepi się już od Henry'ego, który będzie musiał zabrać ją ze sobą na poszukiwania. Gdyby Susan zginęła z mojej winy, nie mógłbym z tym żyć, pomyślał Archie.

– Nic się jej nie stało? – zapytał.

– Będzie chciała z tobą pogadać – uprzedził go Henry. – Powiedziałem jej, że może o tym napisać. Tylko bez paru szczegółów.

A potem opowiedział mu o tym, jak Susan o mały włos śmiertelnie nie zatrąła się czadem, i o Bennecie, który wciąż nie wybudził się ze śpiączki i leżał w tej chwili w tym samym szpitalu, piętro wyżej. Nie zapomniał też zaznaczyć, że to Susan ustaliła tożsamość dwóch pozostałych ofiar znalezionych w parku.

John Bannon i Koleś Anderson. Archie zastanowił się głęboko.

– Muszę z nią porozmawiać – oznajmił Henry'emu. – Ale najpierw – dodał szybko, czując, jak żołądek podjeżdża mu do gardła – daj mi jeszcze ten basen.

Bez przerwy zaglądali do niego lekarze i pielęgniarki. Na rozplataną szyję trzeba było założyć trzydzieści pięć szwów. Gretchen nie przecięła mu ani tchawicy, ani żyły szyjnej. Nalokson pompowali w niego przez cały czas.

Wróciła Debbie. Nie przyprowadziła ze sobą dzieci; zresztą Archie wcale o to nie prosił. Lepiej, żeby go nie oglądały w takim stanie. I tak za dużo widziały.

– Wyrzuciłeś już to z siebie? – zapytała. Zacisnął powieki.

– Nie.

– Czego ty chcesz, Archie?

Czego? Chciał umrzeć. Taki był plan. Odwrócił głowę, nie patrząc na nią.

– Chcę zasnąć – odpowiedział.

Ktoś stanął w drzwiach. Dopiero po chwili Archie rozpoznał kształt chłopięcej sylwetki. Najpierw pomyślał, że to Ben. Uśmiechnął się, próbując usiąść na posłaniu. Chciał, żeby to był jego syn.

Ale to nie był Ben. To był tamten chłopiec z parku. Archie skinął na niego, a on wszedł do pokoju. Miał na sobie dokładnie to samo ubranie co wtedy: koszulkę z emblematem Oregon Ducks i worowate spodnie.

– Dzień dobry. – Uniósł dłoń, robiąc zażenowaną minę.

– Pamiętasz mnie? – zapyta! Archie. – Z lasu?

Chłopak, najwidoczniej nie wiedząc, co zrobić z rękami, najpierw założył je na piersi, a potem włożył do kieszeni.

– Odda mi pan moje gniazdo?

– Twoje gniazdo to ważny dowód w śledztwie – wyjaśnił mu Archie.

– Aha.

Pomimo zamroczenia Archie powoli zaczął uświadamiać sobie, jak niesamowitym zbiegiem okoliczności jest jego spotkanie z tym chłopcem w tym miejscu.

– Co robisz w szpitalu? – chciał wiedzieć. Mały wzruszył ramionami.

– Moja mama tutaj pracuje.

Archie zastanowił się; brzmiało to całkiem prawdopodobnie.

– Chcę, żebyś porozmawiał z moim partnerem – powiedział. Chłopak cofnął się szybko.

– Przepraszam, muszę już iść. – Zniżył głos do szeptu. – I pan też nie powinien tutaj siedzieć. Mama mówiła, że szpital to nie jest bezpieczne miejsce. – Rozejrzał się dookoła. – Można złapać zakażenie wtórne.

– Cześć – powiedziała Susan.

Archie ocknął się ze snu, spojrzał na zegar wiszący na ścianie. Od rana na przemian budził się i omdlewał, aż wreszcie Fergus, który przyszedł w południe, podał mu morfinę. Wstrzyknął ją wprost do kroplówki, tak jak Gretchen w ostatnich dniach niewoli Archiego.

– Nie śpisz? – zapytała dziennikarka.

Sheridan powiódł dookoła półprzytomnym wzrokiem, szukając swojego małego znajomego z parku.

– A gdzie tamten chłopak? – wymamrotał. Susan rozejrzała się po pokoju, uniosła brew.

– Nie ma tu żadnego chłopaka.

Archie przetarł twarz i podniósł oczy prosto na nią. Henry wspominał mu o złamanym nosie, ale to, co zobaczył, przerosło jego oczekiwania. Susan miała zabandażowaną twarz, a oczy – podsiniące na czarno,

najprawdopodobniej w ciągu nocy.

– Dobrze się czujesz? – zapytał.

– Muszę z tobą porozmawiać. – Zbyła pytanie. – O Stuarcie Davisie i Annabelle Nixon. I o Molly Palmer.

– Co to za Stuart Davis i Annabelle Nixon?

– To są te ofiary z parku – odpowiedziała ze zniecierpliwieniem. – Henry mówił, że wszystko ci przekazał.

– Jasne. – Kiwnął głową Archie.

– Dobra, do tego jeszcze dojdziemy. – Susan poprawiła się na krześle, podciągnęła nogi pod siebie. – Najpierw musisz usłyszeć o czymś innym. Dziś rano podano do wiadomości publicznej nominację nowego senatora, który zastąpi Scheera do końca kadencji. – Na jej policzki wystąpił rumieniec. – Wybrali burmistrza. Buda Andersona.

– Kolesia? – zdziwił się Archie.

– Poszłam do niego na rozmowę – ciągnęła dalej Susan. – Powiedziałam mu, że „Herald” ostatecznie wydrukuje mój artykuł o Scheerze i że zamierzam ujawnić fakt, iż on, Bud Anderson, skłamał publicznie, ogłaszając, że nie wiedział o uwiedzeniu osoby nieletniej. To jest utrudnianie pracy wymiarowi sprawiedliwości. Poinformowałam go też, że Henry otwiera na nowo śledztwo w sprawie Davisa i Nixon i że policja w końcu dotrze po nitce do kłębka.

Archie miał już mętlik w głowie, ale próbował, jak mógł, nadażyć za tym słowotokiem.

– „Herald” wydrukuje twój artykuł? – powtórzył. Susan potrząsnęła przecząco głową.

– Nie. Oszukałam go.

– Więc po co mi o tym mówisz? – Nie zrozumiał.

– Bo Koleś Anderson obiecał mi, że wystąpi z publicznym oświadczeniem – wyjaśniła. – Przyzna się do wszystkiego. Powie, co wiedział i od jak dawna. – Urwała, robiąc dramatyczną pauzę. – Tylko że najpierw chce pogadać z tobą.

Koleś Anderson po przyjsciu do Archiego stanął przy oknie i rozsunał palcami listwy żaluzji, żeby móc wyrzeć na zewnątrz. Stał tak przez jakieś pięć minut.

– Panie senatorze – odchrząknął Archie. Koleś zachichotał.

– Jeszcze nie.

Archie znał tego człowieka od blisko piętnastu lat. Był gościem na jego ostatnim i przedostatnim ślubie. Anderson z kolei odwiedzał Debbie w szpitalu, kiedy rodził się Ben, a potem Sara, nosił dzieci Sheridanów na rękach, kiedy były jeszcze niemowlętami. Nieraz zapraszali go do siebie na obiad, a on gościł rodzinę Archiego w swoim domu. Razem tropili Wirtuoza, harując, bywało, po dwanaście godzin na dobę. Koleś Anderson był jednym z nielicznych, którzy naprawdę rozumieli, jak to jest, kiedy pracujesz po nocach, kiedy trawi cię obsesja, kiedy marniejesz z żalu na widok przemocy, którą codziennie musisz oglądać. Po uprowadzeniu Archiego to on załatwił mu rentę inwalidzką, a potem podpisał zgodę na wdrożenie programu identyfikacji ofiar. Archie miał u niego dług, którego nie mógł spłacić w żaden sposób.

A teraz musiał oskarżyć tego człowieka o morderstwo.

– Byłeś kontaktem Molly Palmer. Do ciebie dzwoniła, kiedy skończyły jej się pieniądze – zaczął, spoglądając na Kolesia. – Podszywałeś się pod Johna Bannona, ale to byłeś ty.

Anderson podrapał się w policzek i skinał w roztargnieniu głową.

– Przez kilka pierwszych lat po ukończeniu akademii dorabiałem sobie na boku jako ochroniarz senatora Scheera – powiedział. – Nie wiedziałeś o

tym, prawda? – Zapatrzył się w jakiś odległy punkt, a na jego ustach pojawił się lekki uśmiech. – Zawsze bardzo go podziwiałem. Wiele zrobił dla służb porządku publicznego.

– Czy to ty zabiłeś Annabelle Nixon i Stuarta Davisa? Koleś Anderson podszedł i usiadł na krześle stojącym obok łóżka. Na podłodze stał papierowy kubek z kawą, który burmistrz przyniósł sobie ze szpitalnego bufetu. Wziął go do ręki, zdejmując białe plastikowe wieczko. Pociągnął łyk, po czym wsunął sobie kubek między kolana.

– Ja tylko sprzątałem ten bajzel – powiedział. – To było morderstwo połączone z samobójstwem. Chłopak zostawił list pożegnalny. Napisał, że jakoby... – Koleś uniósł palce, robiąc w powietrzu znak cudzysłowu – ... został zdradzony przez polityków. A konkretnie chodziło mu o całe to zajście z Molly Palmer. – Potrząsnął głową. – Gównu o tym tak naprawdę wiedział, słyszał tylko plotki, ale to był wrażliwy dzieciak. – Wypił jeszcze jeden mały łyeczek kawy i z powrotem chwycił kubek kolanami. – Strzelił dziewczynie w głowę, a potem sam się załatwił. Na trawniku w Lower Macleay Park. – Zajrzał do swojego kubka, podniósł wzrok na Archiego. – Przepraszam. Chciałeś napić się kawy?

– Nie wiem, czy mogę – odparł Sheridan.

– Powiedz mi, jeśli zmienisz zdanie.

– W porządku.

– Tylko że najpierw chłopak zadzwonił do senatora – podjął Koleś. – Pożegnał się i posłał go na do widzenia do wszystkich diabłów. A ja tam pojechałem, żeby posprzątać. Zabrałem ze sobą Bennetta. On też pracował dla Scheera, przez dwa lata po skończeniu studiów. Potem za moją namową wstąpił do policji. Było nas tylko dwóch, więc nie mogliśmy

wywieźć ciało daleko. I wtedy przypomniała mi się Heather Gerber. – Uśmiechnął się, potrząsnął głową. – Zabawne, jak to życie toczy się kołem. Zawlekliśmy zwłoki na tamto wzgórze. Stał tam dom, w którym trwały w najlepsze jakieś prace. Wszystko dookoła było zarośnięte bluszczem, więc specjalna ekipa czyściła teren. Mieli rozdrabniarkę do drewna. Pies ujadł jak suka, co ma cieczkę, ale jego właściciel chyba był głuchy, bo z domu nikt nawet nie wyjrzał. Wrzuciłem chłopaka do maszyny, ale się zacięła, więc dziewczynę musiałem pochować normalnie, w płytkim grobie. List zniszczyłem. Maszynę umyłem szlauchem. Samochód chłopaka przestawiłem o półtora kilometra. I już.

– A Molly Palmer? – zapytał Archie.

– Skontaktowała się ze mną. Chciała dostać dziesięć kawałków i obiecała, że tym razem zniknie na zawsze. Umówiłem się z nią w parku. Dałem jej forsy i do tego trochę heroiny, a natura już zadbała o resztę.

– Heroina była zanieczyszczona.

– Ja jej tego nie wstrzyknąłem, Archie. Sama się obsłużyła. Ćpun zawsze będzie ćpunem. Ona już jako czternastolatka źle się zapowiadała. I umarła wcale nie lepiej.

– Gdzie są pieniądze, które jej dałeś?

– Bennett je odzyskał – odparł Anderson. – Jako pierwszy odpowiedział na wezwanie.

A więc Bennett jednak się nie potknął, pomyślał Archie. Przyjechał jako pierwszy, zabrał pieniądze, a potem celowo stoczył się ze skarpy. Chciał zanieczyścić miejsce zdarzenia.

– Musiałeś się nieźle rozczarować, kiedy Scheer zginął i nagle okazało się, że wszystko na nic – zauważył.

Anderson potarł palcami skronie, jakby czuł nadchodzący ból głowy.

– Wiedziałem, że Susan Ward nie odpuści z tym swoim artykułem, nawet po śmierci Molly. A Scheer chciał przyznać się do wszystkiego. – Spojrzał na Archiego i wzruszył ramionami. – Musiałem go zabić. Był słaby. Umówił się z Parkerem, żeby wszystko mu ujawnić. Wysłałem Bennetta, żeby załatwił sprawę, bo sam bym chyba nie dał rady. Bennett pojechał za samochodem Parkera, a kiedy wjechali na most, przestrzelił przednią oponę z pistoletu pneumatycznego. Ta opona i tak poszła w strzępy, kiedy wóz przebił się przez siatkę, więc nikt nie miał szansy zauważyć dziury po kuli. Może gdyby Parker był trzeźwy, to nie zjechałby z mostu, a przynajmniej próbowałby hamować. Zrobiłem to z najwyższą niechęcią, ale ktoś musiał bronić spuścizny po tym wielkim człowieku. John Scheer był najlepszym senatorem w historii tego stanu.

– Zabiłeś go, żeby go chronić – powiedział Archie.

– Czekają go publiczne upokorzenie – odparł Koleś Anderson. – Nie mogłem do tego dopuścić. Chyba to rozumiesz? Człowiek, który całe życie poświęcił pracy na rzecz społeczeństwa, nie chce odchodzić skompromitowany. – Przełknął jeszcze jeden łyk kawy i znów zapatrzył się w dal. – Ciebie też chronilem, wiesz? Wiedziałem cię raz. – Odwrócił się do Archiego z uśmiechem na twarzy. – Z nią.

Archiemu nagle zaschło w ustach. Czyżby Koleś Anderson wiedział o jego romansie z Gretchen Lowell? Przecież nigdy nic nie powiedział. Pozwalał, żeby Archie odwiedzał ją w więzieniu, tydzień w tydzień, przez całe dwa lata. Dlaczego?

– Spokojna głowa. – Koleś puścił do niego oko. – Nikomu nie powiem.

Pochyliwszy się, odstawił ostrożnie swój kubek na podłogę, a następnie

sięgnął ręką do biodra i z kabury przy pasku spodni wyciągnął pistolet półautomatyczny. Wbił sobie lufę pod brodę i szarpnął za spust. Huk wystrzału zatrzęsł ścianami pokoiku, a ciało Andersona zatoczyło się w tył i padło na krzesło. Jedna z drgających nóg potrąciła kubek z kawą, który zachwiało się, a potem przewrócił. Brunatna ciecz spryskała linoleum.

Z łazienki wyszła Susan. Jedną dłonią zasłaniała usta. W drugiej ścisnęła cyfrowy dyktafon.

– Jezu Chryste, kurwa mać... – szepnęła.

Archie został przeniesiony do innej sali, żeby ekipa techników kryminalnych mogła zebrać mózg burmistrza ze ściany.

Henry miał w końcu szansę się wyspać. Spał sześć godzin. Ogolił głowę. Przebrał się w czyste ubranie. Archie nie umarł. Zagadka parkowych morderstw rozstała rozwiązana. A Bennett rokował pewne nadzieje na to, że będzie mógł odsiedzieć wyrok. I być może nawet obejdzie się w więzieniu bez niańki.

Generalnie miało się ku lepszemu.

U Archiego siedział doktor Fergus, więc Henry został na korytarzu. W pewnym momencie zobaczył Debbie wychodzącą z windy. Zbliżyła się do niego powoli. Twarz miała ściągniętą, zbolałą.

– O wszystkim mi powiedzieli – szepnęła. – Jezu Chryste...

– Archiemu nic się nie stało – zapewnił ją szybko. – Zaraz będziemy mogli wejść.

Debbie spojrzała na niego oczami pełnymi łez.

– Ja tam nie pójdę – powiedziała. – Nie mogę się już z nim spotykać. Wiesz o tym, prawda? Kocham go, ale nie mogę tego zrobić. On nie chce tego ode mnie. Moja rola skończona.

– On cię potrzebuje – zaprotestował Henry.

Debbie uśmiechnęła się, dotknęła jego policzka. Oczy wciąż miała mokre.

– Nie mnie, tylko ciebie. – Z tymi słowami odeszła.

Henry odprowadził ją wzrokiem, patrzył, jak idzie korytarzem i wsiada do windy. Kiedy zamykały się za nią drzwi, pomachała mu jeszcze jeden

raz.

Fergus wyszedł od Archiego z rękami w kieszeniach i opuszczoną głową. Skutkiem tego wpadł prosto na Sobola.

– Przepraszam – mruknął.

– Co z nim? – zapytał Henry.

– Jeszcze nie wyszedł na prostą – odparł lekarz, ciągnąc się; za mięsiste, włochate ucho. – Musisz dopilnować, żeby się odtruł i nie zatrzał się z powrotem. Musi być czysty.

– On już teraz jest gotowy – powiedział Henry.

Fergus położył mu dłoń na ramieniu. Gest ten wypadł raczej niezręcznie.

– Nie możesz na siłę utrzymać przy życiu kogoś, kto nie chce żyć – westchnął.

Henry patrzył na śpiącego Archiego.

Wysiedział już swoje przy łóżku przyjaciela; to było po pierwszej rundzie ArchieGretchen. Sheridan przeleżał wtedy trzy tygodnie w śpiączce farmakologicznej. Wszyscy myśleli, że odzyskał wolność, ale Henry teraz już rozumiał, że ten człowiek pozostał nadal jej więźniem.

– Odbierzesz w końcu ten telefon? – zapytał Archie, nie otwierając oczu.

Henry wyciągnął dzwoniącą komórkę z kieszeni, zerknął na nią i odłożył z powrotem.

– Numer nieznany. Archie otworzył oczy.

– Odbierz – polecił.

Henry wcisnął klawisz i przyłożył telefon do ucha.

– Halo?

– Witaj, misiu – powiedziała Gretchen.

Przez chwilę chciał się rozłączyć. Po prostu rzucić słuchawką. Pomyłka. Zakończyć to tutaj i teraz. Zbyć Archiego czymkolwiek, wcisnąć mu jakiś kit. Ale nie potrafił tego zrobić. Bo pragnął ją złapać jeszcze bardziej niż on.

– Skąd masz ten numer? – zapytał. Archie uniósł się na łokciu.

– Daj go do telefonu – ucięła Gretchen.

Henry nienawidził jej z całego serca. I siebie tak samo – za to, że zmarnował okazję, kiedy mógł ją zastrzelić. Nienawidził też Archiego, za to, że uległ tej kobiecie, i całego aparatu policyjno-prawnego – za to, że Gretchen nie dostała czapy.

– Pierdol się, suko – wysyczał w słuchawkę.

– On się zabije, Henry – zakomunikowała mu racjonalnym, opanowanym tonem. – Powoli otruje się lekami albo strzeli sobie w usta. Tylko ja mogę go powstrzymać. Wiesz, że mam rację.

Wiedział. Obejrzał się na Archiego, który zamarł z wyciągniętą ręką. Henry zauważył, że przyjaciel jest przytomny i pobudzony, a na twarz wrócił mu kolor. Odkąd przywieźli go do szpitala, jeszcze ani razu nie wyglądał tak dobrze. Patrząc na niego w tej chwili, naprawdę można było pomyśleć, że przeżyje.

Podał mu telefon.

Przepraszam za szyję, kochany – powiedziała Gretchen. Archie dotknął bandaża na gardle.

– Jedna blizna więcej, nic takiego. Milczała przez chwilę.

– Martwię się o ciebie.

– Oczywiście – odparł. – Zawsze miałaś na względzie moje dobro.

– Debbie już od ciebie odeszła? – zapytała. – Tak.

– Nie chcę, żebyś umarł. Archie przetarł twarz. Westchnął.

– Może się okazać, że nie masz na to żadnego wpływu. Plan lekarzy wyglądał następująco: odtruć go i odzwyczaić od środków przeciwbólowych, a potem obserwować, czy stan pacjenta się poprawi. Jeśli nie, konieczny będzie przeszczep wątroby.

– Jeśli się dowiem, że umarłeś, zabiję pierwszego człowieka, którego zobaczę. Pierwszego mężczyznę podobnego do ciebie. A potem pierwszego chłopca i pierwszą dziewczynkę, które będą podobne do twoich dzieci.

Umiała doskonale nim manipulować, wiedziała dokładnie, co mu powiedzieć. Znała go lepiej niż ktokolwiek inny.

– Ciekawy sposób okazywania żalu po stracie bliskiej osoby – skomentował.

– Ja nie żartuję, Archie. Ale on też znał ją dobrze.

– To działa w obie strony, serce moje – oznajmił. – Jeśli ja dowiem się o jakimś morderstwie noszącym choćby ślad twojego stylu, to cała umowa nieważna. A następnym razem strzelę sobie w łeb.

– Więc co? – zapytała. – Abstynencja?

– Abstynencja – przytaknął.

Henry wisiał nad nim zgięty wół, starając się pochwycić każde słowo.

– Miło mi, kiedy pomyślę, że nie umiesz zakończyć swoich cierpień – powiedziała Gretchen.

– A mnie miło, kiedy pomyślę, że ty nie potrafisz zaspokoić swojej żądzy krwi – odparował.

Roześmiała się głośno. Archie lubił brzmienie jej śmiechu. Tak śmiały się gwiazdy kina z lat czterdziestych.

– Podobała mi się nasza romantyczna wycieczka – zamruczała zalotnie do słuchawki.

Archie zerknął na Henry'ego, ale poza uniesieniem krzaczastych brwi nie doczekał się żadnego komentarza.

– Jeśli oddasz się w ręce policji – obiecał Gretchen – będę cię odwiedzał codziennie.

– Kusząca propozycja – przyznała – ale cena zbyt wysoka. Do zobaczenia, kochany.

– Do zobaczenia.

Wcisnął klawisz kończący rozmowę i oddał telefon Henry'emu.

– Pozdrowienia od Gretchen – powiedział.

Przy starym biurku Parkera posadzili jakiegoś stażystę. Przedtem do redakcji przyjechała Margery Parker; spakowała wszystkie rzeczy po mężu do pudła i zabrała ze sobą. Zniknęły też kwiaty. Susan podkrađła jego kubek z sową Hootersa, załadowała go długopisami i postawiła na swoim biurku. W końcu pozwolili jej zabrać matkę z Arlingtona. Bliss ogłosiła wszem wobec, że zamierza ubiegać się o członkostwo w klubie, lecz Susan miała pewne wątpliwości co do tego, jak na jej widok zareaguje

komisja kwalifikacyjna.

Policja wciąż jeszcze nie zwróciła posążka Buddy.

Obok biurka Susan pojawił się Derek Rogers. Przysiadł na skraju blatu. Oboje, on i ona, ostrzyli sobie zęby na posadę Parkera: reporter kryminalny.

– Słyszałem, że wydrukują ci artykuł o Molly Palmer – zaczął Derek.

Susan uśmiechnęła się szeroko.

– Wyznanie grzechów przez pana burmistrza zmieniło atmosferę, można powiedzieć.

Rogers wyciągnął do niej rękę.

– Parker byłby z ciebie dumny.

– Dzięki. – Uścisnęła mu dłoń.

Derek milczał przez chwilę, wpatrując się w podłogę.

– Nie zastanawiałaś się nad tym, po co Parker spotkał się z senatorem?

– Domyślam się, że Scheer chciał przedstawić swoją wersję wydarzeń – odparła – i zaproponował Parkerowi wywiad na prawach wyłączności.

– Parker chciał sprzątnąć ci temat sprzed nosa – podsumował Derek.

Susan obróciła lekko kubek z emblematem Hootersa, tak żeby sowa była dokładnie na przodzie.

– Wiem – powiedziała. – I nie wkurza cię to? Wzruszyła ramionami.

– To był dziennikarz. Derek spojrzał na zegarek.

– Chcesz wyskoczyć na drinka? – zaproponował. – Nie.

– Na kawę? – Nie.

– To może na wodę?

– Nie. – Susan spojrzała na niego, przekrzywiając głowę. Miała w domu lustro i przeglądała się w nim nie dalej jak rano, przed wyjściem do

pracy. Bandaż, podsiniałe oczy. Nie wyglądało to najpiękniej.

– Będę z tobą sypiać – powiedziała – ale nie chcę się angażować emocjonalnie.

– W porządku.

Susan uśmiechnęła się szeroko.

– Masz łóżko? – zapytała, myśląc o swoim hamaku.

– Mam – przytaknął. – I klimatyzację też.

– Super – westchnęła.

Latem Forest Park jest bardzo piękny. Liście drzew szumiały, poruszane lekkim wiatrem. Szemrał szybko płynący strumień, ćwierkały ptaki.

Archie siedział na ziemi, niedaleko miejsca, gdzie znaleziono zwłoki Heather Gerber. Wspominał, jak to swojego czasu harował nad tą sprawą bez wytchnienia, przyczyniając się najpierw do ustalenia morderczego „podpisu” Wirtuoza, a następnie – do powołania specjalnego zespołu śledczego, wydzielonego tylko i wyłącznie do tego jednego śledztwa. Henry uważał, że Archie pracuje z takim poświęceniem, ponieważ to jego pierwsza sprawa. Mylił się. Nie chodziło już nawet o to, że Heather uciekła z domu i była prostytutką, więc jej osoba poza Archiem nie interesowała absolutnie nikogo.

Powód był inny: pierścionek, który zamordowana dziewczyna miała na palcu złamanej ręki, werżnięty głęboko w spuchnięte ciało. Był to tradycyjny irlandzki pierścień z Claddagh, odlany ze srebra; Heather nosiła go na prawej dłoni, z sercem zwróconym na zewnątrz. Oznaczało to, że wciąż szuka miłości* [Tzw. pierścień z Claddagh zamiast oczka posiada symbol w postaci dwóch dłoni trzymających ukoronowane serce.

Irlandczycy wręczają go na dowód przyjaźni bądź też jako pierścionek zaręczynowy; może on nawet pełnić funkcję ślubnej obrączki. Każdy ze sposobów jego noszenia (prawa lub lewa dłoń, serce skierowane do wewnątrz lub na zewnątrz) ma odrębne znaczenie (przyp. tłum.)].

Archie wstał, otrzepał spodnie i wrócił do samochodu. Za kierownicą siedział Henry; czekał na niego, słuchając radia.

– Jesteś gotowy? – zapytał Archiego.

Sheridan zapiął pas i ruszyli z parkingu przeznaczonego dla ludzi odwiedzających Forest Park. Spuchnięta wątroba wciąż go bolała i ani na chwilę nie mógł pozbyć się uczucia znużenia, ale dzięki rygorowi Fergususa ograniczył leki do pięciu tabletek dziennie.

– Jestem – przytaknął.

– No to powiedz mi – zagadnął Henry – czy w końcu ukarałeś się dostatecznie surowo za swoje grzechy?

Sheridan spojrzał na niego. Henry uniósł brwi.

– Ile dokładnie wiesz? – wycedził Archie powoli.

– Wtedy w Arlingtonie – Henry zbył pytanie – puściłem cię specjalnie. Domyśliłem się, że chcesz ją złapać i ułożyłeś sobie jakiś porąbany plan. Uznałem, że to dla nas najlepsza szansa, i dlatego cię puściłem. – Zawiesił głos, czekając na komentarz. Archie milczał. – Chcesz mi coś powiedzieć? – zapytał wreszcie.

Sheridan wzruszył ramionami. – Nie.

– Naprawdę?

– Nie wierzę ci – oświadczył Archie z całą szczerością. – Nigdy w życiu nie pozwoliłbyś mi wystawić się na przynętę.

– Pozwoliłbym.

– Nie pozwoliłbyś.

– I to mówi facet, który przeleciał seryjną morderczynię.

– Umówiliśmy się, że nie będziemy o tym rozmawiać. Henry parsknął pod nosem.

– Więc ile to ma być? – Zmienił temat. – Dwadzieścia osiem dni? Długo.

– Odwiedzisz mnie? – zapytał Archie.

– Spoko – przytaknął Henry. – Debbie obiecała, że przywiezie dzieciaki.

Archie zastanowił się szybko, jak najlepiej wyrazić to, co miał na myśli.

– Możesz się z nią spotykać – powiedział wreszcie. – Jeśli chcesz.

Henry odchylił głowę do tyłu i spojrzał na niego takim wzrokiem, jakby rozmawiał z wariatem.

– Spotykać? – powtórzył. – Po co? Archie wzruszył ramionami.

– Byłoby wam nieźle razem – odparł.

– Od paru miesięcy umawiam się z Claire – poinformował go Henry. – Chcieliśmy ci o wszystkim powiedzieć, ale to jest wbrew polityce firmy i nie byliśmy pewni, jak się będziesz na to zapatrywał.

– Wydawało mi się, że Claire jest lesbijką.

– Bo nosi krótkie włosy?

– Pewnie tak – przyznał Archie.

– Oto przykład postępowego myślenia.

– Cieszę się, że wam się układa – powiedział Archie, ale w tym momencie przypomniało mu się pięć żon Henry'ego. – Ale chyba nie zamierzasz się z nią ożenić, co?

– Obawiam się, że mój ostatni rozwód nie został przeprowadzony w majestacie prawa.

– Pięknie. – Archie pochylił się, włączając klimatyzację. Dysze plunęły chłodnym powietrzem. – Naprawiłeś klimę – zauważył.

Henry odchrząknął.

– To jest inny samochód.

O Gretchen nie wspomnieli ani słowem. Archie odwrócił głowę, wyjrzał przez okno. Wjechali właśnie na most Fremont. Na horyzoncie majaczyły olbrzymie sylwety Mount Hood i Mount St. Helens. Miasto, pełne zieleni, wyglądało przepięknie.

Gretchen umiała myśleć. Na pewno była już daleko.

Ale Archie nie martwił się tym wcale.

Dotknął palcami kieszeni spodni, w której leżała jego nowa komórka. Zarejestrowana pod tym samym numerem co poprzednia.

Wiedział, że Gretchen zadzwoni. To była tylko kwestia czasu.